



DIANA
PALMER

Serce jak
głaz

Diana Palmer

Serce jak głaz

Tłumaczenie: Katarzyna Ciężyńska

Drodzy Czytelnicy, w chwili, gdy piszę te słowa, oplakujemy Douga, brata Jima. Odszedł od nas po długiej chorobie. Został żonę Victorię, z którą przeżył pięćdziesiąt lat, a także synów Rodneya, Paula i Jamesa z żoną Jennifer; Valerie i jej męża Wayne'a; wnuki i prawnuki; siostrę Kathleen, braci Johna i Jimmy'ego oraz bratanków i bratanice.

Ta książka dedykowana jest pamięci Douga, który dwadzieścia lat życia spędził w Marynarce i był weteranem wojny w Wietnamie. Był dobrym, dzielnym człowiekiem, kochał swoją rodzinę i zwierzęta, a zwłaszcza koty i dzikie ptaki.

Będzie go nam bardzo brakowało. Wyobrażam sobie, że siedzi teraz z wędką na zielonej łące nad stawem. Czeka, aż reszta z nas do niego dołączy.

Do zobaczenia, Doug. Było zaszczytem Cię znać.

Diana Palmer

Robert Douglas (Doug) Kyle

1946-2016

Patriota. Weteran wojny w Wietnamie. Ojciec, dziadek i pradziadek. Kochał ptaki i NASCAR, koty i wędkowanie. A my kochaliśmy Douga.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ren Colter nie powitał ich zbyt przyjaźnie. Prawdę mówiąc, kiedy Merrie Grayling w towarzystwie jego brata przekroczyła próg domu na ranchu w Wyomingu, Ren z miejsca przyjął wrogą postawę.

Merrie ledwie na niego zerknęła - i od razu poczuła się tak, jakby ktoś walnął ją obuchem. Ren Colter był wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Wysoki, o szerokich ramionach, szczupły w biodrach. Miał smukłe dłonie i zmysłowo wyrzeźbione wargi, a nad nimi prosty nos. Włosy miał gęste i czarne. Był równie przystojny jak brat, choć w przeciwieństwie do niego miał w sobie coś mrocznego. Obejmował Merrie gniewnym spojrzeniem, a ona i tak nie mogła oderwać od niego wzroku. Był w roboczym ubraniu, w dżinsach i wysokich butach, które przeżyły swoje w okopach. Nosił skórzane ochraniacze na spodnie i koczuch z owczej skóry. Czarny kapelusz lekko przekrzywił na bok. Czarne błyszczące oczy wpatrywały się w Merrie, bez słów mówiąc to wszystko, co chciał powiedzieć.

Merrie stanęła bliżej Randalla, co jeszcze bardziej zirytowało Rena. Randall był wysokim blondynem z wesoło patrzącymi na świat niebieskimi oczami i twarzą gwiazdora filmowego. W niczym nie przypominał brata.

- To tylko na parę tygodni, Ren - powiedział spokojnie. - Ona jest... ona wiele przeszła. Właśnie straciła ojca i miała problem z... z tą osobą, o której ci wspominałem. - Nie patrzył na Merrie, ponieważ to, co właśnie przekazał Renowi, nie do końca było prawdą. - Masz najnowocześniejszy system alarmowy i mnóstwo ochroniarzy, więc pomyślałem, że tu będzie bezpieczna.

- Bezpieczna - powtórzył Ren niskim, aksamitnym głosem.

Przyglądał się Merrie, ściągając zmysłowe wargi, lecz wydawało się, że nie znajduje nic interesującego w kobiecie z długimi

mi platynowymi włosami splecionymi w warkocz, który spływał po plecach. Jej jasnoniebieskie oczy celowały w niego jak światło reflektorów. Była dość ładna, ale Ren miał dość ładnych kobiet. Ubranie maskowało jej figurę, więc trudno było zgadnąć, co się pod nim kryje. Miała na sobie dzinsy i bluzę, jedno i drugie luźne i wyraźnie za duże. Na jej twarzy nie zauważył śladu makijażu. Dziwne, pomyślał, bo spodziewałby się, że kolejna kobieta Randalla pojawi się w obcisłej i tandetnej sukience, trzepocząc rzęsami, i będzie próbowała z nim flirtować. Kobiety Randalla były doświadczone i napastliwe, a Ren nie znosił, kiedy kręciły się w pobliżu.

Oczywiście Randall zazwyczaj im towarzyszył, żeby je zabrać. Tym razem przywiózł jakąś dziwaczkę i chciał ją tu zostawić na czas, kiedy sam będzie jeździł po świecie i zachwalał hodowane przez nich i często nagradzane bydło. Randall był urodzonym sprzedawcą, w przeciwieństwie do wycofanego, introwertycznego Rena, który nie przepadał za ludźmi. A już szczególnie nie znosił matki i nie utrzymywał z nią żadnych kontaktów. Za to kochał swojego brata.

Kobiet unikał jak zarazy od chwili, gdy jego narzeczona Angie została przyłapana nie z jednym, ale z dwoma mężczyznami w niedwuznaczonej sytuacji. I to na dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem ślubu. Ren odwołał ceremonię i zostawił na głowie byłej narzeczonej uporanie się z wszelkimi konsekwencjami tej decyzji. Angie była wcześniej dziewczyną Randalla. Trwała przy nim do momentu, gdy sobie uświadomiła, że Randall nie zamierza się żenić. Wtedy dla odmiany zastawiła sidła na Rena i przez trzy miesiące ich związku kokietowała go i uwodziła, aż niemal stracił rozum. Trzeba oddać sprawiedliwość Randallowi, że próbował ostrzec brata, ale Ren przeżywał swoją pierwszą prawdziwą miłość i nie zamierzał go słuchać.

Tymczasem Angie nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zacznie pławić się w luksusie. Ren był prezesem spółki wydobywczej, która według corocznego rankingu Fortune 500 należała do najbogatszych firm w Ameryce. Poza tym na czterystuhektarowym ranczu hodował bydło rasy black angus, które przynosiło znaczące zyski. A do tego buhaje czempiony, za które nabyw-

cy z całego świata płacili w milionach. Kupowano zarówno młode byki, jak i profesjonalnie przechowywane nasienie. Rodowody tego bydła były bez zarzutu.

Najboleśniejszą konsekwencją zerwanych zaręczyn było to, co Ren przeczytał o sobie na Facebooku Angie. Musiał kupić nowego laptopa, bo tamten poleciał przez okno szerokim łukiem i roztrzaskał się na podwórzu. Ale cóż, Angie napisała między innymi, że Ren jest nudnym, niezdarnym i pozbawionym choćby krzty wyobraźni kochankiem, a jego ranczo na zadupiu to żałosna kpina – i takie były jej najłagodniejsze uwagi.

Kłamstwami, które Angie rozpowszechniła w internecie, zajęli się prawnicy, natomiast Ren zerwał z nią wszelkie osobiste kontakty. I miał szczerą nadzieję, że Angie już nigdy się do niego nie odezwie. On zaś poprzysiągł sobie, że już nigdy żadnej kobiety nie pozwoli tak bardzo zbliżyć się do siebie, w myśl ludowej mądrości, że kto raz się sparzy, ten dmucha na zimne.

A teraz znów miał zostać z jedną z kobiet Randalla. Nie skakał z tego powodu z radości. Natomiast dziewczyna nie znajdzie tu dla siebie nic ciekawego, tego akurat był pewien. Ale to jej problem. Natomiast on czuł się zmęczony tą nieustającą paradą kobiet brata.

– Nie sprawi ci kłopotu – oznajmił Randall.

Merrie w milczeniu potakująco skinęła głową. Wiedziała, że nie spodobała się wysokiemu ranczerowi, który nawet nie usiłował tego ukryć.

– Delsey! – zawołał Ren.

Z kuchni wyszła starsza kobieta o zmęczonym wyrazie twarzy. Była niska i pulchna, siwe włosy zebrała w kok na karku. Miała piękne ciemnobrązowe oczy. Spojrzała na Merrie z lekkim zdziwieniem, a potem się uśmiechnęła.

– To Merrie Grayling – przedstawił Randall, otaczając ramieniem Merrie, która zadrżała pod wpływem otwartej wrogości Rena. – Pochodzi z małego miasteczka w Teksasie.

Gospościa uściśnęła jej dłoń, mówiąc przy tym:

– Witaj, będzie ci tu dobrze, kochanie. – Rzuciła Renowi ostrzegawcze spojrzenie, potem uśmiechnęła się do Randalla. – Znów pan wyjeżdża?

- Tak, do Anglii, na rozmowę z pewnym baronem - dodał z uśmiechem. - Hoduje bydło rasy black angus. My mamy czempiony, które chętnie byśmy mu sprzedali. Jest zainteresowany, a osobisty kontakt bardzo ułatwia transakcję.

- To prawda - zgodził się Ren. - Ja nie potrafię tak dobrze dogadywać się z ludźmi.

- Najchętniej dogadywałby się za pomocą bata do popędzania bydła - z błyskiem w oku wyjaśnił Randall, mrugając do Merrie.

- Bat to pomocne narzędzie w kontaktach z ludźmi - odparował Ren, też popatrując na Merrie. - Natomiast wobec zwierząt nigdy nie stosujemy przemocy. Moje bydło przywykło do dobrego traktowania. - Przerwał na moment. - Cóż, muszę wyjawić, że lubię bydło.

- Ja też - oznajmiła cicho Merrie i zaczerwieniła się, czując na sobie wzrok Rena. - Ale najbardziej lubię konie. - Spojrzała mu w twarz. - Ma pan może konia... na którym mogłabym jeździć?

- Później o tym porozmawiamy. - Zerknął na zegarek. - Zaraz przyjedzie weterynarz, żeby zaszczepić jałówki. Muszę iść.

Randall chciał go uściskać, ale brat tylko na niego spojrzał lodowatym wzrokiem i wyciągnął rękę. Randall posłał mu cierpki uśmiech.

- Nie siedź za długo na dworze - poradził. - Zapowiadają opady śniegu.

- Jesteśmy w Wyomingu - odparł Ren. - Tu zawsze pada śnieg.

- Na pewno jest ładnie - powiedziała z wahaniem Merrie. - Tam, skąd pochodzę, prawie nie widzimy śniegu.

Ren nie odpowiedział jej, natomiast zerknął na Delsey i stwierdził:

- Spóźnię się. Zostaw mi zimne mięso w lodówce.

- Na pewno zostawię. A pan niech uważa z tym koniem - dodała z pełną czułości troską. - Wczoraj ugryzł Daveya.

- Który koń? - spytał Randall.

- Mieliśmy nowego kowboja. - Ren wyraźnie się zdenerwował. - Zaufałem mu, ponieważ Tubbs go zatrudnił i powiedział, że to dobry pomocnik. Był w chacie, mało go widzieliśmy. Kiedy do niego pojechałem, żeby spytać o ciężarne jałówki, leżał pija-

ny w trupa, a koń, którego mu daliśmy, krwawił, miał głębokie rany, które ten drań zadał mu Bóg wie czym. Dałem mu ostry wycisk, a potem wezwałem policję. Zabrali go, jest oskarżony o okrutne traktowanie zwierząt, a ja już nie mogę się doczekać, kiedy złożę zeznanie - zakończył chłodno.

Merrie objęła się mocno ramionami i zadrzała. Słowa Rena przywołały bolesne wspomnienia związane z jej ojcem, z tym, co musiała od niego znosić. Przez całe dzieciństwo bicie, chłosty... Miała dwadzieścia dwa lata i nigdy jeszcze nie była na randce, nikt dotąd jej nie pocałował, nie miała przyjaciół.

Ojciec był tak bogaty, że budził strach i respekt w okolicy, więc jego córki - Merrie i jej starsza siostra Sari - nigdy nikomu choćby słowem nie wspomniały, co się działo w pięknej rezydencji w Comanche Wells w stanie Teksas.

- Zimno? - spytał cicho Randall, gdy zauważył, że wstrząsają nią dreszcze.

Pokręciła głową.

- Mój ojciec... kiedyś też tak skrzywdził konia.

- Zgłosiła to pani na policję? - spytał szorstko Ren.

- Ludzie za bardzo się go bali. - Głośno przełknęła. - To by niczego nie zmieniło. Po prostu treser pilnował, żeby konie nie wychodziły na zewnątrz, kiedy ojciec szedł do stajni.

- Mieszka pani na ranczu?

- Tak... - Niepewnie skinęła głową. - Nie jest tak duże jak to. Mieliśmy tylko... mamy tylko... konie.

- Cóż, do tego niech pani nie podchodzi. Hurricane jest wyjątkowo niebezpieczny, najgroźniejszy na naszym ranczu. Dosłownie wyszarpał kawał mięsa z ręki jednego z naszych kowbojów, raniąc go paskudnie, i o mały włos nie zabił drugiego, który chciał zdjąć mu uzdę. Nikomu nie pozwala się dotknąć.

- Nadal ma uzdę? - spytał Randall zmartwiony.

- Tak. - Jego brat się skrzywił. - Łeb ma już obtarty do krwi. Ten kowboj musiał szarpać go za uzdę. Spróbujemy jeszcze raz poprosić lekarkę, żeby go uspiła. - Pokręcił głową. - Trudno go utrzymać nieruchomo na tyle długo, żeby wbić igłę. Ale powiedziała, że zna strażnika leśnego, który ma strzelbę ze środkiem uspokajającym, i spróbuje ją pożyczyć.

- Biedactwo - powiedziała cicho Merrie. - Człowiek, który tak traktuje konia, tak samo potraktuje ludzi - dodała cicho, w zadumie.

Ren popatrywał na nią zaintrygowany.

- Prawdę mówiąc, szeryfowi się zdaje, że był list gończy za tym człowiekiem, którego zatrudnił Tubbs. - Przeniósł wzrok na Randalla. - Następnym razem ja będę zatrudniał pracowników. - Lekko wykrzywił wargi. - Tubbs nie umie ocenić ludzi.

- Ona potrafi - stwierdził Randall, przytulając Merrie do swojego boku. - Maluje obrazy.

- Wiele osób maluje - odparł lekceważąco Ren i znów zerknął na zegarek. - Bezpiecznego lotu - powiedział do brata.

- Dzięki. - Randall uśmiechnął się. - Trzymaj się z dala od kłopotów.

- To nie moja wina - odparł Ren, wzruszając ramionami. - Ten gość obraził moje bydło.

- Policja w Billings ma cię po dziurki w nosie - stwierdził Randall.

- To prawda. - Roześmiał się. - Kazali mi pójść na krótki kurs radzenia sobie ze złością. Potem pojechałem na konferencję do Montany i kolejny gość obraził moje bydło. - Westchnął. - Cóż, będę się trzymał z dala od Billings, aż wreszcie policja zapomni, jak wyglądam.

Randall potrząsnął głową, a brat puścił do niego oko i wyszedł, nie mówiąc nic więcej do Merrie. Ostrogi dzwoniły przy każdym jego kroku. Dla niej brzmiały jak dzwonki. Uśmiechnęła się do Randalla.

- Nie przejmuj się nim - powiedział. - On już taki jest, że denerwuje się w obecności obcych ludzi. Prawda? - zwrócił się do Delsey.

Gospośia odetchnęła głęboko, po czym stwierdziła:

- To prawda, zachowuje się okropnie przy ludziach, których nie zna. Mam nadzieję, że masz twardy charakter, młoda damo - dorzuciła z uśmiechem. - Już on to sprawdzi.

- Mam za sobą ciężkie chwile. - Mimo takiego wyznania, Merrie też uśmiechnęła się ciepło, patrząc na Delsey. - Najlepiej będę go omijać z daleka.

- Niezły pomysł, zwłaszcza że idzie zima i zapowiadają opady śniegu. Bydło i kowboje mają ciężkie życie, jak sporo napada.

- Bardzo lubię śnieg.

- Na Południu łatwo za nim tęsknić, ale po spędzeniu choćby jednej zimy w Wyomingu zmienisz upodobania - zapewniła ją Delsey.

Merrie tylko się uśmiechnęła, natomiast Randall powiedział:

- Też już muszę lecieć. - Pocałował Merrie w policzek. - Uważaj na siebie. Trzymaj się z dala od stajni i nie daj się Renowi. - Zawahał się. - Gdyby naprawdę źle cię traktował, wyślij mi SMS-a, a zabiorę cię do domu, okej?

Kiedy powiedział te słowa, Merrie przeszedł dreszcz, mimo to odparła z uśmiechem:

- Okej. - Uściskała go. - Dziękuję, Randall.

- Jesteś moją przyjaciółką. Nie martw się, dasz sobie radę. Uważaj na siebie.

- Ty też - odparła...

- Niech pan jedzie powoli. - Delsey pogroziła mu palcem. - Dość już mandatów.

- Marzycielka. - Puścił do niej oko.

Delsey zaprowadziła Merrie do jej pokoju.

- Każę któremuś z chłopaków, żeby przyniósł ci twój bagaż. Został w holu, Randall go tam zostawił. - Urwała. - Nie daj się wyprowadzić z równowagi Renowi - dodała łagodnie. - On nie jest miły dla obcych, a zwłaszcza dla kobiet. Ma za sobą bolesne doświadczenie, przez co zrobił się taki oschły.

- Nie będę mu przeszkadzać - obiecała Merrie. - Przywiozłam szkicowniki i robótki, mam czym się zająć.

- To dobrze. Gdybyś czegoś potrzebowała, zwykle jestem w kuchni albo gdzieś w domu. W niektóre dni przychodzi ktoś do pomocy, bo nie radzę już sobie z cięższymi pracami. Lata dają mi się trochę we znaki, ale Ren lubi moją kuchnię - zakończyła z uśmiechem.

Merrie nabrała głęboko powietrza.

- Nasza gospodyni, Mandy, nauczyła mnie gotować. Nawet umiem kroić i patroszyć kurczaka. - Zaśmiała się cicho. - Też

lubię krzątać się w kuchni.

- Jak trochę tu pobędziesz, może z tego skorzystam. - Delsey wpatrywała się w Merrie mądrymi ciemnymi oczami. - Jakiś mężczyzna cię prześladowa, tak? Randall mi powiedział.

- Nie chcę... - zaczęło cicho, z wahaniem - narazić kogoś na niebezpieczeństwo...

- Ren chroni to miejsce jak Fort Knox - oznajmiła Delsey. - Nikt się tu nie dostanie, jak ochrona go nie wpuści. Zauważyłaś kamery przy głównej bramie, kiedy tu przyjechaliście? - Gdy Merrie potaknęła, mówiła dalej: - Mamy nawet specjalny program do rozpoznawania twarzy. Może wyśledzić przestępcę.

- No, no - mruknęła Merrie.

- Niestety nie zadziałał w przypadku tego kowboja, który znęcał się nad naszym biednym koniem. - Skrzywiła się. - Hurricane był najśłodszy watachem. Serce mnie boli, kiedy widzę, co ten człowiek mu zrobił. - Odetchnęła głęboko. - Jeśli w dalszym ciągu będzie się tak zachowywał, będą musieli go uśpić. - Przygryzła wargę, a potem zmusiła się do uśmiechu. - Cóż, zostawię cię, rozpakuj się spokojnie. - Wyjrzała za drzwi i wychyliła się przez balustradę. - Brady! - zawołała. - Możesz przynieść bagaże?

- Jasna sprawa, panno Delsey - zawołał kowboj, przeciągając głoski, po czym szybko wniósł bagaże po schodach i zaniósł do pokoju.

- Dziękuję - powiedziała Merrie uprzejmie.

Brady uchylił kapelusza. Był w podobnym wieku co Delsey, budowę miał mocną, wręcz atletyczną, po prostu emanował siłą.

- Pani jest tą przyjaciółką pana Randalla, która będzie tu mieszkać jakiś czas? - spytał przyjaznym tonem.

- Tak, jestem Merrie. Miło mi pana poznać, Brady.

- Mnie też miło cię poznać, panienko. - Zwrócił się do Delsey. - Willis chce wiedzieć, czy upieczesz chłopakom ciasto.

- Upiekę - odparła Delsey. - Jakie się wam zamarzyło tym razem?

- Czekoladowe z tym twoim białym lukrem.

- Zaraz biorę się do roboty. - Odwróciła się do Merrie. - Ja-

dłaś lunch?

- Tak, dziękuję. Randall kupił mi cheeseburgera i frytki po drodze.

- To dobrze. Kolacja jest o siódmej. Ren pracuje do późna. Czasami nie przychodzi nawet na kolację, jak choćby dzisiaj. Prosił, żebym mu zostawiła zimne mięso w lodówce, czyli wróci dopiero na noc.

- Prowadzenie rancza to nie jest robota, którą można sobie zaplanować co do minuty - skwitował z uśmiechem Brady. - Zwłaszcza dotyczy to szefa. Musi wszędzie zajrzeć, zanim pogoda się popsuje.

- Aha, Brady, dzwoniłam do tego wykonawcy - powiedziała Delsey. - Jak zobaczysz Rena, powiedz, że ten człowiek zjawi się jutro rano, żeby zobaczyć, co jest do roboty.

- Przekażę. - Uchylił kapelusza. - Do zobaczenia później, dziewczęta.

Odpowiedziały mu uśmiechami, a gdy zostały same, Merrie powiedziała:

- Sympatyczny.

- Większość z nich to dobre chłopaki, ale mamy tu kilku ochroniarzy - dodała z powagą. - Jeden z nich jest niebezpieczny. Przyjechał do nas z Iraku, gdzie szkolił policjantów. Niewiele o nim wiemy. Zwykle stroni od innych, kiedy nie pilnuje stada.

- Kto to jest? - zaciekawiała się Merrie.

- Nazywają go J.C. Nikt nie wie, co się kryje za tymi inicjałami.

- Postaram się nie wchodzić mu w drogę.

Merrie przeciągnęła się, a złoty łańcuszek, który nosiła na szyi, lekko otarł się o skórę jej dekoltu. Wyciągnęła na wierzch bluzy ładny maleńki złoty krzyżyk.

Delsey skrzywiła się. Powinna ją ostrzec, ale nie chciała jej jeszcze bardziej denerwować. Renowi nie spodoba się ten krzyżyk. Będzie go drażnił jak czerwona płachta byka. Ale może go nie zauważy.

Uśmiechnęła się do Merrie i zostawiła ją samą, żeby się rozgościła.

Zeszła na kolację, mając cichą nadzieję, że nie zastanie Rena przy stole. Nie chciała jeszcze bardziej go do siebie zrazić, a wiedziała doskonale, że nie cieszył go fakt, że przebywała pod jego dachem.

- To duży dom - zauważyła, jedząc wyśmienitą pieczeń wołową i domowe bułeczki, które upiekła Delsey.

- Bardzo duży. O wiele za duży, żebym sobie sama poradziła, dlatego zatrudniamy panie na zlecenia - wyjaśniła. - Większość z tych kobiet to żony mężczyzn, którzy dla nas pracują, i dzięki temu trochę zwiększają rodzinne dochody. Generalnie porządki, okazjonalne prace, a niektóre z pań zajmują się drobiem i sprzedają jajek. Inne pracują w ogrodzie i sprzedają w lecie nadmiar naszych zbiorów. Dobrze nam się tu żyje.

- Dom jest bardzo piękny - szczerze stwierdziła Merrie.

- Hm... - Delsey lekko ściągnęła brwi. - Jesteś pierwszą ze sprowadzonych tu przez Randalla kobiet, która to powiedziała.

- Bo jest piękny.

- Cóż, to wiejski dom, prawda? - Delsey wzruszyła ramionami, po czym spojrzała w stronę salonu z dużymi fotelami i długą kanapą z bordowej skóry, zarzuconą poduszkami o indiańskich wzorach. Dywaniki na podłodze też wyglądały na dzieło rąk rdzennych mieszkańców Ameryki. Nad kominkiem wisiały skrzyżowane szable, a na stojaku stała stara zabytkowa strzelba.

- Pasuje do niego - w zadumie skomentowała Merrie. - Solidnie, cicho, wygodnie.

Delsey zabrakło słów. Wiedziała, że dziewczyna mówi o Renie, ale była zaskoczona jej przenikliwością. „Solidnie, cicho, wygodnie”. Miała tylko nadzieję, że Merrie nie czeka przykra niespodzianka, kiedy panu tego domu nie spodoba się coś, co jego gość powie czy zrobi.

Wrócił bardzo późno, a ona akurat schodziła na dół, wciąż w dżinsach i bluzie, żeby poprosić Delsey o dodatkowy koc. W domu było zimno, a ona dotąd żyła w teksaskim klimacie.

Kiedy Ren ją dojrzał, zatrzymała się na schodach. Jego rysy jeszcze stwardniały. Patrzył znacząco na przód jej bluzy. Przez

moment zastanawiała się, czy ma na sobie bluzę z jakimś napisem. Potem sobie uświadomiła, że jest szara i gładka. Zdenerwowała się. Na pewno nie patrzył w ten sposób na jej piersi!

- Czemu, do diabła, nosi pani coś takiego? - spytał.

Jego kąśliwy ton kompletnie zbił ją z tropu.

- Ja... lubię bluzy - zaczęła.

- Nie chodzi mi o bluzę, ale o to. - Wskazał jej krzyżyk.

Przypomniała sobie, jak Randall wspominał o poglądach Rena na religię. Wtedy puściła to mimo uszu, jednak problem okazał się poważny. W obronnym geście położyła dłoń na krzyżyku i oznajmiła cicho:

- Jestem osobą wierzącą.

- Wiara! - Jego oczy rozbłysły. - Dla chorego ciemnego świata wiara to jak laska dla inwalidy, nie leczy, pozwala tylko pełzać - zadrwił. - Zabobon, trucizna dla wolnego rozumu. Bezżyteczny przesąd!

- Panie Colter... - Nerwowo wciągnęła powietrze.

- Niech pani zabierze mi sprzed oczu tę przeklętą błyskotkę, niech pani ją gdzieś schowa. Nie chcę jej więcej widzieć w moim domu. Zrozumiała pani?

Był taki sam jak jej ojciec. Kiedy mówił, to jakby rozlegały się grzmoty. Przestraszył ją. Drżącą ręką wsunęła krzyżyk pod bluzę.

- A jeśli szuka pani czegoś do jedzenia, to informuję, że po kolacji nie mamy jedzenia *à la carte*. Je pani z nami przy stole albo nie je wcale. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak, proszę pana - odparła, a jej głos drżał tak samo jak nogi.

- I w ogóle co pani robi na dole po ciemku?

- Ja... chciałam wziąć koc - wyjąkała. - W moim pokoju jest zimno.

- Nie mamy tu sauny - stwierdził lodowato. - Oszczędzamy energię. W pani cholernej szafie są koce. Czemu pani tam nie zajrzała, zanim postanowiła pani zawracać innym głowę takimi bzdetami?

Cofnęła się. Był o wiele bardziej przerażający, niż jej się z początku wydawało. Ta postura, to lodowate spojrzenie, wście-

kłość w oczach, która sprawiała, że zapragnęła uciec jak najdalej stąd. Rzadko przebywała wśród mężczyzn, głównie na zajęciach plastycznych, ale koledzy, którzy wybierali te zajęcia, byli delikatni i uprzejmi. Ten mężczyzna był samotnym wilkiem, dziwnym drapieżnikiem, którego nikt nie nauczył, co to jest mir domowy. Jego słowa przyprawiały ją o dreszcze. Jej pierwsze wrażenie, gdy Ren wydał jej się przystojnym i uprzejmym mężczyzną, właśnie okazało się fałszywe. Był diabłem w wyblakłych niebieskich dżinsach.

- To wszystko - rzucił ostro, po kaprałsku. - Zmykaj, dziewczynko.

Merrie pognęła na górę, nie oglądając się za siebie. Wpadła do swojego pokoju, a zaraz potem na wszelki wypadek zamknęła drzwi na klucz.

Sari mówiła, że może do niej zadzwonić, ale Merrie czuła zbyt duży strach, by wybrać numer siostry. Choć miała sześć telefonów na kartę, obawiała się, że jeśli z któregoś z nich skorzysta, to zostanie namierzona, bo mężczyzna, który jej szukał, był przebiegły.

Paul Fiore, mąż Sari, pracował dla rządu, a jego koledzy z „firmy”, agenci specjalni FBI, próbowali dopaść człowieka, który zamierzał zamordować jej siostrę Merrie, bo przyjął na to zlecenie od syna byłej kochanki ich ojca. Mężczyzna, który wziął kasę za zabicie Sari, został schwytany, gdy dopiero przymerzał się do krwawego dzieła. Co więcej, okazało się, że był to ich szofer. Płatny morderca, który dostał zlecenia na Merrie, był o wiele bardziej niebezpieczny.

Timothy Leeds zamierzał zabić córki Darwina Graylinga, żeby zemścić się na człowieku, który z zimną krwią zamordował jego matkę. Tymczasem Darwin zmarł nagłą i niespodziewaną śmiercią, a Timmy był zbyt pijany, żeby dokładnie pamiętać, kogo zatrudnił do tej parszywej roboty.

Gdy Timmy wytrzeźwiał, przeraził się swoim postępkami. Opłakiwał matkę, był wściekły na Darwina i łaknął zemsty, stąd to wszystko. Tyle że Darwin zmarł tuż po tym, jak Timmy wynajął morderców. Wziął pieniądze, które zostawiła mu matka, i za-

płacił za zabójcze zlecenie.

I wciąż siedział w więzieniu, gdzie czekał, aż zostanie postawiony w stan oskarżenia. Owszem, złożył obszernie zeznanie przeciwko współnikom w niecznych knowaniach, wydobył z naruszonej alkoholem pamięci to wszystko, co tylko zdołał, lecz nie dało się zignorować faktu, że Timmy'emu przyświecał dokładnie określony cel: zamordowanie dwóch niewinnych kobiet. I przynajmniej do chwili wytrzeźwienia zamierzał go zrealizować. A zamiar przestępczy podlega karze. Merrie z pewnością to wiedziała, skoro jej starsza siostra Sari była zastępcą prokuratora okręgowego w Jacobsville w stanie Teksas.

Merrie zastanawiała się, co Sari pomyślałaby o mrukliwym i wrogo nastawionym ranczerze, który poczuł się obrażony zwykłym krzyżykiem, symbolem jej wiary. Ta wiara pomagała Merrie i jej siostrze przetrwać chwile niewiarygodnego bólu. Ojciec je bił, przetrzymywał w domu, jakby były więźniarkami. Sprawiał, że bały się mężczyzn. Był mordercą i brał udział w praniu brudnych pieniędzy dla mafijnych organizacji. Gdyby żył, dostałby dożywocie, a na koniec skonałby za kratami. Za całe swe bogactwo nie zdołałby kupić tego jednego, o czym już tylko mógłby marzyć: choćby jednego dnia wolności.

To właśnie z powodu ojcowskiego majątku Sari omal nie straciła ukochanego. Paul Fiore w swojej rodzinie uchodził za wyrodka i czarną owcę, bo jako jedyny zarabiał na życie w inny sposób niż dzięki kradzieżom, napadom rabunkowym, wymuszeniom, oszustwom i innym paragrafom. Choć owszem, paragrafom służył, bo pracował w FBI. Przez pewien czas był też szefem ochrony nieruchomości Graylingów. Obecnie został odelegowany do biura FBI w San Antonio.

Sari doprowadziła do tego, że Darwin Grayling zapisał Paulowi w testamencie sto milionów dolarów - połowę sumy, jaką Sari otrzymała z tajnych kont bankowych matki, która z kolei zostawiła swój majątek córkom. Każda z nich odziedziczyła dwieście milionów dolarów, przez co Paul o mały włos nie wziął nóg za pas. Nie chciał, by ludzie myśleli, że poślubił Sari dla pieniędzy. Jednak po tym chwilowym kryzysie stworzyli nad wyraz udane małżeństwo, a Merrie cieszyła się ich szczęściem.

Niestety ojciec zostawił swoje piętno zarówno na ciele, jak i na psychice córek.

Merrie usiadła na łóżku. Wciąż była rozdygotana z powodu wściekłego ataku ranczera. Zastanawiała się, jak długo zdoła wytrzymać w tym miejscu. Ren Colter budził w niej przerażenie.

Ostatecznie jednak Merrie udało się zasnąć. Na śniadanie zeszła odrobinę spóźniona z nadzieją, że już nie zastanie Rena. On tymczasem właśnie podnosił się od stołu.

Zmierzył ją spojrzeniem.

- Mamy tu stałe godziny posiłków - oznajmił szorstko. - Jeśli będzie się pani tak guzdrała, nie będzie pani jadła.

- Ale panie Ren... - zaprotestowała Delsey.

- Tu obowiązują pewne zasady, których się nie łamie! - Spojrzał na Merrie, która zeszywniała ze strachu. - Słyszała mnie pani. Delsey powie pani, o której godzinie są posiłki. Żeby mi się pani więcej nie spóźniła. - Naciągnął kapelusz na oczy, włożył ciężką kurtkę z kożucha i wyszedł, nie mówiąc nic więcej.

Merrie z trudem powstrzymywała łzy.

- Och, kochanie, tak mi przykro. - Delsey przytuliła ją i ukołysała jak dziecko, aż Merrie się popłakała. - On cały zgorzkniał przez te zerwane zaręczyny. Dawniej taki nie był. W gruncie rzeczy to dobry człowiek...

- Powiedział, że mój krzyżyk to głupota i nie wolno mi go nosić - szlochała Merrie. - Jakim trzeba być człowiekiem, żeby powiedzieć coś takiego?

- To długa historia. - Delsey wciąż kołysała ją w objęciach. - Pojechał do sławnego college'u na Północy, bo dostał tam stypendium. Jakaś profesorka namieszała mu w głowie i zmieniła jego poglądy na temat religii. Był świetnym studentem, ale po powrocie do domu nagle stał się wrogiem religii. Zadręczał matkę z powodu choinki na Boże Narodzenie i jej wiary, a ona po tych jego napastliwych tyradach uciekała cała we łzach. Potem kiedyś przypadkiem podsłuchał, jak matka mówiła do Randalla, że Ren jest zimny i bez serca tak jak jego ojciec, z którym się rozwiodła. Powiedziała, że jest dumna z Randalla, bo jest

lepszym synem. Ren po prostu wyszedł z domu i nigdy więcej nie odezwał się do matki.

Merrie odsunęła się i spojrzała na gospozię zaczerwienionymi oczami.

- Rozwiodła się z jego ojcem?

Delsey przytaknęła skinieniem głowy. Podała Merrie chusteczki higieniczne, żeby osuszyła sobie oczy.

- To ranczo należało do jego ojca, ale nie żyło się tu łatwo. Matka Rena lubiła luksusy, tak przynajmniej opowiadają, a ojciec Randalla zabiegał o jej względy. Więc z nim uciekła.

- Teraz to ogromne ranczo - stwierdziła Merrie.

- Tak, to prawda, ale było małe i zadłużone, kiedy Ren stanął w drzwiach domu ojca tuż po tamtym Bożym Narodzeniu. Razem zaczęli hodować bydło. Ren znał się na biznesie, w końcu ma dyplom z Harvardu, a ojciec znał się na bydle. - Uśmiechnęła się. - Zabrało im to piętnaście lat, ale oprócz hodowli bydła zajęli się przemysłem wydobywczym i stworzyli tu małe imperium. Ren jest z tego bardzo dumny. Jego ojciec też był dumny. Zmarł przed dwoma laty. - Westchnęła. - Ren nie pozwolił matce przyjechać nawet na pogrzeb. Wciąż ma jej za złe słowa, które niechcący usłyszał. Nie chce z nią rozmawiać.

- To nieludzkie, żeby tak chować urazę - niemal wyszeptała Merrie. - Wydaje się takim zimnym człowiekiem...

- Ale pod zewnętrznym chłodem kryje się dobre serce. Po prostu zbyt długo tkwi w tym stanie.

- Śmiertelnie mnie przeraża.

- Nie skrzywdzi cię - zapewniła Delsey. - Musisz tylko stawić mu czoło, kochanie, zmusić, by zaczął myśleć, zamiast działać instynktownie. Taki człowiek jak on, w którym jest tyle złości i urazy, będzie cię źle traktować, jeśli mu na to pozwolisz.

- Prawie dwadzieścia trzy lata żyłam z takim człowiekiem - wyznała Merrie. - On... - Przełknęła, objęła się ramionami. - Był brutalny, zwłaszcza po śmierci naszej mamy. Pragnął mieć synów, a miał nas, więc kazał nam za to płacić. Nie pozwalał nam na randki. Nie wolno nam było mieć przyjaciół. Żadna z nas nie posiada prawa jazdy. Nikt jeszcze mnie nie całował. To się chyba nazywa ograniczenie swobody? - spytała z pustym

śmiechem. – Jedyne ustępstwo z jego strony polegało na tym, że pozwalał nam chodzić do kościoła. Nie ma pani pojęcia, jaka ważna była dla nas wiara, kiedy dorastaliśmy. Tylko to trzymało nas przy życiu. – Dotknęła krzyżyka schowanego pod bluzą. – Mama dała mi ten krzyżyk. Nie zdejmę go.

Delsey uśmiechnęła się.

– To mi się podoba. Powiedz mu to.

– Proszę wybaczyć, ale nie mam manii samobójczej – zażartowała Merrie.

Gospodyni się zaśmiała, po czym stwierdziła ciepło:

– Jesteś silna, wiesz o tym.

Merrie spojrzała tęsknie na bułeczki, kielbaski i jajka.

– Chyba nie spóźnię się na lunch – powiedziała.

– On już sobie poszedł. Siadaj i jedz.

Usiadła więc przy stole, nerwowo zerkając na drzwi.

– Zostań tu. – Delsey podeszła do drzwi od frontu i wyrzła na zewnątrz. Ren jechał w dół wzgórza w stronę stajni dużym czerwonym SUV-em. Zaczął prószyć drobny śnieg.

Wróciła do kuchni.

– Pojechał do stajni. Potem pojedzie sprawdzić, jak się ma bydło. Śnieg zaczął padać.

– Naprawdę? – spytała podekscytowana Merrie.

– Najpierw zjedz – odparła rozbawiona gospoia. – Potem pójdziesz pobawić się na śniegu.

Merrie zawahała się, jej ręka z widelcem zawisała nad talerzem z jajkami.

– Dziękuję, Delsey.

– Nie ma za co. Naprawdę.

Z apetytem zjadła śniadanie, potem włożyła lekką kurtkę i botki. Żałowała, że nie spakowała płaszcza. Jesienią w Comanche Wells nigdy nie widywało się śniegu. Nawet zimą rzadko się tam pojawiał.

– Dziecko, musisz włożyć coś cieplejszego – zatroskała się Delsey na jej widok.

– Nic mi nie będzie. Zimno mi nie przeszkadza, jeśli jest śnieg. – Zaśmiała się. – Jak zmarznę, wrócę do domu.

– Dobrze, ale uważaj i nie chodź gdzie nie trzeba, okej?

- Obiecuję.

Najpierw Merrie obeszła dom, potem ruszyła ścieżką prowadzącą do dużych budynków gospodarczych i sąsiadujących z nimi zagród. Przed jednym z budynków były nawet ławeczki. Wewnątrz jakiś mężczyzna pracował z koniem, lekko zarzucał lasso na stające dęba zwierzę. Koń był wyjątkowej urody, czarny, o sierści błyszczącej jak jedwab. Przypomniał Merrie dom i rodzinną stajnię.

Kręciła się radośnie roześmiana jak dziecko, kiedy z góry spływały coraz większe białe płatki. Śnieg był niewiarygodnie piękny. Wstrzymała oddech, a potem wypuściła powietrze, patrząc na chmurkę zamarzającego oddechu, cieszyła się zimnem, białym krajobrazem i widniejącymi w dali wierzchołkami gór. Chciała to namalować. Kochała swój dom w Teksasie, ale ten widok był niesamowity. Zapisała go sobie w pamięci, by później przenieść na papier.

Ciekawa była Hurricane'a, nieszczęsnego maltretowanego konia. Potrafiła się wczuć w jego sytuację, ponieważ wiedziała, jak to jest. Miała głębokie blizny na plecach po ranach zadanych paskiem ojca, kiedy próbowała ochronić swoją biedną siostrę przed jeszcze gorszym biciem. Wtedy ojciec zwrócił swój gniew przeciw niej.

Zadrzała, przypominając sobie przerażenie, jakie przeżywały z Sari, kiedy ojciec zamierzał się na nie. Ze strachu przed aresztowaniem nie pozwolił nawet, żeby leczył je miejscowy lekarz. Rany zszywał im zatrudniony przez ojca konował bez licencji. Chirurgia plastyczna nie wchodziła w rachubę, musiały żyć z bliznami.

Oczywiście teraz mogły to zmienić, bo każda z sióstr Grayling była warta dwieście milionów dolarów. Tuż przed wyjazdem Sari na Bahamy, gdzie zamierzała leczyć złamane serce po odrzuceniu jej przez Paula, wybrały się na zakupy. Merrie kupiła dresy, piżamy i bardzo proste codzienne ubrania. Wciąż nie mogła się zmusić do modnych ciuchów, na przykład krótkich, odsłaniających brzuch topów czy spodni z obniżoną talią. Nie chciała wyglądać, jakby zależało jej na uwadze mężczyzn.

Porzuciła wspomnienia, gdy jej wzrok przyciągnął duży budynek z dwojgiem drzwi od frontu i sąsiadującą z nim zagrodą. Teren był ogrodzony, wewnątrz podzielony na osobne padoki, żeby każde zwierzę miało kawałek własnego pastwiska. Czyli budynek musiał być stajnią. Podeszła bliżej, mając nadzieję, że nie wpadnie na żadnego z ludzi Rena. Koniecznie musiała zobaczyć biednego, zmalretowanego konia, a wiedziała, że pracownicy rancza jej na to nie pozwolą. Była pewna, że Ren wydał im takie polecenie.

Czekała w cieniu, aż dwaj mężczyźni wyjdą na zewnątrz.

- Wypijemy kawę i wrócimy za pół godziny - powiedział jeden z nich. - Założę się, że klacz nie ożrebi się dziś wieczorem, ale musimy z nią zostać.

- Tylko nie zamarudźmy zbyt długo - powiedział drugi, wzdychając ciężko. - Ostatnio szef coś nie w humorze.

- Powinien wiedzieć, że ta kobieta to same kłopoty - drwiąco skwitował pierwszy. - Owinęła go sobie wokół palca, tak mu zaべtała w głowie, że aż jej kupił ten pierścionek.

- Lepiej nie wspominać przy nim o Bożym Narodzeniu - mruknął drugi. - W zeszłym roku w grudniu omal za to nie oberwałem.

- On nie wierzy w takie rzeczy. - Pierwszy mężczyzna westchnął. - Cóż, jego sprawa, ale ja bardzo lubię Boże Narodzenie i za miesiąc ubiorę drzewko. Może zamknąć oczy, jak będzie przejeżdżał obok mojej chałupy, bo cholerna choinka stanie przy oknie.

- No, no... Ryzykant z ciebie - roześmiał się drugi.

- No i w porządku. Płaci dobrze, ale mam dość obchodzenia się z nim jak z jajkiem. Charakter ma coraz gorszy, co nie?

- Ale pomyśl o wszystkich korzyściach. Nawet emeryturę dostaniesz. Naprawdę byś z tego zrezygnował tylko dlatego, że szef ostatnio coś za bardzo się wścieka? Przejdzie mu.

- Przez pół roku mu nie przeszło, tak?

- No to przeczekajmy kolejne pół roku, a teraz chodźmy wreszcie na tę kawę.

- Jutro przyjedzie weterynarz zbadać tę klacz. Może przywiezie strzelbę ze środkiem uspokajającym dla Hurricane'a. Cho-

lerna szkoda, że coś takiego się mu przydarzyło.

- Gorszy los spotkał tego gościa, który mu to zrobił. - Drugi mężczyzna aż się skrzywił. - Szef spuścił mu cholerny łomot. W życiu nie widziałem tylu siniaków, a to kawał chłopca. Potężniejszy nawet niż szef.

- Nie zapominaj, że szef to żołnierz wojsk lądowych. Teraz w rezerwie, ale wysłali go na zagraniczną misję. Był kapitanem jakiejś kompanii, nie wiem jakiej, ale znaleźli się w ogniu walki. Podobno po tym, co wtedy przeżył, bardzo się zmienił.

- Wiele przeszedł. Chyba ma prawo do złego humoru od czasu do czasu.

- Nie mam mu za złe, że dał popalić temu draniowi, który skatował Hurricane'a. Do diabła, miło było na to patrzeć. Ten gość nie miał nawet szansy zadać szefowi jednego ciosu.

- Szeryf od razu zauważył siniaki, ale z miejsca powiedział, że gościu był schlany i spadł ze schodów głową na dół.

Jego towarzysz wybuchnął śmiechem.

- Taa. Dobrze, że lubi szefa, co?

- Ano dobrze.

Szli dalej przed siebie. Merrie, która słuchała ich rozmowy, skrzywiła się. Więc Ren też swoje przeszedł. Ogarnęły ją smutek i współczucie. Co nie znaczy, że już się go mniej obawiała.

Otworzyła drzwi stajni i weszła do środka. Wewnątrz było zimno, ale przestronnie. Szła ostrożnie ceglana ścieżką. W stajni znajdowało się kilka koni, ale natychmiast odgadła, który z nich to Hurricane.

Był czarny jak węgiel i miał piękną, choć splątana grzywę. Na widok Merrie uniósł łeb i walnął kopytami w podłogę, a potem zarżał. Merrie dojrzała uzdę. Była o wiele za ciasna. Na skórze dostrzegła krew. Wzdrygnęła się. Po bokach, blisko ogona, były ślady po bacie... głębokie rany.

- Biedactwo - powiedziała łagodnie. - Och, moje ty biedactwo.

Koń nadstawił uszu.

Podeszła krok bliżej.

- Co on ci zrobił? - szepnęła, robiąc kolejny krok. - Pobity chłopczyk. Biedactwo.

Koń potrząsnął grzywą. Spojrzał na nią i przesunął się o krok.

Merrie dostrzegła końskie przysmaki w stojącym obok worku. Wzięła dwa z nich i jeden schowała do kieszeni. Drugi trzymała na wyprostowanej dłoni, by koń nie dziabnął jej palców, i powoli ruszyła w jego kierunku. Jeśli był aż tak niebezpieczny, jak mówią, nawet doświadczony kowboj miałby kłopot z nakarmieniem go czy napojeniem. W tylnej części boksu dostrzegła koryto. Zdawało się, że jest w nim woda, ale podajnik z paszą był pusty. Koń musiał być wygłodzony. Powoli, krok za krokiem, zbliżała się do jego boksu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Merrie była w szkole średniej, ojciec okrutnie wybatował konia czystej krwi. Poszła go zobaczyć, gdy ojciec wyjechał na wycieczkę do Europy z matką Timmy'ego Leedsa. Trener przemawiał do skatowanego zwierzęcia łagodnym tonem, ale koń nie pozwolił mu się zbliżyć. Merrie podeszła do niego, choć cały był rozedrgany i stawał dęba, i koń nie tylko nie zrobił jej krzywdy, ale stał się znacznie spokojniejszy i zaczął słuchać jej poleceń. Trener patrzył na nią z podziwem i po tym zdarzeniu Merrie została opiekunką tego konia.

Przynajmniej tak długo, jak długo ojca nie było w pobliżu. Ojciec zabił jej ukochanego psa, więc mógł tak samo postąpić z koniem, który stał się jej bliski. Sari i Merrie nigdy nie rozumiały, dlaczego ojciec tak strasznie ich nienawidził. Mogły tylko spekulować. Być może znęcał się nad córkami zamiast nad ich matką, która zmarła i całkowicie pominęła go w testamencie, przez co nie otrzymał choćby części jej rodzinnego majątku.

- Jadłeś coś, kochanie? - szeptem spytała Hurricane'a, zbliżając do niego rękę. - Jesteś głodny? Biedactwo, moje biedactwo.

Walach zbliżył się do ogrodzenia i znów potrząsnął grzywą.

Merrie zrobiła kolejny krok w jego stronę i lekko dmuchnęła mu w nozdrza. Wiedziała, że trener tak postępował z końmi w jej rodzinnym domu. Dziewczynkom, kiedy dorastały, nie wolno było zbliżać się do koni czystej krwi arabskiej należących do ich ojca, inaczej z pewnością nauczyłyby się o tych zwierzętach dużo więcej. Ranny koń był jedynym arabem należącym do ojca, do którego miała dostęp. Choć w stajni były też wierzchowce, na których dziewczynkom pozwalano jeździć, i tak bardzo uważały, by nie poświęcać im zbyt wiele uwagi, kiedy ojciec był w pobliżu.

- Nie zrobię ci krzywdy - szepnęła, maksymalnie skupiając się na zadaniu. - Wiem, co czujesz. A ty wiesz, że ja wiem,

prawda, kochanie?

Koń podszedł bliżej, patrząc na Merrie, która trzymała przysmak w wyciągniętej ręce.

- Nie jesteś głodny? - spytała łagodnie.

Potrząsnął grzywą, a potem nagle pochylił głowę, ale nie po to, by zaatakować Merrie, tylko wziął przysmak z jej dłoni, zjadł go łapczywie... i wyczekująco spojrział na karmicielkę.

- Okej, jeszcze jeden. - Wyjęła z kieszeni drugi przysmak i podała go zwierzęciu na wyprostowanej dłoni.

Koń ponownie pochylił głowę i delikatnie wziął przysmak wargami. Zjadł go równie łapczywie jak pierwszy.

- Grzeczny chłopiec - powiedziała cicho i wyciągnęła rękę.

Koń zawahał się tylko na krótką chwilę, po czym zbliżył się jeszcze bardziej i pochylił głowę ku jej głowie. Objęła go za szyję i przytuliła policzek do jego szyi.

- Och, moje kochane biedactwo - szeptała łamiącym się głosem. - Biedny konik.

Poruszył głową, ocierając się o nią, co wyglądało niemal jak pieszczota. Merrie nawet nie zauważyła, że dwaj kowboje już wrócili i stali z tyłu stajni, gapiąc się na nią z otwartymi ustami. Hurricane przytulał swój łeb do jej głowy. Patrzyli jak urzeczeni.

Merrie dotknęła uzdy. W pierwszej chwili Hurricane drgnął nerwowo, zaraz jednak znieruchomiał. Sięgnęła wyżej, rozpięła uzdę i bardzo ostrożnie zdjęła ją z głowy konia. Skrzywiła się na widok otartej do krwi skóry.

- Grzeczny chłopiec - wyszeptała, odkładając na bok uzdę. Potem uniosła rękę i delikatnie pogłaskała zwierzę. - Słodki, dobry chłopiec. - Westchnęła cicho i oparła czoło o czoło Hurricane'a.

Po chwili koń uniósł łeb, spojrział na nią i zarżał.

- Potrzebujesz lekarstwa na te rany, prawda? - powiedziała łagodnie.

- A pani potrzebuje psychiatry - odezwał się chłodno Ren Colter zza jej pleców. - Kazałem pani trzymać się z daleka od tego konia.

Hurricane podskoczył i odsunął się w głąb boksu. Potrząsnął

grzywą i parsknął.

Merrie odwróciła się, trzymając w ręce uzdę. Podeszła do Rena i podała mu ją.

Spojrzał na uzdę, potem zaskoczony, wręcz zszokowany, przeniósł wzrok na Merrie.

- Jak pani to zdjęła?

- Pozwolił mi - odparła po prostu. - Ma pan lekarstwo na te rany? Jeśli tak, to zaraz je posmaruję.

- Zabije panią, jak wejdzie pani do jego boksu - warknął Ren.
- Zranił już dwóch kowbojów.

- Mnie nic nie robi - odparła spokojnie.

Ren zaczął coś mówić, ale potem spojrzał na konia. Hurricane nie tupał i nie biegł do wyjścia, jak zwykł zachowywać się do tej pory. Stał tylko i na nich patrzył.

- Jest pani pewna? - spytał Ren, zniżając głos.

Spojrzała na niego smutnymi jasnoniebieskimi oczami.

- Tak, jestem - odparła. - Oczywiście jeśli się mylę i Hurricane mnie zabije, to będzie mógł pan stanąć nad moim grobem i wygłosić poświęcone mej żalosnej pamięci epitafium: „A nie mówiłem!”.

Ironia zawarta w jej słowach wyraźnie rozdrażniła Rena.

- Wydaje się pani, że wie, co czuje koń? - spytał z sarkazmem.

Merrie lekko zadrzała, choć w stajni nie było zbyt zimno. Nie chciała poruszać żadnych osobistych tematów z tym oschłym, surowym człowiekiem, dlatego tylko spytała:

- Nie zaatakował mnie, prawda?

Ren zawahał się na moment, po czym odwrócił się do dwóch kowbojów, którzy przyglądali się, jak Merrie w magiczny sposób poradziła sobie z niebezpiecznym zwierzęciem.

- Mamy jeszcze tę maść, którą zostawił weterynarz?

- No, mamy - wyjąkał jeden z mężczyzn, poszedł po maść, a potem podał ją Merrie. - Proszę - powiedział, zdejmując kapelusz. - Jak żyję, czegoś takiego nie widziałem. Ma pani dobrą rękę do zwierząt.

- Dziękuję - odpowiedziała skrepowana, ale okrasiała to uśmiechem.

Ren zmrużył ciemne oczy, po czym tonem sierżanta wydającego rozkaz stwierdził:

- Gdy tylko zrobi jakiś dziwny ruch, ma pani natychmiast stamtąd wyjść.

- Oczywiście. Ale on mnie nie skrzywdzi.

Mężczyźni odsunęli się, żeby koń ich nie widział. Ren był wyraźnie zdenerwowany. Nie chciał, żeby dziewczyna brata straciła życie na jego ranczu. Ale ona naprawdę miała dobry kontakt z tym koniem! Wprost niesamowite.

Otworzyła boks i weszła do środka, posuwając się pewnym krokiem bez cienia strachu.

- Grzeczny chłopiec - szepnęła i znów dmuchnęła mu w nozdrza. - Pozwolisz sobie pomóc? Nie zrobię ci krzywdy. Obiecuję.

Koń poruszył się niespokojnie, ale nie zrobił nic, co zapowiadałoby atak, kiedy Merrie uniosła ręce i bardzo delikatnie posmarowała maścią ranę na jego łbie. Następnie zajęła się poranionymi bokami, krzywiąc się na widok ran. Również i je posmarowała maścią, ale wiedziała, że wymagają szycia. Nic dziwnego, że koń wciąż atakował każdego mężczyznę, który próbował się do niego zbliżyć. Bał się ich, ponieważ to mężczyzna wyrządził mu krzywdę, a w kobiecie nie widział wroga.

Skończyła swoją pracę, pogłaskała konia po grzywie i przytuliła policzek do jego szyi.

- Dzielny, grzeczny chłopiec - szepnęła. - Jesteś wspaniałym koniem, Hurricane.

Koń potarł łbem o jej głowę. Raz jeszcze go poklepała, po czym wyszła z boksu i zamknęła bramkę. Uśmiechnęła się do konia i pożegnała się z nim, a następnie ruszyła w kierunku mężczyzn, którzy stali na końcu stajni.

- Myślę, że rany na bokach wymagają szycia - oznajmiła. - Ale on boi się mężczyzn. To tamten drań go skrzywdził, a nie kobieta. - Podniosła wzrok na Rena. - Jest w okolicy kobieta weterynarz, która mogłaby do niego przyjechać?

Ren wzdrygnął się. Merrie miała rację. Koń nienawidził mężczyzn.

- Zdaje się, że jest taka w Powell. Mogę kogoś po nią wysłać, żeby ją tu przywiózł.

- Hurricane chyba pozwoli, by założyła mu szwy.
- A wejdzie tam pani i zaczaruje go, żeby pozwolił jej wejść do boksu? - spytał z sarkazmem.

Merrie wzięła głęboki oddech i odwróciła się. Nie miała ochoty odpowiadać.

Odprowadzał ją wzrokiem z mieszanymi uczuciami. Nie znosił kobiet. Ale ta... ta była inna. Mimo wszystko nie dopuści jej na tyle blisko, żeby mogła go skrzywdzić, nawet jeśli ten dziki rymak jej na to pozwolił... i nic złego mu się nie stało, tylko wręcz przeciwnie.

- Nie powinien pan być dla niej taki... nieprzyjazny, panie Ren - odezwał się cicho starszy z dwóch kowbojów. - Coś mi się zdaje, że w domu też nie miała łatwo.

Ren zmierzył go wrogim spojrzeniem, on zaś uchylił kapelusza i szybkim krokiem wyszedł ze stajni.

Merrie wróciła do swojego pokoju. Nie zamierzała płakać. Nie ma mowy! Złemu człowiekowi z Wyomingu nie uda się wyprowadzić jej z równowagi.

Wyjęła szkicownik i ołówki i zaczęła szkicować portret Hurricane'a. Był pięknym koniem, czarnym jak noc i miękkim jak jedwab. Czowała z nim wyjątkową więź, gdyż był do niej podobny. On też tak wiele przeżył.

Rysunek zabrał jej sporo czasu. Później delikatnie pokolorowała ołówkowy szkic pastelami. Kiedy uznała, że jest gotowy, uśmiechnęła się i schowała go do teczki razem z pozostałymi rysunkami. Portret był naprawdę udany. Postanowiła, że narysuje też portret Rena. Najpierw jednak musi zdecydować, czy wyposaży swojego modela w same rogi, czy też do rogów doda rozwidlony na końcu ogon.

Kiedy zeszła na dół, okazało się, że znów spóźniła się na kolację. Tym razem Ren też tam był i nie pozwolił Delsey postawić na stole niczego dla Merrie.

- Zna pani zasady - rzucił szorstko. - Jak pani nie przychodzi w porę, nie dostaje pani nic do jedzenia.

Nie chciała mu wyjawiać, że rysowała jego konia i zapomniała

o bożym świecie. Nie chciała kłótni. Miała za sobą tak wiele lat wypełnionych złymi emocjami. Łatwiej było po prostu pogodzić się z sytuacją.

- Dobrze - odparła łagodnym głosem.

Ren obrzucił ją nieprzyjaznym spojrzeniem. Była piękna, a to go złościło. Jak i to, że się poddała. Chciał konfliktu, a nie miał szansy go zacząć.

Odsunął się od stołu i zdjął pas. To był nowy pas i zapiął go zbyt ciasno. Złożył go na pół i trzepnął nim.

Merrie głośno wciągnęła powietrze i wybiegła do kuchni. Drżąc na całym ciele, schowała się za Delsey.

- Co do diabła? - zawołał Ren.

Wszedł do kuchni, wciąż trzymając pas, a Merrie krzyknęła.

- Niech pan to odłoży! - nakazała Delsey, po czym objęła szlochającą Merrie i przytuliła mocno, kołyszając w ramionach.

Ren ponieważśdzie zdał sobie sprawę, że to jego pas tak ją przestraszył. Marszcząc czoło, zaniósł go do pokoju i rzucił na krzesło. Potem wrócił do kuchni.

- Ona myślała, że chce pan ją uderzyć - oznajmiła Delsey.

Merrie stała wstrząsana płaczem. Ta scena przywołała przeżające wspomnienie ojca i jego gwałtownego, nieznającego żadnych hamulców charakteru. Od niego wiele razy dostała baty, bił bez opamiętania.

- Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety - powiedział Ren najłagodniejszym tonem, jaki dotąd u niego słyszała. - Nawet kiedy byłem do tego prowokowany. Nigdy nie podniosłbym na panią ręki. Nigdy.

Merrie przygryzła dolną wargę. Nie była w stanie na niego spojrzeć.

- O...kej - wyjąkała.

Sprawiał wrażenie rozdartego. Jej reakcja na pas była niepokojąca. Ktoś używał wobec niej podobnego narzędzia przemocy. Zaczynał wreszcie rozumieć, czemu maltretowany koń potraktował ją po przyjacielsku. Ona też została skrzywdzona.

- Podaj pani coś do jedzenia - zwrócił się w końcu do Delsey.

- Co tam zechce.

- Tak, panie Ren. - Delsey uśmiechnęła się do niego.

Merrie się nie odezwała. Nadal się trzęsła.

Ren zostawił je i udał się do swojego gabinetu. Minęły lata, odkąd wypił choć jedną szklaneczkę szkockiej, którą trzymał w szafce. Teraz nalał sobie niewielką ilość i wychylił duszkiem. Zachowanie Merrie wciąż mocno go dręczyło. Choć niechętnie godził się z jej obecnością w swoim domu, nie chciał widzieć w jej oczach takiego strachu, takiego przerażenia. Jeszcze mniej mu się podobało, że to on doprowadził ją do takiego stanu.

- On by cię nigdy nie uderzył - zapewniła ją Delsey, kładąc na stole chleb, szynkę i majonez. - Zrobię ci kanapkę, dobrze? Od razu poczujesz się lepiej.

- Mój ojciec... w taki sam sposób strzepywał pas, kiedy zamierzał go użyć... na nas. - Drżąc, odetchnęła głęboko. - Już nie żyje, a my z siostrą powinniśmy czuć smutek, ale czujemy tylko ulgę. Jakby ktoś wypuścił nas z więzienia. - Spojrzała na Delsey. - Nawet musiałyśmy nosić tylko te ubrania, które dla nas wybrał. Nie pozwalał nam umawiać się na randki, nie wolno nam było z nikim się przyjaźnić ani odwiedzać nikogo w domu... - Spuściła wzrok. - Był takim paranoikiem, że kazał nas śledzić, gdziekolwiek wychodziłyśmy.

- Biedne dziecko. - Gosposia pogłaskała ją po głowie. - Tu jesteś bezpieczna. Pan Ren ryczy jak lew, ale za nic nie zrobiłby ci krzywdy.

- Okej... - Przełknęła nerwowo.

- A teraz siadaj. Napijesz się mleka?

- Tak, chętnie, proszę.

Delsey zrobiła jej kanapkę i nalała szklankę mleka, a potem, kiedy Merrie zabrała się do jedzenia, zajęła się zmywaniem naczyń po kolacji.

- Dziękuję - powiedziała Merrie, kiedy skończyła jeść, i zaniósła talerz do zlewu.

- Nie przejmuj się. - Delsey ją uściskała. - Wszystko się ułoży, nawet jeśli myślisz inaczej.

- Postaram się. - Też ją uściskała i dodała z uśmiechem: - Dziękuję.

- Nie ma za co. Połóż się, zaśnij. Jutro poczujesz się lepiej.
- Dobrej nocy.
- Nawzajem, kochanie.

A jednak to nie była dobra noc. W środku nocy obudził ją jej własny krzyk. Śniło jej się, że ojciec stoi nad nią z pasem. Pas był cały zakrwawiony. Ojciec wrzeszczał, zadając jej razy, z całej siły uderzał ją w plecy.

- Obudź się, do diabła!

Silne ręce chwyciły ją za ramiona. Poczowała oddech pachnący whisky. Ale te ręce nie robiły jej nic złego. Były ciepłe, a ich dotykanie na jej nagiej skórze było przyjemne. Merrie podniosła powieki.

Na jej łóżku siedział Ren we flanelowych spodniach od pizamy. Jego szeroką klatkę piersiową pokrywał zarost. Merrie pomyślała, że chciałyby go takiego utrwalić na płótnie. Nie widziała dotąd mężczyzny o tak fascynującej urodzie. Nie odważyła się jednak niczego po sobie pokazać.

- Przepraszam - szepnęła, zerkając na niego. - Miałam koszmarne sen.

Pogłaskał jej ramiona dużymi silnymi dłońmi.

- Co się pani śniło?

- Coś z przeszłości - odparła wymijająco. - Dawnej przeszłości - skłamała.

Ren wziął głęboki oddech, po czym spytał:

- Chodziło o pas, tak?

Zawahała się, ale w końcu przytaknęła skinieniem głowy, a nawet wyznała:

- Nie mogę znieść tego dźwięku. Tata zawsze... - Urwała gwałtownie.

- Ojciec bił panią pasem? - Gdy przytaknęła ruchem głowy, mówił dalej: - Mój robił ze mną to samo, jak byłem dzieckiem. Na nogach z tyłu miałem ślady po uderzeniach. Byłem lekko-myślnym łobuzem, stale pakowałem się w coś, w co nie powinienem się pakować, a wtedy ojciec wpadał w złość.

Nie chciała mówić mu prawdy o bliznach na swoich plecach. Nie chciała też, by je zobaczył. Zawsze nosiła koszule nocne

z niewielkim wycięciem pod szyją, żeby niczego przypadkiem nie pokazać.

Ren dotknął jej policzka i odsunął zmierzwione platynowe kosmyki, które wymsknęły się z warkocza.

- Nie rozplata pani włosów na noc? - spytał z zaciekawionym.

Dotyk jego dłoni wywołał w niej dziwne emocje. Czuła wewnętrzne wibracje, zdawało jej się, że drży na całym ciele, choć Ren musnął tylko jej policzek. A jednak serce Merrie niepokojąco przyspieszyło.

- Nie. Muszę je splatać do spania, bo inaczej włosy spadają mi na twarz. Powinnam je skrócić, ale od dziecka noszę długie włosy.

- Ścięcie tak pięknych włosów byłaby zbrodnią - rzekł cicho.

Podniosła wzrok, spojrzała mu w oczy... i patrzyła jak zahipnotyzowana. On też nie uciekł wzrokiem, za to oddychał jakby szybciej. Znów musnął palcami jej policzek, po czym przesunął je na zmysłowe wargi w kształcie łuku. I tam je pozostawił, pieszcząc je, aż Merrie miała wrażenie, że się rozplywa. Chciała się do niego przytulić, pragnęła, by wziął ją w ramiona. Chciała, by jego wargi przywarły do jej warg, żeby przekonać się, jak smakuje jego pocałunek. Była spragniona i wygłodniała czegoś, czego jeszcze nie знаła...

Nagle, choć z trudem mogła w to uwierzyć, Ren zaczął pochylać głowę. Znów przypłynął do niej pachnący whisky oddech. Nabrała powietrza, patrząc na jego zmysłowe wargi i zastanawiając się, co poczuje, kiedy łączywie zmiażdżą jej usta pocałunkiem.

Ren przesunął rękę na jej kark i zaczął ją przyciągać, choć bardzo delikatnie. Mimowolnie rozchyliła wargi, czując pulsowanie w całym ciele, a jego wargi były coraz bliżej, bliżej, bliżej...

- Co się stało? - nagle rozległo się od drzwi.

To była Delsey.

Ren odsunął się od Merrie, mierzając ją wzrokiem, jakby był zły, potem poderwał się na nogi.

- Miała koszmarne sen - odparł i odwrócił się zadowolony, że ma na sobie luźne spodnie od piżamy. - Nic jej nie będzie. Wra-

cam do łóżka.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała gosposia ubrana w bawełnianą koszulę nocną i długi bawełniany szlafrok. Wyglądała jak anioł.

- Dobrze... teraz już dobrze - odparła Merrie bez tchu. - Miałam koszmarne sen. Tak mi przykro, że wszystkich obudziłam.

- Ja nie spałam. Oglądałam film na iPadzie.

- Potrafi pani obsługiwać iPada? - spytała podekscytowana Merrie.

Ren zostawił je pogrążone w rozmowie i ruszył do swojej sypialni. Cofnął się jeszcze i zatrzasnął drzwi pokoju Merrie. Ta kobieta to prawdziwa czarownica. Ledwie dotknął jej warg, a cały się trząsnął. Nie da się po raz drugi zwabić w tę słodką pułapkę. Jeśli panna Grayling szuka bogatego męża, może poślubić Randalla. W końcu to jego dziewczyna, prawda?

Zgasił światło i położył się do łóżka. Wciąż był zaskoczony własną bezbronnością.

Merrie celowo zeszła na dół później, żeby nie siedzieć z Renem przy śniadaniu. Tak, to tchórzostwo, ale obawiała się, że będzie wściekły i wyładuje się na niej. W nocy o mały włos jej nie pocałował. Z pewnością był na siebie zły, że poddał się chwili słabości, a jeśli tylko Merrie da mu po temu okazję, zwróci tę złość przeciwko niej.

Zajrzała do kuchni i nie widząc Rena, odetchnęła z ulgą.

Delsey sprzątała po śniadaniu, a na widok Merrie skrzywiła się.

- Wiem, znów się spóźniłam - sumitowała się Merrie. - Ale to nie problem, i tak niewiele jadam. - Dotarło do niej, że gosposia wygląda na przestraszona, więc uściskała ją. - Dziękuję, że mnie pani uratowała tej nocy. Mam nadzieję, że z mojego powodu nie miała pani kłopotów z szefem.

- Nic wielkiego, kochanie. Jestem tu od czasu, kiedy on był w college'u, i jak myślę, przywykł do mnie. - Odsunęła się z westchnieniem. - Dziś rano wyglądał, jakby chciał zrównać z ziemią pole kwitnącej bawełny, taki był rozdrażniony.

Merrie zaśmiała się cicho, po czym spytała:

- Pochodzi pani z Południa?

- Urodziłam się w Eufauli w Alabamie, a jak dorosłam, poślubiłam kowboja, który przyjechał do miasta ze swoim szefem kupać bydło. Poznałam go w barze i trzy dni później wyjechałam z nim do Wyomingu. Byliśmy małżeństwem przez dwadzieścia pięć lat, zanim zmarł na atak serca. Po jego śmierci zostałam tu i pracowałam dla ojca pana Rena.

- Tak mi przykro.

- Było, minęło - skwitowała sentencjonalnie. - Choć wciąż mi go brak. Żałuję, że nie mogliśmy mieć dzieci, ale widać nie było nam to pisane.

- Ja chciałabym mieć dzieci - powiedziała Merrie. - Za to nie jestem pewna, czy chcę wyjść za mąż. Moja biedna mama - wyznała ze smutkiem - pewnie nie przeżyła choćby jednego szczęśliwego dnia z moim ojcem. Żyła dla Sari i dla mnie. Do czasu...

- Zamilkła jak spłoszony ptak, po czym spytała: - Sprowadzili tę weterynarz z Powell?

- Tak, już tu jest. Pan Ren właśnie poszedł do stajni.

- Mówił, że mnie wezwą, żebym użyła swoich czarów, bo inaczej Hurricane nie wpuści pani weterynarz do boksu.

- On mówi dużo rzeczy, choć naprawdę tak nie myśli - wyjaśniła Delsey. - Miał ciężkie życie, ot co. Ojciec prawie nie zwracał na niego uwagi, potem matka rozwiodła się, żeby wyjechać z ojcem pana Randalla. Zmusiła Rena, żeby z nią pojechał, choć nie miał na to ochoty. Może nie kochał ojca, ale kochał to ranczo.

- Ile miał wtedy lat? - spytała Merrie.

- Dziesięć. Ojciec pana Rena po wyjeździe żony wpadł w szal. Upił się i przez całe lata nie trzeźwiał. Kiedy pan Ren dostał dyplom i wrócił do domu, ranczo znajdowało się na skraju upadku. Postawił ojca na nogi, zreorganizował ranczo i zaczął wprowadzać różne ulepszenia. Wziął kredyt, żeby poprawić stan pastwisk i ogrodzenia, kupić byki rozplodowe, unowocześnić sprzęt, wyremontować stajnie i stodołę. - Zaśmiała się, kończąc układać naczynia. - Był jak wulkan energii. Po dwóch latach harówy ranczo wyszło z kłopotów. Po piętnastu latach ma tu prawdziwe imperium. Jego ojciec żył wystarczająco długo, żeby zo-

baczyć prosperujące ranczo i dostrzec wspaniałe perspektywy rozwoju, ale zbyt krótko, żeby się tym nacieszyć.

- To smutne.

- Tak. Matka pana Rena chciała przyjechać na pogrzeb, ale nie pozwolił jej nawet zbliżyć się do rancza.

Merrie wstrzymała oddech.

- Czemu? - spytała wreszcie.

- Mieli różne takie sprawy... Pan Ren usłyszał przypadkiem, jak matka powiedziała coś, co bardzo go zabolowało. Wspominałam ci o tym. Wtedy po prostu opuścił ją bez pożegnania. Auto-stopem wrócił do ojca, zamieszkał tu i zaczął pracować. - Zadużała się na moment. - Taki już jest. Nie mówi, co zamierza zrobić, po prostu to robi.

- Wciąż budzi we mnie strach - przyznała Merrie.

- Wielu ludzi budzi w nas strach, dopóki ich bliżej nie poznamy - skwitowała gosposia. - To nie jest gwałtowny człowiek...

- Mówiłem ci, żebyś mu najpierw zawiązała tę cholerną linę! - wrzasnął Ren za oknem. - Zobacz, co zrobiłeś, durniu jeden! Powiniennem skopać ci dupsko, Grandy!

Merrie wstrzymała oddech, kiedy Ren wpadł jak burza tylnymi drzwiami, częściowo ciągnąc, a częściowo niosąc mężczyznę, który miał jedną rękę zalaną krwią.

- O Boże - jęknęła Delsey. - Grandy, co się, na Boga, stało?

- Umyj go, dobrze, Delsey? - poprosił Ren, sadzając Grandy'ego na krześle. - Pewnie trzeba go zszyć. Sprowadzę Tubbsa, żeby go zawiózł do lekarza. - Zerknął zimno na Merrie. - Jeśli chce pani zemdleć, niech pani nie robi tego tutaj. Mam dość kłopotów.

- Jak to się stało? - spytała Delsey, podczas gdy Merrie tylko stała, patrząc na krwawiącego kowboja.

- Próbował przywiązać konia, ale koń stanął dęba, a potem kopytami rzucił go na blachę, stąd ta rana.

- To był Hurricane? - spytała z troską Merrie.

- Tak, to był Hurricane - ze złością odparł Ren.

Merrie podeszła do niego ze słowami:

- Mogłabym jakoś pomóc?

Zawahał się. Nie chciał, żeby zbliżała się do Hurricane'a. Był

na nią wściekły, że minionej nocy uległ chwili słabości. Nie chciał jej widzieć obok siebie. Była dziewczyną Randalla.

- Niech pan pozwoli jej spróbować, zanim ktoś kolejny zacznie krwawić - wtrąciła się Delsey.

- Do diabła! - Naciągnął kapelusz na oczy. - W porządku. Idziemy.

Delsey szybko obmyła głęboką ranę na rękę Grandy'ego, po czym dodała:

- Chyba ma przeciętą żyłę.

- Tubbs już idzie, obwiąż go ręcznikiem - polecił.

- Przepraszam, szefie - niepewnie powiedział Grandy.

Ren tylko na niego spojrzał, po czym otworzył drzwi, puścił Merrie pierwszą i wyszedł za nią.

Merrie po drodze wzięła lekką kurtkę, bo innej nie miała. Na dworze panowało lodowate zimno, białe płatki siadały jej na twarzy. Na ziemi od poprzedniego dnia leżała cienka warstwa śniegu. Merrie nie miała czasu, żeby się nim nacieszyć. Uniosła twarz, zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

Ren zerknął na nią i poczuł obcą jego chłodnemu sercu czułość. Ta dziewczyna jest jak dziecko, pomyślał, cieszy się najprostszymi rzeczami.

- Ma pani za cienką kurtkę jak na jesień w Wyomingu - oznajmił sucho, starając się zdusić uczucia, które ta kobieta w nim obudziła.

- W południowym Teksasie temperatura rzadko spada poniżej zera - odparła, niemal biegnąc, żeby dotrzymać mu kroku. - To moja najcieplejsza kurtka.

- Niech Delsey zawiezie panią do miasta i kupcie coś cieplejszego. Mam rachunek w Jolpe's. To sieć handlowa. - Nie dodał, że Jolpe's adresował swoją ofertę do gwiazd filmowych, które przyjeżdżały do Jackson Hole, i w ogóle do majątnych ludzi.

- Dobrze, dziękuję. - Zamierzała wydać własne pieniądze, ale on nie musiał o tym wiedzieć.

- Randall sam by tam panią zawiózł, gdyby tu był - dodał z rozmysłem. Musiał sobie przypominać, że to dziewczyna przyrodniego brata.

- Oczywiście, że tak.

Weszli do stajni i ceglana alejką kierowali się do boksu Hurricane'a, gdzie zobaczyli niebieskooką blondynkę w średnim wieku. Było oczywiste, że to pani weterynarz z Powell. Na ich widok powiedziała:

- Nie potrafię się posługiwać tą bronią ze środkiem uspokajającym. Powinnam poprosić Kellsa z Game and Fish, żeby lepiej mnie podszkolił.

W tym czasie Merrie podeszła do bramki boksu i wyciągnęła rękę. Trzymała w niej dwa smakołyki, które wyjęła ze stojącego w pobliżu worka.

Rozprostowała palce, na dłoni miała przysmak. Podsunęła go zdenerwowanemu koniowi.

- Cześć, kochanie, pamiętasz mnie? - odezwała się łagodnie.

Najwyraźniej pamiętał, gdyż podszedł do bramki i potrząsnął grzywą, cicho rżąc.

- Grzeczny chłopiec - dodała czule, patrząc, jak delikatnie bierze przysmak. Pogłaskała go po łbie i między oczami. - Słodki chłopiec.

Pani weterynarz, która wpatrywała się w nią jak urzeczona, powiedziała:

- Właśnie kopnął jednego z kowbojów na tę stertę blach. - Wskazała metalowe odpady, które pozostały po jakichś naprawach.

- Tak, ona radzi sobie z końmi - oschle stwierdził Ren. - Może pani odwrócić jego uwagę, żeby doktor Branch weszła do boksu?

- Oczywiście. - Pogłaskała konia po uszach, żeby się uspokoił.

Doktor Branch wykorzystała ten moment, by dostać się do środka i przyjrzeć się ranom Hurricane'a.

- Mogę go znieczulić miejscowo - oznajmiła. - Jeśli pani jakoś odwróci jego uwagę.

- Poradzę sobie - zapewniła ją Merrie.

Zaczęła głaskać konia po pysku i uszach, nie przestając do niego mówić. Kiedy poczuł ukłucie igły, próbował się szarpnąć, wtedy Merrie przyciągnęła jego łeb i przytuliła czoło do jego czoła, nadal do niego mówiąc. Hurricane znieruchomiał. Lekarzka zaczęła zakładać szwy, pracowała sprawnie i szybko.

Potem wyszła z boksu z głębokim westchnieniem.

- Ma pani doskonale podejście do pacjenta, panno...?

- Grayling - przedstawiła się Merrie. - Na imię mi Meredith, ale wszyscy nazywają mnie Merrie - dorzuciła z uśmiechem.

- W takim razie dziękuję za pomoc, Merrie.

- Nie ma za co. Kocham konie.

- A ten niezaprzeczalnie panią lubi. - Doktor Branch przerwała na moment, po czym dodała z uśmiechem: - Okazało się, że nie umiem posłużyć się tą bronią. A byłam pewna, że to takie proste.

- Czy Hurricane poczuje się lepiej? - spytała szczerze zatroskana Merrie.

- Podałam mu antybiotyk i wszystko powinno zmierzać do szczęśliwego zakończenia. - Spojrzała na Rena. - Oczywiście jeśli przy ranach pojawi się infekcja, od razu proszę mnie wezwać. Na pewno wie pan, jak wyglądają zainfekowane miejsca.

- Nawet zbyt dobrze. Dziękuję, że pani przyjechała, pani doktor.

- Zawsze jestem do usług. - Podniosła z ziemi torbę, uśmiechnęła się do Merrie i ruszyła w stronę wyjścia.

- Myślałem, że trzeba go będzie uspić - zauważył Ren.

- To nie jest zły koń. On tylko spotkał złego człowieka - odparła Merrie, wciąż gładząc Hurricane'a po czole. - Jest taki piękny. Narysowałam jego portret - przyznała nieśmiało.

- Naprawdę? - spytał Ren bez zainteresowania. - Teraz się uspokoi. Idę do roboty.

- Mam sobie pójść, zostawić go? - spytała Merrie, unosząc brwi.

- Na razie tak.

Westchnęła, potarła policzek o koński łeb. Kiedy znalazła się w połowie stajni, Hurricane zarżał. Odwróciła się z uśmiechem.

- Wrócę do ciebie.

Potrząsnął łbem.

- Proszę tylko nie mówić, że potrafi pani również rozmawiać z końmi. - Ren prychnął.

- Hm, tego nie wiem. Ojciec nie dopuszczał nas blisko stajni, kiedy był w domu.

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

- Jakie konie trzymał?

Wspaniałe rumaki czystej krwi. Ale tego nie zamierzała mu zdradzić. Woląca pozostać szarą myszką Merrie.

- Konie odmiany quarter horse - skłamała. - Sprzedawał je na całym świecie.

- Ale nie pozwalał pani na nich jeździć?

- Nie ufał nam na tyle, by mnie i siostrze na to pozwolić.

- Czemu?

Skrzywiła się.

- Bał się, że możemy im zrobić krzywdę. Tak myślę. Trzymał parę wierzchowców dla gości i na nich mogłyśmy jeździć. Były stare i cierpiały na łękowatość, ale przynajmniej nauczyłyśmy się trzymać w siodle.

Ren uniósł brwi. Istnieje ogromna różnica między jazdą na koniu odmiany quarter horse a koniu z łękowatością. Zastanawiał się, czy Merrie nie zmyśla. Może tak naprawdę jej ojciec miał jednego czy dwa konie, to wszystko. Sądząc po jej ubraniach, ani ona, ani jej rodzina nie byli zbyt zamożni. Wyglądało na to, że jej garderoba składa się z szarych dresowych spodni i szarych bluz, a większość z nich zdobiły napisy czy logo.

Przynajmniej buty miała porządne, nawet jeśli nie były to buty markowej firmy, myślał dalej, spuszczać wzrok na jej drobne stopy. Za to widać, że buty były wygodne i odporne na przeciwności losu, i że wiele już zniosły. Przypominały jego buty, choć z pewnością nie miały tak częstego kontaktu z wodą i substancjami o niekoniecznie przyjemnych zapachach.

- Doktor Branch wydaje się sympatyczna - zauważyła Merrie.

- Tak, to miła i bystra kobieta. Jej mąż też jest weterynarzem. Specjalizują się w leczeniu dużych zwierząt.

- Domyślam się, że w tej okolicy to konieczność. - Spojrzała na ciągnące się w dal pastwiska i ostre poszarpane białe szczyty w oddali. - Czy to Góry Skaliste?

- Tak, a konkretnie pasmo Teton. Jesteśmy bliżej Jackson Hole niż Yellowstone.

- Niewiele wiem o tych terenach. Dotąd nie wyjeżdżałam z południowego Teksasu.

- Nigdy? - Ren ściągnął brwi.

- Tata nie chciał nas tracić z oczu - powiedziała po prostu.

Ten cały „tata” pewnie był paranoidalnym schizofrenikiem, pomyślał Ren, ale zatrzymał to dla siebie.

Weszli do kuchni i zobaczyli, że Delsey zdołała zahamować krwawienie z ręki Grandy’ego, obwiązując ją dużą płócienną ścierką, pod którą widać było bandaże. Obok Grandy’ego stał wysoki przystojny kowboj o czarnych włosach. Gdy ujrzał Merrie, jego niebieskie oczy rozbłysły.

- Oto i ona. Czarownica - rzucił półżartem.

- Słucham? - zdumiała się Merrie.

- Twoja sława cię wyprzedziła, moja pani. - Kowboj skłonił się nisko. - Spodziewałem się, że chór cherubinów będzie śpiewał psalmy na twoją chwałę.

Merrie dotknęła czoła i mruknęła:

- Chyba nie mam gorączki - mruknęła.

- Merrie, nie przejmuj się! On już tak ma, ale co się dziwić, skoro gra w sztuce Szekspira w miejscowym teatrze - wyjaśniła Delsey, przewracając oczami. - Poznaj Tubbsa... Rory’ego Tubbsa, ale o imieniu nikt nie pamięta. Gra króla Leara.

- Żadnego Leara! - poprawił ją gwałtownie. - Makbeta.

- Nieważne, zawsze myślę tych dwóch - oznajmiła gospoia. - Gotowe, Grandy. Przeżyjesz do chwili, kiedy dotrzecie z Tubbsem do doktora, tyle ci mogę obiecać.

- Jeśli mnie oczy nie mylą, to Hurricane jednak pani nie zabił - odezwał się Grandy, patrząc na Merrie.

- Nie, to bardzo miłe zwierzę - odparła z uśmiechem.

- Miłe? No tak, ten przyjemniaczek nie wykopał pani na ster-
tę cynowych blach.

- Ano nie wykopał. - Zaśmiała się cicho, po czym dodała: - Mam nadzieję, że szybko dojdzie pan do siebie.

Grandy wstał, skinął głową Merrie, włożył kapelusz, po czym rzucił lekceważąco:

- Żaden problem, mam tylko przeciętą rękę.

- To spora rana, ale nic mu nie będzie - dodał Tubbs, błyskając białymi zębami, po czym uchylił kapelusza. - Do zobaczenia, piękna pani.

Merrie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Nie umieraj, Grandy - powiedział Ren. - Nie stać mnie, żeby cię stracić.

- Trudno dobić starą szkapę, szefie. - Grandy skrzywił się. - Następnym razem pana posłucham.

- I tak trzymaj. - Oczy śmiały się Renowi, kiedy patrzył na starego kowboja, choć wargi miał zaciśnięte. Trudno było nie zauważyć, że czuje do Grandy'ego szczerą sympatię.

- A ja zawsze pana słucham, prawda, szefie? - odezwał się Tubbs. - I potrafię prowadzić samochód, nawet jak napada dwa metry śniegu, a na drodze jest lód. - Potarł paznokcie o kurtkę. - Jestem niezastąpiony.

- Sam też daję radę - odparował Ren. - Więcej skromności, kowboju.

Tubbs zaśmiał się i wyprowadził Grandy'ego kuchennymi drzwiami, skąd poszli w stronę czekającego na nich pikapa.

- Niech pani mi tu nie flirtuje z kowbojami - oschle nakazał Ren.

Zaskoczona Merrie spojrzała na niego, po czym powiedziała:

- Ja tylko się do niego uśmiechałam.

- No to się pani do nich nie uśmiecha! - dodał wojowniczo, ale gdy Merrie znieruchomiła z niepewnym wyrazem twarzy, mruknął: - Och, do diabła... - i wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi, aż osadzona w nich szyba zastukotała.

- Wreszcie kiedyś ją stłucze - powiedziała Delsey z westchnieniem. - Trudno się z nim dziś dogadać, prawda?

- Zawsze jest taki w stosunku do kobiet? - spytała Merrie.

- Cóż, do starszych nie - po chwili namysłu odparła gosposia.

- Może uda mi się postarzyć o dziesięć lat - skwitowała Merrie.

Delsey zaśmiała się, po czym zmieniła temat:

- Naprawdę masz w sobie coś wyjątkowego, skoro uspokoiłaś tego oszalałego konia, dzięki czemu mogła się nim zająć pani doktor.

- Ktoś go skrzywdził. On się tylko boi.

- Może i tak. Ale gdybym była mężczyzną, nie wchodziłabym do jego boksu.

- Ja też nie - z uśmiechem zgodziła się Merrie.
- Chcesz hamburgera? - spytała Delsey, zerkając w stronę drzwi, żeby sprawdzić, czy Ren nie kręci się w pobliżu.
- Bardzo chętnie, dziękuję, i kawę, jeśli można. Pójdę z tym do swojego pokoju, póki Rena tu nie ma.
- Zapewniam cię, że on nie zawsze zachowuje się tak niedorzecznie.
- Po prostu doprowadzam go do wściekłości. Niektórzy tak na mnie reagują. Nic na to nie poradzę, więc nie ma sprawy. - Posłała gosposi uśmiech. - Nie powiem mu, że pani mnie nakarmiła - dodała.
- No cóż, ale nie od razu mi się to udało - ze śmiechem odparła Delsey.

ROZDZIAŁ TRZECI

Merrie skończyła wstępny szkic portretu Rena, nad którym później zamierzała popracować. Z Rena Coltera to naprawdę kawał przystojniaka, pomyślała, przyglądając się swojemu dziełu. Ale nie tylko uroda robiła wrażenie. Był to człowiek silny i niezależny, który działał świadomie i w przemyślany sposób. Wszystko to udało jej się pokazać w szkicu.

Bardzo się cieszyła, że Hurricane'a otoczono właściwą opieką. Doktor Branch okazała się świetnym weterynarzem. Merrie postanowiła nazajutrz zajrzeć do konia i sprawdzić, jak się czuje, a na razie z zapałem pracowała nad portretem Rena. Urzekła ją nieugiętość, którą dostrzegała w jego ostrych męskich rysach. Podobnie jak jej ojciec, emanował siłą i autorytetem, a jednak w niczym nie przypominał Darwina Graylinga. Ojciec był okrutny i dominujący. Ren także przejawiał skłonność do dominacji, lecz nie łączył tego z despotycznym okrucieństwem.

Delsey wspomniała, że Ren nie tyka alkoholu, jednak Merrie była pewna, że kiedy przyszedł do niej w nocy, gdy dopadł ją senny koszmar, w jego oddechu wyczuła zapach whisky. Okej, więc czasami coś tam sobie wypije wieczorem, po ciężkim dniu wypełnionym pracą, pomyślała z uśmiechem.

Zaraz jednak spoważniała. Wspomniała ten moment, kiedy Ren zdjął pas, a ona uciekła do kuchni. Wyglądał wtedy na wystraszonego i mocno przejętego tą sytuacją. Więc jednak miał w sobie głęboko skrywaną dobroć. I tylko nie chciał jej pokazać. Był niczym wilk, który włożył łapę do rozżarzonego paleniska i natychmiast ją wyciągnął, postanawiając nigdy więcej nie zbliżyć się do ognia.

Delsey wyjawiała, że jakaś kobieta boleśnie zraniła Rena. Merrie nie przypuszczała, żeby miał wiele kobiet, z czego słynał jego brat. Lubiła Randalla, i to bardzo, ale jako przyjaciela, jednak nigdy nie potrafiłaby się poważnie związać z takim mężczy-

zną. Randall był przedziwnie zmienny w uczuciach i choć nieraz powtarzał, że „kocha kobiety”, z żadną nie wytrzymał dłużej niż parę tygodni. Merrie uznała, że owszem, z pewnością Randall kocha kobiety w ogólności, ale jeszcze żadnej konkretnej nie pokochał naprawdę. Pewnego dnia, pomyślała z uśmiechem, także i Randall spotka swoją drugą połowę.

W tle portretu Rena narysowała ognisko i wilka. Wydawało się, że tu pasują. Dodała jeszcze sosny wydmowe. Naszkicowała Rena w kurtce pastucha i kapeluszu z szerokim rondem, który nosił na ranczu. Udało jej się doskonale uchwycić podobieństwo, wyglądał jak żywy, jakby mógł do niej wyjść z kartki szkicownika.

Żałowała, że nie zabrała ze sobą farb i płócien, które niestety zostały w Teksasie. Wciąż nie miała odwagi, by skorzystać z jednej ze swoich komórek, choć Paul zapewniał ją, że nie da się ich namierzyć. Zresztą i tak nie mogliby jej tu przysłać przyborów do malowania, bo śledząc trasę przesyłki, ktoś mógłby ją namierzyć. Ktoś... Paul bardzo niepokoił się mężczyzną, któremu Timmy Leeds zapłacił za zamordowanie Merrie. Wszystko wskazywało na to, że to zawodowiec, który od lat żyje z wykonywania egzekucji. Ci, którzy nie są dość profesjonalni, szybko wypadają z branży.

Tutaj, w Wyomingu, Merrie udawało się czasem na kilka godzin zapomnieć, że ściga ją morderca. Pomyślała o Renie i Delsey i modliła się, by dzieląc z nimi dom, nie narazić ich na niebezpieczeństwo. Randall zapewniał ją, że Ren ma na ranczu najnowocześniejszy system alarmowy i bardzo sprawnych ochroniarzy. Twierdził także, że Ren został dokładnie wtajemniczony, dlatego ona musi przez jakiś czas przebywać w jego domu, co ją trochę uspokoiło.

Przypomniała sobie, że Ren chciał, by pojechała do miasta po ciepły płaszcz i inne ubrania. Powinna to zrobić. Może w mieście znajdzie też sklep z przyborami plastycznymi. Zaraz, a co z Amazonem? Że też nie pomyślała o tym wcześniej. Miała tam konto, a przy sobie nowiusieńką kartę kredytową, którą mogła zapłacić za zakupy.

Wyjęła komórkę, włączyła aplikację i zaczęła szukać potrzeb-

nych artykułów. Nie zajęło jej to wiele czasu. Teraz musi tylko znaleźć pomieszczenie, które by jej służyło za pracownię malarzką. Zapyta o to Rena.

Ale nie tego dnia, postanowiła. Kiedy Ren skończy pracę i wróci do domu, na pewno będzie w podłym nastroju. Zdumiewała ją ilość niezbędnych robót, które należy wykonać na ranchu tej wielkości. Niektóre budynki wymagały drobnych napraw, boksy w stajni należało sprzątnąć i dorzucić koniom świeżego siana. Sprzęt do siodłania koni też trzeba było sprawdzić, no i jeszcze te wszystkie maszyny rolnicze... Ot, jeden wielki niekończący się proces.

Bydło też miało swoje wymagania. W złą pogodę kowboje pilnowali stad jeszcze uważniej. Zaglądali do nich kilka razy dziennie, musieli pracować na zewnątrz niezależnie od warunków atmosferycznych.

Większość budynków gospodarczych, jak powiedziała jej Delsey, było ze stali. To wytrzymały materiał i nawet metrowa warstwa śniegu nie spowoduje zawalenia się dachu. Na ogrodzonych rozległych pastwiskach również stały zbudowane ze stali budynki ze spadzistymi dachami, gdzie bydło mogło się schronić, kiedy pogoda stawała się naprawdę kiepska. Wszędzie były koryta z podgrzewaną wodą. Kiedy napadało dużo śniegu, mężczyźni nosili bydłu siano na zewnątrz i kładli je do koryt z kratką, żeby straty podczas jedzenia były jak najmniejsze. Na ranchu było też wiele zagród dla koni. W innych znów trzymano zwierzęta przygotowane do wypalania piętna, kolczykowania, kastrowania albo szczepienia. W niektórych znajdowały się rampy, po których woły przechodziły do pojazdów przewożących je na inne pastwiska albo do innych gospodarstw, jeżeli zostały przez kogoś zakupione.

Merrie czytała o wiosennych spędach bydła i chętnie zobaczyłaby to na własne oczy, niestety właśnie był październik, więc musiała się zadowolić DVD z nagraniem spędu bydła na ranchu Skyhorn, bo tak właśnie nazywało się to ogromne ranczo.

Podczas nieobecności Rena włożyła płytę do odtwarzacza, wzięła koszyk z robótkami i usadowiła się wygodnie, żeby obejrzeć nagranie.

Zaabsorbowana dzierganiem czapki na drutach i zasłuchana w rozmowę Rena z reporterem na temat znakowania bydła, ledwie usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Myślała, że to Delsey, więc nie zwróciła na to uwagi, aż nagle usłyszała za plecami:

- Co pani tu, do diabła, robi?

Merrie podskoczyła i czerwona jak burak podniosła wzrok znad robótki:

- Przepraszam. Nie gniewa się pan, że używam pańskiego od-twarzacza?

Ren skrzywił się, kiedy zauważył, co ogląda Merrie. Zdjął ka-pelusz i otarł czoło rękawem.

- Zapomniałem o tym - mruknął. - Reporter z lokalnej stacji robił materiał na temat rancz i chciał przeprowadzić ze mną wywiad. Zwykle nie bawię się w takie rzeczy, ale akurat on jest znany z zawodowej uczciwości.

Merrie patrzyła na niego pytająco.

Ren usiadł ciężko w skórzanym fotelu, w którym nikomu prócz niego nie wolno było siadać, i spojrzał na nią.

- Wielu ludzi dąży do tego, by zlikwidować hodowle bydła mięsnego. - Wzruszył ramionami. - Głoszone są opinie... cóż, każdy ma swoje zdanie na ten temat - stwierdził enigmatycznie, jakby wolał przemilczeć to, co w pierwszej chwili chciał powiedzieć.

- Wiem, w czym problem - stwierdziła Merrie. - Hodowla bydła to być może wcale nie jest najlepszy sposób na wykorzystanie ziemi, ale bawoły i inne przeżuwacze żyją tu od bardzo dawna. Gazy powstające na skutek procesów trawiennych bydła mogą przyczyniać się do zmiany klimatu, ale moim zdaniem to przede wszystkim próby nuklearne i erupcje wulkanów odpowiadają za gazy cieplarniane w atmosferze.

Ren uniósł jedną brew, gdy jego uwagę przyciągnął wywiad, który oglądała Merrie. Na ekranie właśnie wypalali żelazem piętno na skórze młodych wołów.

- Może pani na to patrzeć? - spytał.

- Wiem, że zwierzętom wypala się piętno. Niektórzy twierdzą, że lepiej piętnować przez wymrażanie, ale wtedy piętno znika, kiedy zwierzę gubi sierść, a wypalone piętno zostaje na zawsze.

- Zerknęła na Rena. - Wiem nawet, co to jest żegadło. Ale nie dowiedziałam się tego z tego filmu - dodała, wskazując głową na ekran. - Bardzo lubię powieści Zane'a Greya. Przeczytałam chyba wszystko, co napisał.

- Ja też - wyznał Ren. - Którą powieść lubi pani najbardziej?

- *The Light of Western Stars*^[1]. Wie pan, że bohater jest częściowo wzorowany na prawdziwej osobie? Na Redzie Lopezie, który walczył na granicy Arizony podczas wojny meksykańskiej w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku.

Teraz Ren uniósł obie brwi.

- Zna pani nasze dzieje.

- Gdybym mogła, studiowałabym historię - powiedziała, spuszczać wzrok na robótkę. - Ale miałam już serdecznie dość tych naszych ochroniarzy, którzy łazili za nami krok w krok. Tata nie pozwalał nam samym opuszczać domu, zawsze ktoś z nami był, więc zamiast studiować i zrobić dyplom, chodziłam na kurs plastyki w miejscowym college'u.

- Czemu nie pozwalał wam wychodzić samym?

- Bał się, że zaczniemy umawiać się z chłopakami - odparła ze śmiechem. - Pewien sympatyczny kowboj zaprosił mnie kiedyś na randkę. Miałam szesnaście lat i poznałam go w szkole, bo jego siostra, do której przyjechał w odwiedziny, chodziła ze mną do klasy. Pracował na ranczu w Arizonie, był tylko trochę ode mnie starszy. - Przesunęła się na kanapie. - Tata się o tym dowiedział... i w niedługim czasie kowboj przeniósł się na Wschodnie Wybrzeże. - Znów spuściła wzrok na robótkę.

Ren przez jakiś czas wpatrywał się w nią, aż wreszcie spytał:

- Czemu nie chciał, żeby pani umawiała się na randki?

Merrie przygryzła dolną wargę.

- Dokładnie wiedział, jakie kryteria muszą spełniać mężczyźni, których mnie i siostrze będzie wolno poślubić, a także kiedy ma się to wydarzyć.

- Więc jak poznała pani mojego brata? - spytał.

Merrie wróciła do robótki, jakby chciała uniknąć odpowiedzi.

Pochylił się do przodu i powtórzył z naciskiem:

- Jak?

- Okej... - Lekko westchnęła. - Randall miał przyjaciela, który

chodził ze mną na zajęcia z plastyki. Widywałam go w mieście, kiedy do nas przyjeżdżał, a kiedy przyszedł zobaczyć wystawę w naszym college'u, zaczęliśmy rozmawiać. – Uśmiechnęła się. – Nie bał się taty. Mimo to nie mogłam zaprosić go do domu, a kiedy rozmawialiśmy, musiałam pilnować, żebyśmy zawsze byli w większym gronie. Tata był... no, nie był całkiem normalny.

Ren już się tego domyślił.

– A jednak pani siostra jest mężatką?

Randall musiał mu o tym powiedzieć.

– Tak, niedawno wyszła za męża. Paul jest agentem FBI, obecnie w San Antonio. Dawniej pracował dla taty... – Przerwała, bo nie chciała mówić o ojcu ani jego majątku.

– Czym się zajmuje pani siostra?

– Jest zastępcą prokuratora okręgowego hrabstwa Jacobs – odparła z uśmiechem.

– Nie chciała pani zdobyć jakiegoś zawodu, żeby na siebie zarabiać?

O tym też nie chciała rozmawiać, a może zwłaszcza o tym.

– Mam nadzieję, że kiedyś będę żyła z mojej sztuki. – Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Ren skrzywił się rozczarowany. Pomyślał na pewno, że brak jej ambicji, a to zabolowało. Ale nie zamierzała zdradzić mu nic więcej na temat rodziny Graylingów. Jeszcze nie. – No właśnie, coś mi się przypomniało – podjęła. – Czy jest tu jakieś pomieszczenie, gdzie mogłabym malować? Zamówiłam farby i płótna. Nie chciałabym robić bałaganu i nabrudzić...

– Jest tu studio – odparł. – Należało do... żony mojego ojca. – Od dawna nie nazywał jej matką. – Ona też tam malowała. Znajdzie tam pani płachtę malarską.

– Dziękuję. – Zastanawiała się, czy kochał swoją matkę przed ich smutnym rozstaniem. Musi spytać o to Randalla, bo Rena nie ma śmiałości. Już wściekał się z jakiegoś powodu, pewnie powróciły złe wspomnienia związane z matką. Merrie dałaby głowę, że w ogóle nie napomknąłby o matce, gdyby nie spytała o pracownię.

Lekceważąco machnął ręką, przenosząc wzrok na jej dłonie,

które poruszały się zgrabnie i szybko.

- Co pani dzierga?

- Czapkę - powiedziała z uśmiechem. - Robię ich dziesiątki i rozdaję. Dzieciakom, które spotykam na ulicy, starszym ludziom w poczekalni u dentysty. Dałam parę czapek kobiecie, która pomaga Mandy w domu. Działa jako wolontariuszka w programie pomocy potrzebującym. - Zawahała się. - Przeważnie robię je, kiedy oglądam telewizję.

- Robisz czapki? - zawołała Delsey z kuchni, a po chwili weszła do pokoju, mieszając coś w misce. - Możesz mi też zrobić czapkę? Ciągle chodzę wyrzucać śmieci, wkładam płaszcz, ale głowa mi marznie.

- Oczywiście. Dam pani tę, jak tylko skończę. - Merrie pokazała jej robótkę. Czapka była zielono-złoto-beżowa.

- Podoba mi się.

Merrie zaśmiała się.

- Dziękuję.

- Wsadzę tylko to ciasto do piekarnika. Szarlotka, panie Ren, z waniliowym lukrem.

- Jest na co czekać do wieczora. - Posłał jej uśmiech.

- Wieczorem będzie gotowa. - Delsey wróciła do kuchni.

- Myślałem, że jest pani bardziej wrażliwa - zauważył Ren, kiedy Merrie przeniosła znów uwagę na ekran.

- Lubię bydło, choć niewiele o nim wiem. W okolicy, gdzie dorastałyśmy z Sari, jest mnóstwo rancz. Większość ludzi w hrabstwie Jacobs albo hoduje bydło, albo pracuje na ranczu.

- Sari?

- Tak naprawdę ma na imię ma Isabel, ale tylko Paul ją tak nazywa. Dla reszty jest Sari.

- Jest pani do niej podobna?

- Och nie. Sari jest ruda i ma prawdziwe niebieskie oczy. Moje to taka rozmyta wersja jej błękitu. Jest też bardzo inteligentna. W college'u i na studiach prawniczych była jedną z najlepszych studentek.

Ren przekrzywił głowę i przyglądał się Merrie. Była ładna i miła. Inteligentna? Dla niego nie było ważne, czy kobieta jest inteligentna. Lubił Merrie. Choć wolałby jej nie lubić.

Podniósł się z fotela, uderzając rękawiczkami o rękę.

- Może pani przyjechać tu znowu w porze wiosennego spędu bydła - powiedział. - Zabiorę panią ze sobą i pokażę, jak to wygląda.

- Zrobiłby pan to dla mnie? - Jej twarz pojaśniała z radości. - Och, bardzo bym chciała to zobaczyć.

Lekko się uśmiechnął.

- Okej. - Odwrócił się w stronę kuchni. - Delsey, wróć późnym wieczorem. Musimy z Fredem sprawdzić, co tam u chłopaków.

- W porządku. Będzie padać śnieg, a pan już pociąga nosem. Niech pan lepiej uważa.

- Przestań się mną zamartwiać - mruknął. - Nic mi nie jest.

- A mówi pan tak, jakby coś panu było - odparowała. - Ma pan zatkany nos.

- Wychodzę - odparł. - Do zobaczenia później.

- Okej, niech pan idzie się zabić. Przekona się pan, czy mnie to obchodzi! - zawołała za nim Delsey.

Ren tylko się zaśmiał. Zerknął na Merrie, uchylił kapelusza i wyszedł. Na zewnątrz naprawdę padało. W Wyomingu pierwszy śnieg często pojawia się już jesienią. Merrie była ciekawa, czy zawsze jest tu taka pogoda.

Tym razem pojawiła się na kolacji punktualnie. Zjadły z Delsey smaczny gulasz i bułeczki, a potem Merrie poszła na górę do swojego pokoju, żeby jeszcze usiąść ze szkicownikiem.

Kiedy położyła się do łóżka, usłyszała kroki Rena na schodach. Brzmiały dziwnie, jakby szedł ociężale, z wahaniem, a przecież zawsze poruszał się szybko i pewnie. Prawdopodobnie jest bardzo zmęczony, pomyślała. Zamknęła oczy i zapadła w sen.

Nazajutrz rano znów przyszła punktualnie na śniadanie, za to Ren jeszcze nie zjawił się na dole.

Delsey wyraźnie się zaniepokoiła, gdy nakrywała do stołu.

- To do niego niepodobne, żeby się spóźnić. Pójdę sprawdzić, co się z nim dzieje.

- Mam nadzieję, że nic złego - powiedziała Merrie.

- Ostrzegałam go, żeby nie łąził w śniegu, skoro już i tak czuł się kiepsko. Ale on nigdy nie słucha. - Mruczając pod nosem, wyszła z kuchni i wspięła się po schodach na górę.

Wróciła stamtąd bardzo szybko, podbiegła do telefonu stacjonarnego i wybrała numer, a po chwili poinformowała rozmówcę, jakie objawy ma Ren.

- Tak, powiem Tubbsowi, żeby go zaraz zawiózł do miasta. Dziękuję, Sylvio. - Rozłączyła się, następnie zadzwoniła do pensjonatu, gdzie mieszkali pracownicy rancza, poprosiła do telefonu Tubbsa i kazała mu niezwłocznie przyjechać do domu.

- Ren jest chory? - spytała z troską Merrie.

- Tak, w płucach aż mu gulgocze - odparła zaniepokojona gosposia. - On prawie nigdy nie choruje, ale zaatakował ten paskudny wirus, a Ren o sobie nie dba. Godzinami będzie stał na lodowatym zimnie i wietrze... - Przerwała na moment. - Jedz, dziecko. Ren wyzdrowieje. Jest twardy.

Merrie uśmiechnęła się siłą woli, bo tak naprawdę ogarnął ją smutek. Kiedy Ren pojawiał się w drzwiach, dom ożywał. To dziwne myśleć w ten sposób o człowieku, którego ledwie знаła i którego niezbyt lubiła. A jednak zdawało się, że samą swoją obecnością Ren napełniał ten dom życiem.

Po kilku minutach Delsey pomogła Renowi zejść po schodach. Twarz miał ziemistoblada, wyglądał koszmarnie. Kiedy zakaszał, słychać było, że ma zapchane gardło i nos.

- Nic mi nie jest - protestował.

- Przeciwnie. Merrie, możesz go podtrzymać, a ja wyjrzę, czy Tubbs już czeka? Chyba słyszałam samochód.

- Oczywiście. - Merrie zajęła miejsce Delsey. Nigdy nie była tak blisko muskularnego męskiego ciała. Ren był silny, ciepły i pachniał jodłami. Podobała jej się ta bliskość.

Renowi z kolei podobała się miękkość jej ciała. Pomyślał nawet, że sprawia mu zbyt dużą przyjemność. Poruszył się niespokojnie, czuł się naprawdę chory.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho Merrie. - Lekarz da panu jakieś lekarstwa i szybko poczuje się pan lepiej.

- Mam robotę i...

- Robota nie zając - oznajmiła stanowczo. - A jak pan umrze, to już żadna robota nie będzie na pana czekać, prawda?

Spojrzał w jej bladoniebieskie oczy i mruknął:

- Zaraza.

- Zgadza się - odparła z uśmiechem.

Zaśmiał się, ale skończyło się to atakiem kaszlu.

Delsey podeszła do nich i poinformowała:

- Tubbs czeka przed domem. Idziemy, panie Ren. - Wyrzała przez drzwi. - Tubbs, pomóż mi, on jest ciężki.

- Tak, proszę pani.

Tubbs wbiegł do kuchni, posłał uśmiech Merrie i wziął Rena pod ramię.

- Chodźmy, szefie. Nie wolno panu umrzeć. Wszyscy musieliśmy szukać pracy, a nie znajdziemy nikogo innego, kto by na nas wrzeszczał i groził, że zamoczy nasze koce w occie.

- Tubbs - zaczął Ren z irytacją.

- Ale jeśli mimo wszystko pan jednak umrze, chcę dostać ten superzegarek, który pan nosi, ten, co ma tyle tarcz - ciągnął Tubbs.

O dziwo, Ren wybuchnął śmiechem, co spowodowało kolejny atak kaszlu.

- Niech pan wsiada, szefie. Dzisiaj pan jeszcze nie umrze. - Tubbs pomachał do kobiet, usiadł za kierownicą i odjechał.

Merrie zawróciła do domu z Delsey, masując ramiona, bo na dworze panowało przejmujące zimno.

- Potrzebujesz zimowego płaszcza - stwierdziła stanowczo Delsey.

- Wybiorę się na zakupy. Ale nie dziś, nie w taką pogodę. - Weszła za gospodynią do kuchni. - On wyzdrowieje, prawda? - spytała, nieudolnie próbując ukryć niepokój.

- Wyzdrowieje. - Delsey powściągnęła uśmiech. - Doktor Fellows już tego dopilnuje. Był przy narodzinach Rena.

- Kiedy to było? - spytała z namysłem.

- Prawie trzydzieści siedem lat temu - odparła Delsey. - Urodził się szóstego grudnia.

- Aha. - Był starszy, niż sądziła. Prawe trzydzieści siedem lat, a ona miała w listopadzie skończy dwadzieścia trzy, czyli dzieli

ich czternaście lat. Najpewniej taki dojrzały mężczyzna uważa ją za dziecko. To ją zasmuciło, choć nie wiedziała dlaczego. Ren łatwo wpadał w irytację, był wybuchowy, niecierpliwy, apodyktyczny... Cóż, musi skończyć tę robótkę, a wyliczanie jego wad zajęłoby zbyt dużo czasu.

Kiedy Ren wrócił z miasta do domu, Tubbs wciąż go podtrzymywał.

- Mamy lekarstwo i zalecenia od doktora - oznajmił Tubbs, wchodząc z Renem po schodach. - Coś mi się zdaje, że pierwsze weźmie, a drugie zlekceważy.

- Możesz być pewny - mruknął Ren.

Tubbs zaśmiał się w odpowiedzi.

Kiedy pomógł Renowi położyć się do łóżka, zszedł na dół do kuchni i uchylił kapelusza, żegnając się z paniami.

- Muszę objechać ogrodenie i sprawdzić, czy jest całe.

- Zapnij kurtkę - poleciła Delsey. - Wystarczy nam jeden chory mężczyzna.

Tubbs uśmiechnął się do niej.

- Mnie się choroby nie imają. - Zerknął na Merrie i wyraźnie chciał coś jeszcze powiedzieć.

- Zmykaj - uprzedziła go Delsey, która wyczuła, że Tubbs chce zaprosić Merrie na randkę, a Renowi by się to nie spodobało.

Tubbs się skrzywił.

- Jesteś tak samo zła i szczwana jak on. - Głową wskazał schody.

- A jak myślałeś, od kogo się uczyłam? - odparła z uśmiechem.

- Cóż, piękna panienko, zawsze jest jutro. - Tubbs skłonił się Merrie, machając kapeluszem. - Rozstanie to taki słodki żal - dodał, opuszczając kuchnię.

Merrie odprowadzała go wzrokiem, choć bez większego zainteresowania.

- Czy Ren weźmie lekarstwo, jak pani myśli? - zwróciła się do Delsey.

- Założę się o każde pieniądze, że wsadzi je do apteczki i za-

mknie ją - odparła Delsey. - Tak zrobił ostatnim razem, a zaraz potem znów wylądował u doktora Fellowsa.

- Czy on nosi piżamę? - z wahaniem spytała Merrie.

- A, rozumiem. - Delsey lekko się uśmiechnęła. - Nosi spodnie od piżamy... Myślisz, że skłonisz go do połknięcia lekarstwa?

- Kiedyś podałam lekarstwo koniowi z diabelskim temperamentem - odparła Merrie.

- Podgrzeję mu trochę zupy - oznajmiła Delsey - i obie mu ją zaniemiemy.

- Świetnie.

Delsey nic nie komentowała, za to myślała swoje. Z ulgą zauważyła, że dziarski Tubbs nie zrobił wrażenia na Merrie, natomiast szef patrzył na nią w taki sposób, w jaki nie patrzył na kobiety od chwili, gdy ta żmija dała mu popalić. A to już coś.

Ren leżał w łóżku przykryty kołdrą do pasa i wyglądał bardzo kiepsko, kiedy Delsey i Merrie weszły do jego sypialni.

- Muszę tylko odpocząć - mruknął, mierzając je spojrzeniem. - Nie matkujcie mi tu.

- Nikt panu nie matkuje - powiedziała Merrie. - Gdzie jest pana lekarstwo?

Popatrzył na nią wrogo.

- Założę się, że w apteczce - stwierdziła Delsey.

- Zdrajczyń - rzucił Ren.

Merrie weszła do łazienki, otworzyła apteczkę i znalazła antybiotyk oraz silny syrop przeciwkaszlowy. Triumfalnie wróciła z lekami do sypialni i zaczęła otwierać opakowanie antybiotyku.

- To syrop na kaszel? - spytała Delsey, sięgając po butelkę. Przeczytała wskazówki dotyczące stosowania syropu, nalała porcję na łyżkę i podsunęła ją pod zaciśnięte wargi Rena.

- Niech pan otworzy usta albo zawinę pana w ręcznik i siłą zmuszę do wypicia syropu - oznajmiła stanowczo Merrie.

Te słowa i jej ton wywołały wybuch śmiechu Rena. Otworzył usta, a Delsey wepchnęła do nich łyżkę z syropem.

- Bardzo ładnie - pochwaliła Merrie z tabletką w ręce. - Teraz to - dodała.

Podniósł na nią wzrok.

- Nie odważy się pani - rzekł.

- Delsey, znajdzie pani bardzo duży ręcznik i dwóch silnych mężczyzn?

- Do diabła. - Ren otworzył usta i patrzył ze złością na Merrie, która położyła mu tabletkę na języku.

Przełknął ją, popijając mlekiem, które przyniosła gospodyni.

- Wie pani, że mleko zwiększa wydzielinę? - spytała Merrie.

- Nic innego nie wypije, jak jest chory. - Delsey westchnęła, stawiając na łóżku tacę na nóżkach, a na niej talerz zupy. Położyła łyżkę i serwetkę.

- Musi pić dużo wody, trzeba rozrzedzić wydzielinę, żeby ją wykasłać - powiedziała Merrie.

- Jestem tu - burknął Ren. - Słyszę was.

Gdy popatrzyły na niego bez słowa, krzywiąc się niemiłosiernie, wziął do ręki łyżkę.

- Dobrze już, zrobiłyście, co chciałyście zrobić. A teraz wynoście się stąd i dajcie mi zjeść zupę w spokoju.

- To nie zupa, to gulasz z ostryg. Pana ulubiony - wyjawiała Delsey z ciepłym uśmiechem.

Zrobił minę, ale potem też się uśmiechnął.

- Okej, dzięki.

- Wyzdrowieje pan. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę użyć interkomu - dodała Delsey, wskazując stolik nocny.

- Nie trzeba, ale dziękuję. - Potem zwrócił się do Merrie: - A pani niech nie myśli, że groźba ręcznika zadziałała.

- Kłamca. - Spojrzała na niego figlarnie.

Ren nie mógł się nie zaśmiać.

Tego wieczoru przed snem Merrie zajrzała do sypialni Rena. Wciąż była w dziennym ubraniu, ale nie chciała pokazywać się Renowi w piżamie i szlafroku, choć w tych czasach ktoś mógłby uznać to za dziwactwo.

Lekko zapukała do drzwi i otworzyła je.

- Jak się pan czuje? - spytała.

Spiorunował ją wzrokiem.

- Niech pani zamknie drzwi, od zewnątrz - odparł lodowato.

- Tak, proszę pana. - Słyszając jego pełen złości ton, wzdrygnęła się, zamknęła drzwi i ruszyła korytarzem do swojego pokoju.

Ależ z niego nieprzewidywalny człowiek. Jednego dnia był dla niej prawie miły, a następnego burczał i chciał urwać jej głowę. Przejrzała się w lustrze i zrozumiała, skąd jego nagła irytacja. Krzyżyk znów był na wierzchu, na bluzie, którą miała na sobie.

Dotknęła go delikatnie. Matka podarowała jej ten krzyżyk, kiedy Merrie była małą dziewczynką. Przez lata Merrie zmieniała cieniutkie złote łańcuszki, ale krzyżyk pozostał ten sam. Łączył ją z matką, z dzieciństwem, był bezcenny. Renowi wcale nie musi się podobać. Jego sprawa, a ona i tak go nie zdejmie.

Jego chłód ją zranił. Zastanawiała się dlaczego. To w końcu tylko brat Randalla. Przez większość czasu traktował ją oschle, a nawet pohukiwał na nią. Cóż, pomyślała, nie zostanę tu długo, więc nie ma sensu zawracać sobie głowy człowiekiem, który czuje do mnie niechęć i nie życzy mi zbyt dobrze...

Dopiero po dwóch dniach Ren na tyle odzyskał siły, by podnieść się z łóżka. Dość niepewnie trzymając się na nogach, zszedł na śniadanie, przedstawiając sobą widok raczej godny pożałowania. Za to zły humor wrócił piorunem, i to z pełną mocą.

Wyciągnął krzesło i rzucił Delsey i Merrie gniewne spojrzenie.

- Nie życzę sobie, żeby mi matkować. Uprzedzam na wypadek, gdyby chodziło wam to po głowie. Czuję się dobrze.

- Okej. - Merrie spojrzała na niego przeciągle.

- Okej - powtórzyła za nią Delsey.

Ren sięgnął po serwetkę i rozłożył ją na kolanach, na nieskazitelnie czystych dżinsach i skórzanych ochraniaczach. Ostrogi zadzwoniły, kiedy poruszył nogami pod stołem.

- To kiełbasa? - spytał nagle, wskazując widelcem półmisek stojący obok bekonu i jajek.

- Tak, Merrie ją lubi.

- Nie znoszę kiełbasy - stwierdził szorstko.

- A ja bardzo lubię - odparła Merrie po to tylko, żeby go zirytować. Patrzyła na niego przez chwilę. - Lubię sobie wyobrażać,

jak wieprzowinę wpycha się do maszynki do mięsa.

Ren uniósł brwi. Chodziło o sposób, w jaki to powiedziała, nie spuszczać z niego wzroku.

- Nie zmieściłbym się w maszynce do mięsa - powiedział wreszcie.

- Szkoda - odparła Merrie z beztroskim uśmiechem.

Ren zdusił śmiech i sięgnął po dzbanek z kawą.

Merrie wyszła z domu przed Renem, z radością patrząc na świeży śnieg, który spadł minionej nocy. Niczym koc przykrył wzgórze i odległe szczyty. Objęła się ramionami, bo temperatura spadła poniżej zera, a jej płaszcz był bardziej dekoracyjny niż praktyczny.

- Przecież już mówiłem, żeby pojechała pani do miasta i kupiła sobie porządny płaszcz - burknął Ren, kiedy wyszedł z domu, naciągając kapelusz na czoło.

- Nie miałam czasu - odparła.

- Powiem Delsey, żeby jutro panią zawiozła. - Znacząco patrzył na jej stary płaszcz. - Nie ma pani porządnego zimowego okrycia?

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Za życia taty miałyśmy bardzo ograniczone środki na ubrania - powiedziała uszczypliwie, choć z godnością. - Tata uważał, że płaszcz to strata pieniędzy. Dawał nam pieniądze tylko na kurtki, ale znalazłam ten płaszcz na wyprzedazy.

- Dziwne, że nie oddali go za darmo - stwierdził arogancko.

Merrie spojrzała na niego, ściągając brwi, po czym stwierdziła oschle:

- Nie wszyscy są bogaci, panie Colter. Większość ludzi na całym świecie posiada bardzo niewiele i musi się tym zadowolić.

Uniósł brwi i zlustrował spojrzeniem jej szczupłą figurę.

- Ile ma pani lat? - spytał nagle.

- Dwadzieścia dwa.

Oczy mu pociemniały. Za młoda, pomyślał. Całe lata za młoda. On miał trzydzieści sześć lat, ona dwadzieścia dwa. I była bardzo atrakcyjna. Nie chodziło nawet o urodę, choć nie mogła narzekać na jej brak, ale o postawę i grację. Poruszała się niczym

pełen wdzięku jelonek, ledwie zostawiając ślady stóp.

- Jest pani jeszcze dzieckiem - rzekł, głośno myśląc.

- Liczy się zużycie - odparła.

- Co? - spytał ze zmarszczonym czołem.

- Zużycie. Niektórzy są starzy w wieku dwudziestu lat, a inni wciąż młodzi, mając na karku osiemdziesiątkę.

- Rozumiem. - Przekrzywił głowę i przyglądał się jej otwarciu.

- Tak czy owak, nie jest pani na tyle stara, żeby czuć się zużyta.

- Robię wszystko, żeby nie było tego widać - stwierdziła z miłym uśmiechem. - Bo tak już jest, że uśmiech angażuje o wiele mniej mięśni niż marszczenie czoła.

Nasunął kapelusz na jedno oko.

- Niech pani w zimie nie oczekuje w tym miejscu zbyt wielu uśmiechów.

- Nie ma pan racji. Delsey uśmiecha się cały czas. Tak samo Tubbs.

Na wspomnienie młodego kowboja Ren zamarł na moment, po czym rzucił uszczypliwie:

- Tubbs ma pracować, a nie robić do pani maślane oczy. Niech go pani nie zachęca. On lubi blondynki.

- Nikogo nie zachęcam! - zaprotestowała.

- I niech tak zostanie. - Jego uśmiech był zimniejszy niż śnieg. - W końcu jest pani przyjaciółką Randalla, prawda? - dodał z czytelną pogardą w głosie.

- Tak - odparła, choć nie bardzo wyczuwała, co Ren miał na myśli. Bo na pewno był w tym jakiś podtekst. - Randall jest moim przyjacielem.

- Radzę o tym pamiętać. - Odwrócił się i pomaszerował w stronę samochodu, gdzie czekał już na niego jeden z kowbojów. - Proszę powiedzieć Delsey, że wrócę późno! - zawołał przez ramię. - Jedziemy polować na kuropatwy.

Odjechał, zanim miała szansę mu odpowiedzieć.

- Cóż, musi być w świetnej formie, skoro wybiera się na polowanie - stwierdziła z rozdrażnieniem Delsey, kręcąc się po kuchni. - Będzie kucał w zaspie śnieżnej i czekał, żeby wreszcie przepłoszyć stadko kuropatw. W końcu zamarznie na śmierć.

- On naprawdę zachowuje się nierozsądnie.

Delsey zaśmiała się.
- Ano tak, święta prawda.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Delsey poszła już na górę, by położyć się spać, kiedy Ren wrócił z torbą kuropatw i włożył ją do kuchennego zlewu.

- Niech tu zostaną - powiedział, gdy zauważył Merrie, która oglądała telewizję w pokoju. - Delsey zajmie się nimi rano. Dobranoc.

- Dobranoc! - zawołała za nim.

Cóż, przynajmniej się do mnie odezwał, pomyślała Merrie ze smutkiem. Kiedy program dobiegł końca, wyłączyła telewizor.

Już miała zgasić światło w kuchni, kiedy przypomniała sobie o kuropatwach w zlewie. Nie powinno się ich zostawiać na całą noc, oczekując, że biedna Delsey oporządzi je rano, nim zacznie szykować śniadanie.

Merrie wyjęła kosz na śmieci i zabrała się do pracy. Nie zajęło jej to wiele czasu. Oporządziła kuropatwy i schowała je, każdą w osobnym woreczku, do lodówki. Potem sprzątnęła wszystkie pozostałości i wyniosła je na zewnątrz do pojemnika na śmieci, który mężczyźni prawie codziennie wywozili na wysypisko.

Udała się do łóżka z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Rzadko dotąd miała okazję tak się czuć, żyjąc w cieniu ojca tyrana, bo co to było za życie?

A teraz, kiedy schodziła na śniadanie, słyszała raczej burzliwą dyskusję:

- Zostawiłem je tu, w tym cholernym zlewie! - pieklił się Ren.
- Pojęcia nie mam, co się z nimi stało.

- Przecież nikt ich... - zaczęła Delsey.

Ale Merrie wpadła jej w słowo:

- Są w lodówce.

Ren zmierzył ją mało przyjaznym spojrzeniem i oznajmił:

- Panno Grayling, nie chowa się martwych ptaków...

- Panie Ren? - Delsey uniosła szczelnie zamknięte torebki z oporzędzonymi kuropatwami.

Ren ściągnął brwi. Przeniósł spojrzenie na Merrie, tym razem patrząc pytająco.

- Mandy mnie tego nauczyła - powiedziała po prostu. - To nasza gospodyni, w moim domu, choć właściwie jest dla mnie prawie jak matka. Uznała, że powinniśmy z siostrą umieć nie tylko gotować. Nauczyła nas nawet oporządzać drób.

Ren słuchał jej zafascynowany. Merrie nie wyglądała na kobietę, która zajmuje się takimi rzeczami. Sprawiała wrażenie kruchej, delikatnej panienki z wielkiego miasta, która mdleje na widok krwi. A jednak na widok rany Grandy'ego nawet nie zachwiała się na nogach. Oglądała wideo o wypalaniu piętna i nawet się nie wzdrygnęła. A teraz oporządziła ptactwo. Nie znał drugiej kobiety poza Delsey, która by to potrafiła. Próbował wyobrazić sobie Angie, gdy odziana w paryskie kreacje brudzi sobie ręce ptasimi piórami w zlewie.

- Jeśli tak bardzo to panu przeszkadza, mogę im z powrotem przykleić pióra - wyzywająco rzuciła Merrie.

Ren skrył uśmiech.

- Jest pani pełna niespodzianek, co, panno Grayling?

- Jednej czy dwóch, panie Colter. - Zmarszczyła czoło. - Colter. Był taki podróżnik, protegowany Jima Bridgera, który nazywał się John Colter. Na starej płycie mojej mamy była o nim piosenka.

- Tak. Podobno odkrył fumarole i źródła termalne nad Shoshone River w pobliżu Cody - mówił Ren, kiedy zasiedli do śniadania. - Nazywali to Piekłem Coltera, choć większość ludzi myślała, że on to wszystko wymyślił, dopóki nie przekonali się na własne oczy.

- Nigdy tam nie byłam - powiedziała Merrie.

- W pobliżu znajduje się park narodowy Yellowstone. Jest piękny - wtrąciła Delsey. - Podaj mi dżem truskawkowy, kochanie.

Merrie podsunęła jej miseczkę, mówiąc przy tym:

- Bardzo bym chciała odwiedzić te miejsca. Yellowstone, pole bitwy nad Little Bighorn i muzeum.

- Znów to pani zamiłowanie do historii - skomentował Ren.

- Oglądałam te wszystkie miejsca na YouTube, ale chciała-

bym je zobaczyć na własne oczy, a już zwłaszcza pole bitwy. Mama mówiła, że jeden z naszych krewnych tam walczył.

- W kawalerii? - spytał Ren.

Merrie odchrząknęła, dopiero potem odparła:

- Niezupełnie. - Gdy Ren popatrzył na nią bacznie, a jego dłoń znieruchomiała nad kubkiem kawy, wyjawiała: - Mój praprapradziadek należał do plemienia Ogłalów z ludu Lakotów. - A gdy Ren w milczeniu przyglądał się jej z uniesionymi brwiami, dodała: - Wiem, nie wyglądam, ale ojciec mojej mamy miał czarne włosy i oczy, a także bardzo ciemną skórę. To nasze dziedzictwo.

Ren nagle się roześmiał, mówiąc przy tym:

- Jeden z moich przodków należał do plemienia Czejenów Północnych.

- Oni walczyli z Lakotami - zauważyła Merrie.

- I to zawzięcie. Cóż, tak się wtedy działo, poza bitwą nad Little Bighorn, kiedy połączyli siły, żeby walczyć z Custerem i jego ludźmi.

Merrie wzięła do ust łyżeczkę pysznej jajecznicy przyrządzonej przez Delsey.

- Jak się ma Hurricane? - spytała po chwili.

Ren spojrział na nią chłodno. Wciąż go dręczyło, że była w stanie zrobić z tym koniem coś, co jemu się nie udało.

- Wraca do zdrowia - powiedział tylko.

Merrie ograniczyła się do kiwnięcia głową. Tak jednoznacznie okazywał jej swoją wrogość. Czuła się z tym bardzo niekomfortowo.

Ren skończył jeść śniadanie, wypił ostatnie łyki kawy i wstał z krzesła.

- Niech pan weźmie ciepły szalik - powiedziała Delsey, nie podnosząc wzroku.

- Och, na miłość boską - burknął.

- Niech pan weźmie ciepły szalik - powtórzyła. - Jeszcze pan całkiem nie wyzdrowiał.

Mruknął coś pod nosem o nadopiekuńczych matkach. A jednak wziął szalik i owinął nim szyję, zanim włożył kożuch i kapełusz.

Delsey wstała i przyniosła duży termos.

- Gorąca kawa. Rozgrzeje pana.

- Już jestem rozgrzany. - Skrzywił się, pochylił i pocałował jej pomarszczony policzek. - Dziękuję - rzekł szorstko.

Merrie nie podnosiła wzroku znad talerza, dopóki Ren nie zniknął za drzwiami. Przełknęła łyk kawy, zerkając smętnie na Delsey.

- Moja obecność w tym domu go drażni. - Westchnęła. - Na prawdę mnie nie znosi.

- Nie chodzi o ciebie, dziecko - odparła Delsey z uśmiechem. - Ta jędba naruszyła jego godność, zrobiła z niego pośmiewisko na forach społecznościowych w internecie. - Pokręciła głową. - Postanowiła się zemścić. Wszystko, co o nim napisała, to kłamstwo, ale bardzo ciężko odpiierać takie zarzuty.

- Tak, to trudne. - Merrie zastanowiła się, co takiego tamta kobieta mówiła o Renie. Był dumnym człowiekiem. Musiała bardzo zranić jego uczucia, wyśmiewając go w sposób, któremu nie mógł się przeciwstawić.

Usłyszały warkot dużego samochodu, a niedługo potem ktoś zastukał do drzwi kuchennych.

Delsey poszła zobaczyć, kto to, i w osłupieniu patrzyła na kuriera firmy przewozowej.

- Jest pan pewny, że nie pomylił pan adresu? - spytała.

- Nie pomyliłem, jeśli zastałem tu pannę Grayling - odparł, układając stertę pudełek tuż za drzwiami. Razem z nimi do środka wpadły płatki śniegu.

- To moje przybory plastyczne! - zawołała uradowana Merrie. - Och, dziękuję panu.

- To wszystko przybory plastyczne? - zdziwiła się Delsey, kręcąc głową. - A coś ty zamówiła, dziewczyno? Żywych modeli?

Kurier się zaśmiał, pomachał im i zawrócił do samochodu.

- Sztalugę, trochę płócien i dużo farb - wyjaśniła Merrie. - Bałam się prosić Sari o przysłanie ich z Teksasu. Nie chciałam, żeby ktoś wysledził paczkę.

- No tak - powiedziała Delsey, przypominając sobie, czemu Merrie się u nich znalazła. - Chodzi o tego człowieka, który cię nękał.

Merrie zmarszczyła czoło. Cóż, prawdopodobnie Ren nie chciał wyjawiać Delsey prawdy. Nieważne, FBI na pewno jest już na tropie płatnego zabójcy.

- Więc pomyślałam, że lepiej stąd je zamówię - dodała Merrie. - Ma pani nożyczki?

- Mam coś lepszego. - Delsey weszła dalej do kuchni i wróciła z nożem w skórzanym pochwie. - Pan Ren podarował mi go na urodziny. Wykonali go ci sami ludzie, którzy zrobili mu sportową broń.

- To on bierze udział w zawodach strzeleckich?

Delsey przytaknęła skinieniem głowy. Pochyliła się, żeby otworzyć paczkę.

- Teraz już nie tak często. Czasem poluje na łosie, jelenie czy kuropatwy. Na farmie jest tyle pracy, że nie ma wiele wolnego czasu.

- Wszyscy są tu bardzo zapracowani.

- Tak to już jest na ranchu, kochanie - powiedziała Delsey. - Zawsze jest coś do zrobienia.

- Na naszym ranchu było tak samo - przyznała Merrie. - Choć trzymaliśmy tylko konie. Bydła nie. Wciąż niewiele wiem na temat hodowli bydła, ale wszystkiego się dowiem. YouTube jest fantastycznym narzędziem.

Delsey posłała jej dziwne spojrzenie.

- Pan Ren lepiej się do tego nadaje. Czemu go nie poprosisz, żeby cię oprowadził i pokazał, jak opiekuje się bydłem?

Merrie westchnęła.

- Wskazałby ścieżkę do obory i powiedziałby, żebym sama sobie popatrzyła - odparła ze smutnym uśmiechem. - On mnie tu nie chce. Randall musiał o tym wiedzieć, zanim mnie tu przywiózł. Powinnam zostać w Comanche Wells.

Delsey delikatnie dotknęła jej włosów.

- Nie, powinnaś być tu, bo tu jesteś bezpieczna. Pan Ren się przyzwyczai, przekonasz się. A teraz zanieśmy te twoje skarby do pracowni.

Przeniosły przybory malarskie do pokoju, gdzie Merrie urządziła pracownię.

- Czy jego matka naprawdę malowała? - spytała.

- Tak - odparła Delsey. - A ojciec nie ożenił się po raz drugi. Kochał żonę aż do śmierci.

- Ren właściwie w ogóle nie mówi - w zadumie powiedziała Merrie.

- To prawda, nigdy o niej nie mówi. Nigdy do niej nie dzwoni. Ona przysyła kartki i listy... cóż, w każdym razie przysyłała... a on je odsyła nieotwarte. Chyba jej nie widział, odkąd skończył college i przyjechał tutaj. - Pokręciła głową. - To smutne. Z tego, co mówi o niej Randall, wygląda, że jego matka jest miłą osobą i tęskni za panem Renem.

Merrie milczała przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć, wreszcie wzięła głęboki oddech i wyznała:

- Nasza mama była promienna jak wiosna. - Dotknęła złożonych sztalug w pudle. - Tak bardzo nas kochała. Stale robiłyśmy coś razem, zabierała nas w różne miejsca. Po jej śmierci życie zamieniło się w koszmar.

Delsey nie chciała być wścibska, a jednak nie mogła opanować ciekawości i spytała:

- Na co zmarła?

Merrie przygryzła dolną wargę i wyznała po chwili:

- Naszym zdaniem ojciec ją zabił. Ale proszę nic mu nie mówić. - Wskazała na drzwi z zatroskaną miną, co znaczyło, że ma na myśli Rena. - Nasz ojciec był brutalnym, agresywnym paranoikiem. Mama zmarła z powodu wstrząśnienia mózgu, ale jeden z miejscowych lekarzy uważał, że to morderstwo. Zamierzał zrobić autopsję, ale nagle został gdzieś wezwany, a ojciec zapłacił komuś innemu, żeby zrobił autopsję podczas nieobecności tamtego patologa i uznał to za przypadkową śmierć.

- Czemu ten pierwszy lekarz nie protestował?

- Bo ojciec doskonale wiedział, komu wysłać ostrzeżenie, a komu zapłacić. - Zadrzała i objęła się ramionami. - Nie obraża sobie pani, jak ludzie się go bali. Miał coś na każdego, kto dla niego pracował, nawet na Mandy. Brat Mandy należał do gangu gdzieś na Północy, a ojciec groził, że pošle go do więzienia. Znał ludzi, którzy mogli podłożyć fałszywe dowody. Wszyscy w Comanche Wells, gdzie mieszkamy, bali się ojca, ale

to jeszcze nic. Bali się go ważni ludzie z Jacobsville, w ogóle sterroryzował całą miejscową społeczność.

- Przecież jest policja...

- Każdy ma rodzinę - odparła Merrie. - Jeśli ktoś grozi twojemu dziecku, to się po prostu śmiertelnie boisz. A ojciec był bardzo dobry w zastraszaniu. - Nie dodała, że był najbogatszym człowiekiem w tej części Teksasu.

- Mój Boże - westchnęła ze smutkiem Delsey, która dostrzegła na twarzy Merrie nadal obecny cień strachu. - Cóż, teraz już nie może was skrzywdzić.

- No nie. - Merrie zaśmiała się cicho. - Wreszcie możemy zostawić ręczniki na podłodze, dywaniki nie muszą leżeć prosto i nikt nie sprawdza, czy łóżko jest posłane jak należy. Wreszcie możemy mieć w pokoju bałagan. Mam nawet w swojej łazience ręczniki w różnych kolorach. - Skrzywiła się. - Kiedyś za coś takiego dostałam pasem.

- Ojciec pana Rena też bił go pasem. Tak mówił.

- Ale nie tak jak mój... no, na pewno nie. Nie sądzę, żeby uderzał go klamrą. To była ciężka klamra, metalowa. Zostały mi... blizny. - Nerwowo przełknęła i przesunęła się. - To już przeszłość. Już nigdy więcej nie zrobi nam krzywdy.

- Tak mi przykro. Musiałaś mieć bardzo ciężkie dzieciństwo.

- Nawet sobie pani nie wyobraża. Nie wolno nam było chodzić na imprezy, na lekcje tańca czy na kurs prawa jazdy. Tata nie pozwalał nam umawiać się na randki. Mam dwadzieścia dwa lata, na Boga, a nikt mnie jeszcze nie całował.

- Co? - wyrwało się zdumionej Delsey. - Przecież jesteś dziewczyną Randalla.

- Nie, nie jestem - stanowczo zaprzeczyła Merrie. - Jestem jego przyjaciółką, nic więcej. - Uśmiechnęła się. - Randall należy do mężczyzn, którzy lubią kobiety. On ich nie kocha, tylko je wykorzystuje, a kiedy jedną się znudzi, zaraz szuka nowej. Sari i ja chodziłyśmy do kościoła. Nauczono nas tam, że kobiety nie zadają się z mężczyznami przed ślubem. Prawdę mówiąc, uczyliśmy nas też, że mężczyźni nie powinni zadawać się z kobietami przed ślubem. Że dzieci są owocem miłości dwojga ludzi, męża i żony, i że zasługują na to, żeby wychowywało je dwoje rodzi-

ców. – Spojrzała na Delsey zmieszana. – Trudno nam porozumieć się z ludźmi, którzy myślą inaczej, nowocześniej. Więc trzymamy się razem.

– Dziecko, jest mnóstwo ludzi, którzy nadal tak myślą, tyle że zostają zakrzyczani i czują się gorsi przez te swoje zasady. To taki test dla człowieka. Jeżeli w coś wierzy, nie powinien być zmuszany do obrony swoich poglądów. – Zaśmiała się. – Niektórzy twierdzą, że należy szanować opinie i poglądy innych ludzi, a potem nas atakują za to, że jesteśmy religijni. Nie szanują niczych przekonań prócz swoich i tak naprawdę nie wierzą w nic poza dobrą zabawą i sprawianiem sobie przyjemności. Uważają, że zasady są dla głupców.

– Naprawdę panią lubię. – Merrie uśmiechnęła się. – Przypomina mi pani naszą Mandy. Jest z nami, odkąd byliśmy bardzo małe, a po śmierci mamy w pewnym sensie nam matkowała, jeśli pani wie, co mam na myśli.

– Tak jak ja panu Renowi. – Delsey zaśmiała się. – Randalla też kocham, ale rzadko tu bywa. Zajmuje się głównie marketingiem i sprzedażą byków rasy black angus, z których słynie Skyhorn. Przez większą część roku nie ma go w domu.

– Randall świetnie dogaduje się z ludźmi – stwierdziła Merrie. – Polubiłam go od pierwszej chwili, ale to nie jest mężczyzna, którym mogłabym się poważnie zainteresować. Nie jestem rozrywkową dziewczyną.

– A on myślał, że jesteś? – spytała gospodyni.

– Nie wiem. Flirtował ze mną, ale ja nie potrafię flirtować. Kiedyś miałam iść na randkę ze znajomym kowbojem, ale ojciec się o tym dowiedział i kazał mu wynieść się na Wschodnie Wybrzeże, odgrażał się, że wsadzą go za kratki za jakieś dawne przestępstwo, chociaż chłopak został oczyszczony z zarzutu. – Wspomnienie było bolesne. – Potem zrzucił mnie ze schodów... i już nigdy więcej nie próbowałam się z nikim umówić.

– Och, dziecko – powiedziała cicho Delsey. – Tak mi przykro.

– Dlatego nie bardzo miałam ochotę spotykać się z Randallem. Niewiele mu o sobie powiedziałam, ale wspomniałam, że umawianie się na randki wiąże się dla mnie z pewnym zagrożeniem. I że za bardzo się różnimy. Powiedziałam mu za to, że

będę szczęśliwa, jeśli zostanie moim przyjacielem. – Uśmiechnęła się. – To nam wyszło o wiele lepiej. Randall jest bardzo sympatyczny.

Patrząc na nią, Delsey rozumiała, czemu Randall się nią zainteresował. Była ładna, dobra i miła. Niestety Randall nie potrafił związać się na dłużej z jedną kobietą. Był zbyt lekkomyślny i niestały. Ren z kolei uważał, że Merrie jest podobna do innych dziewczyn Randalla, które przywoził na ranczo. Większość z nich ostentacyjnie zabiegała o względy Rena. To były kobiety o nowoczesnym podejściu do kwestii seksu. Delsey tego nie akceptowała, ale nie miała prawa się wtrącać. Jeśli któraś z kobiet Randalla lądowała w łóżku Rena, to jej zmartwienie. Wiedziała, jak to się skończy.

Jednak Delsey miała nadzieję, że Ren nie zalicza Merrie do tej kategorii kobiet, bo to mogło przynieść określone konsekwencje. Zbyt rzadko z nią przebywał, by lepiej ją poznać, zaś Randall niewiele o niej mówił, a to po prostu recepta ma katastrofę!

Cóż, ale ten problem nie wymagał natychmiastowego rozwiązania. Delsey pomogła Merrie przenieść na miejsce płótna, farby i inne akcesoria, w tym piękne, używane przez Merrie pędzle.

– Co malujesz? – spytała, patrząc znacząco na płótno na sztaludze.

– Obiecuje pani, że nic mu pani nie powie? – spytała z niepokojem Merrie.

– Obiecuje.

Merrie zdjęła z płótna okrywający je kawałek materiału. Znalazła to płótno w pracowni i wykonała na nim szkic, oczekując na dostawę przyborów malarskich. A ponieważ nie miała ani farb, ani grafionów, posłużyła się miękkim ołówkiem.

Pomimo tego obraz był tak realistyczny, że Delsey zdumiona wzięła gwałtowny oddech.

– Mówiłaś, że niewiele malujesz! – zawołała. – To nie jest... To jest wspaniałe! – Nie znajdowała słów dla wyrażenia swojego podziwu.

Merrie uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Zawsze lubiłam rysować i malować. Sari mówi, że

mogę kupić... – Już miała na końcu języka: „sklep z przyborami malarskimi”, ale się powstrzymała. Nie chciała zdradzać swojej sytuacji finansowej, bo zazwyczaj bardzo to onieśmiało ludzi. – Że będę mogła urządzić wystawę moich prac w miejscowym sklepie z przyborami plastycznymi, gdzie jest też galeria.

– Gdzie? W sklepie z przyborami plastycznymi? – prychnęła Delsey, ze wzruszeniem patrząc na szkic. – Uchwyciłaś tę jego minę, której nigdy nie rozumiałam.

– To smutek – oznajmiła cicho Merrie. – Jest sam, zamknięty w sobie. Nie chce się otworzyć ani nikogo do siebie dopuścić. Jest silny i czuły, i jest w nim wiele miłości, ale nie ufa kobietom. Nie za bardzo też je lubi. – Odwróciła się do Delsey, która wydawała się zdziwiona takim postrzeganiem Rena. – Jak on poznał tę kobietę, o której mi pani opowiadała?

– Mówisz o Angie... – Delsey spochmurniała. – Była jedną z dziewczyn Randalla, a on przyjechał tu z nią z wizytą. Wiedziała, że Ren ma więcej pieniędzy, niż Randall odziedziczył po ojcu, więc próbowała zdobyć Rena. Przymiliła się do niego, wciąż za nim łąziła. On był bardzo samotny, a ona była natarczywa. Jeśli chcesz znać moje zdanie, tak go rozpałała, że zaręczył się z nią z desperacji. Niedługo potem znalazł ją w niedwuznacznej sytuacji, gdy zabawiała się z jego dwoma partnerami biznesowymi. Na co pan Ren ściągnął jej z palca pierścionełk zaręczynowy i spuścił z wodą w toalecie, a Angie na to patrzyła.

– Biedny Ren.

– Posunęła się do tego, że zaczęła wypisywać o nim ohydne kłamstwa w internecie. Znamy tu kogoś, kto pracuje dla tutejszego ranczera Mallory’ego Kirka. Nazywa się Red Davis i jest magikiem, potrafi włamać się do każdej sieci. FBI chciało go zatrudnić, ale on woli bydło niż ludzi, więc odmówił. Pomógł bratu Mallory’ego, kiedy jego dziewczyna została zaatakowana przez podłego ojczyma, który zamieścił w sieci jej obsceniczne zdjęcia po obróbce Photoshopem. Red wszystko wyczyścił. To samo zrobił dla Rena, a Angie została aresztowana i skazana. Dostała wyrok w zawieszeniu, ale już nigdy nie napisała o Renie ani słowa. Tak czy inaczej, do dziś pozostał rozgorączony i zgorzkniały. To było wiele miesięcy temu, a on wciąż to rozpamiętuje.

- Zauważyłam.

- Tak naprawdę nie jest złym człowiekiem. Przykro mi, że tak szorstko cię traktuje. Gdybyście spotkali się w innych okolicznościach, mógłby zareagować zupełnie inaczej.

- Innymi słowy, gdyby Randall mnie tu nie przywiózł.

- No właśnie. Jesteś pierwszą kobietą od czasu Angie, którą Randall tu przywiózł. Pewnie dlatego jest taki zły.

Merrie westchnęła. Takie jej szczęście, że podoba jej się mężczyzna, który z powodu dziewczyny Randalla ma fałszywe wyobrażenie na jej temat. Dopiero teraz zaczęła rozumieć, czemu Ren tak źle znosi jej obecność.

- Innymi słowy, byłoby najlepiej, gdybym wróciła do domu, prawda? - stwierdziła, głośno myśląc.

- Nie bierz jego humorów do siebie - odparła Delsey. - Poza tym czy nie zależało ci na tym, żeby znaleźć się jak najdalej od tego natręta, który cię nagabywał?

Merrie odwróciła się, marszcząc czoło. Naraziła zdrowie i życie tych ludzi samą swoją obecnością w ich domu. Delsey tak bardzo przypominała jej Mandy, była tak samo dobra, życzliwa i kochająca.

- Nie wie pani o mnie wszystkiego - zaczęła.

Przerwał im dzwoniący na dole telefon.

- Och, muszę odebrać. Mówiłam panu Renowi, że trzeba zainstalować telefon na górze, a on odparł, że to wyrzucanie pieniędzy - burknęła, ruszając po schodach. - To nie jego stare i zmęczone nogi biegają z góry na dół, żeby odebrać telefon.

Merrie zaśmiała się pod nosem, po czym skupiła się na szkicu do portretu Rena. Uchwyciła samo sedno tego człowieka. Wiedziała, że to będzie jej najlepszy obraz.

Pracowała nad nim niestrudzenie przez tydzień, dokonując poprawek, aż osiągnęła to, na czym jej zależało. Kiedy portret był skończony, odwróciła go do ściany, a to na wypadek, gdyby Ren się tu pojawił, i zaczęła znów malować Hurricane'a.

Pewnego wieczoru spóźniła się na kolację, a ponieważ Ren nadal był nieugięty, jeśli chodzi o obowiązujące w jego domu zasady, musiała obejść się smakiem. W małej lodówce w swoim

pokoju znalazła kanapkę, którą przygotowała jej Delsey. Popiła ją wodą mineralną, także zostawioną przez gospodynię. Miała nadzieję, że Ren nie odkryje jej ukrytych skarbów, bo na pewno by mu się to nie spodobało. Nie chodziło o to, że Merrie nie potrafi przywyknąć do sztywnych reguł obowiązujących na ranczu Rena. Miała po prostu nadzieję, że tu będzie inaczej. Ale może wszyscy są tacy jak jej ojciec i Ren, pomyślała. Po prostu oczekują określonych zachowań i nie chcą tego zmienić.

Kiedy zjadła kanapkę, na palcach zeszła do pracowni. Ubrana była w koszulę nocną i gruby biały bawełniany szlafrok, spod którego wystawały gołe stopy, bo zapomniała spakować kapci.

Drzwi pracowni były lekko uchylone. Pchnęła je i ujrzała Rena zapatrzonego na portret Hurricane'a, który właśnie skończyła.

Usłyszał ją i odwrócił się. Miał na sobie dżinsy i flanelową koszulę z długimi rękawami, czerwoną w czarną kratę. Był bez butów, za to w skarpetkach. Jego włosy wyglądały, jakby w irytacji zaczesywał je ręką do tyłu.

- Pani to namalowała? - spytał, a w całej jego postawie widać było zdumienie.

- Cóż... tak - przyznała, czerwieniąc się. Miała nadzieję, że nie oglądał innych płócien. Zerknęła na nie i z ulgą zobaczyła, że jego portret wciąż był odwrócony do ściany.

- A ja słyszałem, że tylko trochę pani umie rysować. Co ciekawsze, usłyszałem to od pani - podjął.

- No właśnie, tylko trochę. - Wzruszyła ramionami.

- Ten obraz mógłby śmiało wisieć w prestiżowej galerii - mówił powoli, szukając słów, by wyrazić swoją opinię. Był zaszokowany, kiedy zobaczył, co jego gość potrafi zrobić z farbami i płótnem. Nie znał nikogo, kto by tak malował. Rzadko widywał obraz namalowany z większym talentem i wnikliwością. Hurricane uwieczniony na płótnie miał widoczne blizny na głowie, szyi i plecach, jednak to oczy były najważniejsze. Jeśli konie mają dusze, to ten ją ujawnił. Patrząc mu w oczy, Ren poczuł dziwne dreszcze. To było spojrzenie ludzkiej istoty, która została brutalnie pobita, a nie spojrzenie zwierzęcia.

- Dziękuję - powiedziała Merrie poniewczasie.

- Namalowała pani coś więcej? - Patrzył na obraz odwrócony do ściany.

- Ten dopiero zaczęłam, jeszcze nie jest gotowy - zaprotestowała nieśmiało.

Ren przekrzywił głowę.

- A ma pani jakieś szkice?

Zawahała się. Potem podeszła do szafki, gdzie trzymała szkicownik i płótna. Wyjęła największy szkicownik i z ociąganiem podała go Renowi.

Usiadł na wyściełanym krześle i zaczął przeglądać jej rysunki. Tematy prac go urzekły. Była tam uwieczniona ołówkiem Delsey, a rysunek pokazywał jej wewnętrzne piękno w sposób, jakiego Ren nigdy dotąd nie widział. Byli też jego inni pracownicy, starzy i młodzi. Był nagrodzony byk, Colter's Pride 6443, w całej swojej czarnej lśniącej chwale, tak realistycznie przedstawiony, że zdawało się, iż zeskoczy z kartki papieru.

Każdy z tych szkiców opowiadał jakąś historię. Ren dostrzegł tam dumę, ból, żal, rezygnację, rozbawienie i smutek; w oczach bohaterów tych szkiców, które były tak ekspresyjne, widział ich przeszłość i teraźniejszość.

- Mój Boże - odezwał się wreszcie łagodnym i pełnym szacunku tonem. - To dlatego spóźnia się pani na posiłki.

- Zapamiętuję się w pracy. - Wzruszyła ramionami. - Wystarczy, że linia jest nie w tym miejscu albo widzę nie dość cienia, albo jedno oko nie pasuje do drugiego. Więc rysuję i wymazuję, i zmieniam, aż jestem zadowolona. - Uśmiechnęła się smutno. - Sari mawia, że któregoś dnia tornado porwie mnie z pędzlem w ręce, a ja nic nie zauważę, tylko będę wpatrywała się w płótno. - Zaśmiała się. - Pewnie ma rację. Kiedy pracuję, tracę poczucie czasu.

Ren przekrzywił głowę. Jej nocny strój był dość dziwny. Pamiętał tamtą noc, kiedy miała koszmary sen, pamiętał, jak się czuł, gdy na nią patrzył. Była dziewczyną Randalla. Brat dał mu to jasno do zrozumienia, dzwoniąc tu kilka razy podczas jej pobytu. To nie jest Angie, mówił, więc trzymaj ręce przy sobie. Merrie jest moja.

Merrie. Ren wolał nazywać ją Meredith, bardziej jej to pasowało.

wało niż dziecięce zdrobnienie, którego używał brat, choć podał mu jej pełne imię. Wędrował spojrzeniem po grubym bawełnianym szlafroku, który zakrywał ją od szyi aż po kostki. Uśmiechnął się na widok bosych stóp.

- W tym domu jest za zimno, żeby chodzić boso - stwierdził. - Przeiębi się pani tak jak ja.

- Nie jest mi zimno. - Nerwowo poruszyła palcami u stóp.

- Nie ma pani kapci?

- Kupię sobie kapcie w internecie.

- Mówiłem pani, że mam rachunek w miejscowym sklepie. Delsey zawiezie panią do miasta. Niech pani kupi płaszcz, kapcie... - Ściągnął wargi. - Aha, i suknię wieczorową. Coś ładnego. Pasujące buty i torebkę. I co tam pani potrzebuje pod suknię. - Zmrużył oczy pod wpływem wizji, jak Merrie wygląda pod grubym szlafrokiem.

- Po co mi suknia wieczorowa? - Mocniej zawiązała pasek.

- Na przyjęcie. Nie mam ochoty tam iść, ale jak nie pójdę, będzie jeszcze więcej plotek. Angie się tam pojawi - dodał lodowato.

Angie, czyli kobieta, która go oszukała i zdradziła...

- Przyjęcie?

- Tak. - Nagle spojrzał na nią chłodno. - Chyba potrafi pani tańczyć.

- Nie - odparła, nie kryjąc tęsknoty.

- Nie potrafi pani tańczyć? - Aż podniósł głos ze zdumienia.

- Tata nie pozwalał nam chodzić na randki ani imprezy - wyznała ze smutkiem. - Widziałam w telewizji, jak ludzie tańczą, i raz zatańczyłyśmy z Sari cza-czę... - Zamilkła gwałtownie.

Ren pochylił się do przodu i spytał:

- Tylko raz?

- Tata nas przyłapał. Uważał, że taniec to coś złego. - Przełknęła. - Nie, ja nie tańczę.

- Mogę panią nauczyć.

Podniosła wzrok i spojrzała w jego łagodne niebieskie oczy, i nagle poczuła dziwną słabość.

- Naprawdę?

Kiwnął głową i przeniósł spojrzenie w dół jej ciała.

- Czemu nosi pani taki szlafrok, który całą panią zakrywa? To strój dla starszej damy, nie dla pani.

- Nigdy nie przebywałam w towarzystwie mężczyzn o takiej porze, gdy szykuję się do snu. - Zakłopotana przestąpiła z nogi na nogę. - Kiedy miałam ten koszmarny sen, po raz pierwszy widział mnie w łóżku ktoś inny niż Sari i Mandy.

Ren przypatrywał się jej bacznie. Dobra jest, pomyślał. Gra niewinną i robi to z prawdziwym talentem. A przecież to dziewczyna Randalla, a braciszek nie spotyka się z dziewczynami, które są jak mniszki. Czyli jest taka sama jak Angie, tylko lepsza z niej aktorka.

- Muszę wracać na górę - nagle oznajmiła Merrie, bo bardzo jej się nie spodobało, jak Ren na nią patrzył.

Przeniósł wzrok z Merrie na portret Hurricane'a.

- Mówiłem poważnie o pani talencie - stwierdził już łagodnym tonem. - Powinna pani wystawiać swoje prace.

- Może kiedyś. - Uśmiechnęła się do tej wizji. - Ale póki żył tata, nie miałam odwagi tego zrobić, bo ludzie mogliby zacząć gadać o mnie i całej naszej rodzinie. A on nienawidził, gdy coś przyciągało do niego uwagę innych ludzi. Nie wolno nam było nic takiego robić. Był... bardzo skrytym człowiekiem.

- Zabrzmiało mi to raczej tak, jakby był szaleńcem - stwierdził Ren. - I powinien siedzieć za kratkami. Do diabła, co jest nie tak ze społecznością, w której pani mieszka? Czy ludzi nie obchodzi, co się dzieje z ich sąsiadami? Dwa lata temu walnąłem jednego gościa za to, że przystawiał się do dwunastoletniej córki mojego kowboja, i wywaliłem go z roboty. To nie był mój problem, ale uznałem, że jednak jest mój. W małych społecznościach ludzie troszczą się o siebie nawzajem. Przynajmniej tu, w Wyomingu.

Merrie wzięła głęboki oddech. Temat był naprawdę trudny.

- Nie wie pan, jak to było - powiedziała w końcu. - Tata miał przyjaciół gangsterów, a oni robili dla niego różne okropne rzeczy. Ludzie się go bali, nawet ci, którzy mieli władzę. Ot, choćby policja... Oczywiście teraz już jest lepiej. W naszej okolicy mieszka wielu emerytowanych najemników i byłych wojskowych, a Eb Scott prowadzi znaną na całym świecie szkołę anty-

terrorystów, która mieści się kilka kilometrów od naszego domu. Kiedy ktoś próbował zabić Sari, wypożyczył nam dwóch ludzi.

- Ktoś próbował zabić Sari? - spytał Ren zaszokowany.

- Morris. Był jednym z ludzi taty, dla pieniędzy zrobiłby wszystko. Syn pewnej kobiety wynajął go, żeby zabił moją siostrę.

- Na Boga, czemu chciał zabić pani siostrę? - Renowi to wszystko wprost nie mieściło się w głowie.

- Randall nie wyjawiał panu, dlaczego zależy mu na tym, żeby zamieszkała tu na jakiś czas? - spytała, marszcząc czoło.

- Powiedział, że odtrącony kochanek nie daje pani spokoju - odparł, a jego oczy mówiły, że uznał to za mało wiarygodne. Owszem, niebrzydka, ale żadna z niej budząca szaleńcze żądze piękność, żadna *femme fatale*.

- Prawda jest inna. - Westchnęła ciężko. - Mój ojciec... zabił kobietę. Wydała go FBI, ponieważ był zamieszany w pranie brudnych pieniędzy. Jej syn był, to znaczy jest niezrównoważony. Bardzo kochał matkę. Zostawiła mu sporo pieniędzy, których FBI nie może tknąć. Myślał, że nasz ojciec bardzo nas obie kocha, bo był nadopiekuńczy, więc zlecił zamordowanie nas obu, żeby się na nim zemścić.

Ren patrzył na nią osłupiały. Było oczywiste, że nie miał o niczym pojęcia.

- Morris pracował dla taty długi czas i znał nas - podjęła Merrie. - Gdy pierwszy raz strzelał do Sari, spudłował. Za drugim razem znów mu się nie udało, za to Paul, który obecnie jest mężem Sari, rozpoznał ślady opon w miejscu, gdzie znaleziono łuski. To był samochód z naszego garażu. Więc Morris został aresztowany i myśleliśmy, że to koniec kłopotów.

Twarz Rena stwardniała.

- Proszę mówić dalej.

- Już dochodzimy do sedna sprawy. Bo to nie był koniec kłopotów. - Skrzywiła się. - Paul dowiedział się, że Morris został wynajęty tylko do zabicia Sari, a na mnie ten człowiek wynajął kogoś z Bostonu. To dobrze znany wśród gangów i mafijnych organizacji płatny morderca, który słynie ze skuteczności i nie-

uchwytności. Syn tej kobiety myślał, że skoro jestem młodszą z córek, to muszę być ukochaną córeczką tatusia. - Przerwała na moment. - Paul wyjawiał mi, a naprawdę wie, o czym mówi, że ten płatny morderca z Bostonu działa od prawie dwudziestu lat i jest jednym z najlepszych profesjonalistów. To właśnie on ma mnie zabić.

Ren patrzył na nią z głęboką troską w czarnych oczach. Gdy Merrie zamilkła, i on milczał zadumany głęboko.

- Przepraszam - powiedziała Merrie. - Myślałam, że Randall powiedział panu prawdę, skoro jednak tak się nie stało, to nie powinno mnie tu być. Przyjął mnie pan pod swój dach, nie znając podstawowych faktów. To niedopuszczalne, to nieetyczne. Narażam was na niebezpieczeństwo. Muszę wyjechać...

- Nie! - Gdy spojrzała na niego zdumiona gwałtownością reakcji, zaczął obszernie wyjaśniać: - Kazałem tu zamontować najnowocześniejszy system alarmowy. Działa wszędzie, na całym ranczu, przy każdej bramie. Między innymi mamy program rozpoznawania twarzy, wszędzie są też kamery z podczerwienią. - Odetchnął głęboko. - Moje byki są warte miliony i naprawdę nie ryzykuję, jeśli chodzi o ich bezpieczeństwo. Ale to także znaczy, że pani jest tu bezpieczna. I niech jaśnisty szlag trafi mojego brata! Oberwie za to, że ukrył przede mną prawdę. - Przeklął szpetnie. - Byłoby lepiej, gdybym od początku wszystko wiedział. Ale już wiem... i tym bardziej nie odeślę pani do domu. Och, nigdy bym tego nie zrobił.

Mocno przygryzła wargę, powstrzymując łzy.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Mamy w domu jakieś środki ochrony, no i wprowadziło się do nas dwóch ludzi Eba Scotta, a Sari powiedziała tacie, że się nie wyprowadzą. Wyszedł wściekły, ale niedługo potem został aresztowany i musiał wnieść kaucję. - Pokręciła głową, uśmiechając się smutno. - Zamierzał wydać Sari za księcia z Bliskiego Wschodu, żeby zdobyć miliony na adwokatów. Jego majątek, który powstał dzięki łamaniu prawa, został skonfiskowany przez FBI.

- Co na to Sari?

- Nie zgodziła się. Zamknął się z nią w pokoju. Baliśmy się, ale obiecał, że tylko z nią porozmawia. Potem usłyszeliśmy

trzask pasa. – Zamknęła oczy i zadrżała, nie widząc wyrazu twarzy Rena, którego zżerało poczucie winy, że tak ją przeraził swoim pasem na początku ich znajomości. – Nasz ochroniarz usłyszał jej krzyki i włamał się do gabinetu. Ręka Sari krwawiła w miejscu, gdzie tata ją uderzył. A on siedział w fotelu, na który upadł... martwy jak kamień.

– Dobry Boże.

Merrie schowała ręce do kieszeni szlafroka.

– Sari twierdziła, że go zabiła, że to przez nią nie żyje, ale Paul zapewniał ją, że to nieprawda. Autopsja wykazała, że nadużywał narkotyków i miał uszkodzenia w mózgu. To doprowadziło do ataku serca. Ale przez kilka dni musieliśmy pilnować Sari, która zamknęła się swoim pokojem. Paul musiał wrócić z Brooklynu, bo tylko jego słuchała. – Uśmiechnęła się. – Pracował u nas, a ona od lat go kochała... aż nagle wyjechał. Podał tacie jakiś idiotyczny powód. Powiedział, że jest żonaty, choć tak naprawdę był wdowcem, a Sari z nim flirtuje, jak to młoda dziewczyna. Tata przyjął jego rezygnację i dał mu odprawę. Po jego wyjeździe tata zawołał Sari do gabinetu...

Ren pochylił się naprzód. Wszystko to, co usłyszał od Merrie, doprowadzało go do furii. Żałował, że stary Grayling już nie żyje, gdyż z wielką ochotą podyskutowałby z nim o używaniu pasa wobec kobiet.

– Co zrobił? – spytał cicho.

– Omal nie pobił jej na śmierć – odparła Merrie załamującym się głosem. – Słyszałam jej krzyki. Tata wysłał Mandy na duże zakupy świąteczne, bo nie chciał mieć świadków. Wbiegłam do gabinetu i próbowałam go powstrzymać, a wtedy on zwrócił się przeciw mnie. – Zamknęła oczy, wspomnienie bolało. – Zatrudniłam lekarza, który stracił licencję. Zszywał nasze rany i dawał nam antybiotyki, zajmował się nami, kiedy dochodziłyśmy do siebie. Kiedy Mandy wróciła do domu, nie miałyśmy odwagi nic jej powiedzieć. Tata przechwalał się, że zabił wielu ludzi i uszło mu to na sucho. Jak byśmy się czuły, gdyby coś stało się Mandy? Udawałyśmy, że nic się nie dzieje...

Ren skrzyżował nogi w kostkach. Nie mógł uwierzyć, że człowiek może być tak okrutny dla swoich dzieci. Syn tamtej zmar-

łej kobiety musiał szczerze nienawidzić Graylinga, skoro wynajął ludzi, którzy mieli zabić jego córki.

- Czy ten człowiek, który wynajął morderców, nie wiedział, że wasz ojciec już nie żyje?

- Dowiedział się po tym, jak wynajął mordercę z Bostonu. W samą porę, co? Mówili, że upadł na ziemię i zaczął płakać. Zrobił wszystko, co mógł, starał się odszukać mordercę... a teraz siedzi w więzieniu i czeka na rozprawę. Nawet współpraca z władzami nie uchroniła go przed odsiadką.

- I dobrze - chłodno stwierdził Ren. - Piekielny tchórz z niego i tyle.

- Tata zabił jego matkę - przypomniawsza Merrie. - Więc upił się z rozpaczony i wynajął ludzi, żeby wyrównać z nim rachunki. - Potrząsnęła głową. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Czuję się, jakbym oglądała w telewizji jakiś stary film o gangsterach.

- Świetnie panią rozumiem. - Wstał z krzesła i stanął naprzeciw Merrie. - Obiecuję, że będzie tu pani bezpieczna.

Podniosła wzrok, spojrzała w jego czarne oczy i poczuła, że nogi miękną jej w kolanach. Był taki przystojny. Pomyślała, że nigdy nie będzie miała dość patrzenia na Rena.

- Och wiem, że śmierć wcześniej mnie znajdzie, nim zdążę się znudzić twoim widokiem - powiedziała w zamyśleniu, nie spuszczać z niego wzroku. A gdy sobie uświadomiła, co jej się właśnie wyrwało, zaczerwieniła się od dekoltu aż po czoło.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wydawało się, że Ren jest naprawdę rozbawiony.

- Cytuje pani Ruperta Brooke'a? Zmarł w tysiąc dziewięćset piętnastym roku podczas pierwszej wojny światowej, a wiersz został opublikowany po jego śmierci.

- To piękny wiersz. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Nie chciałam tak...

Podszedł krok bliżej i dotknął jej długich, jasnych i miękkich włosów.

- Pamięta pani ostatnie linijki?

- Tak. Ja nie chciałam...

- A ty się odwróć i potrząśnij ciemnymi lokami, rozbawiona pośród dawno zmarłymi - zacytował.

- Cóż, gdybym nie przyglądała się ludziom, nie mogłabym ich malować - powiedziała zdenerwowana.

Odwróciła wzrok, patrząc na ścianę.

- No dalej, tchórzku, niech pani mi to pokaże - prowokował Ren.

Merrie zacisnęła zęby. Zdenerwował ją. Brakowało jej pewności siebie, a on... z nią flirtował. Bo czyż to nie flirtowanie? Do tej pory tylko Randall z nią flirtował. Nie, jeszcze ten kowboj Rena. Jak on się nazywa? Tubbs. Tak, Tubbs zdecydowanie z nią flirtował. Nie miała pojęcia, jak się zachować.

Niechętnie wzięła płótno, odwróciła je i postawiła na drugiej sztaludze. Cofnęła się i pozwoliła Renowi spojrzeć na portret.

To był on, unieśmiertelniony olejnymi farbami, siedzący przy ognisku w kapeluszu naciągniętym na czoło. Patrzył na ogień, wyciągając do niego duże, piękne męskie dłonie. Obok niego leżała sportowa broń i nóż w skórzanej pochwie z frędzlami w kolorze beżu. W tle wznosiły się wysokie sosny, a jeszcze dalej stało ledwie widoczne na horyzoncie tipi.

Ren patrzył oniemiały. Portret przedstawiał jego prawdziwą

twarz, nie tę, którą pokazywał światu. Były tu wszystkie jego emocje: rozpacz, żal, skrywana nienawiść, ale też siła, solidność i moc, którymi emanował.

- Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem - rzekł w końcu.
- To jest... nie znajduję słów. - Odwrócił się do niej. - Może pani mi go sprzedać, za ile pani zechce.

- Nie, nie. Daję swoje obrazy w prezencie. Nie sprzedaję ich.

- Powinna pani sprzedawać - upierał się. - Nikt na świecie w tych trudnych czasach nie odmówiłby wzięcia pieniędzy.

- Mam wszystko, czego mi trzeba. - To była prawda. Ale nie zdradzi mu, że ma dwieście milionów dolarów na koncie w szwajcarskim banku.

Była dla Rena zagadką. Pragnął jej i nienawidził się za to. Należała do Randalla. Musiała być doświadczona. Ale kiedy był tak blisko Merrie, cofała się, jakby ją przestraszył. Czy to gra? Dowie się tego, i to wkrótce.

- To prezent - powiedziała Merrie, wręczając mu obraz. Nie chciała się z nim rozstawać, bo namalowała go dla siebie, ale nie mogła się do tego przyznać.

- Dziękuję - rzekł oficjalnie. - Na pewno nie przyjmie pani czeku?

- Na pewno.

- W porządku. Ten portret Delsey...

- Zamierzam go jej podarować - przerwała mu z uśmiechem.

- Jest taka miła, taka dobra. Nie wiem, jak bym sobie bez niej poradziła.

- Tak. Mała lodówka w pani pokoju, gdzie trzyma pani kanapki i butelki z wodą? - zażartował.

- O Boże, nie miałam pojęcia, że pan wie!

- Wiem o wszystkim, co się tu dzieje. Jestem szefem. - Wziął głębszy oddech. - Och, do diabła, może się pani spóźnić na posiłki. Powiem Delsey. Artystów nie da się wziąć w cugle. Równie dobrze można zaganiać koty.

Zaśmiała się bezradnie.

- Postaram się bardziej - powiedziała.

Wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. Dobranoc. - Spojrzał na nią. W jego czar-

nych oczach było coś, co nie dało jej spać jeszcze długo po jego odejściu.

Nazajutrz rano podczas śniadania Ren spytał Merrie, czy chciałyby pojechać z nim i zobaczyć ranczo.

- Jezu, naprawdę? - zawołała.

- Naprawdę - odparł, starając się nie pokazać, jak poruszył go jej entuzjazm.

Merrie żwawo zabrała się do jedzenia. Delsey, patrząc na nią, skryła uśmiech.

Ren zmarszczył czoło, widząc, że Merrie wyszła z domu w tym swoim przewiewnym płaszczyku. Na głowę włożyła zrobioną przez siebie czapkę w odcieniach żółci, błękitu i różu. Długie jasne włosy wypływały spod niej jak jedwab.

- Pada śnieg i jest poniżej zera - zauważył. - Zamarznie pani.

- Och nie, nic mi nie będzie - uspokoiła go przestraszona, że zmieni zdanie. - Naprawdę.

Widziała, że chwilę zastanawiał się, co zrobić.

Podeszła bliżej Rena i spojrzała tymi swoimi jasnoniebieskimi oczami na jego ogorzałą twarz.

- Nic mi nie będzie, naprawdę.

Jej głos odbił się w nim miłym echem. Od czasu Angie nawet nie patrzył na kobiety, ale przy Meredith czuł się młodszy, pełen werwy i optymizmu. Od lat się tak nie czuł.

- Naprawdę - powtórzyła.

Nabrał głęboko powietrza i naciągnął kapelusz na czoło.

- No dobrze. Ale jak pani zachoruje, będę to pani wypominał do końca życia. Rozumie pani?

Uśmiechnęła się psotnie.

Podsadził ją na jednego ze starszych wierzchowców, konia palomino, którego nazwał Sand. Ren jechał na czarnym wałachu, pięknym błyszczącym koniu, który był bardzo podobny do Hurricane'a. Merrie od razu to zauważyła.

Ren zaśmiał się.

- Nic dziwnego, to jego brat, cztery lata starszy.

- Piękne zwierzę.

- Ruszamy! - zawołał, kiedy jego koń pognął naprzód długą ścieżką prowadzącą obok stodoły i stajni, i sąsiadujących z nimi zagród.

Merrie poganiała swojego wierzchowca. Bardzo lubiła jeździć konno. Szkoda, że nigdy nie miała sposobności robić tego tak często, jak by chciała. Ojciec nie lubił, kiedy córki kręciły się po ranczu, gdzie pracowali mężczyźni.

- Jak duży jest Skyhorn? - spytała, unosząc twarz, na którą spływały miękkie płatki śniegu.

- Tysiące hektarów - odparł.

- Nasze ranczo ma tylko parę setek hektarów. - Nie dodała, że na ich stosunkowo niewielkim ranczu hodowano najśłynniejsze na świecie konie czystej krwi.

- To nie macie tam chyba wiele sztuk bydła, co? - spytał.

- Tata trzymał tylko konie, nie lubił bydła.

Ren zerknął na nią z cierpkim uśmiechem.

- Ja lubię konie, bo są niezbędne do pracy z bydłem. Tubbsa doprowadza do szału, kiedy tak mówię. On kocha wszystkie nasze konie. - Skrzywił się. - Wciąż sobie wyrzuca, że zatrudnił tego człowieka, który pastwił się nad Hurricane'em.

- Każdemu zdarza się popełnić błąd. Na podstawie samego wyglądu trudno zgadnąć, jaki człowiek jest naprawdę.

Ren zatrzymał konia i przyjrzał się jej.

- Pani to potrafi.

- W pewnym sensie - wyznała niepewnie. - Nie można malować tego, czego się nie widzi, przynajmniej ja tak uważam. Więc muszę to widzieć... zobaczyć, co nieraz zakryte.

Ren patrzył badawczo w jej jasne oczy przez zasłonę opadających między nimi płatków śniegu.

- Powinna pani wystawiać swoje obrazy w galeriach.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się leciutko. - Może tak zrobię po powrocie do domu.

Dom. Na myśl o jej wyjeździe Ren posmutniał gwałtownie. Musiał sobie powtórzyć po raz enty, że Merrie jest dziewczyną Randalla. Zawrócił konia i ruszył znów naprzód.

Merrie jechała za nim ścieżką, skrępowana jego ostatnim spojrzeniem. Zupełnie jakby nie mógł się zdecydować, czy da-

rzy ją sympatią, czy raczej jej nie lubi. Żałowała, że tak niewiele wie o mężczyznach.

Ren oprowadził ją po dużej oborze i pokazał byki, które zdobyły wiele nagród.

- Mają tu ogrzewanie i klimatyzację, jeden z kowbojów jest z nimi przez większość czasu. Są warte fortunę.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- Hodujemy najlepsze linie. Wszystko tu jest ważne: waga w chwili, kiedy odsadza się zwierzę od mleka matki, waga przy urodzeniu i prawidłowe zwiększanie masy ciała. Zaliczyłem kilka kursów z genetyki, kiedy tu przyjechałem do ojca. On posiadał wiedzę praktyczną, ale żeby hodować rasowe buhaje, trzeba też podszkolić się w wiedzy teoretycznej.

- Gdzie są krowy? - spytała trochę naiwnie.

- Na pastwisku. Byłoby wesoło, gdybyśmy im zafundowali koedukację. - Roześmiał się. - Nie dopuszczamy do nich byków, dopóki nie są gotowe, żeby się rozmnażać. Robimy to w sierpniu, wtedy krowy cielą w kwietniu, kiedy jest świeża, bujna trawa. Oczywiście liczymy na to, że pogoda nie zwariuje, jak w tej chwili. - Wskazał na ciężkie białe płatki padające na zewnątrz. - Jest koniec października, a temperatura jest wyjątkowo niska i szybko przybywa pokrywy śnieżnej.

- Jest pięknie - powiedziała rozmarzona Merrie. - U nas cieplej się jak głupi, gdy choć raz na dziesięć lat spadną ze dwa centymetry śniegu.

- A my czasami mamy go dość - dodał Ren. - Musimy zanosić siano na odległe pastwiska, jak napada dużo śniegu. Trzeba pilnować, żeby woda nie zamarzała w korytach, żeby bydło miało co pić. Ludzie muszą sprawdzać stado dwa, trzy razy dziennie. Albo i dwa razy częściej, kiedy mamy ciężarne krowy, a zwłaszcza jałówki. Niektóre z nich trzeba przyprowadzić bliżej obory, na wypadek gdyby miały problem z ocieleniem się.

- To musi być bardzo skomplikowane.

- Jest skomplikowane. I piękne. - Rozejrzał się dokoła. - Kiedy uczyłem się w college'u, przez cztery lata mieszkałem w Bostonie. Nienawidziłem każdej minuty poza zajęciami czy czasem

poświęcanym nauce.

- Mam wrażenie, że bardzo by mi się podobało w college'u, ale tak naprawdę nie myślę o karierze zawodowej jak moja siostra. Już jako nastolatka marzyła o tym, by zostać prokuratorem okręgowym. - Westchnęła. - Miałam serdecznie dość oglądania z nią w kółko *Perry'ego Masona*. - Zaśmiała się.

- Mówiła pani, że siostra jest zastępcą prokuratora okręgowego.

- Tak, kilka miesięcy temu zdała egzamin adwokacki. I to za pierwszym razem, a wielu jej kolegom się to nie udało. Byłam z niej strasznie dumna. - Objęła się ramionami. - Tata pojechał na rozdanie dyplomów. Kiedy ja robiłam maturę, był na jakimś wyjeździe w interesach.

Ren oparł się o jedną z bramek, splatając ramiona na kozuchu z owczej skóry.

- Pamiętam dzień ukończenia studiów - wspominał. - Nikt z mojej rodziny nie przyjechał, za to po ceremonii razem z kolegami wybraliśmy się do baru.

- Koledzy z roku Sari urządzili wielką imprezę. Oczywiście nie mogła na nią pójść. Tata wściekł się, gdy tylko o tym napomknęła... - Urwała zmieszana. - Jedna z jej koleżanek miała zamieszkać ze swoim chłopakiem. Tata nazwał ją zdzirą i zabronił nam się z nią kontaktować. Ludzie patrzyli na nas, jakbyśmy byli jaskiniowcami.

- Uważał, że ludziom nie wolno razem mieszkać?

- Tylko małżeństwom, koniec kropka. - Podniosła na niego wzrok. - Mama zabierała nas do kościoła. To było jedyne miejsce, poza wyjściem do miasta na zakupy z tatą, gdzie wolno nam było chodzić. Wpajano nam tradycyjne zasady moralne. W szkole często nas za to krytykowano i wyśmiewano. - Dotknęła swetra, pod którym znajdował się mały krzyżyk. - Nie miałyśmy nic prócz religii. Pozwalała nam przetrwać ciężkie chwile, kiedy tata tracił nad sobą panowanie. - Westchnęła. - Tak miło jest być gdzieś, gdzie nie jestem bez przerwy obserwowana i pilnowana.

- Czemu ojciec kazał was pilnować? - spytał zaciekawiony.

- Żebyśmy nie zadawały się z mężczyznami - odparła po pro-

stu. – Sari mi mówiła, że tata powiedział Paulowi, że nie chce, żeby jego córka poślubiła jakiegoś niechlujnego i nic nieznaczącego gliniarza. – Skrzywiła się. – Paul pracuje w FBI. Jako jedyny z całej rodziny nie związał się z gangiem, nie należy do mafii. Jest z tego bardzo dumny. Zabolało go, że ojciec powiedział coś takiego. Jakby był nic niewart, bo ma taką pracę.

– Ojciec nie akceptował związku siostry?

– Nie wiedział o tym, inaczej od razu by ostro zainterweniował. Paul bardzo kochał Sari, ale zerwał z nią z powodu pieniędzy... cóż, z powodu taty – poprawiła się, choć nie chciała mu wyjawiać całej prawdy. – Sari pojechała na Bahamy, żeby zapomnieć o Paulu, a tam akurat uderzył huragan. Paul i Mandy, nasza gospodyni, polecili jej szukać. – Zadrżała. – Paul wykorzystał to, że pracuje w FBI, żeby dostać się na miejsce katastrofy. Znalazł ciało kobiety z rudymi włosami. Myślał, że to Sari. Mandy mówiła, że nigdy wcześniej nie widziała go płaczącego. – Urwała i przełknęła poruszona. – Pojechali do Nassau zorganizować powrotny lot do domu, a tam była Sari, przemoczona do suchej nitki, ale żywa. Zeszła z pokładu statku, który uratował wielu turystów. To był cudowny powrót do domu.

– A teraz są małżeństwem?

– O tak. Paul po powrocie chciał zachować się jak dżentelmen, ale Mandy powiedziała, że Sari zamknęła się z nim w swojej sypialni. Wzięli ślub niespełna tydzień później.

– Niezły z niej charakterek – skwitował rozbawiony Ren.

– To prawda. Jest moją starszą siostrą i najlepszą przyjaciółką.

– Nie miałem rodzeństwa do czasu, kiedy matka poślubiła ojca Randalla – powiedział Ren, a Merrie na jego twarzy dostrzegła cień bólu. – Był zamożny, więc matka w końcu miała wszystko, czego zawsze pragnęła. Nie rozmawiałem z nią od lat, ale kocham Randalla – dodał łagodniej. – Chociaż nie jesteśmy rodzonymi braćmi. To bez znaczenia. Wszystko bym dla niego zrobił.

– On tak samo mówi o panu – odparła.

– Hej, szefie! – zawołał jeden z pracowników. – Sporo tego śniegu napadało. Chce pan, żebym wyciągnął sanie i zawiózł

siano na południowe pastwisko?

- Dobry pomysł, Bandy! - pochwalił go Ren. - Weź pomocników, jeśli trzeba.

- Jasne.

- Pańscy pracownicy to sympatyczni ludzie - stwierdziła Merrie.

Uśmiechnął się, po czym wyjaśnił:

- Przede wszystkim są kompetentni, inaczej by tu nie pracowali, mili czy niemili. Lepiej chodźmy, zanim więcej napada.

Merrie bała się, że Ren odeśle ją do domu i nici ze zwiedzania rancza. Rozpromieniła się, zdając sobie sprawę, że wcale nie zamierzał tego robić.

Odwrócił wzrok od jej słodkiej twarzy. Ta dziewczyna dała mu do myślenia. Wyglądało na to, że ani trochę nie przypomina innych dziewczyn Randalla.

Jechali przez sosnowy zagajnik do niewielkiego strumyka, który płynął przez ziemię Rena. Brzegi pokrywała gruba warstwa śniegu. Na tle białego krajobrazu strumyk wił się jak srebrna wstążka.

- Nie mogę się nadziwić, jakie płytkie są tu strumienie i rzeki - zauważyła Merrie. - U nas nawet strumyki w niektórych miejscach są głębokie.

- W Wyomingu wiele rzeczy wygląda inaczej niż gdzie indziej. Kiedyś pewien kowboj zaginął w zamieci śnieżnej. Znaleźliśmy go dopiero po dwóch dniach, ale już nie żył. Nie przestrzegał kardynalnej zasady.

- Jaka to zasada? - spytała zaciekawiona.

- Nie ruszać się z miejsca. Najlepiej zostać na ścieżce czy drodze, jeśli jest jakaś w pobliżu. W żadnym wypadku nie wolno iść dalej. To samobójstwo.

- Zapamiętam... Co to za drzewa? - spytała, wskazując drzewa w pobliżu strumienia.

- Topola amerykańska. Kiedyś ludzie pozyskiwali sok z kory wewnętrznej, która jest bardzo soczysta.

- Ciekawe!

Jej entuzjazm go rozbawił.

- Zawsze jest pani taka podekscytowana, dowiadując się nowych rzeczy?

- Zawsze. Czytałam dużo o Inuitach, którzy żyją na Alasce. Mają ponad pięćdziesiąt słów na określenie śniegu.

- My mamy tylko parę, a żadnego z nich nie należy powtarzać w mieszanym towarzystwie - zażartował.

Merrie dopiero po kilku sekundach zrozumiała, o co mu chodzi. A kiedy tak się stało, wybuchnęła śmiechem.

Ren naciągnął mocniej kapelusz na czoło.

- Chłopcy zwykle palą ognisko niedaleko pierwszej chaty. Pojedziemy tam, a potem zawrócimy. Jest coraz więcej śniegu, a ja mam robotę.

- Okej. - Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy prawdziwe ognisko. Miała nadzieję, że to, które namalowała na portrecie Rena, choć trochę je przypomina. Widziała ognisko w filmach, ale nigdy w prawdziwym życiu.

Chata była mała, zbudowana z surowego drewna. Trzech kowbojów siedziało wokół dużego ogniska. Jeden z nich parzył kawę, inny coś smażył, chyba jajka na bekonie.

- Hej, szefie! - wesoło zawołał najmłodszy kowboj. - Cholerny piec przestał działać, więc żyjemy tu w ciężkich warunkach.

- Przyślę jutro Grandy'ego, żeby zobaczył, co się dzieje i naprawił, jeśli się da - obiecał Ren. - Starczy kawy jeszcze dla dwóch osób?

- Jasna sprawa. Jajek na bekonie też.

- Dziękujemy, jedliśmy już śniadanie. - Ren zsiadł z konia i pomógł zsiąść Merrie.

Skrzywiła się, kiedy stanęła na nogach i zrobiła kilka kroków.

- Nogi bolą? - podkpiwał. - Trzeba się przyzwyczaić do kowbojskiej doli.

- Zauważyłam - powiedziała ze śmiechem. - Od miesięcy nie siedziałam w siodle.

- Szkoda, że nie możemy powiedzieć tego samego - skomentował smętnie jeden z kowbojów.

- To Meredith - przedstawił ją Ren. - Jest przyjaciółką Randa. Zostanie u nas jakiś czas.

Potem przedstawił Merrie kowbojów. Ten wysoki i smukły miał na imię Willis i był brygadzystą. Pozostali przywitani ją więcej niż przyjaźnie. Jeden podał kubek z kawą, drugi zaproponował rozkładany stołek. Merrie usiadła i popijała kawę, podczas gdy Ren wypytywał o drapieżniki, które widziano ostatnio w okolicy.

Merrie omal się nie zdrzemnęła. Gwałtownie podniosła powieki, słysząc, że Ren ją woła. Trzymał swojego konia za uzdę.

- Pojadę z chłopakami dosłownie na parę minut, żeby spojrzeć na chorą jałówkę. Może pani tu na mnie poczekać?

- Oczywiście - odparła, wyciągając ręce, żeby ogrzać je nad ogniskiem. - Zaczekam tu.

- Tylko proszę się stąd nie ruszać. - Wskoczył na siodło. - To nie potrwa długo. - Spiął konia i dołączył do pozostałych.

Odprowadziła ich wzrokiem, aż zniknęli jej z widoku. Śnieg był taki piękny, a ogień trzaskał wesoło, przyjaźnie. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. I wtedy to usłyszała. Przeciągłe, odbijające się echem wycie. Brzmiało jak głos wilka, i to gdzieś bardzo blisko.

Serce jej waliło. Wycie rozległo się po raz kolejny i jakby jeszcze bliżej. Rozejrzała się nerwowo. Nie miała żadnej broni. Czytała o wilkach. Czy przypadkiem nie atakują samotnych ludzi?

Wycie brzmiało coraz głośniejsze i jakby się przybliżało. Merrie wpadła w panikę. Obiecała Renowi, że nie ruszy się z miejsca, ale tu gdzieś był wilk, i wyglądało na to, że się do niej zbliża, podchodzi do obozowiska. Ze strachu zrobiło jej się niedobrze. Gdyby tylko miała jakąś broń.

Wstała ze stołka i oddaliła się od tego dźwięku, ukryła się między sosnami. Może jeśli wilk jej nie zobaczy, odejdzie stąd. Serce biło jej szybko jak tykający zegar, kiedy wycofywała się do lasu.

Nie zamierzała pójść daleko, ale nagle zaczęło mocniej padać i wszystko wokół zrobiło się białe. Nie widziała własnych stóp, gdy stawiała jedną przed drugą. Miała nadzieję, że idzie we właściwym kierunku, że znajdzie drogę powrotną do obozu. Ren niedługo wróci. Na pewno zobaczy wilka i przepędzi go stąd.

Padalo wciąż mocniej. Kiedy szła przed siebie, śnieg ją oślepił. Po niespełna pięciu minutach poczuła się bezradna i dezorientowana. A wycie rozlegało się jakby coraz bliżej.

Przypomniała sobie opowieść Rena o kowboju, który zabłądził podczas śnieżycy, i znaleziono go martwego. Pamiętała też, co kazał jej robić. Nie ruszać się z miejsca. Trzymać się ścieżki albo szlaku.

Rozejrzała się... No tak, nie ma tu żadnej ścieżki ani drogi. Znajdowała się na niedużej polanie obok strumienia. Nie miała przy sobie telefonu ani zapalek, więc nie mogła rozpalić ognia. Przemarzała do szpiku kości, bo nie miała rękawiczek, a musiała trzymać się pni drzew, gdy oddalała się od tego wyjącego stworzenia.

No świetnie, pomyślała. Zamarznę tu na śmierć, i to z własnej winy. Nikt mnie tu nigdy nie znajdzie. Śnieg mnie zasypie, na wieki zostanę na tym bezludziu. Czemu odchodziłam od ogniska?

Usiadła na pniu drzewa i mocno objęła się ramionami.

- Głupia, głupia - mruknęła pod nosem.

A wszystko z powodu jakiegoś wycia. Wciąż je słyszała, tylko znowu bliżej. Nie miała niczego, czym mogłaby się bronić. W pobliżu dojrzała spory konar, ale nie była w stanie go ruszyć. Cały był oblodzony i strasznie ciężki. Jej dłonie jeszcze bardziej zmarzły, już ich nie czuła.

Miała wrażenie, że ktoś sypie śnieg wiadrami. Ren pewnie szalał, próbując ją znaleźć. Będzie wściekły...

Nagle usłyszała strzał i aż się wzdrygnęła. Poderwała się na równe nogi, drżąc na całym ciele. Potem sobie coś uświadomiła. To był sygnał.

- Jestem tutaj! - zawołała. - Tu jestem!

Słyszała głosy, jeden był niski i pełen złości. Skrzywiła się, kiedy zobaczyła Rena, który schodził ze wzgórza, jakby w ogóle nie było tam śniegu.

Zatrzymał się naprzeciw niej z rękami na biodrach, mierząc ją spojrzeniem czarnych, błyszczących oczu.

- Och, Ren! - Zarzuciła mu ręce na szyję i uczyła się go ze wszystkich sił. - Przepraszam, bardzo przepraszam. Zachowa-

łam się jak idiotka. Usłyszałam wycie wilka, i to tuż obok. Przestraszyłam się i jak głupia uciekłam. Przepraszam.

Ren wypuścił wstrzymywane powietrze i przytulił ją, zakrywając połamami rozpiętego kożucha, po czym objął silnymi ramionami. Kołysał ją, czując przy sobie jej miękkie ciało i zapach wiciokrzewu na jej włosach. Od dawna żadna kobieta nie wzbudziła w nim zazdrości ani chęci opiekowania się nią.

- Wszystko w porządku - powiedział jej do ucha aksamitnym głosem. - Miało mnie nie być tylko minutę czy dwie. Straciliśmy poczucie czasu.

- To wycie mnie przeraziło - wyznała z zakłopotaniem. Cudownie czuła się w jego ramionach. Nigdy w życiu nie czuła się bezpieczniej. Zamknęła oczy i cicho westchnęła, słuchała bicia serca Rena.

- To prawda, tutaj żyją wilki, ale jeden z nich został udomowiony. To jego pani słyszała - wyjaśnił, śmiejąc się cicho.

- Udomowiony? - Uniosła głowę i spojrzała w jego czarne oczy z tak bliskiej odległości. Bardzo bliskiej.

- Mieszka w chacie z Willisem, kiedy przebywa tu z nocnymi markami.

- Och. - Badawczo patrzyła mu w oczy. Potem mimowolnie spuściła wzrok na jego wyrzeźbione wargi. Nigdy dotąd nikt jej nie całował, a ona pragnęła pocałunków. Nigdy niczego tak nie pragnęła. - Nocnymi markami?

Ren przechwycił jej spojrzenie. Rozumiał je lepiej, niż sądziła. Czuł pokusę, wielką pokusę. Ale Merrie była dziewczyną Randalldalla, a za moment zostaną kompletnie zaszypani śniegiem. Otoczył ją ramieniem w pasie i ruszyli z powrotem.

- Nocne marki. Mężczyźni, którzy w nocy pilnują stad, kiedy jest zła pogoda. Mieszkają w drewnianych chatkach. - Przerwał na moment. - Musimy wracać do domu. W tym cienkim płaszczku na pewno pani zamarzła.

- Ręce też mam zimne. - Skrzywiła się. - Nie mam rękawiczek.

- Jutro pojedzie pani na zakupy, niezależnie od tego, czy będzie sypało. Tubbs zawiezie panią i Delsey. Ona ma kartę do mojego rachunku.

- Och, ale mogę...

- Zrobi pani, jak powiedziałem. - Uśmiechnął się na widok jej konsternacji. - Ze mną pani nie wygra, więc niech pani się podda.

- Okej, dziękuję - odparła cicho, patrząc z podziwem na jego męską, zdecydowaną twarz.

Ren poczuł dziwny ucisk w piersi. Dobrze się czuł w jej towarzystwie. Nienawidził swojego brata. Sam już nie wiedział, czego chce. Był pogubiony. Czuł się jak ślepiec, który wchodzi na ruchome piaski.

- A skoro mowa o zakupach, proszę też nie zapomnieć o wieczorowej sukni.

- Wieczorowej sukni? - powtórzyła rozkojarzona.

Wsiadli na konie. Ren prowadził, gdy jechali z powrotem ścieżką.

- Już pani mówiłem. Mój przyjaciel, który wprowadził się z żoną do nowego domu, urządza przyjęcie. Może pani ze mną pójść. Będzie tam zespół muzyczny i *hors d'oeuvres*. Potrafi pani chyba tańczyć, co? Żartowała pani, jak wcześniej rozmawialiśmy.

- Nie - odparła smętnie. - Nigdy w życiu nie byłam na przyjęciu, poza przyjęciami urodzinowymi, kiedy byliśmy z Sari bardzo małe i nasza mama jeszcze żyła.

- Hm... - Ren ściągnął brwi. - Więc naprawdę nie potrafi pani tańczyć?

- Tak. - Była wyraźnie zażenowana. - Chyba nie potrzebuję sukni...

- Mogę panią nauczyć - oznajmił. - To nie takie trudne.

- Bardzo chętnie z panem pójdę - odparła nagle rozpogodzona. - Jeśli pański przyjaciel nie ma nic przeciw. Nikogo tu nie znam.

- Nie będzie miał nic przeciw.

- Okej.

Ren zaczął obmyślać lekcje tańca. W ogóle powinien ją poduczyć tego i owego. Kiedy zbliżali się do domu, przez jego głowę przelatowały coraz to nowe obrazy i coraz to bardziej podniecające. Jeżeli Merrie mówi prawdę, z przyjemnością będzie

ją uczył. Ta myśl przywróciła go do rzeczywistości. Angie też udawała niewinną.

Zerknął na Meredith, która patrzyła na niego rozpromieniona. Czy jest z nim szczerą, czy może jest taka jak inne kobiety Randalla?

Dowie się tego prędzej czy później. A jeśli Merrie go oszukuje, być może oszczędzi bratu kolejnych sercowych kłopotów. Czyli zabierze ją ze sobą na przyjęcie, kierując się bardzo szlachetną pobudką. Musi się przekonać, czy jest taka, jaką się wydaje, czy też odgrywa komedię.

Zostawili wierzchowce w stajni. Ren odprowadził Merrie do tylnych drzwi domu.

- Proszę nie wychodzić na zewnątrz - rzekł stanowczo.

- Okej, szefie - odparła z lekkim uśmiechem. - Przepraszam za kłopot.

Wzruszył ramionami.

- Ratowanie żółtodziobów z Południa czy ze Wschodu to dla nas codzienność. W każdym razie w zimie, gdy i tak nie brak nam problemów.

- No i w końcu nie zobaczyłam tego wilka.

- Jak pogoda się poprawi, zapoznam was ze sobą - obiecał. - Proszę kupić ciepły zimowy płaszcz. I suknię. Ładną.

- Wprost olśniewającą, żeby nie przynieść panu wstydu - obiecała z uśmiechem.

- Nie przynieść mi wstydu? - zdziwił się.

- Postaram się, żeby nie musiał się pan mnie wstydzić przed swoimi przyjaciółmi. Nie bardzo znam się na modzie. Cieszę się, że Delsey ze mną pojedzie, przynajmniej ona będzie wiedziała, co kupić.

Ren poczuł się dziwnie. Nie chciała, żeby się jej wstydził? Angie uwielbiała wprowadzać go w zakłopotanie, gdziekolwiek wychodzili. Uwielbiała sprowadzać kłopoty. Istniała spora szansa, że znajdzie się na tym przyjęciu, więc Ren rozważał, czy lepiej nie zostać w domu, żeby uratować swoją dumę.

Ale mógł zabrać ze sobą Meredith. Pokazać Angie, że nie tak trudno ją zastąpić. Przyglądał się kobiecej figurze Meredith i uśmiechnął się. W wieczorowej sukni, z odpowiednią fryzurą

i makijażem będzie wyglądała zachwycająco. Wreszcie dotarło do niego, że nie jest ot tak, po prostu ładna. Jest BARDZO ładną i pociągającą młodą kobietą.

- I proszę odwiedzić fryzjera, zrobić coś z włosami.

- Mam je ściąć? - wyjąkała.

- Dobry Boże, nie! - zawołał. - To byłaby zbrodnia ścinać takie włosy. - Popatrzył znacząco na jej miękkie jasne włosy opadające aż do pasa.

- Och.

- Niech panią nauczą, jak je uczesać, żeby fryzura pasowała do wieczorowej sukni. I niech pani kupi jakieś kosmetyki do makijażu, jeśli pani ich nie ma.

- Mam puder i szminkę. Niczego więcej nie używam. Nie lubię mocnego makijażu. - Gdy Ren ściągnął wargi, a jego czarne oczy zabłyśły, dodała: - Taki makijaż odstrasza mężczyzn.

- Odstrasza?

- Fatalnie wyglądam ze szminką na wargach.

Zaczerwieniła się aż po dekolt. Zabrakło jej słów. Odwróciła się i uciekła.

Ren patrzył na nią zdezorientowany. Była niewiarygodnie nieśmiała. I wcale nie wyglądało to tak, jakby grała komedię.

Zastanowił się, wychodząc znów na zewnątrz, czy naprawdę może być aż tak niewinna. Nie wolno jej było spotykać się z mężczyznami. Jej ojciec był nadopiekuńczy - a właściwie był paranoikiem. Została pobita pasem za to, że chciała pójść na randkę z chłopakiem. Tak w każdym razie powiedziała. Ale była dziewczyną Randalla, więc jak się w tym wszystkim połapać?

Randall był dobrym chłopakiem, Ren szczerze go kochał. Ale brat był nieuleczalnym playboyem, który zmieniał kobiety jak rękawiczki. Sypiał z nimi, aż mu się znudziły, i znów ruszał na polowanie.

A Meredith nie należała do specyficznego typu kobiet-uwodzi-
cielek. Nie zachowywała się wyzywająco. Niewykluczone, że udawała, ale nosiła ten nieszczęsny krzyżyk i nie zgodziła się go zdjąć, choć wiedziała, że on tego nie akceptuje. Religijna kobieta powinna mieć niezachwiane zasady.

Odsunął na bok myśli o Meredith, rozdzielił zadania pracow-

nikom i pojechał na oddalone od domu pastwiska.

Merrie była do głębi poruszona.

- On chce mnie wziąć na przyjęcie - powiedziała do Delsey, ledwie skrywając podniecenie. - Chce, żeby pani pojechała jutro ze mną na zakupy i żebyśmy kupiły sukienkę.

- Coś podobnego! - wesoło zawołała gospoia. - Od czasu, jak Angie go oszukała, nie wspominał nawet o randce.

- Nie chce o niej mówić, prawda?

- Bardzo go skrzywdziła. Nie jest playboyem jak Randall, tylko poważnym mężczyzną i trzyma się sam. Ale nie jest kompletnym niewiniątkiem - dodała ze śmiechem. - Wciąż opowiadają o tym, co nawyczyniał za młodych lat i jak zarobił pierwsze duże pieniądze. Ale nawet wtedy był wybredny. I on chce cię zabrać na przyjęcie!

- Musi mi pani pomóc znaleźć odpowiednią suknię. Nie chcę mu przynieść wstydu.

- Kochanie, ty nie przyniesiesz wstydu żadnemu mężczyźnie. Jesteś bardzo ładna, ale ważniejsze jest to, co masz w środku. A ty masz dobre serce. To rzadkość w dzisiejszym świecie.

- Dziękuję, Delsey. - Merrie się uśmiechnęła.

- Znajdziemy coś pięknego, ale konserwatywnego.

- Czyta mi pani w myślach.

- I kupimy płaszcz zimowy.

- Och, to wyrzucanie pieniędzy - zaproponowała. - W Teksasie nie będzie mi potrzebny.

- Ale na razie się tam nie wybierasz, prawda?

To jej przypomniało powód, dla którego się tu znalazła, i trochę się zdenerwowała.

- Nie, jeszcze nie - przyznała cicho.

- W takim razie bardzo ci się przyda. A teraz pomóż mi zrobić sałatkę. Ren będzie umierał z głodu, jak wróci wieczorem.

- Myślałam, że będzie na mnie wściekły - powiedziała Merrie w zamyśleniu. - Zgubiłam się w lesie. - Zaśmiała się. - Zdawało mi się, że słyszę wycie wilka, a Ren i kowboje pojechali obejrzeć chore zwierzę. Więc jak głupia uciekłam jak najdalej od tego wycia i zabłądziłam. Ale Ren mnie znalazł. W życiu nie

czułam takiej ulgi. I nawet na mnie nie krzyczał.

Delsey patrzyła na jej ożywioną twarz i wyciągała swoje wnioski. Ren zbeształby każdą kobietę, gdyby zachowała się tak głupio, ale na Merrie się nie złościł. Raczej nie okazywał emocji, był dość skryty, a jednak Delsey założyłaby się o swoje pieniądze zarobione na sprzedaży jajek, że panna Grayling poruszyła w nim jakąś delikatną strunę.

Jedyne, co ją martwiło, to fakt, że uważał Merrie za dziewczynę Randalla, bo to mogło się źle skończyć. Gdyby sądził, że Merrie jest taka jak inne dziewczyny brata, które zwykle podrywały Rena, i gdyby potraktował ją jak jedną z nich...

Cóż, Ren na pewno dostrzega jej niewinność. Nie, nie zrobiłby niczego, żeby zranić tę dziewczynę. Wychowano go na dżentelmena i taki pozostał, niezależnie od tego, jak bardzo zepsuli go w college'u. Będzie traktował Merrie jak damę, bo była damą. Delsey nie miała co do tego żadnych wątpliwości. A Merrie nie posiadała się ze szczęścia. Czekala ją randka z najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znała, i jak Kopciuszek wybierała się na bal. Włoży elegancką suknię, a Ren będzie z nią tańczył bez końca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Merrie wyjrzała przez okno. Śnieg był tak biały, że rozświetlał nocne niebo. Rena nie było w domu, pojechał ze swoimi ludźmi zobaczyć, co dzieje się z bydłem. Ranczo było ogromne. Delsey pokazała jej mapę całego terenu. Trzymali spore stado rasowego bydła, a na zimnie, zwłaszcza kiedy padał śnieg, musieli go szczególnie bacznie pilnować.

Miała nadzieję, że Ren ubrał się ciepło i nie marznie, bo inaczej mógłby znów zachorować na zapalenie oskrzeli. Dobrze, że ma Delsey, która się nim opiekuje.

Był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Merrie zdawało się, że nigdy nie będzie miała dość patrzenia na Rena. Potem przypomniała sobie wiersz, którego wers kiedyś jej się wypsnął, a także reakcję Rena, i jeszcze mocniej się zaczerwieniła. Cóż, był pięknym mężczyzną, nie da się temu zaprzeczyć.

Zastanawiała się, czy zapraszając ją na przyjęcie, kierował się jakimś ukrytym motywem. Ta kobieta, Angie, miała się tam pojawić, więc nie chciał iść sam, szczególnie po tych wszystkich okropnych rzeczach, które o nim wypisywała. Duma by mu na to nie pozwoliła.

Merrie postanowiła zrobić, co w jej mocy, żeby ta podła i głupia kobieta więcej go nie zraniła. Zamierzała go chronić, niezależnie od tego, czy miała do tego prawo.

Była też przekonana, że po tym, jak zablądziła i narobiła takiego zamieszania, że aż musieli jej szukać, Ren nigdy więcej nie weźmie jej ze sobą. Tymczasem następnego ranka dopilnował, żeby Delsey pojechała z nią do miasta kupić ciepły płaszcz i odpowiednie wysokie buty. A także, oczywiście, wieczorową suknię, o której tak dużo rozmawiali. Dziwne, pomyślała, bo w pierwszej chwili mówił, że to Tubbs zawiezie je do miasta, a jednak wybrały się same z Delsey.

- Ren nie musi mi niczego kupować - zaprotestowała Merrie,

kiedy dużym SUV-em jechały do Catelow.

- Nie, nie musi, ale to jego pieniądze, prawda? - wesoło skwitowała Delsey. - Niech je wydaje, skoro chce. - Zerknęła na Merrie. - Minęło sporo czasu, odkąd troszczył się o jakąś kobietą.

- Kochał Angie? Tę kobietę, która go oszukała? - spytała cicho Merrie.

- Tak mu się zdawało - oznajmiła Delsey. - Ale to nie była miłość. Kupował jej różne rzeczy, bo o nie prosiła. Tak się wokół niego kręciła, aż oszalał, żeby ją mieć. To nie to samo co teraz. - Odwróciła głowę do Merrie. - On się o ciebie troszczy, chce, żeby ci było ciepło i żebyś była bezpieczna. Nigdy by mu do głowy nie przyszło, żeby tak opiekować się tą jędzą.

- Aha... - Merrie przesunęła się nerwowo na siedzeniu. - On jest bardzo męski, a ja czuję się przy nim bezpiecznie. Ale on też wymaga opieki - dodała cicho. - Wcale o siebie nie dba.

Delsey nic nie odpowiedziała, za to jej mina mówiła wszystko, ale ukryła ją przed Merrie. Wiedziała, że oboje, Ren i Merrie, należeli do ludzi troskliwych i opiekuńczych, kiedy trafili na odpowiednich partnerów. Delsey była pewna, że czekają ich szczęśliwsze czasy. Nie chciała o tym mówić, nie chciała ryzykować, że zrazi do siebie tę przemiłą młodą kobietę, która siedziała obok niej w samochodzie.

- Daleko jeszcze? - spytała Merrie, kiedy jechały krętą drogą przez sosnowy las.

- Jeszcze kawałeczek - odparła Delsey.

Po chwili ich oczom pokazało się zasypane śniegiem Catelow. Wyglądało jak każde inne miasteczko w północnych stanach, poza tym, że w oddali wznosiły się potężne góry, których ostre szczyty też przykryła śnieżna pokrywa. Uroczy zimowy pejzaż z rozrzuconymi wokół domami i kościołem z wysoką wieżą, który idealnie tam pasował.

- Piękny kościół - zauważyła Merrie.

- Prawda? - zgodziła się Delsey. - To kościół metodystów. W tym obrzędku zostałam ochrzczona, tak jak moi rodzice. A rodzice pana Rena chodzili do tego kościoła, kiedy był mały. - Skrzywiła się. - Ten ekstrawagancki college go zepsuł - mruk-

nęła. - Jak go skończył, sam już nie wiedział, kim naprawdę jest.

- Czasami tak się zdarza - zauważyła Merrie. - Chociaż mojej siostry to nie dotyczy. - Uśmiechnęła się. - Sari ma ideały i przekonania, których dynamit by nie ruszył. Od małości chodziliśmy do metodystów. Kiedy koledzy śmiali się z Sari w college'u, dokładnie im wytłumaczyła, w co i dlaczego wierzy. Nawet jeśli się z nią nie zgadzali, szanowali ją za to, że trzyma się swoich przekonań.

- Rzadka odwaga w tych czasach - ze smutkiem stwierdziła Delsey.

- Urządzają tu bożonarodzeniowe parady? - spytała Merrie.

Delsey zaśmiała się.

- Catelov nie zmieniło się tak wiele w ciągu minionych stu lat, i nie sędzę, żeby kiedykolwiek się zmieniło. Tak, mamy tu parady. Mamy też dekoracje świąteczne. Wszędzie stoją choinki, a w grudniu w centrum handlowym pojawia się Święty Mikołaj, żeby spotkać się z dziećmi.

- Czyli jest tak jak w domu - powiedziała Merrie. - Mieszkamy w Comanche Wells, to małe miasteczko. Nieco dalej jest Jacobsville, siedziba naszego hrabstwa, i co roku na Boże Narodzenie miasto jest pięknie udekorowane. Są parady i przyjęcia, śpiewamy kolędy. W najstarszej części miasta niektórzy przebierają się w stroje, jakie noszono za czasów Charlesa Dickensa, a turyści przyjeżdżają z daleka, żeby ich zobaczyć. Na głównej ulicy są też wiszące dekoracje, jest naprawdę magicznie. - Westchnęła. - W domu co roku mamy prawie trzymetrowe drzewko. Taty nigdy nie było z nami na Boże Narodzenie, więc mogliśmy świętować. Mandy wysyłała naszych kowbojów po drzewko, a my je ubierałyśmy i dawałyśmy sobie drobne prezenty. Nauczyłam się robić na drutach, więc miałam co dawać. - Skrzywiła się. - Tata nie dawał nam kieszonkowego, nie pozwalał nam też pracować, żebyśmy mogły sobie coś zarobić.

- Z tego co mówisz, to wasz ojciec raczej nie był zbyt miłym człowiekiem.

- Był przerażający - wyznała Merrie. - Żałuję, że nie miałyśmy takiego ojca jak inni, który by nas kochał i chciał się nami

zajmować. – Oparła głowę o siedzenie. – Kiedy zmarł, nie było nam wesoło, ale czułyśmy się, jakby nas wypuszczono z więzienia.

– Przykro mi, że miałaś takie ciężkie życie.

– Jesteś najmilszą osobą, jaką znam, Delsey – odparła, uśmiechając się ciepło.

Sklep Jolpe's nie pasował do małego miasteczka na Zachodzie. Spokojnie mógłby się za to znaleźć w Beverly Hills czy na Manhattanie. Swoją ofertę adresował do najbogatszych klientów, można tam było kupić wszystko, począwszy od diamentów przez suknie wieczorowe, a kończąc na najnowszym sprzęcie narciarskim.

Merrie, która nawet po śmierci ojca bywała tylko w sklepach ze średniej półki w San Antonio, rozglądała się zafascynowana.

– Płaszcz – powiedziała Delsey. – Wybierz sobie, co chcesz, kochanie. Mam w kieszeni czarną kartę pana Rena.

– To bardzo miło z pani strony i ze strony Rena, ale sama za siebie zapłacę – oznajmiła Merrie.

– Dziecko...

Merrie poklepała ją po ramieniu.

– Znajdę sobie coś ładnego, obiecuję.

– On mnie zabije. – Delsey westchnęła dramatycznie.

– Nie dowie się – skwitowała ze śmiechem Merrie.

Delsey wyglądała na zmartwioną, ale w końcu się poddała.

– No dobrze. Idę do kawiarni.

– Znajdę panią, jak już wszystko kupię.

Gospoia znów się zawahała, jednak uległa determinacji, którą emanowała Merrie, i pogodziła się z porażką.

Merrie znalazła piękny czarny wełniany płaszcz z kołnierzem z norek. Podkreślał jej jasną cerę, wyglądała w nim wyrefinowanie jak nigdy. Od razu jej się spodobał. Nie był to może płaszcz, jaki nosi się na ranczu, za to do wieczorowej sukni świetnie pasował. Nawet sprzedawczyni się z tym zgodziła. A zatem Merrie kupiła płaszcz, a potem wypatrzyła jeszcze kurtkę ze strzyżonej owczej skóry, podobną do kurtki Rena. Będzie mogła ją włożyć, kiedy znów wybiorą się na konną przejażdżkę.

Następnie udała się do działu z damską odzieżą wieczorową, gdzie uprzejma starsza kobieta spytała, czy może jej pomóc.

- Tak - odparła trochę niepewnie Merrie. - Mam blizny na plecach i potrzebuję eleganckiej sukni, która by je zakrywała.

Sprzedawczyni spojrzała na nią ze współczuciem, po czym powiedziała:

- Coś pani pokażę. To oryginalna nieszablonowa suknia, pewnie z tego powodu nikt do tej pory się nią nie interesował. - Spojrzała na Merrie i uśmiechnęła się. - Ale myślę, że będzie w niej pani wyjątkowo dobrze. Przekonajmy się.

Była to suknia inspirowana stylem azjatyckim, zapewne najdroższa w tym sklepie. Wiśniowa, zapinana pod szyję na czarne charakterystyczne sznurkowe pętelki. Spódnica miała dyskretne rozcięcia z obu boków i sięgała kostek. Suknia była egzotyczna i nie powinna pasować Merrie. A jednak pasowała.

Przeglądając się w lustrze, Merrie czuła się jak księżniczka z bajki. Nie mogła się nadziwić, jak bardzo ta suknia ją odmieniła.

Kiedy wyszła z przebieralni, sprzedawczyni nie kryła zachwyty.

- Tak - powiedziała, kiwając głową. - Wiedziałam, że będzie pani w niej doskonale. - Uśmiechnęła się. - Moja droga, będzie pani na ustach całego miasta, jak pani w niej wystąpi. Co prawda to nasz najdroższy model... - dodała zmartwiona, ponieważ widziała, że młoda klientka ma na sobie ubrania, które najwyraźniej pochodzą z sieciówki.

Merrie uśmiechnęła się.

- Zapewniam, że stać mnie na wszystko, co znajduje się w tym sklepie. Wszystko w porządku. Proszę się nie martwić.

- Bardzo przepraszam.

- Nie ma za co. Wciąż się przyzwyczajam do tego, że mam sporo na koncie. - Zaśmiała się cicho, jej oczy pojaśniały i wyglądała naprawdę pięknie. - Wezmę ją.

Sprzedawczyni promieniała.

Merrie zapłaciła za płaszcz, kurtkę i suknię swoją kartą kredytową. Wzięła jeszcze wysokie buty od modnego projektanta,

nowe dzinsy i swetry. Od lat nie była tak radosna. Nie mogła się doczekać, kiedy Ren zobaczy ją w tej sukni. Nawet Delsey pokaże się w niej dopiero w dniu przyjęcia. Miała zamiar wszystkich więcej niż zaskoczyć. Na samą myśl czuła się po prostu fantastycznie.

Podczas drogi powrotnej na ranczo Merrie poczuła ukłucie strachu. Posłużyła się swoją kartą kredytową. A jeśli mężczyzna, który ją ściga, sprawdza takie rzeczy? Jeśli na podstawie jej karty kredytowej czy zakupów na Amazonie jest w stanie ustalić miejsce jej pobytu?

Nagle poczuła się chora. Powinna zachować większą ostrożność. Ren wiedział, czemu się tu znalazła, ale Delsey nie miała o niczym pojęcia. Zerknęła na nią z troską. Podczas pobytu na ranczu gospoia stała się jej tak bliska, jakby należała do rodziny. Nie chciała, by spotkało ją coś złego.

Delsey źle zrozumiała jej spojrzenie.

- Kupiłeś sobie coś ładnego, prawda? Na to przyjęcie? - zaniepokoiła się.

- Kupiłam coś pięknego - odparła Merrie. - Proszę się nie martwić. Mam trochę pieniędzy. Odziedziczyłam je po mamie. Zapłaciłam nimi za suknię i płaszcz.

- Płaszcz?

- Znaczący się kupiłam płaszcz i kurtkę. Kurtkę do noszenia na ranczu, kiedy Ren znów mnie zaprosi na przejażdżkę konną, a płaszcz do mojej pięknej nowej sukni.

- No to w porządku. - Delsey się uśmiechnęła, choć tak do końca się nie uspokoiła. Zastanawiała się, jak dużo Merrie wie o tak zwanym lepszym towarzystwie i o tym, jak bezwzględnie potrafią być damy z tych kręgów wobec kobiety, która nie ma gustu albo nosi tanie ubrania. Zjedzą biedną Merrie żywcem, jeśli pokaże się w sukni z sieciówki, a Ren będzie obwinił Delsey, że nie nalegała, by jej towarzyszyć podczas zakupów i za nie nie zapłaciła.

Z drugiej strony Merrie była artystką, czyli powinna wiedzieć, jak należy się ubrać na eleganckie przyjęcie. Gospoia bardzo na to liczyła.

Po powrocie do domu Delsey pomogła Merrie wnieść torby na górę. A było ich kilka.

- Dziękuję - powiedziała Merrie.

- Nie ma za co. Zejdę na dół i upiekę szynkę. Ren ją uwielbia. Kazałam wczoraj Tubbsowi wybrać ładną w sklepie. Zrobię do niej zapiekane ziemniaki i fasolkę. A na deser ciasto czekoladowe.

- Już mi burczy w brzuchu - ucieszyła się Merrie.

- Nie spóźnij się na kolację. - Delsey żartobliwie pogroziła jej palcem.

- Na pewno się nie spóźnię, obiecuję.

W pokoju powiesiła piękną suknię, płaszcz i kurtkę. Wciąż z niepokojem myślała o płatnym mordercy, który jej szukał.

Sięgnęła po jeden z telefonów na kartę i zadzwoniła do Sari.

Siostra odebrała dopiero po trzech sygnałach.

- Sari, to ja - odezwała się Merrie.

- Och, kochanie, tak się martwiłam! - zawołała Sari. - Nie dzwonisz, nie piszesz... Tak ci tam źle?

- Nie, nie, jest dobrze, naprawdę dobrze. Po prostu bałam się korzystać z telefonu. Czy coś się wyjaśniło?

- Nie mamy pojęcia, gdzie on jest - oznajmiła ze smutkiem Sari. - Ale Paul pracuje po godzinach, żeby go wytropić. Tak samo Eb Scott.

- Zrobiłam coś głupiego - przyznała Merrie.

- Co?

- Zapłaciłam moją kartą kredytową w Catelow. W okolicy odbędzie się przyjęcie i Ren chce, żebym mu towarzyszyła, a ja nie miałam sukienki...

- Zabiera cię na przyjęcie? - spytała Sari. - Naprawdę?

- To nie tak - szybko powiedziała Merrie. - Randall mu nie powiedział, dlaczego naprawdę mnie tu przywiózł, więc sama to zrobiłam. Ren zapewnił, że jestem tu bezpieczniejsza niż w jakimkolwiek innym miejscu. Jest dosyć szorstki, ale w sumie miły... - Zawahała się. - W każdym razie użyłam tej karty kredytowej. Wszystko zepsułam?

- Ten człowiek nie wie, gdzie się znajdujesz. Jestem tego prawie pewna. Ale na wszelki wypadek powiem o tym Paulowi,

okej?

- I jeszcze zamówiłam sobie przybory malarskie z Amazona - dodała z zakłopotaniem Merrie. - Potrzebowałam farb i płócien, a wiedziałam, że ty nie możesz mi ich przysłać, nie zdradzając mojego adresu.

- Wszystko będzie dobrze. Mamy kolejnego sprzymierzeńca, który pomaga nam schwytać tego płatnego zabójcę.

- Tak? Kogo?

Sari zaśmiała się.

- Nigdy byś nie zgadła.

- Powiedz mi!

- Kuzyna Paula, Mikeya.

- Szefa gangu? Naprawdę?

- Słowo daję. Najwyraźniej ma miękkie serce i darzy Paula sympatią. Powiedział, że robi rozeznanie wśród swoich i może czegoś się dowie.

- No, no. Teraz czuję się naprawdę wyjątkowa.

- Najwidoczniej jesteś wyjątkowa, skoro lubi cię ten ponurak z Wyomingu - zażartowała Sari.

- Przesadzasz, on nie jest taki zły. Ktoś go skrzywdził, więc bywa nieprzyjemny. Ranne zwierzęta atakują.

- Potrafisz zajrzeć w głąb ludzkiej duszy, kochanie - powiedziała łagodnie Sari. - Zawsze to potrafiłaś. Bardzo za tobą tęsknię. Do tej pory prawie się nie rozstawałyśmy.

- Wiem, ja też za tobą tęsknię, i za Mandy i Paulem. - Merrie westchnęła. - Ale domyślałam się, że szybko nie wrócę do domu, prawda?

- Cóż, mogłabyś, wiesz o tym. Nadal mamy tu Avengersów - zażartowała Sari, mając na myśli ochroniarzy Rogersa i Bartona. - Ale w Wyomingu jesteś w tej chwili bezpieczniejsza.

- Tak przypuszczam. Sporo maluję, namalowałam już dwa obrazy olejne.

- Och, a co namalowałaś?

- Konia, który został brutalnie potraktowany przez kowboja. Pozwolił mi do siebie podejść, chociaż zaatakował mężczyzn, którzy się do niego zbliżali.

- Cała ty - stwierdziła Sari. - Dzikie istoty zawsze do ciebie

Igną, nawet ptaki. Co jeszcze?

- Namalowałam Rena.

- Ach tak.

Merrie zaczerwieniła się po uszy. Cieszyła się, że siostra jej nie widzi.

- Żadne „ach tak”, bo to nie tak - zaprotestowała. - Przysięgam, nawet potrafi być miły.

- Ach tak.

- Przestań się powtarzać!

W telefonie rozległ się cichy śmiech.

- Okej. Posłuchaj, daliśmy ci sześć telefonów na kartę. Nie mogłabyś dzwonić częściej? Stać nas na to, żeby kupić ich dużo więcej, przecież wiesz.

- Dobrze, w takim razie będę dzwonić raz w tygodniu. Może być?

- Doskonale. I chcę wiedzieć, jak było na przyjęciu. Kiedy to będzie?

- Niedługo, nie znam dokładnej daty. Kupiłam przepiękną suknię - dodała. - Jest egzotyczna i droga, i wyglądam w niej całkiem inaczej.

- Upnij też włosy - zasugerowała Sari. - Będziesz wyglądać bardziej wyrafinowanie.

- Nie jestem wyrafinowana - podsumowała ze śmiechem. - Ale pewnie masz rację. Mam tu gdzieś te czerwone połyskujące klamry z kryształu górskiego. Będą pasować do sukni.

- Będiesz wyglądać zachwycająco. Zrób zdjęcia.

- Na pewno.

- Zadzwoń wkrótce.

- Obiecuję. Uściskaj ode mnie Mandy i Paula. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, maleńka. Do usłyszenia wkrótce.

- Okej, pa.

Merrie się rozłączyła. Brakowało jej siostry. Rozłąka z Sari była dla niej najtrudniejsza, gdyż zawsze były razem. Wciąż denerwowała się, że zapłaciła za zakupy swoją kartą kredytową, miała jednak nadzieję, że płatny morderca nie śledzi takich rzeczy. Z tego, co Paulowi wymknęło się na temat tego człowieka, wiedziała, że jest skrupulatny. Dowie się o niej wszystkiego, co

tylko możliwe, zanim zaatakuje. Zaplanuje to jak kampanię wojenną.

Nigdy do głowy jej nie przyszło, że może stać się czymś celem, nawet kiedy wiedziała, w jaki sposób jej ojciec zarabia pieniądze. Nie przypuszczała, by ktokolwiek chciał ją czy Sari skrzywdzić z powodu ich ojca. Teraz już nie miała tych złudzeń. Timmy Leeds postanowił zabić dwie kobiety, żeby zranić Darwina Graylinga. Niestety nie wiedział, że Darwin już nie żył, kiedy on wynajął płatnych morderców. Ani że nie kochał swoich córek, które miały mu służyć wyłącznie do tego celu, by zdobyć więcej pieniędzy, kiedy wyda je za milionerów.

Całe szczęście, że tak szybko schwytano Morrisa. Miał zamordować Sari, a wylądował za kratkami. Ale do zlikwidowania Merrie Leeds zatrudnił kogoś specjalnego, bo była młodsza i spodziewał się, że jej strata bardziej zrani ojca.

Nie wiedział, że Darwin Grayling nie lubił swoich córek. Pilnował, by zachowały niewinność, żeby je wydać za mąż, czyli sprzedać temu, kto da za nie najwięcej. Merrie z bólem przypominała sobie, że ojciec próbował zmusić Sari, by poleciała na Bliski Wschód i poślubiła księcia, który jako zięć mógłby opłacić adwokata broniącego go przed oskarżeniami o pranie brudnych pieniędzy i morderstwo. Ojciec ich nie cierpiał, tylko planował, jak je wykorzystać, żeby się wzbogacić.

Nigdy nie zrozumie, czemu niektórzy ludzie przykładają tak wielką wagę do majątku. Miło jest mieć trochę pieniędzy, by móc je wydawać i płacić swoje rachunki. Ale poza tym jaki z nich pożytek? Nie można przecież zabrać ich ze sobą do grobu.

Co jej przypomniało, ile naprawdę jest warta. Nie powiedziała tego Renowi, wiedziała też, że Randall nie wspomniał o tym bratu. Ren sądził, że jest biedna. Widziała to w jego oczach, kiedy przyglądał się jej ubraniom. Pewnie uważał, że jest naciągaczką i chce złapać bogatego męża. Może nawet podejrzewał, że stara się o jego względy.

To ją zmartwiło. Wiedziała, że Angie była dziewczyną Randalla, ale zainteresowała się Renem, gdy zdała sobie sprawę, że jest bogatszym z braci. Delsey sugerowała, że Ren zabawiał się

z dziewczynami Randalla, które przyjeżdżały na ranczo, ale były doświadczone i obyte w świecie, i nie miały problemu z tym, żeby dostarczyć rozrywki samotnemu ranczerowi.

Merrie nie należała do tego rodzaju kobiet. Nic nie wiedziała o mężczyznach. Czy Ren miał tę świadomość? Czy uznał, że wolno mu ją krytykować, bo brał ją za kobietę Randalla?

Z pewnością zdawał sobie sprawę, że jej wiedza na temat mężczyzn jest bardzo ograniczona. A może jednak nie? Ale cóż, jeśli kiedykolwiek zacznie o nią zabiegać, prawda sama wyjdzie na jaw.

Nazajutrz Ren i Merrie pojechali do miejsca, gdzie pracownicy naprawiali sporą wyrwę w ogrodzeniu przy autostradzie. Wciąż padał śnieg, ale już nie tak mocno jak w dniu, kiedy Merrie zabłądziła.

Ren oparł ręce na rogu siodła i uśmiechnął się do niej.

- Ogrodzenie często nam się przewraca. Drzewa na nie spadają. - Wskazał dużą gałąź, która odłamała się od wysokiej sosny i leżała na rozwalonym ogrodzeniu. - Czasami było je przewraca, kiedy się czegoś przestraszy. Albo mamy wypadki z ciężkim sprzętem.

- Wypadki?

Naciągnął kapelusz na oczy.

- Tubbs na ładowarce to gotowe nieszczęście - powiedział z ciężkim westchnieniem. - Jest świetny w zaganianiu koni, ale ze sprzętem mechanicznym już nie tak dobrze sobie radzi. Wjechał ładowarką prosto w ogrodzenie, ciągnąc za sobą dwa słupy.

Merrie zdusiła śmiech.

- O rety.

- Cały rano naprawialiśmy ogrodzenie. I ładowarkę. Pociągnął za sobą fragment ogrodzenia aż do laguny. - Skrzywił się - Tamtego dnia ludzie ustanawiali rekord w wymyślaniu nowych przekleństw.

- Macie tu lagunę? - spytała zdziwiona. - Taką jak w filmach, z palmami... - Urwała, widząc, jak Ren na nią patrzy.

- Lagunę na odpady. Jest pełna odchodów bydła. To płynny

nawóz - wyjaśnił.

- Aha... I Tubbs w to wjechał? W lagunę?

Ren przewrócił oczami.

- Żółtodziób z Południa - powiedział o niej.

- O rany - jęknęła. - Chyba niewiele wiem o ranczach.

- A mieszka pani na ranczu.

- Tak, ale nie wolno nam było chodzić tam, gdzie pracowali mężczyźni. Jeździliśmy tylko na starych wierzchowcach, a Paul musiał nam towarzyszyć. Trzymano nas z daleka od wszystkiego, co wiązało się z końmi. Musiałyśmy po kryjomu zakradać się do stajni, żeby je zobaczyć.

Ren pomyślał, że jej ojciec naprawdę był ciężkim paranoikiem, ale zachował to dla siebie.

Merrie zerknęła na niego.

- Zawsze kochałam konie - wyznała. - Trener był bardzo miły. Kiedy taty nie było w pobliżu, pozwalał nam bawić się ze źrebakami. Są słodkie, podobnie klacze. Za to ogiery... Boże, przy nich Hurricane to oswojona owieczka.

- Hodowaliście konie odmiany quarter horse?

Przez sekundę się zawahała.

- Tak.

- My też je hodujemy i tresujemy. Cóż, głównie zajmuje się nimi Tubbs. Ma dwóch kowbojów do pomocy.

- To dlatego macie tyle wybiegów na planie koła?

- Tak, nie lubię narożników.

- Czemu?

- Niedoświadczony jeździec może zostać zaatakowany, jeśli cofnie konia do narożnika i nie zostawi mu drogi ucieczki - wyjaśnił. - W zeszłym tygodniu jeden z pracowników został pogryziony, bo próbował zapędzić konia do narożnika, żeby go złapać. - Potrząsnął głową. - Stwierdził, że praca kowboja jest dużo trudniejsza, niż się wydaje, i uznał, że jednak woli być kierowcą ciężarówki.

Merrie zaśmiała się.

- Wszystkie nasze wybiegi mają narożniki - oznajmiła. - Ale nasz trener jest nadzwyczajny. Nigdy żaden koń nie ugryzł ani nie kopnął, nawet ogier. Ma niewiarygodną cierpliwość do zwie-

rząt. Twierdzi, że niczego się konia nie nauczy, gdy go się bije czy próbuje okiełznać ostrogami.

- Ma rację. My też stosujemy łagodne metody. - Twarz Rena stwardniała. - Tylko Hurricane'owi zabrakło szczęścia. Powinienem dać tamtemu draniowi solidniejszy wycisk, zanim go wyrzuciłem z pracy.

- Ale rany się goją - powiedziała z ulgą. - Doktor Branch już wchodzi do niego sama, nie muszę biec jej z pomocą i odwracać jego uwagi. - Gdy Ren uniósł brwi, wyznała trochę niepewnie: - No dobrze, przyznaję. Zaglądałam tam parę razy, żeby zobaczyć, jak on się czuje. Ale nikt o tym nie wie - dodała szybko, żeby chronić Grandy'ego, który ją wpuścił do stajni.

- Grandy o tym wie, Meredith - rzekł Ren niskim głosem.

- Och... - Zawstydziała się, choć serce zabiło jej mocniej, kiedy wypowiedział jej pełne imię.

- W porządku. - Westchnął zrezygnowany. - Już uzgodniliśmy, że okiełznać artystę to jak zaganiać kota. Proszę tylko uważać - dodał z troską. - Każde zwierzę może być niebezpieczne, a już zwłaszcza konie. Najdziwniejsze rzeczy mogą je wystraszyć. Szelest papieru, pękająca torebka foliowa czy jakiś inny hałas.

- Wiem o tym. Naszemu trenerowi uciekł kiedyś koń i wpadł prosto do kuchni, bo na autostradzie strzelił gaźnik w samochodzie. - Roześmiała się. - Szczęście, że to był źrebak. Mandy kazała potem zrobić w kuchni nową podłogę, nie było innego wyjścia. Nie powiedziałyśmy o tym tacie. - Powściągnęła drzenie. - Kazałby zabić źrebaka.

- Co takiego?! - oburzył się Ren.

- Był strasznie wybuchowy. Jeśli koń wyglądał groźnie albo za bardzo się zbliżył, a ojciec uznał to za zagrożenie... - Urwała i szczerzej otuliła się kurtką, próbując odsunąć od siebie złe wspomnienia.

- Pani ojciec miał ze sobą poważne problemy - stwierdził stanowczo.

- Tak - odparła ze smutkiem. - Był niezrównoważony, nigdy nie wiedzieliśmy, jak się zachowa. Autopsja wykazała, że miał uszkodzenia mózgu. Koroner stwierdził, że w największym stopniu zabiły go narkotyki. Serce nie wytrzymało. - Podniosła na

niego wzrok. - Sari i ja nigdy nawet nie paliłyśmy marihuany, ale nasz ojciec był uzależniony od heroiny. Podobno kosztowało go to tysiące dolarów dziennie. To jeden z powodów, dla których... zdobywał pieniądze, łamiąc prawo.

- Tutaj nie tolerujemy narkotyków - powiedział poirytowany Ren. - Zatrudniliśmy kiedyś kowboja, który był uzależniony, i przyłapaliśmy go na tym. Daliśmy mu wybór: albo pójdzie na odwyk, albo do więzienia. Poszedł na odwyk.

- I jak jego dalsze losy?

Uśmiechnął się.

- Okazał się najlepszym brygadzystą, jakiego mieliśmy. Teraz ma oko na młodszych pracowników.

- To miło z pana strony.

- Nie jestem złym człowiekiem. - Zerknął na nią i uniósł brwi.

- Proszę to zapamiętać.

- Okej.

Jego oczy zabłysły. Jej oczy także.

Ren spojrział na niebo i powiedział:

- Lepiej ruszajmy, jeśli mam pani pokazać drewniane chaty, gdzie mieszkają kowboje.

- Okej!

Zaśmiał się, słysząc w jej głosie entuzjizm.

- Nowe ekscytujące rzeczy do obejrzenia i poznania?

- Tu wszystko jest dla mnie nowe - odparła, ruszając za nim.

- Tyle tu... przestrzeni... - Rozejrzała się wokół. - Wyobraża pan sobie, jak czuli się pierwsi ludzie, którzy tu przybyli, kiedy ujrzeli te góry i nieskończone doliny? Zwłaszcza jeśli widzieli je zimą, kiedy śnieg przykrywa wszystko jak miękki koc.

- To prawda, tu jest pięknie. Ludzie przeprowadzają się w te strony, bo mówią, że mają tu czym oddychać. Może pani przejechać wiele kilometrów, nie spotykając drugiego człowieka. Antylopy, bizona i łosie wychodzą na żer. Czasami zdarzają się nawet niedźwiedzie. To raj dla myśliwych.

- Nie zastrzeliłabym żadnego zwierzęcia - oznajmiła stanowczo.

- We mnie też budzi to negatywne uczucia. Wydajemy kilka pozwoleń na odstrzał, ale tylko wtedy, kiedy populacja jeleni

jest większa niż drapieżników. Nie powiem, lubię smaczny gulasz z sarniny, ale nigdy nie zabijałem dla samego zabijania.

Merrie pokiwała głową z aprobatą. Ren na pozór wydawał się twardy, ale serce miał miękkie. Im lepiej go poznawała, tym bardziej go lubiła. Na miejscu tamtego chłodnego, a nawet wrogiego mężczyzny z pierwszych dni jej pobytu, pojawił się dobry, interesujący człowiek, który powoli znajdował drogę do jej serca.

Drewniane domki stały w pewnych odstępach od siebie. Zbudowano je na terenie, gdzie trzymano bydło, żeby ktoś stale je obserwował i chronił, dbał o bezpieczeństwo i zdrowie zwierząt. Merrie dowiedziała się, że Ren ma brygadzystę, który zajmuje się żywym inwentarzem, a także pracownika, który opiekuje się wyłącznie rasowymi bykami. Na ranczu zatrudniano też podkuwacza koni, człowieka, który oswajał konie, spośród których kowboje wybierali swoje wierzchowce, a także mechanika, który reperował przyczepy do przewozu koni i bydła. Ranczo wymagało wielu różnych specjalistów i było naprawdę ogromnym przedsiębiorstwem.

- Kiedyś jedna z jałówek utknęła kopytem w ogrodzeniu - opowiadał Ren. - Zamarzłaby na śmierć, gdyby Lucky'ego, który mieszka w chacie, nie było w pobliżu. Inna znów zaczęła się cielić i trzeba było odebrać poród. Jeszcze inna została zaatakowana przez wilka.

- Jak sobie radzicie z wilkami? - spytała Merrie. - Słyszałam, że nie wolno ich zabijać.

- Kontaktujemy się z Departamentem Rolnictwa, który prowadzi specjalny program zajmujący się interakcją dzikiej przyrody i człowieka i związanymi z tym zagrożeniami. Jeśli istnieje uzasadniona konieczność, Fish and Wildlife^[2] wydaje pozwolenie na zabicie wilków. Ale ja staram się z nimi żyć w zgodzie - oznajmił Ren. - Są majestatyczne, królewskie, stanowią część natury. Odstraszamy je, jeśli się da. A jeżeli to nie działa i zaczynamy tracić zbyt wiele cieląt, musimy prosić o pomoc władze.

- To smutne. - Podniosła wzrok i nagle otworzyła usta. -

Kruk!

Ren spojrział na niebo.

- Tak, kruki są u nas cały czas. To padlinożercy. Są pożyteczne, podobnie jak wilki, które ograniczają populację królików.

Zerknęła na niego i powiedziała:

- Przysiadł niedaleko. Możemy do niego podejść i przyjrzeć mu się z bliska?

Ren do tego stopnia zatonął w jej łagodnych szarych oczach, że omal nie zapomniał, o co go spytała.

- Oczywiście, tyle że gdy tylko się zbliżymy, on odleci.

- Nie szkodzi. Chcę na niego popatrzeć choć przez moment.

Ren zawrócił konia i pojechał pierwszy. Kruk siedział na skale. Uniósł głowę i zdawało się, że się w nich wpatruje, ale zaraz potem wyglądał, jakby zbierał się do lotu.

- Zostań, proszę - powiedziała łagodnie Merrie. Zsiadła z konia i podeszła parę kroków. - Piękny jesteś - dodała cicho.

Kruk wydawał się nią równie zafascynowany. Zbliżył się do niej podskokiem, a potem się zatrzymał i dalej na nią patrzył.

Merrie stała nieruchomo, dzieliła ich teraz długość ramienia. Pochłaniała go wzrokiem, a jej oczy artystki starały się zapamiętać linie jego ciała.

- Namaluję cię, śliczny ptaku - powiedziała do niego z uśmiechem. - Jesteś taki majestatyczny.

Kruk odezwał się szorstkim, schrypniętym głosem, zatrzepotał skrzydłami i raptem poderwał się do lotu. Zatoczył kilka kół, a potem odleciał.

- No, no, wprost niewiarygodne! - powiedział Ren, podjeżdżając do Merrie. - W życiu nie widziałem, żeby człowiek tak zbliżył się do kruka.

- Kocham ptaki - oznajmiła, wsiadając znów na konia. - Lubie je malować. Chociaż u nas nie ma kruków, tylko wrony. Ale są bardzo podobne.

- To prawda.

- Czy uda mi się kiedyś spotkać wilka? - spytała, przypominając sobie oswojonego zwierzaka, który podobno mieszkał w drewnianym domku z brygadzystą Willisem.

Ren roześmiał się, po czym zawołał:

- Okej. No to jedziemy!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wilk miał na imię Snowpaw. Był duży, srebrny i miał żółte oczy. Za to nie miał jednej nogi.

- Och, biedactwo - powiedziała Merrie na jego widok.

Willis, wysoki i szczupły brygadzysta, właściciel wilka, uśmiechnął się ze smutkiem.

- Mieliśmy sąsiada, który rozstawiał w lesie pułapki na niedźwiedzie. To naprawdę ohydztwo, potrafi pokaleczyć zwierzę i przysporzyć mu cierpienie, zanim je zabije. A na dodatek każde zwierzę może się w to złapać, nie tylko niedźwiedź. I tak się właśnie przytrafiło Snowpawowi. Uwolniłem go, ale nie nadawał się już do życia na wolności. Postarałem się o licencję rehabilitanta dzikich zwierząt z agencji ochrony przyrody i pozwolili mi go zatrzymać. W wolnym czasie zabieram go do szkół i pokazuję dzieciom, że wilki nie są okrutnymi bezmyślnymi istotami, za jakie się je uważa.

- Jest piękny. - Merrie pochyliła się do zwierzaka, siedząc na krześle.

Snowpaw przekrzywił głowę i przyglądał się jej przez chwilę. Potem podniósł się na nogi i krocząc z wolna, podszedł do Merrie i położył głowę na jej kolanach.

- Ale z ciebie słodziak - odezwała się pieszczotliwie, wsuwając palce w futro między jego uszami.

Willis patrzył na tę scenę osłupiały, podobnie jak Ren.

- Co? - spytała, wciąż głaszcząc wilka.

- Moja dziewczyna przyjechała kiedyś z wizytą, a on siedział w kącie i cały czas na nią powarkiwał - powiedział Willis. - Warczał nawet na moją matkę.

- Przed chwilą kruk, który przysiadł na skale, pozwolił jej podejść do siebie na odległość ramienia - powiedział Ren z czytelną dumą i uśmiechnął się do Merrie. - O Hurricanie już słyszałeś.

Merrie, jak to ona, oblała się czerwienią. Nie zdawała sobie sprawy, że wieść o jej troskliwej opiece nad maltretowanym koniem rozeszła się już wśród kowbojów.

- Wszyscy o tym słyszeliśmy. - Willis uśmiechnął się do niej. - Jest tu już pani legendą, panno Merrie.

Jej rumieniec jeszcze się pogłębił.

- Po prostu kocham zwierzęta - powiedziała cicho.

- Powinieneś zobaczyć portret Hurricane'a, który namalowała - powiedział Ren. - Diabelnie dobra z niej artystka.

- Mogłaby pani narysować dla mnie Snowpawa? - spytał Willis, na którym ta wiadomość zrobiła duże wrażenie. - Tylko szkic. Zapłacę pani...

- Nie biorę pieniędzy za moje prace - odparła. - I z ogromną przyjemnością sportretuję Snowpawa. Jest wyjątkowo urodziwy - dodała, pocierając czołem o czoło wilka.

Wilk przysunął się jeszcze bliżej.

Ren tylko pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać. Za to w jego czarnych oczach pojawiło się coś nowego, coś, co przyspieszyło bicie serca Merrie. Choć nie do końca potrafiła to nazwać.

W drodze powrotnej na ranczo Ren zatrzymał się przy bramie i zmarszczył czoło. Zsiadł z konia i sprawdził kamerę umieszczoną na słupie, po czym sięgnął po telefon.

- Willis, czy ktoś sprawdzał dziś kamery? Nie? Kamera przy bramie, przy drodze prowadzącej do chaty, jest przekrzywiona. Wygląda mi na to, że ktoś ją niezbyt starannie zamocował. Powiedz J.C., żeby tu przyjechał i spojrzal na nią, dobrze? Wiem, to mógł być duży ptak albo silniejszy powiew wiatru. Ale na wszelki wypadek wolę sprawdzić. Jasne, dzięki.

Rozłączył się i przypiął telefon z powrotem do pasa.

- Chyba pan nie podejrzewa, że ktoś przy niej majstrował? - spytała Merrie z niepokojem.

- Mało prawdopodobne, żeby jakiś intruz dostał się tak daleko. - Wskoczył z powrotem na siodło. - Dom jest jakieś dziesięć kilometrów od autostrady, a tu jesteśmy jeszcze pół kilometra dalej.

- Nie chcę narażać pana i Delsey na niebezpieczeństwo - po-

wiedziała z powagą. – Mogę wyjechać...

Spojrzał na nią z siodła. Skóra zaskrzypiała, kiedy się na nim poprawił. Nikt poza Delsey nigdy nie troszczył się o jego bezpieczeństwo. Zdziwiło go, jak dużą przyjemność sprawiły mu słowa Merrie. Angie nawet nie udawała, że choć trochę obchodzi ją, czy spotka go coś złego.

– Mam najnowocześniejszy system alarmowy – przypomniał. – I jednych z największych twardzieli w tym kraju, byłych najemników. Jest pani tu bezpieczna. Tak samo jak my. Okej?

– Okej – powtórzyła z westchnieniem.

Ren ruszył naprzód, oglądając się na nią.

– Randall powinien powiedzieć prawdę – dodała. – Wy tłumaczyć panu, dlaczego w ogóle mnie tu przywiózł.

– Wiedział, że tu nic pani nie grozi. – Wzruszył ramionami. – Powiedział mi tylko, że ktoś panią prześladowa, więc na jakiś czas musi się pani gdzieś ukryć.

– Niestety to nie tak. Chociaż wolałabym, żeby tak właśnie było. Wyobraża pan sobie, że człowiek może wynająć płatnego zabójcę, żeby zlikwidował dwie niewinne kobiety tylko dlatego, że chce zemścić się na ich ojcu? Ja sama wciąż nie mogę w to uwierzyć. – Przez jakiś czas jechali w milczeniu, aż wreszcie Merrie spytała zatroskana: – Myśli pan, że ja i Sari możemy z czasem upodobnić się do ojca? Nigdy nawet muchy nie skrzywdziłam. Łapię je i wypuszczam na zewnątrz...

– A wie pani, że konie są dosyć pojętne i znają się na ludziach? – przerwał jej. – Hurricane poturbował jednego z moich kowbojów, nikomu z nas nie pozwolił się dotknąć, a pani pozwolił przemyć sobie rany. Gdyby była pani złym człowiekiem, to jak pani myśli, czy tak by się zachował?

– Chyba nie... – Odetchnęła głęboko. – Po prostu nie daje mi to spokoju.

– Co pani wie o tym płatnym zabójcy?

– Paul, mój szwagier, twierdzi, że jest świetnym zawodowcem. Zajmuje się tym od dawna i w mafijno-gangsterskim świecie cieszy się doskonałą reputacją. Jak dotąd nie trafił za kratki, bo zawsze udawało mu się przekupić albo zamordować świadków swoich zbrodni. Jak mówi Paul, zabójca jest tak pewny siebie,

że ubiera się w charakterystyczny sposób i nosi pierścień, po którym łatwo go zidentyfikować. – Zadrzała. – Podobno nigdy nie pudłuje.

Na myśl o kuli w ciele tej słodkiej, delikatnej kobiety Ren poczuł ucisk w sercu. Była wyjątkowa. Nigdy nie znał nikogo takiego jak ona. Budziła w nim instynkt opiekuńczy, jakiego dotąd nie doświadczył.

– On pani tu nie znajdzie – powiedział z mocą. – Obiecuję to pani.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem, patrząc Renowi w oczy.

– Zimno?

– Nie, niespecjalnie. Bardzo polubiłam tę kurtkę. Jest taka ciepła.

Zastanawiał się, czemu mu za nią jeszcze nie podziękowała. Była w końcu wzorem uprzejmości. Być może nauczyła się oczekiwać od mężczyzn prezentów. Jej uroda przyciągała męską uwagę. Zakradły się do niego dawne wątpliwości. Bo przecież mogła być urocza, a przy tym wcale nie różnić się od Angie. Wszyscy mają wady i zalety. Być może jej zdaniem wykorzystywanie mężczyzn to nic złego.

Nie mógł się pozbyć podejrzliwości w stosunku do Merrie. Wydawała się autentyczna, a jednak nie dałby głowy, czy jej zachowanie nie było jakąś grą. Angie z początku była słodka, wtulała się w niego jak kociak. Udawała, że jest taką kobietą, jakiej on potrzebuje.

Nie, nie była niewinna, nie próbowała nawet sprawiać takiego wrażenia. Była gotowa na wszystko, czego chciał, i to od dnia, gdy się poznali. Była kobietą Randalla, ale pragnęła Rena, ponieważ był bogatszy.

Jego rysy stwardniały. Kobiety kochały jego pieniądze. Miał dość tego przymilania się, umizgiwania, fałszywie skromnych min, uwodzicielskich spojrzeń. Kobiety od lat go prześladowały, a przede wszystkim te, które brat przywoził z wizytą na ranczo.

Lecz ta wydawała się inna. A jednak była kobietą Randalla. Doprowadzało go to do pasji. Nigdy wcześniej nie myślał o tym, że chciałby być jedynym mężczyzną w życiu jakiejś kobiety, zaś z wiekiem przekonywał się, że większość kobiet nie wzbudza

jego zainteresowania. Zaharowywał się prawie na śmierć i stworzył ze swojego rancza prawdziwe imperium. Ale po jego śmierci ranczo przejdzie w ręce Randalla. A ten wystawi je na sprzedaż, zanim trumna Rena znajdzie się w ziemi. Był o tym absolutnie przekonany. Brat nie był tak jak on przywiązany do tego rancza.

- Zamilkł pan - zauważyła Merrie, przerywając mu ponure myśli.

- Myślałem o ranczu - odparł.

- Delsey mi o nim opowiadała - powiedziała. - To ogromny teren. Nie mam pojęcia, jak panu wystarcza rąk do pracy przy tak licznych stadzie bydła ani jakim cudem robi pan to wszystko, co trzeba zrobić w zimie, żeby zwierzęta nie zmarzły na śmierć.

Zerknął na nią z uśmiechem.

- Oglądała pani to drugie DVD, o zimie na ranczu?

- A ma pan takie nagranie? - spytała podekscytowana. - Nie, nie oglądałam.

- Znajdę je, jak wrócimy do domu. Pokazuje naszą ciężką harówkę, przygotowania do wiosennych sprzedaży.

- A dokładniej?

- Wielki ból głowy.

Zaśmiała się.

- Nie, ale poważnie.

- Sprzedajemy część buhajów, rasowych krów, cieląt i roczniaków. Zamieszczamy oferty w prasie fachowej, w magazynach o hodowli bydła, w internecie. Ludzie zjeżdżają się na ranczo, a my częstujemy ich grillowanym mięsem i fasolką i ściągamy kupców do obory. - Zaśmiał się. - Robimy poważne interesy. Zdaje mi się, że jedzenie jest tu nie od parady. Tubbs jest świetnym kucharzem. Zawsze wtedy gotuje.

- Tubbs! - zawołała. - Czyli Szekspir w ostrogach.

Ren wybuchnął gromkim śmiechem.

- Muszę mu powiedzieć, że dorobił się nowej ksywki. - Uśmiechnął się, kiedy znów się zaczerwieniła. - Tak, Tubbs gra w miejscowym teatrze, kiedy ma wolny czas, ale nie ma go zbyt wiele.

- Zauważyłam. To bardzo wymagająca praca.

- Zgadza się, ale ja ją Kocham. - Zatrzymał konia i rozejrzał się po swojej ziemi, która kończyła się gdzieś na horyzoncie, gdzie zarysowywały się ostre szczyty pasma górskiego Teton. Wokół obory znajdowały się wybiegi na planie koła, za nimi liczne pastwiska, a wszystko było ogrodzone pomalowanym płotem i dobrze utrzymane.

- To eleganckie ranczo.

- Dziękuję. Ale najbardziej lubię jednak zwierzęta i pracę z nimi.

- Też lubię zwierzęta. W dzieciństwie nie wolno nam było trzymać w domu psa ani nawet kota. - Zaśmiała się. - Sari odgraża się, że kupi wielkiego psa, który zamieszka z nimi w domu, na co Paul ją postraszył, że ma przyjaciela, który jest kucharzem i specjalizuje się w daniach z psiego mięsa.

- Dobrze. Ale on żartował, prawda? - upewnił się Ren. - Nie zrobiłby czegoś takiego?

- Oczywiście, że nie! Po pierwsze, nie jest psiojadem, a po drugie i najważniejsze, bezgranicznie kocha Sari. Gdyby zażyła sobie księżyc na urodziny, zaraz by zaczął budować statek kosmiczny. Ich związek jest wyjątkowy. To prawdziwa miłość. Dotąd tylko o niej czytałam, ale Sari naprawdę znalazła swoją drugą połowę.

- Pani siostra musi być miłą osobą.

- Jest miła. A także utalentowana.

- Pani ma talent do sztuk plastycznych, do malarstwa - powiedział szybko, bo w jej głosie usłyszał nutę zazdrości. - I to wielki talent.

- Dziękuję - odparła zażenowana i oczywiście zaczerwieniła się.

- Namaluje pani tego wilka?

- Oczywiście! Zacznę szkicować zaraz po powrocie do domu.

Podobało mu się, jak powiedziała słowo „dom”. Oczami wyobraźni ujrzał natychmiast ogień w kominku i jedzenie na stole. To było coś nowego.

Podjechali do ganku od frontu. Merrie zsiadła z konia, jej twarz wykrzywił grymas bólu.

- Przez wiele dni będę człapać na ugiętych nogach - marudzi-

ła ze śmiechem.

- Bez wątpienia. Bardzo bolą panią nogi?

- Bardzo.

- Niech się pani wymoczy w wannie - zasugerował, biorąc jej konia za uzdę. - Odprowadzę je do stajni.

- Dziękuję.

Patrzył na nią czarnymi oczami przez dłuższą chwilę, aż jej serce zaczęło walić jak oszalałe, a oddech uwiązł w gardle. Tymczasem on nawet nie mrugnął, aż pomyślała, że zemdleje, tyle napięcia było w tym spojrzeniu.

W końcu Ren umknął wzrokiem i powiedział:

- Wracam do roboty.

- Dziękuję za przejażdżkę. I za spotkanie z wilkiem. Nigdy tego nie zapomnę.

- Ja też - odparł schrypniętym głosem, po czym zaczął się oddalać razem z wierzchowcami.

Zaintrygowana odprowadzała go wzrokiem. Miała wrażenie, że Ren lubi jej towarzystwo, ale potem odwrócił się od niej, jakby miał sobie to za złe. Wchodząc do domu, zastanawiała się, co się za tym kryje.

Uczucia, które budziła w nim dziewczyna jego brata, wytrącały Rena z równowagi. Była istotą o gołę bim sercu. Nie mógł jej powiedzieć, że zna swojego brata i wie, że Randall nie umawia się z kobietami, które odmawiają seksu. Meredith wydawała się niewinna, a jednak należała do Randalla, który nawet nie spojrzalby na dziewicę. To była prawdziwa zagadka. Ren zaprowadził konie do stajni i wysiłkiem woli odsunął od siebie myśli o Meredith.

Merrie była pochłonięta tworzeniem szkicu do portretu wilka. Zapamiętała zwierzaka w każdym szczególe, i to, jak futro układało się między uszami, i skośne żółte oczy, i futro na grzbiecie, i długi puszysty ogon.

Nie zdawała sobie sprawy, jak długo już nad tym siedziała, gdy od pracy oderwało ją pukanie do drzwi, a po chwili do pokoju zajrzała Delsey.

- Pora na kolację - oznajmiła. - Ren już jest na dole. - Skinęła głową w stronę schodów i spojrzała znacząco na Merrie.

- Och, przepraszam. Tak mnie to wciągnęło... - Nagle urwała, bo zza pleców Delsey wychylił się Ren.

- I co? - spytał.

- Już idę - powiedziała. - Ja tylko...

- Aha, wilk. No to spójrzmy na pana Snowpawa.

Zaśmiała się z ulgą. Podniosła szkic z łóżka i pokazała im swoją pracę.

- Zachwycające... - Ren patrzył jak urzeczony.

- Wygląda jak żywy, jak na zdjęciu. - Delsey z niedowierzaniem pokręciła głową. - Kochanie, masz niezwykły talent. Naprawdę powinnaś wystawiać swoje prace.

- Dziękuję - odparła Merrie. Nie przywykła do pochwał, bardzo ją krępowały, ale zarazem było jej bardzo miło. - Kocham to robić. Namaluję portret Snowpawa, to tylko wstępny szkic. Zapisalam sobie, jakich kolorów użyć, żeby nie zapomnieć.

- Willis będzie skakał z radości, jak to zobaczy - powiedział Ren. - Kocha tego wilka.

- To widać. To taki słodki zwierzaczek.

- Słodki?! To dziki wilk! Warknął na mnie i omal mi ręki nie capnął, jak zaniostałam Willisowi jedzenie, bo był chory. Warczał, zębiska szczyrzył! - zawołała Delsey.

- Ten dziki wilk położył łeb na jej kolanach i pozwolił się głaskać - powiedział Ren, a jego czarne oczy złagodniały, kiedy spojrzał na Merrie.

- Teraz już wiem, że masz rozliczne talenty - skwitowała Delsey. - Dzikie wilki przemieniasz w łagodne istotki, malujesz piękne obrazy... A ja potrafię tylko pichcić.

- Nonsens - odparła Merrie. - Jest pani wspaniałą kucharką. Gotowanie to sztuka. Niech pani obejrzy programy kulinarne w telewizji, to się pani przekona.

- Delsey mogłaby wygrać każdy konkurs, gdyby tylko chciała - zgodził się Ren. - Schodzi pani na dół? Artyści też muszą jeść.

- Już idę.

Odłożyła szkic i poszła za nimi na dół.

Delsey przeszła samą siebie. Zaserwowała pieczoną szynkę, purée z ziemniaków, zieloną fasolkę, którą zagotowała i zapuszkowała zeszłej wiosny. Do tego domowe bułeczki, a na deser ciasto czekoladowe.

- Jestem tak najedzona, że nie wejdę na górę - marudziła Merrie. - Rety, co za pyszności.

- Dziękuję - odparła Delsey. - Pomyślałam, że będziecie zmęczeni i zmarznięci, bo prawie cały dzień spędziliście na zimnym wietrze.

- Znow padła śnieg - stwierdził Ren. - Pojedziemy na przyjęcie jaguarem. Ma lepszą przyczepność na śniegu.

- Przyjęcie? - spytała Merrie.

- Jutro wieczorem. Zapomniało się datę, co? - podkpiwał.

- Przecież nie podał mi pan dokładnej daty - broniła się. - Wiem tyle, że zaprosił mnie pan na wspólne wyjście na przyjęcie. - Posmutniała gwałtownie. - Wie pan przecież, że nie umiem tańczyć. Ojciec nie tolerował w domu muzyki. Jak taka kaleka ma iść na przyjęcie z tańcami? - Była naprawdę zmarzwiona. - Czy trudno jest nauczyć się tańczyć?

- Wcale nie. Nie, cofam to - poprawił się. - Niektóre tańce są trudne. Nie radzę sobie z tymi wygibasami, które niektórzy lubią.

- Wygibasami?

Omiał nie zatonał w jej oczach. Potem się uśmiechnął.

- Tymi nowszymi, które można zobaczyć w filmach.

- Ach, tymi. Też nie dałabym rady tego zatańczyć. A niektóre z nich wyglądają dość wulgarnie - dodała zmieszana. - Jestem pewna, że gdybym musiała coś takiego zatańczyć w miejscu publicznym, czułabym się skrępowana.

Delsey promieniała. Ren się uśmiechnął, choć nadal nie ufał Merrie. Nie wykluczał, że jest uczciwa. Ale jednak pojawiła się tu jako dziewczyna jego brata.

- A co tam u Randalla? - spytał Ren, kiedy wypił drugą filiżankę kawy.

- U Randalla? Cóż, nie wiem - przyznała Merrie. - Nie rozmawiałam z nim od czasu, kiedy mnie tu przywiózł.

Ren spojrzał na nią wilkiem.

- Nie ma pani komórki?

- Mam nawet sześć, jednorazowych, na kartę. Paul powiedział, że kiedy je dla mnie kupował w Best Buy, spytali go, czy jest dilerem narkotyków. To był żart. Paul zna sprzedawcę - dodała ze śmiechem. - Mówi, że handlarze narkotyków używają takich telefonów, żeby nie można ich było wysledzić. Wiedział, że będę chciała porozmawiać z Sari. Nigdy się nie rozstawałyśmy, z wyjątkiem jej wyjazdu na Bahamy, kiedy omal się straciła życia. - Wzięła do ręki filiżankę z kawą. - No i teraz, oczywiście. Tęsknię za nią.

- Może pani do niej dzwonić z naszego stacjonarnego telefonu, kiedy tylko pani zechce - powiedział Ren.

- Wiem, ale to niebezpieczne. Paul mówił, że można namierzyć rozmowę, nie wchodząc nawet do budynku, w którym znajduje się aparat telefoniczny. Ten człowiek mógł komuś kazać monitorować rozmowy Sari. Jeśli zobaczy numer, który można zlokalizować... mogą być kłopoty.

- Zapomniałam o tym natręcie - przyznała Delsey. - Mam nadzieję, że go zatrzymają. To musi być nieznośne.

- To prawda - odparła Merrie. - Ciasto było przepyszne, Delsey. Idę na górę popracować nad moim szkicem. Ren - dodała - dziękuję, że mogłam zobaczyć z bliska tego wilka. Jest naprawdę niesamowity.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Meredith. Spokojnej nocy.

- Dobrej nocy. Dobranoc, Delsey.

Zostawiła ich i ruszyła w stronę schodów, wracając myślami do rysunku i zmian, które chciała wprowadzić.

- Mężczyźni, którzy prześladują kobiety, powinni być zamykani w więzieniu - mruknęła Delsey. - Zwłaszcza jeśli prześladują takie miłe dziewczęta jak Merrie.

Ren o mały włos nie zdradził jej prawdy. Ale Meredith nie poprosiła Delsey, kiedy ta nazwała tego mężczyznę natrętem, więc też nie zamierzał tego robić. Przysporzyłby tylko trosk posuniętej już w latach gospośi, która była dla niego jak przybrana matka. Wyjawi jej prawdę tylko wtedy, gdy okaże się to abso-

lutnie konieczne.

- Tak - przyznał. - Powinni.

Zerknęła na niego, po czym powiedziała:

- Dzwoniła pana matka.

- Tak? - Ren zamarł.

- Wiem, że pan się z nią nie kontaktuje, ale przeszła jakieś badania i jest tym zmartwiona. Chciała z panem porozmawiać.

Ren zacisnął zęby.

- Tak? - powtórzył.

Delsey wzięła głęboki oddech.

- Gdy człowiek umrze, umiera też szansa na to, by się z nim pogodzić. Wie pan, o czym mówię?

Ren skinął głową. Krótko i gwałtownie.

- Nienawidziłam mojego ojca - podjęła Delsey, zbierając naczynia ze stołu. - Zostawił matkę dla innej kobiety i nigdy więcej go nie widziałam. Po latach ta nowa żona odeszła od niego, a moja matka zmarła. Mieszkałam z kuzynką, chodziłam do szkoły. Pewnego razu ojciec zadzwonił, chciał ze mną porozmawiać. Odmówiłam. - Poskładała talerze. - Dwa dni później zginął w wypadku samochodowym. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Może chciał mnie przeprosić, a może spróbować się wytłumaczyć z tego, co nam zrobił, ale już się tego nie dowiem. Nie zostawił testamentu ani żadnego wyznania w formie listu. To jest jak taka opowieść, która ma początek i środek, ale nie ma końca. Już zawsze będę się zastanawiać, co chciał mi wtedy powiedzieć. - Podniosła stos talerzy. - Straciłam szansę. Pan jeszcze swojej nie stracił. - Po tych słowach wróciła do kuchni.

Ren przeniósł się do salonu, włączył telewizor i nastawił program informacyjny, choć tak naprawdę nie słuchał tego, co tam mówili. Myślał o tym, co powiedziała Delsey.

Od lat nienawidził matki, miał jej za złe słowa, które kiedyś przypadkiem usłyszał z jej ust. Powiedziała, że jest zimny i okrutny jak jego ojciec, że w niczym nie przypomina dobrego ojca Randalla, którego kochała całym sercem.

Ren starał się ją tolerować. Kiedy uczęszczał do college'u, niezbyt często odwiedzał jej dom, a jeśli już, to głównie po to, by spotkać się z bratem. Kochał Randalla. Bardzo się różnili, ale

młodszy brat miał złote serce i przejrzysty, uczciwy charakter. Ren z radością wprowadzał go w tajniki pracy na ranczu, obserwował, jak Randall wyrasta na poważnego i rzetelnego biznesmena, jak staje się cennym nabytkiem dla rancza. Jedyne, czego w bracie nie akceptował, to sposób, w jaki traktował kobiety.

Ren nie widział matki od czasu, gdy przed laty w gniewie opuścił jej dom. Był wówczas na ostatnim roku college'u. Matka świętowała Boże Narodzenie, a on od tamtej pory nie znosił tych świąt i nie tolerował ich w swoim domu. Delsey oczywiście ubierała drzewko w swoim pokoju. Jego kowboje też świętowali, w małych drewnianych domach zapalali kolorowe lampki i układali prezenty dla dzieci pod choinką. Ren zamierzał nawet zakażać obchodzenia świąt na swoim ranczu, ale Delsey mu przypomniała, że nie ma prawa narzucać pracownikom, w co mają wierzyć. Oświadczyła to grzecznie, lecz stanowczo. A na koniec spytała, czy już zapomniał, jak rodzice zabierali go do kościoła.

Zapomniał. Nie znosił tego wspomnienia. Byli wtedy rodziną. Ren siadywał na kolanach ojca i „prowadził” samochód, naśladując ruchy ojca, gdy jechali długą drogą do domu. To były szczęśliwe, jasne dni, które tak szybko się skończyły.

Pamiętał, jak ojciec wrzeszczał na matkę, że go zdradziła, krzyczał, że przespała się z jego najlepszym przyjacielem, a przecież była jeszcze jego żoną. Ojciec omal nie oszalał z bólu. Matka powiedziała tylko, że jej przykro, ale kocha innego mężczyznę, dlatego odchodzi i zabiera ze sobą Rena.

Doprowadziło to do bezwzględnej walki o opiekę nad dzieckiem, którą wygrała matka. Sędzia uważał, że miejsce syna jest przy matce. Ren nienawidził jej za to, że go zabrała z domu ojca. Nienawidził też mężczyzny, którego poślubiła, kiedy rozwód stał się rzeczywistością.

Ojciec Randalla traktował Rena dobrze. Może nawet lepiej, niż zasługiwał na to buntowniczy dziesięciolatek. Tolerował jego wrogie spojrzenia, nadąsane miny, pełne urazy milczenie. Ren odzywał się do niego wyłącznie wtedy, gdy był do tego przymuszony. Matka była tym zrozpaczona.

Ale później na świat przyszedł Randall i Ren zmienił się nagle i niespodziewanie. Dziecko go fascynowało. Bardzo lubił mu się

przyglądać, obserwował, jak się rozwija. Od pierwszej chwili niemal oszalał na jego punkcie. Pomagał matce przy karmieniu małego, pilnował go, kiedy robiła zakupy. Innymi słowy, bezwarunkowo pokochał Randalla.

Co nie uległo zmianie, kiedy brat zaczął stawiać pierwsze kroki, a potem poszedł do przedszkola. Kiedy Randall uczęszczał do szkoły podstawowej, Ren uczył się w college'u, a kiedy Renowi uroczyście wręczano dyplom, Randall siedział na widowni z matką i ojcem. Ojciec Rena się nie pojawił, nie stać go było na bilet autobusowy. Ale zadzwonił do Rena i powiedział, że jest z niego dumny.

Wtedy Rena ogarnął smutek. Pomyślał o tym, dlaczego on i matka mieszkali z ojcem Randalla. Jego ojciec dosłownie w jednej chwili stracił całą swoją rodzinę. I przez długie lata to opłakiwał.

Na Boże Narodzenie, po zdobyciu licencjatu, Ren zaczął studia magisterskie, na które jako wybitnie zdolny student otrzymał stypendium. Mieszkał w akademiku i przyjeżdżał do domu zobaczyć się z Randallem, którego ojciec zmarł dwa lata wcześniej.

I właśnie przy takiej okazji przypadkiem usłyszał tamte słowa matki, kiedy ironicznie wyraził się na temat choinki i całej idei świętowania Bożego Narodzenia. W college'u nauczono go, że Bóg jest mitem, przesądem, który powstrzymuje ludzi przed doskonaleniem się tu i teraz, dzień po dniu. Atrakcyjna profesorka fizyki zapewniała o tym studentów. Ren się w niej podkochiwał, więc wierzył każdemu jej słowu.

Pojechał do domu z głową nabitą nowymi ideami. Matka mówiła coś o świętach i z wielkim podekscytowaniem opowiadała o widowisku zaplanowanym przez parafię. Ren to wyśmiał – a zarazem wyśmiał matkę – mówiąc, że jest ignorantką, skoro wierzy w przesady i mity zamiast w naukę. Matka zalała się łzami i pobiegła do kuchni szukać pociechy u Randalla. Potem wypowiedziała słowa, które zabiły tę miłość, jaką Ren nadal ją darzył, słowa, które usłyszał, kiedy szedł do niej z przeprosinami. Stwierdziła, że jej drugi mąż jest dobry i szlachetny, zaś ojciec Rena zimny, okrutny i bezduszny. Ren, jak powiedziała, jest taki

sam jak jej pierwszy mąż. Za to Randall to uosobienie idealnego syna.

Ren, zdruzgotany tym, co usłyszał, wyszedł z domu, nim tamci wyłonili się z kuchni. Od tamtej pory nie widział matki ani z nią nie rozmawiał. Głupio, pomyślał teraz, tak długo chować urazę. Matka może umrzeć. Jak by się czuł, gdyby czekał za długo, jak Delsey?

To wymagało przemyślenia. Ale nie tego wieczoru. Pogłośnił telewizor i słuchał prezentera, który wyjaśniał, co oznacza pranie brudnych pieniędzy, i powiązał to z potężnym krachem dotyczącym rządowych milionów dolarów, w sprawie którego prowadzono właśnie śledztwo. Na ekranie pojawiło się zdjęcie mężczyzny, mieszkańca Comanche Wells o nazwisku, które Ren mógł rozpoznać. Ale akurat w tym momencie przeglądał gazetę z programem telewizyjnym, szukając czegoś, co mogłoby go zainteresować, a kiedy podniósł wzrok, pokazywano już coś innego.

Przełączył na kanał, gdzie nadawano kryminał, który już wcześniej oglądał i który mu się podobał.

Rozległ się dzwonek telefonu. Ren nacisnął przycisk „stop” na pilocie i sięgnął po telefon.

- Halo?

- Cześć. - To był Randall.

Ren ucieszył się, słysząc głos brata.

- Co u ciebie?

- Sprzedaję bydło. Będziesz ze mnie dumny. A jak się ma moja dziewczyna? - spytał.

Ren poczuł dziwny ucisk w żołądku.

- Twoja dziewczyna ma się dobrze. Wiesz, że rysuje i maluje jak zawodowa artystka?

- Tak, wiem. - Randall się zaśmiał. - Jest niesamowita, co? Kiedy karmi ptaki, musi je odganiać od karmnika. Wcale się jej nie boją.

Ren o tym wiedział, słyszał to od Merrie.

- Narysowała wilka Willisa.

- Och, nie powinieneś jej pozwolić zbliżyć się do Snowpawa.

Wiesz, że nie można być pewnym, jak się zachowa, ma problem
Z...

- Położył jej głowę na kolanach i pozwolił się głaskać.

- Rany boskie!

- Ona ma niespotykany kontakt ze zwierzętami. To jakiś nie-
pojęty dar. Pamiętasz Hurricane'a?

- Tak. Mam nadzieję, że tamten gość odsiedzi swoje - dodał
chłodno Randall.

- Z całą pewnością. Nie mogliśmy podejść do Hurricane'a, nie
dało mu się nawet zdjąć uzdy. Twoja dziewczyna - te słowa
z trudem przechodziły mu przez gardło - zbliżyła się do niego,
a on pozwolił jej na to, żeby mu ją zdjęła. Myślałem, że chłopaki
zemdleją. Jednego z nich Hurricane rzucił na stertę blach. Trze-
ba mu było założyć szwy.

- Oswaja wilki i maluje piękne portrety. - Randall znów się za-
śmiał. - Naprawdę wyjątkowa dziewczyna, co?

- Tak.

Randall się zawahał. Chciał powiedzieć bratu, że Merrie nie
jest taka, jak jego inne dziewczyny, że jest niepowtarzalna. Ale
nie bardzo wiedział, jak to ująć, żeby nie stawiać brata w kłopo-
tliwej sytuacji.

- Delsey wspomniała, że twoja matka dzisiaj do nas dzwoniła
- oznajmił Ren. Nigdy nie mówił „moja matka”, a zawsze „twoja
matka”, gdy rozmawiał o niej z Randallem.

Randall westchnął ze smutkiem. Ren nigdy nie odpuści, po-
myślał.

- Tak, mama źle się czuje. Wykryli jej guzek w piersi. Zrobili
biopsję, żeby sprawdzić, czy to rak. Jeszcze nie dostała wyni-
ków.

- Rozumiem.

Randall znów się zawahał. Kochał brata, ale kochał też matkę
i bardzo źle znosił to, że dwie najbliższe mu na świecie osoby
dzieli taki dystans.

- Powiedz jej - rzekł sztywno Ren - że mam nadzieję, że
wszystko będzie dobrze.

Randallowi od razu humor się poprawił.

- Na pewno jej przekażę - obiecał. Nastawienie Rena zmieni-

ło się tak niespodziewanie. Zastanawiał się, czy Merrie ma z tym coś wspólnego.

- Delsey opowiadała mi właśnie o swoim ojcu. Kiedyś do niej zadzwonił, a ona nie chciała z nim rozmawiać. Zmarł dwa dni później. Powiedziała - kontynuował Ren - że popełniamy błąd, nie próbując naprawić stosunków z drugim człowiekiem, póki mamy na to szansę, bo czas ucieka. Może ma rację.

Randall milczał. Czekał na kolejne słowa brata.

- Pomyślę o tym - rzekł w końcu Ren. - Tylko tyle mogę obiecać.

- Okej - odparł cicho brat. - W porządku.

- Jutro wieczorem zabieram Meredith na przyjęcie, nie mam ochoty iść tam sam - oznajmił Ren, starając się mówić obojętnym tonem. - Nie masz nic przeciw?

- Nie, jasne, że nie - zapewnił Ren. - Tylko jej pilnuj, żeby mężczyźni jej nie nagabywali, okej?

- To znaczy?

- Trudno to wyjaśnić. W towarzystwie kowbojów Merrie pewnie czuje się dobrze, tak? Nie jest nieśmiała?

- Nie, ze wszystkimi się dogaduje. Nawet z Willisem.

- Inaczej jest z chłopakami w jej wieku - podjął Randall. - Robi się przy nich milcząca i chowa się za mnie. Nie lubi, jak podchodzą do niej zbyt blisko. Pamiętaj o tym, dobrze? Na przyjęciach, gdzie pojawia się Angie, faceci nie wylewają za kołnierz. Zresztą już to wiesz.

- Zaopiekuję się nią - rzucił krótko Ren.

- Okej, dzięki. Ona jest... wyjątkowa. Wiesz o tym, prawda?

Ren zacisnął zęby.

- Jest dość miła - powiedział jedynie.

Randall odezwał się po chwili wahania:

- Ona nie jest taka jak większość kobiet, które przywoziłem na ranczo - zaczął.

- Pamiętam, że jest twoją dziewczyną. Naprawdę się tym nie martw.

- Nie o to chodzi. - Randall szykował się do dłuższej przemowy.

- Panie Ren! - zawołała Delsey ze schodów. - Dzwoni Willis.

Do głównej bramy podjeżdża jakiś duży pikap. Kierowca mówi, że ma przesyłkę.

- Jaką przesyłkę? - spytał natychmiast Ren.

- Beczki.

- Beczki? Z czym?

- Pojęcia nie mam. Willis też nie wie. Już jedzie do tej bramy.

- Powiedz mu, żeby się wstrzymał. Randall, muszę kończyć.

Pogadamy później.

- Okej, trzymaj się.

- Ty też.

Ren się rozłączył.

- Wezmę tylko kurtkę - zwrócił się znów do Delsey. - Powiedz Willisowi, żeby natychmiast zadzwonił do J.C. i niech obaj spotkają się ze mną w połowie drogi do bramy. Pośpiesz się.

Ren załadował winchestera i położył go obok siebie w furgonetce. Zadzwonił do Willisa z samochodowego CB-radia.

- Masz broń? - spytał.

- Tak, i powiedziałem J.C., żeby wziął ze sobą tę swoją armatę.

- To tylko 44 magnum, Willis.

- Dla mnie wygląda jak działo. Już go widzę.

Duży czarny SUV zjeżdżał ze wzgórza w ich kierunku. Nie ślizgał się na śniegu, chociaż nie miał łańcuchów.

- Diabelnie mnie irytuje, że nigdy nie zakłada łańcuchów i nigdy nie ślizga się na drodze - mruknął Ren.

- Dorastał w Jukonie - odparł Willis. - Nie wydaje mi się, żeby tyle śniegu w ogóle robiło mu różnicę.

- Kim byli jego rodzice? Inuitami? - spytał Ren, posługując się właściwą nazwą Eskimosów.

- Inny trop. Jego ojciec należał do plemienia Czarnych Stóp, a matka była małą rudowłosą Irlandką.

- On nie jest rudy.

- Ani trochę - przyznał rozbawiony Willis.

SUV zatrzymał się tuż obok nich. Wysiadł z niego wysoki gibki mężczyzna z prostymi czarnymi włosami. Pod kurtką miał duży rewolwer 44 magnum, w jednej ręce niósł małą broń auto-

matyczną.

- Co to jest twoim zdaniem? - J.C. Calhoun zadał to pytanie Renowi, wskazując głową ciężarówkę, która wciąż stała przy bramie.

- Moim zdaniem to jest kłopot - stwierdził Ren.

- No to chodźmy narobić mu trochę kłopotów. - J.C. pokazał w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kierowca ciężarówki uśmiechał się do nich zza szyby.

- Witam! - zawołał przyjaźnie. - Przepraszam za spóźnienie, ale na międzystanowej była kraksa. Staliśmy dwie godziny, aż przywrócili ruch na drodze.

- Co pan tam wiezie? - spytał Ren.

Kierowca zobaczył ich broń i zagwizdał.

- Hej, nie jestem bandytą - powiedział, zaciskając ręce na kierownicy. - Jestem zwyczajnym kierowcą ciężarówki, który dostarcza przesyłki.

- Nie zamawialiśmy żadnych beczek - oznajmił Ren.

- Zamawialiście. Niech pan sam zobaczy. Tu jest zlecenie. - Wyjął kwit z kieszeni na drzwiach samochodu i podał go Renowi. - Beczki.

Ren zmarszczył czoło. Potem spojrzał na nazwisko nabywcy i zaśmiał się.

- To jest ranczo Skyhorn - poinformował kierowcę, oddając mu kwit.

- Skyhorn? - Kierowca ściągnął brwi i rozejrzał się. - Ten gość, który tłumaczył, jak mam dojechać, powiedział, żebym szukał rancza z dala od drogi z silosem po jednej stronie bramy i dużym drzewem po drugiej.

Ren spojrzał dokoła.

- Rzeczywiście tak u nas jest, ale tak samo jest u Nata Beakly'ego. To piętnaście kilometrów dalej tą drogą. - Wskazał ręką na wschód. - Jego ranczo to Circle Bar J.

- Do diabła - zaklął kierowca. - Jeszcze bardziej się spóźnię. Cóż, dzięki za pomoc. Przepraszam, że zawracałem głowę. - Spojrzał znów na broń. - Wyglądacie, jakbyście szykowali się na wojnę. A może spodziewacie się inwazji?

Ren się zaśmiał.

- Hoduję tu byki rasy angus. Niektóre z nich są warte miliony.

Więc ujmijmy to tak: jesteśmy wyjątkowo ostrożni.

- Zauważyłem. - Kierowca kiwnął głową w stronę kamery widocznej w pobliżu. - Mam się uśmiechnąć?

- Tylko jeżeli pana twarz jest dobrze znana FBI - odparł Ren, ściskając wargi. - Mamy program rozpoznający twarze, sprawdza wszystkich, którzy się tu zbliżą.

- Domyślam się, że ta ostrożność się opłaca, co? - Ciemne oczy kierowcy wędrowały od jednego mężczyzny do drugiego. - Przepraszam, że wyciągnąłem was z łóżek.

- Czuwamy bez przerwy - odparł Ren. - Mamy też rozstawionych wokół snajperów. - Uśmiechnął się chłodno. - Jak już powiedziałem, jesteśmy ostrożni.

- Cóż, to ja ruszam dalej. Dobrej nocy. - Kierowca pomachał i cofnął samochód, żeby zawrócić. Raz jeszcze do nich pomachał, nacisnął klakson i odjechał.

- Jakiś podejrzanym ten gość - stwierdził J.C. - Zbyt wścibski.

- Też zwróciłem na to uwagę - odparł Ren. - Sprawdźcie nagranie z tej kamery programem rozpoznawania twarzy i zobaczcie, co nam się pokaże.

- Masz to jak w banku.

- Willis, powiedz chłopakom, żeby mieli oczy i uszy otwarte - dodał Ren. - Jeśli chciał się przekonać, jak się zachowamy, może ponowić próbę, i to niedługo. Pamiętasz tę przekrzywioną kamerę między domem a stajnią?

Willis skinął głową.

- Ja też - dodał J.C., patrząc na niego niemal srebrnymi oczami, które dość osobliwie wyglądały na tle oliwkowej cery. - Za dużo tego dobrego, żeby to był przypadek. Mógł już wcześniej się tu dostać, tylko ktoś go wystraszył.

Ren spojrzał za oddalającą się ciężarówką.

- Mam przecucie, że tego gościa trudno przestraszyć. Willis, odczekaj pół godziny, a potem zadzwoń do Nata Beakly'ego. Założę się o śniadanie z kawą, że ten gość w ogóle się u niego nie pokaże.

- Nie przyjmę zakładu - odparł Willis z uśmiechem.

- Do roboty - rzucił Ren.

Wsiedli do samochodów i rozjechali się w różne strony.

Merrie zeszła na dół po szklanekę mleka, kiedy do kuchni wszedł Ren, niosąc pod pachą winchestera.

- Coś się stało? On tu jest, prawda? Znalazł mnie? - mocno wystraszona zarzuciła go pytaniami.

Ren postawił broń w kącie, a potem podszedł do Merrie. Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Wszystko w porządku. Mamy tu wszędzie uzbrojonych ludzi. Meredith, on tu pani nie znajdzie, obiecuję.

- Nie jestem tchórzem, naprawdę nie jestem - powtarzała gorączkowo, niemal wtulając wargi w miękką skórę kożucha Rena. - Ja tylko... Och, wolę walczyć z czymś, co widzę i znam, rozumie pan?

- Rozumiem. - Pogłaskał ją po plecach, a ona zeszywniała. Dziwne, ale odniósł wrażenie, jakby przez jej sweter wyczuł jakieś nierówności.

Zadzwoił telefon. Wciąż obejmując Meredith, Ren odebrał.

- Tak? - Przez chwilę słuchał rozmówcy, po czym roześmiał się i powiedział: - Okej, Willis, dzięki. I podziękuj J.C. Chyba rano postawię wam śniadanie. Jasne. Dobrej nocy. - Rozłączył się i spojrzał na Merrie. - No i okazało się, że to faktycznie pomyłka. Kierowca myślał, że trafił do Nata Beakly'ego. Tłumaaczył się, że zatrzymał go wypadek na drodze, i to się zgadza. Słyszałem o tym wypadku, cała międzystanowa była zamknięta przez jakieś dwie godziny.

- Dzięki Bogu - powiedziała Merrie.

Ren delikatnie ujął ją pod brodę.

- Niech pani wraca do łóżka.

- Rozkaz, szefie, ale za chwilę, okej? - odparła marudnym tonem. - Pić się chce człowiekowi, to sobie drepcze tu i tam w poszukiwaniu mleka.

- Informuję, że najbliższa mlekodajnia to pastwisko obok obory. Jest tam mleczna krowa.

Roześmiali się, po czym Ren poprosił:

- Skoro idzie pani do kuchni, mogłaby mi pani po drodze przynieść piwo?

- Oczywiście.

Schował winchestera do futerału, a po chwili wróciła Merrie

z kubkiem mleka i butelką piwa.

- Sari mówiła mi, że Paul nie lubi, jak ktoś otwiera mu piwo. Może dlatego, że pracuje w FBI i jest nadmiernie ostrożny? - spekulowała.

- Może. - Wziął od niej butelkę. - Dziękuję.

- Drobiazg... - Zawahała się.

- Coś jeszcze?

- Czemu nie kupuje pan piwa w puszkach, tylko w butelkach?

- Szkło po długim czasie ulega jednak rozkładowi, a wyrzucone puszki szkodzą środowisku.

- Jest proste rozwiązanie. Niech pan ich nie wyrzuca.

- No dobrze, jest jeszcze coś. Lubię smak piwa z butelki, a z puszki traci metalem.

- Czyżby? To czysty fanatyzm, antypuszkowa kampania.

- Dobra, dobra, Kopciuszk. Wyśpij się, jutro idziesz na bal.

- Mam nadzieję, że moja suknia jest odpowiednia - powiedziała z troską. - Delsey powiedziała, że na pewno będzie w porządku, chociaż ta suknia jest, hm, jak by to powiedzieć, niekonwencjonalna.

- Jak bardzo niekonwencjonalna? - spytał podejrzliwie.

- Niczego nie eksponuje - odparła szybko. - No, trochę odsłonię nogi, ale nic poza tym. - Zaczerwieniła się.

Ten jej rumieniec naprawdę mu się podobał. Uśmiechnął się, jego czarne oczy zabłysły.

- Troszkę nóg panny Grayling na widoku publicznym? To skandaliczne.

- Łatwo się ze mnie nabijać. Wiem, że mam poglądy sprzed stu lat albo i dwustu...

Roześmiał się ciepło, po czym oznajmił:

- Jedziemy jutro koło szóstej. Delsey nie będzie musiała nas karmić. No i dobrze. Opiekuje się sąsiadką, która jutro ma operację. Delsey zamierza spędzić z nią noc w jej szpitalnym pokoju.

- Pozwalają na to? - zdziwiła się Merrie.

- W Catelow tak.

- To naprawdę bardzo miło ze strony Delsey.

- Biedna kobieta jest przerażona. Skończyła sześćdziesiąt lat

i nigdy jeszcze jej nie kroili, jak to ona mówi. Ma jakieś kobiece problemy, które wymagają operacji. Jest daleką kuzynką Delsey.

- My z Sari nie mamy żadnych kuzynów, ciotek ani wujów - powiedziała ze smutkiem. - Tylko my dwie zostałyśmy z naszej rodziny.

- Podobnie jak my z Randallem. Jest jeszcze jego matka.

- Ona też malowała, prawda? - odważyła się spytać, wiedząc, że to trudny temat. - To w jej pracowni pozwolił mi pan się rozłożyć z farbami i płótnami?

- Malowała. - Odwrócił się od niej.

- Dobranoc - powiedziała tylko, by nie denerwować Rena.

- Spokojnej nocy - odparł, nie oglądając się na nią.

- Kim jest gospodarz, który zaprasza na to przyjęcie? - spytała, gdy gosposia pomagała jej upiąć długie włosy. To miała być fryzura w stylu lat czterdziestych, idealnie pasująca do oryginalnej sukni Merrie.

- Durward Phelps - odparła Delsey. - Jest właścicielem co najmniej dwóch szybów naftowych. Bardzo zamożny człowiek, i wcale tego bogactwa nie odziedziczył. Tak samo jak Ren ciężko na wszystko zapracował.

- Na pewno jest miłym człowiekiem.

- Owszem, ale jego siostrzenicę trudno nazwać miłą. Mam nadzieję, że dziś wieczór się tam nie pokaże.

- To ta Angie, z którą spotykał się Ren, tak?

Delsey potaknęła ruchem głowy, wpinając biżuteryjną spinkę we włosy Merrie.

- Proszę, kochanie, gotowe. Mogłabyś śmiało znaleźć się na okładce magazynu o modzie - powiedziała ze szczerym zachwytem. - Wyglądasz prześlicznie.

- Jest pani pewna, że nie przyniosę Renowi wstydu w tej sukni? - Wciąż się tym zamartwiała.

- Jestem więcej niż pewna. No dobrze, weź płaszcz. Pora się zbierać.

- Nogi mi się trzęsą. Taka jestem zdenerwowana. Nie mam pojęcia o przyjęciach, nigdy na żadnym nie byłam. Nie umiem tańczyć. Nigdy dotąd nikt mnie nie pocałował.

Delsey odetchnęła głęboko, po czym powiedziała:

- Przynajmniej jak już pojedziesz do domu, to będziesz wiedziała, co to są te przyjęcia, prawda? A może nawet nauczysz się tańczyć? Szkoda, że mnie tu nie będzie, kiedy wrócicie z rezydencji Phelpsa, bo od razu byś mi powiedziała, jak tam było. Będę w szpitalu z sąsiadką. Ale jutro opowiesz mi wszystko ze szczegółami, dobrze?

- Tak, obiecuję. Bardzo dziękuję, że zabrała mnie pani do miasta, żebym mogła kupić tę suknię. I że pomogła mi pani umalować się i uczesać. - Potrząsnęła głową. - Jestem zielona, jeśli chodzi o te sprawy.

- Spokojnie, nauczysz się, to tylko kwestia czasu. Na pewno świetnie się tam odnajdziesz. A jeśli Angie zacznie ci dokuczać, nie daj się jej, słyszysz? - dodała stanowczo. - Takie zołzy potrafią się nabzdyczyć. Twardo jej się postaw, a zobaczysz, że od razu mina jej zrzędzie.

Merrie uśmiechnęła się.

- Zapamiętam - odparła z uśmiechem.

- No to zbieraj się. Dobrej zabawy.

Merrie do końca życia nie zapomni miny Rena, kiedy zobaczył ją na schodach.

Patrzył akurat na ekran iPhone'a, kiedy usłyszał jej kroki na schodach. Zastygł i pożerał ją wzrokiem, wprost napawał się tym cudownym zjawiskiem, jakim była Merrie w eleganckiej czerwonej jedwabnej sukni zapinanej pod szyję z typowym dla wschodnich kobiecych strojów czarnym zapięciem i z rozcięciami po bokach.

- Wiem, to nie jest typowa suknia na przyjęcia. Nie wiem nawet, czy nadaje się na bal przebierańców - odezwała się niepewnie.

Ren podszedł bliżej. Włożył wyjściową marynarkę, włosy miał elegancko uczesane, pachniał drogą wodą kolońską i mydłem. Trudno jej było wyobrazić sobie atrakcyjniejszego mężczyznę.

Musnął dłonią jej policzek i powiedział:

- Wygląda pani pięknie, Meredith. Zachwycająco.

- Dziękuję - odparła cicho, uciekając wzrokiem.

- W porządku, nie będę się tak gapić. - Uśmiechnął się ciepło.
- Chodźmy, kochanie.

Serce Merrie zabiło mocniej na to pieszczotliwe słówko. Ren ujął jej dłoń i trzymał ją mocno w swojej dużej dłoni, kiedy wyszli z domu, kierując się do czerwonego jaguara.

- Jaki samochód! - zawołała z entuzjazmem.

Uśmiechnął się i pomógł jej wsiąść.

- W zasadzie nie lubię sportowych wozów, ale ten jest wyjątkowy.

Usiadł za kierownicą, zapiął pas, upewnił się, że Merrie zapięła swój, i uruchomił samochód, naciskając przycisk.

- Nie ma kluczyka? - spytała zaszokowana.

- To tak zwany inteligentny kluczyk. - Wyjął z kieszeni pilota i pokazał go Merrie. - Pełna elektronika. Musi go pani mieć przy sobie, żeby zadziałał. Tutaj nie ma tradycyjnego kluczyka, który wkłada się do stacyjki. Włącza się hamulce, naciska przycisk „start” i jedziemy.

- Nigdy jeszcze nie jechałam jaguarem - wyznała zafascynowana drewnianym panelem i konsolą. - Tyle tu przycisków! Całkiem jak w kokpicie.

- Trochę tak. Kiedy wcisnę gaz na autostradzie, pomyśli pani, że lecimy odrzutowcem.

Podjechał do bramy, którą otworzył pilotem, a po chwili tak samo ją zamknął. Kamera przy bramie przekazała ich obraz technikowi komputerowemu, który siedział w pensjonacie dla pracowników.

- No to w drogę - powiedział Ren, włączając bieg.

Samochód wystrzelił naprzód, pędząc pustą autostradą i warcząc jak bestia z dżungli, której zawdzięczał swoją nazwę.

- Jezu! Głowę mi urwie. Jaki szybki.

- Szybki, elegancki i bardzo bezpieczny. Jaguary to prawdziwi indywidualiści wśród samochodów. Mają swoje kaprysy. Czasem mruczą jak koty, czasem ryczą. Czasem chcą tylko, żeby je spuścić ze smyczy. - Nacisnęła gaz.

- Możemy wrócić po moją głowę? - spytała z uśmiechem.

- Niech tam zostanie. Zabierzemy ją w drodze powrotnej.

Merrie odpowiedziała mu śmiechem.

Jak na wiejską okolicę, dom był elegancki. Był też ogromny i rozświetlony, jakby wewnątrz zapalono wszystkie światła. Przed wejściem do zbudowanej z cegły rezydencji z płaską fasadą i wysokim dachem czekał na nich parkingowy.

- Ten dom musiał kosztować majątek, a nie ma ganku. - Merrie westchnęła. - Wielka szkoda.

- Nie wszyscy lubią huśtawki na ganku.

- Pewnie ma pan rację.

- Pani lubi - powiedział.

- Tak, bardzo. Mamy na ganku huśtawkę i bujane fotele. Nigdy nie potrafiłyśmy z Sari spokojnie usiedzieć, więc Mandy postarała się, żebyśmy miały takie siedziska, które się ruszają. - Przygryzła dolną wargę, patrząc na drzwi. - Będzie dużo ludzi? - spytała z niepokojem.

Ren lekko uściśnął jej dłoń i powiedział:

- Proszę się nikim nie przejmować. Przy mnie jest pani bezpieczna.

Merrie poczuła ciarki na całym ciele. Jego spojrzenie przyspieszyło bicie jej serca. Przez moment obawiała się nawet, że robi jej się słabo.

Ren dostrzegł te emocje w jej oczach. Z nim działo się tak samo. Mocniej ścisnął jej dłoń i poprowadził do środka.

- To jest Durward - przedstawił ją wysokiemu, przysadzistemu mężczyźnie o białych jak śnieg falujących włosach i jasnoniebieskich oczach. - Durwardzie, to nasz gość, panna Meredith Grayling.

- Miło panią poznać. Znałem kiedyś Graylingów. Bardzo sympatyczna kobieta, chociaż jej mąż nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Jest i Angie. Podejź tu, kochanie, i przywitaj się z Renem. Bądź miła - dodał głośnym szeptem.

Angie była wyjątkowo atrakcyjną brunetką, z wargami tak intensywnie czerwonymi, że wydawały się sztucznie zabarwione. Jej twarz mogłaby zdobić strony modowych magazynów. Była szczęśliwą posiadaczką idealnej cery i niebieskich, żywych, bardzo ładnych oczu. Jedyne, co rujnowało ten obraz, to uśmiešek, który pokazał się na jej twarzy, kiedy zbliżyła się do Rena, który na jej widok zeszywniał.

- No proszę, witaj, Ren - zamruczała cicho. - Widzę, że znalazłeś sobie kogoś, kto mnie zastąpił, co? - Zaśmiała się. - Długo z tobą nie wytrzyma. Nie jesteś wymarzoną kochanką...

Ren stał nieruchomo z kamienną twarzą.

Merrie zacisnęła palce na jego dłoni, spojrzała na pannę Angie i powiedziała:

- To bardzo smutne.

- Co takiego? - spytała wyniośle Angie.

- Ma pani tak niskie poczucie własnej wartości, że musi pani innych obrażać, żeby się wywyższyć.

Angie gwałtownie wciągnęła powietrze, po czym wyrzuciła z siebie:

- Powinna pani wiedzieć, że jestem modelką. Mogę mieć każdego mężczyznę, którego tylko zechcę.

- Poza Renem - odparła Merrie z chłodnym uśmiechem. Przysunęła się do Rena i spojrzała na niego z uwielbieniem.

A on uśmiechnął się do niej.

Angie zakręciła się na pięcie i zmierzyła wzrokiem wuja.

- Wracam do domu. Każ Billy'emu, żeby mnie natychmiast odwiózł na lotnisko.

- Oczywiście, kochanie - zgodził się zdenerwowany wuj.

- Ty mała... - zaczęła Angie, patrząc wrogo na Merrie.

- Kije i kamienie kości mi połamią, ale twoje słowa nigdy mnie nie zranią - przerwała jej Merrie, cytując znane powiedzenie.

Angie z irytacją burknęła coś pod nosem i wymaszerowała z pokoju.

Ren otoczył Merrie ramieniem.

Durward ciężko westchnął.

- Nigdy nie potrafiłem jej zrozumieć. A z wyglądu jest taka podobna do swojej matki. Dziwne. - Zerknął na Meredith i rozpogodził się. - Całkiem niezłe sobie pani poradziła.

- Dziękuję. - Przysunęła się do Rena, który patrzył na nią przepełniony dumą.

- Idźcie się zabawić - powiedział Durward. - Nie pozwólcie, żeby moja pozbawiona manier siostrzenica zepsuła wam wieczór. Zaprosiliśmy zespół, który gra przeboje z lat czterdzie-

stych. Pani suknia idealnie komponuje się z tą muzyką, panno Grayling. Jest przepiękna.

- Dziękuję - odparła Merrie z zadowoleniem.

Durward zaczął się witać z kolejną parą, zaś Ren poprowadził Merrie do następnego pomieszczenia.

- Jak mogłem się przekonać, jest pani pełna niespodzianek - powiedział, kierując się na parkiet.

- Nie tak łatwo mnie zastraszyć - odparła, niespokojnie zerkając na parkiet. - Ale nie wiem, czy powinnam...

- To łatwe. Jeśli ja potrafię, to pani też sobie poradzi. - Objął ją w talii, ujął jej prawą rękę i zaczął kołysać się w tańcu. - Proszę pozwolić, że będę prowadził. Nie, niech pani nie patrzy na nogi. Proszę patrzeć na mnie, Meredith.

Podniosła na niego wzrok i poczuła się, jakby wyrwał ją z rzeczywistości i całą zagarnął w swe ramiona. Jakby byli w jakiś niepojęty sposób połączeni. Jakby należeli do siebie nawzajem. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie doświadczyła.

Odczucia Rena były bardzo podobne. To przyjęcie budziło w nim wiele obaw. Wiedział też, że jeśli się tu nie pojawi, Angie oskarży go o tchórzostwo. Nie, on po prostu czuł się niekomfortowo. Zdawało mu się, że byli ze sobą bardzo blisko, tymczasem Angie tylko udawała. Nie mógł przewidzieć, że okaże się tak mściwa, kiedy odkrył jej zdradę i gwałtownie zakończył ten związek. Jej wpisy na Facebooku były dla niego wyjątkowo bolesne. Żaden mężczyzna nie lubi, kiedy kobieta naigrywa się z niego, kiedy głosi publicznie, że jest kiepski w łóżku. Ren był zażenowany i zły. Tymczasem ta piękna, delikatna róża, która znalazła się w jego ramionach, broniła go jak lwica. Nie przywykł do tego, by kobiety stawały w jego obronie. Nie powinno mu się to tak bardzo podobać. A jednak się podobało.

- Właśnie tak - szepnął Merrie do ucha. - Powoli i spokojnie, kochanie.

Zabrzmiało to tak, jakby mówił o czymś więcej niż taniec, aż Merrie poczuła, że wzbiera w niej coś, czego dotąd nie знаła. Drżała na całym ciele. Kiedy przyciągnął ją jeszcze bliżej, z trudem łapała oddech, czując przy sobie jego atletyczne ciało.

Nikt nigdy nie trzymał jej tak jak Ren. Nie miała pojęcia, że to

takie... Nie była pewna, jak to nazwać, lecz z pewnością było to podniecające. Pewnie tym właśnie było owo dziwne wezbranie, to szalone bicie serca, oddech tak szybki, jakby biegła.

Gdy zerknęła na Rena, spotkała się z nim wzrokiem i już nie mogła oderwać od niego oczu. Dotąd nie знаła takiego poczucia intymności. Minęła minuta, nim zdali sobie sprawę, że muzyka ucichła i zostali sami na parkiecie.

Ren odchrząknął, wziął Merrie za rękę i pociągnął ją do bufetu.

- Przyda nam się drobna przekąska i coś do picia - rzekł niskim, schrypniętym głosem.

- Tak - przyznała wciąż niezbyt przytomna Merrie.

- Ma pani ochotę na poncz?

- Tak, proszę.

Nalał ponczu do kryształowej szklanki i podał ją Merrie. Jej dłoń tak drżała, że musiał ją chwycić w swoje ręce.

- W porządku - powiedział cicho. - Nie ma się czego obawiać.

Mylił się. Spojrzała na niego i w tym momencie uświadomiła sobie, że to na niego czekała całe życie.

Zakochiwała się w Renie.

Tego wieczoru Ren nie tańczył z nikim innym, a Merrie z każdym kolejnym kawałkiem nabierała wprawy i czuła się coraz swobodniej i pewniej. Poruszali się w rytm muzyki, jakby stano-wili jedność. Ta nowa bliskość działała niezwykle pobudzająco, a Merrie nie była w stanie tego ukryć.

Sunęli po parkiecie w wolnym, leniwym rytmie, a mimo to oddech Merrie się rwał. Ren przesunął odrobinę w górę rękę, którą chwilę wcześniej trzymał ją w talii. Merrie instynktownie ją chwyciła i odsunęła. Sukienka była cienka i łatwo było wyczuć pod nią blizny.

- Przepraszam - rzekł szorstko Ren i zsunął znów rękę na jej talię.

- Nie, to ja przepraszam. - Przygryzła dolną wargę. - Są pewne rzeczy, których pan o mnie nie wie - powiedziała ze smutkiem.

Na przykład nie wiem, jak wygląda jej romans z moim bratem, pomyślał Ren. Nie chciała, żeby jej dotykał w tak intymny

sposób. Ale oddychała, jakby biegła. Zdawało mu się, że słyszy walenie jej serca. Czuł, jak drży w jego objęciach. To nie są oznaki odrazy czy niechęci.

Żeby wybadać sytuację, przycisnął do niej biodra. Jego ciało niemal natychmiast zareagowało na ten kontakt w dość żenujący sposób. Merrie zeszywniała i próbowała się odsunąć.

Uniósł głowę i spojrzał na nią, wciąż trzymając ją przy sobie. W jej zamglonych oczach dostrzegał nie w pełni uświadomioną zmysłowość.

- Nie będę na ciebie naciskał - obiecał.

Merrie wydawała się ogromnie zakłopotana. Położyła rękę na jego klatce piersiowej i lekko go odepchnęła.

- Słucham? - spytała wysokim ze zdenerwowania głosem. Jej ciało odpowiedziało na bliskość męskiego ciała. To było dla niej coś nowego. Co więcej, przestraszyła się tego.

Widząc jej niepokój, Ren pozwolił Merrie zachować pewien dystans. Była naprawdę zdenerwowana. Co za dziwna kobieta, pomyślał. Trudno ją zrozumieć. Kiedy już sądził, że ją poznał, znów go zaskakiwała.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Nie wiem, co o tobie myśleć, Meredith - przyznał szczerze.

- Jestem całkiem zwyczajną dziewczyną - odparła, ciesząc się, że napięcie trochę opadło.

- Nie. Zdecydowanie nie jesteś zwyczajna. - Ostrożnie przytulił ją mocniej i oparł brodę na czubku jej głowy, kołysząc się wciąż leniwie. - Ani trochę zwyczajna.

Merrie zdawało się, że serce wyskoczy jej z piersi. Była tak blisko Rena i tak spragniona czegoś więcej niż tylko jego obejmujących ją ramion. Ale to zapowiadało katastrofę. Wiedziała, czego mężczyźni oczekują od kobiet. Oglądała w domu dość pikantne filmy. Nie mogła dopuścić do tego, żeby Ren zobaczył jej plecy. Ten widok wzbudziłby w nim wstręt. Wiedziała, jak to wygląda. Widziała swoje blizny w lustrze. Żaden mężczyzna nie będzie chciał mieć czegokolwiek wspólnego z tak oszpeconą kobietą.

Starła się już nie reagować zbyt gwałtownie na bliskość i dotyk Rena, tańczyła z nim, broniąc się przed jego urokiem. Kiedy

przyjęcie dobiegło końca, była z siebie prawie zadowolona. Wsiedli znów do jaguara, żeby ruszyć w drogę powrotną do domu.

Gęsty śnieg miękko osiadał na ziemi i wyglądało na to, że nasypie go całkiem sporo. Merrie skrzywiła się.

- Współczuję tym ludziom - powiedziała w zamyśleniu.

- Co masz na myśli?

- Będą musieli wyjść przed świtem w tej śnieżycy, żeby zajrzeć do bydła i sprawdzić, czy zwierzęta mają co jeść i pić, i czy mają się gdzie schronić.

Ren uśmiechnął się pod nosem. Podobało mu się, że Merrie martwi się o jego pracowników. O niego też się troszczyła, a jednak w tańcu usiłowała się od niego odsunąć. Zastanawiał się dlaczego.

Zaparkował przed schodkami od frontu i otworzył drzwi, żeby Merrie pierwsza weszła do domu.

- Masz ochotę napić się czegoś przed snem? - spytał.

- Napić się?

Odwrócił się do niej. Patrzyła na niego jasnoszarymi oczami, w których połyskiwało miękkie światło.

- Tak, napić się czegoś - powtórzył z uśmiechem. - Dokładnie mówiąc, brandy. Rzadko piję mocny alkohol. - Nie zdradził jej, że sięgnął po alkohol, kiedy Meredith na widok jego pasa uciekła do kuchni i schowała się za plecami Delsey. Nie był przecież zwyrodnialcem i nigdy by jej nie uderzył. Ale jej strach wciąż bolał, i to bardzo.

- Nigdy nie próbowałam brandy. - Westchnęła. - Nie piłam nawet piwa.

- Wszystko kiedyś robi się po raz pierwszy - odparł niskim, aksamitnym głosem.

Podszedł do szafki z alkoholem i wyjął dwie szklanki oraz nie-dużą kwadratową butelkę z bursztynowym płynem. Do sporych szklanek nalał bardzo niewielkie porcje i jedną z nich podał Meredith.

- Potrzymaj ją w dłoniach, żeby ogrzać brandy.

- Aha. - Ścisnęła w dłoniach zimny kryształ, ręce też miała

zimne ze zdenerwowania. – No cóż, wszystkiego trzeba się nauczyć – mruknęła.

– To prawda, człowiek uczy się przez całe życie.

Powoli uniosła szklanę do warg i językiem spróbowała bursztynowego płynu. Skrzywiła się, podnosząc wzrok na Rena.

– Nie zrażaj się tak szybko – poradził ze śmiechem.

Siłą woli zmusiła się do wypicia łyka brandy. Miała wrażenie, że w gardle ma płynny ogień. Otworzyła usta, wciągnęła haust chłodnego powietrza i omal się nie udławiła.

– Niewinna mała owieczka – droczył się z nią. – Sprowadzam cię na złą drogę.

– Cóż, muszę się z tym zgodzić.

– Spróbuj jeszcze raz – zachęcił.

Merrie nie miała na to ochoty, a jednak go posłuchała. Tym razem nie paliło już tak bardzo w gardle, za to spływający do żołądka alkohol cudownie zaczął ją rozgrzewać. Powiedziała z uśmiechem:

– Okej, to nie jest takie złe.

Ren uniósł szklanę.

– Zdrowie. – Stuknął się z Merrie.

– Teraz mówisz jak Anglik – zauważyła rozbawiona.

– Służyłem w Iraku z paroma chłopakami z SAS.

– SAS?

– To brytyjska jednostka specjalna, mniej więcej jak nasze Zielone Berety czy francuska Legia Cudzoziemska. Są znani z perfekcji i rygorystycznego szkolenia, które nazywają *Fan Dance*.

– Ciekawe, co mówisz... ale dlaczego widzę cię jak przez mgłę?

– Czyżby ta odrobina brandy poszła ci do głowy, Meredith?

Odstawiła szklanę.

– Nie wiem, ale czuję się cudownie rozluźniona.

Ren także odstawił szklanę i podszedł do niej.

– To dobrze, że jesteś rozluźniona – szepnął. – Będzie łatwiej.

Musnął wargami jej wargi, lekko je rozchylając. W pełnej napięcia ciszy przesunął dłonie w górę jej klatki piersiowej, a ona wstrzymała oddech, bo rozpałił jej niedoświadczone ciało.

Gdy wstrząsnęły nią dreszcze, Ren poczuł satysfakcję. Znów lekko musnął jej wargi pocałunkiem, drażniąc się z nią i uwożdżając jednocześnie, a jego dłonie zbliżyły się do wysokich, jędrnych piersi. Na razie ich nie dotknął, nawet nie próbował.

Merrie pragnęła więcej, choć wcale nie była pewna, czego tak naprawdę pragnie. Oddech jej się rwał. Ren musiał to słyszeć. Nogi miała miękkie w kolanach.

Zaśmiała się nerwowo i wyszeptała:

- Chyba nie utrzymam się na nogach.

- O to się nie martw, zajmę się tym. - Wziął ją na ręce i ruszył w stronę dużej bordowej kanapy. Pochylił głowę, a Merrie po raz kolejny poczuła ciepło jego warg na swoich wargach.

Opuściła powieki. Ren położył ją na kanapie. Zaraz potem uniósł się nad nią, opierając ręce po jej bokach, i ocierał się klatką piersiową o sterczące piersi, czule przy tym całując.

Wiedziała, że powinna go powstrzymać. Dłoń Rena krążyła tak blisko jej piersi. Chciała, by przestał. Chciała, by nie przestawał. Pragnęła, by przesunął dłoń o tych kilka centymetrów do prężącego się wierzchołka piersi, który nie mógł doczekać się pieszczoty.

Mimowolnie wygięła plecy ku jego wszędobylskim palcom i bezradnie jęknęła.

- Czy tego chcesz? - wyszeptując to pytanie, przesunął rękę na jej pierś i zaczął głaskać sutek.

Westchnęła i zadrzała. Dotąd nawet sobie nie wyobrażała, że fizyczne doznanie może wywołać tak piorunujący efekt. Kompletnie przestała myśleć.

Ren czuł, że jej opór maleje, i znów pochylił głowę, żeby ją pocałować. Koniec udawania, pomyślał. Merrie będzie należała do niego, jeśli on tego zechce. A przecież jej pragnął.

Zmysłowo otarł nogę o jej nogę, znalazł zapięcie sukni i zaczął ją rozpinąć.

Nie śpieszył się, robił to fachowo, jego palce prześlizgiwały się między materiałem sukni i skórą, muskając i kusząc. Gdy suknia była już rozpięta do pasa, Merrie zapagnęła, by wsunął dłonie pod materiał i dotknął czarnego biustonosza, który prócz czarnej półhalki miała pod spodem.

- Boże, jesteś taka seksowna - szeptał, wciskając palce pod miseczkę biustonosza. - Diabelnie seksowna.

Już dotykał jej nagiej piersi, a Merrie uniosła plecy i krzyknęła. Była kompletnie bezradna wobec mocy tej rozkoszy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czuła się obezwładniona przez Rena. Tak bardzo go pragnęła, że nie protestowała, gdy jego silna i ciepła dłoń głaskała jej nagą pierś. Kiedy zaczął szukać haftek biustonosza, który zapinał się z przodu, ona tylko leżała w jego objęciach i czekała, czekała...

A kiedy rozpiął biustonosz, odsłonił piękne kremowe piersi, krągłe i jędrne z ciemnoróżowymi sutkami sterczącymi z pożądania. Dotknął ich delikatnie, a potem się nachylił.

Chwycił zębami jeden prężący się sutek. Merrie głośno wciągnęła powietrze, odepchnęła jego głowę i krzyknęła ze strachu.

Ren spojrzał na nią. Wyglądała na szczerze przerażoną. Świetna z niej aktorka, pomyślał, i nie zamierzał ustąpić. Pragnął jej, a ona była chętna. Jeśli chciała udawać dziewicę, proszę bardzo, może właśnie to ją podnieca.

- W porządku, kochanie - szepnął. - Nie zrobię ci krzywdy. Dobrze?

Wciąż była zdenerwowana, ale też zaciekawiona i podniecona.

- Do...dobrze - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

Ren znów się nad nią pochylił. Tym razem zdawało się, że cała pierś Merrie znalazła się w jego ustach, językiem krążył wokół sutka, drażnił go, budząc podniecenie, jakiego dotąd nigdy nie zaznała. Mocno trzymała go za ramiona, wbijając paznokcie w jego skórę, kiedy nagle zaczął ssać pierś.

Krzyknęła, a potem jęknęła, jakby umierała. Unosiła się ku niemu. Drżała i płakała.

- Nie rób tego... och, proszę, Ren, przestań - szlochała.

Nie miał zamiaru przestać. Zawisł nad nią, a potem się na niej położył, żeby poczuła jego erekcję. Wsunął kolano między jej nogi, nie przerywając ssania piersi, niemal pijany reakcją Merrie i jej słodkim smakiem.

Wiedziała, że powinna go powstrzymać. Gdyby tylko nie czuła się tak cudownie, gdyby nie narastała w niej pewność, że to jest coś dobrego. Brandy tak ją odprężyła, że przestała logicznie myśleć. Oszalała na punkcie Rena, a z jego strony bezsprzecznie było to też coś więcej niż pożądanie. Nie mogło być inaczej. Była mu bliska, to nie ulegało wątpliwości. Wszystko dobrze się ułoży. Ma prawo się zgodzić, by posunął się aż tak daleko... Gdyby teraz kazała mu przestać, pewnie umarłaby z rozpacz. Czowała, że z tej nieziemskiej rozkoszy jej ciało zaraz eksploduje.

- Bierzesz pigułkę czy muszę się zabezpieczyć? - spytał Ren schrypniętym głosem, wędrując wargami w dół jej ciała, w stronę miękkiego brzucha.

- Pigułkę? - Otworzyła usta zdumiona.

- Nie chcę, żebyś zaszła w ciążę - odparł jakby nigdy nic.

Nie tego się spodziewała. Zamarła, zmuszając swój umysł do pracy, wreszcie lekko odepchnęła Rena. Był nagi. Kiedy zdjął koszulę? Nie zdawała sobie sprawy, że wplotła palce w gęsty zarost na jego atletycznej piersi.

- W ciążę? - powtórzyła śpiwnie.

Ren uniósł głowę i spojrzał na jej piękne kremowe ciało.

- Tak, w ciążę.

Przekrzywił głowę i patrzył na nią, a ona w jego spojrzeniu dostrzegła teraz cień cynizmu.

- Och, daj spokój, Meredith, jesteś kobietą Randalla. Sam mi to powiedział. A on lubi namiętne i doświadczone kobiety. Wszystko w porządku, on nie ma nic przeciw temu, żeby się ze mną dzielić. To nie byłby pierwszy raz - dodał z lekkim sarkazmem i spojrzał na nią, jakby była kobietą, którą kupił sobie na jedną noc.

Merrie ogarnął chłód. Poczowała się chora i głęboko zawstydzona. Fizyczna przyjemność, której doświadczyła, zniknęła, jakby nigdy jej nie zaznała. Podciągnęła suknię, zakrywając nagie piersi.

- Pozwól mi wstać - powiedziała, niemal dusząc się ze wstydu.

- Pozwolić ci wstać? - zawołał. - Na Boga, sama tu ze mną przyszłaś, rozpałałaś mnie jak piekielne ognie, a teraz chcesz

przestać?

Patrzyła na niego smutnym, zbolalym wzrokiem.

- Nie jestem kobietą Randalla, Ren - powiedziała cicho, niemal żałośnie. - Jestem jego przyjaciółką. Tylko przyjaciółką. Ja nigdy... - Umknęła wzrokiem. - Nigdy tego z nikim nie robiłam.

- Bujać to my, ale nie nas, moja damo. - Wstał wściekły z powodu niezaspokojonego pożądania. - Jakoś niespecjalnie się opierałaś.

Merrie usiadła. Czuła się nieczysta. Podniosła się na nogi i drżącymi rękami starała się zapiąć suknię, żeby wyglądać przyzwoicie. Potem ruszyła do drzwi.

Ren gotował się ze złości. Miał chęć w coś uderzyć.

- Chodzi o pieniądze? - spytał szorstko. - Możesz mieć, co tylko zechcesz. Kupię ci więcej sukienek, więcej płaszczy oprócz tych, za które już zapłaciłem.

Merrie skrzywiła się. Ren przecież nie wiedział, że sama zapłaciła za swoje zakupy. Mogła mu to powiedzieć, ale czuła się zbyt chora. Brandy, świadomość, że zakochała się w Renie, i ten żaloszny koniec... A była pewna, że też nie jest mu obojętna. Jednak Ren uważał ją za kobietę Randalla, co znaczyło, że można z nią romansować. Angie też była kobietą Randalla, przypominała sobie Merrie. Ren najwyraźniej przywykł do tego, że interesowały się nim kobiety brata, i sądził, że Merrie jest po prostu jedną z wielu okazji do łatwego i niezobowiązującego podboju. Nie interesował go żaden stały związek. Potrzebował kobiety na jedną noc. Nic nigdy tak bardzo jej nie bolało.

- Idę do łóżka - powiedziała. Czuła się nieszczęśliwa jak nigdy dotąd, w głowie miała zamęt.

- Byle szybko - rzucił ostro. - Mam po dziurki w nosie tych wszystkich kobiet porzuconych przez Randalla. Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę.

Merrie zacisnęła powieki i wycedziła:

- Przepraszam.

- Zejdź mi z oczu.

Nie zdawała sobie sprawy, że przemawiało przez niego niezaspokojone pożądanie. Od miesięcy nie miał kobiety, a wygłodzone ciało domagało się zaspokojenia. Odwrócił się i ruszył do ga-

binetu.

Merrie pobiegła na górę do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Zdjęła czerwoną suknię i wszystko, co pod nią miała, i wrzuciła do kosza na śmieci. Z czystymi ubraniami pod pachą poszła do łazienki zmyć z siebie zapach Rena. Wiedziała, że po tym, co się wydarzyło, już nigdy nie będzie w stanie spojrzeć mu w twarz.

Przebrana w czyste dżinsy i bluzę oraz buty za kostkę, spakowała kilka rzeczy do plecaka. Włożyła swój najcieplejszy płaszcz i zaczęła, aż Ren minie jej pokój w drodze do swojej sypialni.

Rozdrażniony zatrzymał się przy jej drzwiach. Czuł się zdradzony, mimo to nie mógł się pozbyć jej smaku ze swoich warg. Smakowała jak miód. Przyzwyczał się do jej obecności w swoim domu. Lubił jej towarzystwo. Uważał ją za dobrego człowieka. Było mu przykro, że potraktował ją tak nieprzyjaźnie. Nie mogła w końcu zmienić tego, kim była. Może nawet kochała Randalla. Mógł przymknąć na to oko. Był w stanie przymknąć oko na wiele rzeczy, byle jej nie stracić. Wyrzucał sobie, że zranił jej uczucia. Stał przy jej drzwiach i starał się znaleźć odpowiednie słowa, by cofnąć krzywdę, jaką jej wyrządził. A jednak ich nie znajdował. Czysta whisky po brandy zamuliła mu rozum.

Niechętnie ruszył dalej korytarzem. Przeprosi ją rano i może uda mu się załagodzić sytuację. Merrie miała wystarczająco dużo stresów z powodu czyhającego na jej życie płatnego zabójcy, a on musiał dołożyć swoje trzy grosze, traktując ją tak karygodnie. Szczerze tego żałował.

Merrie słyszała, jak Ren zatrzymał się przed jej drzwiami. Usiadła na łóżku, zaciskając zęby. Jeśli Ren otworzy drzwi... ale przecież nie miał klucza. To ją trochę uspokoiło. Nie miał klucza i już jej nie chciał. Nie mógł wyrazić tego jaśniej. Pewnie przymierza się do tego, by kazać jej wynosić się z jego domu, i dobrze wie, że posłuchałaby takiego rozkazu...

Zbolała zamknęła oczy i nadstawiła uszu. Po chwili Ren ruszył dalej korytarzem, aż jego kroki w ogóle ucichły. Usłyszała dźwięk zamykanych drzwi. Wypuściła wstrzymywane powietrze.

Otarła kolejne łzy. A czego się spodziewała? Wiedziała, że za-

ręczył się z Angie, dawną kobietą Randalla. Najwyraźniej wiele jego kobiet bywało w tym domu i obdarzało Rena swoimi względami.

Nic zatem dziwnego, że uznał ją za jedną z nich. Kiedy całował ją, obejmował i jej dotykał, prawie oszalała ze szczęścia. Myślała, że to miłość. A to było tylko pożądanie. Pragnął jej, ale na noc czy dwie. Nie na zawsze.

Niewykluczone, że miłość, o jakiej czytała w romansach, w świecie realnym nie istnieje. Potem pomyślała o Paulu i Sari i zdała sobie sprawę, że dla niektórych ludzi taka właśnie miłość staje się rzeczywistością. Niestety jej to nie dotyczy. Nie z tym mężczyzną. Nie na zawsze... czyli nigdy.

Czekała tak długo, aż zyskała pewność, że Ren nie opuści znów sypialni. Wzięła niewielką torebkę z kartą kredytową i pieniędzmi, po czym otworzyła drzwi. Resztę rzeczy musiała zostawić, nie była w stanie ich ze sobą zabrać. Zeszła na dół i zajrzała do książki telefonicznej, szukając numeru firmy tak-sówkowej, jednak żadna z firm z Catelow nie pracowała po zmierzchu. Zadzwoiła więc do Billings i udało jej się namówić firmę użyczającą limuzyny z szoferem, żeby jeden z nich po nią przyjechał. Podała im numer karty kredytowej oraz adres rancza i poprosiła o pośpiech. Powiedzieli, że natychmiast wysyłają samochód.

Merrie wyszła na zewnątrz. Czuła się chora. Nie zostawiła listu, ale Ren i tak będzie wiedział, dlaczego wyjechała. Było jej tylko przykro, że nie pożegna się z Delsey.

Śnieg padał coraz mocniej. Rozejrzała się, lecz nie widziała żywego ducha, a nie miała kogo poprosić o podwiezienie do głównej bramy, która znajdowała się co najmniej pół kilometra od autostrady. Prawdę mówiąc, była to odległość liczona od stajni. Główna brama, gdzie zajędzie po nią limuzyna, wydawała się dużo dalej, a Merrie musiała minąć dwie inne bramy, żeby się do niej dostać.

Cóż, jak to mówią, nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku, prawda?

Kiedy Merrie dotarła do pierwszego ogrodzenia, żałowała, że

nie włożyła rękawiczek i cieplejszej czapki niż ta kolorowa włóczkowa, którą sama wydziergała. Skarpety w nowych butach za kostkę były przemoczone, ponieważ do środka dostał się śnieg. Stopy miała tak samo zlodowaciałe jak dłonie.

Brama zamykała się na zwyczajną zasuwę. Merrie była zaskoczona, ponieważ Ren mówił, że wszędzie są alarmy, które uruchamiają się, gdy tylko ktoś w nocy próbuje ją otworzyć. Przypomniała sobie też program do rozpoznawania twarzy w kamerach, których nie było widać gołym okiem. Rozejrzawszy się w ciemności rozświetlonej śniegiem, nie dostrzegła żadnych kamer, ale być może o tak wczesnej porze nie były skierowane na bramy.

Trzęsąc się z zimna, ruszyła dalej i w oddali dojrzała kolejną bramę. Dobry Boże, to kawał drogi. W Teksasie o tej porze roku pokonanie takiej odległości nie stanowiłoby problemu, jednak Wyoming to całkiem inna historia. Merrie nie przywykła do zimna i śniegu. Wyglądało też na to, że nie będzie już miała okazji przyzwyczaić się do zimowych warunków.

W kieszeni miała telefon. Był naładowany, więc mogła zadzwonić do Paula z lotniska i poprosić, żeby wysłał po nią prywatny samolot Graylingów. Samolot, podobnie zresztą jak konie wyścigowe, nie miał nic wspólnego ze sprawą związaną z oskarżeniem ich ojca o pranie brudnych pieniędzy, więc nadal należał do rodziny.

Merrie zaśmiała się z własnej głupoty. Zakochała się w Renie. W mężczyźnie, który widział w niej wyłącznie łatwą zdobycz, ponieważ uznał ją za kobietę Randalla. To bardzo bolało. Jeszcze nigdy nikt nie złamał jej serca, na domiar złego ten pierwszy raz dotyczył zblazowanego mężczyzny, który postrzegał kobiety jako drobne prezenty.

Z pełnym tęsknoty bólem przypomniała sobie czułość warg Rena, jego zwinne dłonie, cierpliwość, jaką jej okazywał. Angie przedstawiła Rena jako kiepskiego kochanka, ale ona przekonała się, że to kłamstwo. Ren był doświadczony i wyrafinowany, był mistrzem zmysłowych rozkoszy. Gdyby była kobietą, jakiej się spodziewała, zapewne przespałaby się z nim bez żadnych skrupułów. Ale ona była religijna. Nie robiła tego, co wszyscy

ani tak jak wszyscy.

Czuła się zdradzona, zbrukana i niemoralna. Tęskniła za siostrą i za domem. Jeśli płatny morderca ją znajdzie, wcale się tym nie przejmie. Nie widziała dla siebie przyszłości bez Rena, a on przecież jej nie chciał, interesowała go wyłącznie jako obiekt seksualny. Ta świadomość bolała tak nieznośnie, że łzy spływały szerokimi strugami po policzkach. Wycierała je ze złością. Ren nie był wart jej łez.

Brnęła dalej przed siebie.

Ren siedział pod drzewem z Meredith w ramionach, a ona patrzyła na niego z miłością. W uszach coś mu dzwoniło. Merrie spojrzała na niego pytająco, a on w tej samej chwili obudził się gwałtownie i usłyszał dzwonek telefonu.

Zaspany podniósł słuchawkę.

- Tak? - odezwał się.

- Wie pan, że pana gość minął pierwsze ogrodzenie i ciągnie się w tym śniegu bez ciepłego szala czy nawet rękawiczek? - spytał J.C. - Kieruje się do głównej drogi.

- Co?

Ren wyskoczył z łóżka, rozglądając się za ubraniami.

- Zamknij drugą bramę, i to szybko - rzucił. - Już tam jadę.

- Ma pan to jak w banku, szefie.

Ren zbiegł ze schodów, zapinając po drodze koszulę. Wziął kożuch, kapelusz i szal, a także kluczyki do jaguara i wybiegł z domu. Jaguar wciąż stał przed domem. Ren skrzywił się na wspomnienie, jakie przywołał ten widok. Wskoczył do samochodu, odpalił i ruszył podjazdem.

Otworzył pierwszą bramę, przejechał przez nią, a potem ją zamknął i jechał dalej przed siebie. Zauważył, że elektroniczny zamek nie został z powrotem włączony. Zapomniał to zrobić, kiedy wracali z przyjęcia do domu, myślami wybiegając naprzód ku niewypowiedzianej rozkoszy w ramionach Meredith. Co za nieostrożność. Dojrzał przed sobą Meredith jakieś pół kilometra przed ostatnią bramą.

Usłyszała samochód, zanim go zobaczyła, i od razu domyśliła się, kto siedzi za kierownicą. Puściła się biegiem, powściągając

łzy.

Ren szybko ją dogonił, wziął w ramiona, ignorując jej opór, i wsadził do samochodu na miejsce pasażera.

- Siedź tu - rzucił lodowato, kiedy próbowała uciec.

Jej dolna warga drżała, policzki miała mokre od łez, ale była zbyt wykończona, żeby się tym przejmować, do tego przemarzła do szpiku kości. Objęła się ramionami, nie chciała nawet spojrzeć na Rena.

Poczuł wszechogarniający ból. Chciał ją przeprosić, lecz nie znajdował słów. Wyglądała na zdruzgotaną. Żadna doświadczona kobieta by się tak nie zachowała. Miał ich wystarczająco wiele, żeby być tego pewnym. Nawet na niego nie zerknęła. Opuściła ranczo na piechotę, w burzy śnieżnej. Duma, pomyślał. Tak, Meredith Grayling była dumną kobietą. Niezależnie od okoliczności, nie zamierzała zostać tam, gdzie tak fatalnie ją potraktowano.

- Zadzwońłam do wypożyczalni limuzyn - oznajmiła suchym tonem. - Kierowca będzie czekał przy głównej bramie. Powiedz mu, żeby obciążył mnie za fatygę i że przepraszam.

Ren zadzwonił do J.C. i przekazał mu tę wiadomość, a po chwili zajechali przed wejście do domu.

W momencie gdy parkował jaguara, akurat podjechała Delsey swoim małym SUV-em. Zaparkowała obok nich i ze zdumieniem patrzyła, jak wysiadają, oboje w zwykłych, zamiast w wyjściowych ubraniach.

- Mój Boże, co się stało? - spytała zaszokowana, widząc Merrie we łzach.

- Mieliśmy drobną kłótnię - odparł cierpko Ren. - Idź na górę i przygotuj jej kąpiel. Prawie zamarzła.

- Zaraz to zrobię. Chodź, kochanie, zajmę się tobą - powiedziała Delsey, otaczając ją ramieniem.

Merrie wybuchnęła płaczem i szlochając, weszła z gosposią do domu. Ren przystanął w progu. Widok zapłakanej Merrie sprawiał mu ból, zwłaszcza że wiedział, kto był powodem tych łez. On.

Wzięła gorącą kąpiel, a potem włożyła dzinsy i bluzę. Czekając, aż Delsey przyniesie jej gorącą herbatę, wyjęła telefon i za-

dzwoniła do domu.

- Merrie? - odezwała się Sari zasnianym głosem, a po chwili dodała: - Kochanie, jest trzecia nad ranem. Co się stało?

- Miałam... tu mały... problem - wydukała, próbując nie płakać.

- Morderca?

- Nie, pokłóciłam się z Renem. - Jednak nie wyjaśniła powodu kłótni. - Czy Paul mógłby po mnie przyjechać, ale od razu? Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale nie mogę tu zostać. Poproszę Delsey, żeby mnie zawiozła na lotnisko w Catelow. Przyjmiemy tam mały prywatny odrzutowiec, już to sprawdziłam... - Przerwała na moment. - Bardzo przepraszam. Wiem, myślałaś, że będę tu bezpieczniejsza.

- Pojawił się nowy problem - odparła Sari. - Paul wszystko ci opowie, jak tam dotrze. Ale skoro chcesz wrócić do domu, teraz to bez znaczenia. I tak zamierzaliśmy cię poprosić, żebyś wróciła.

- Co się dzieje? - spytała Merrie. - Chyba nic ci nie grozi?

- Nie, nic takiego - odparła Sari. - Jestem aż nazbyt chroniona - powiedziała z rozbawieniem, po czym Merrie usłyszała, jak siostra rozmawia z Paulem, a po chwili znów zwróciła się do niej: - Paul powiedział, że tylko się ubierze i wyciągnie z łóżka pilota, i zaraz pędzi na lotnisko.

- Przepraszam - powtórzyła Merrie.

- Jesteś moją siostrą. Kocham cię. Zamknij się.

- Okej, od razu mi lepiej. - Merrie się zaśmiała. - Dzięki.

- Do zobaczenia wkrótce.

Delsey przyniosła parujący kubek gorącej herbaty i postawiła go na szafce nocnej.

- Rozgrzeje cię. Czemu nie włożyłaś szlafroka? - spytała.

- Bo jadę do domu, Delsey. Sari przysyła po mnie Paula. Za jakieś dwie godziny będzie na lotnisku. Czy ktoś mógłby mnie tam zawieźć?

- Oczywiście, że tak. Dwie godziny? Samoloty komunikacji lokalnej są dość wolne.

- Mamy learjeta - odparła Merrie. - Jest bardzo szybki.

- Learjeta?

- Tak. - Upiła z kubka. - Dziękuję za herbatę. Zostanę na górze, aż zadzwoni Paul, dobrze?

Delsey wiedziała więcej, niż Merrie zdawała sobie sprawę. Poklepała ją po ramieniu.

- Wiesz - powiedziała łagodnie - Ren nie jest przyzwyczajony do takich kobiet jak ty. Przywykł do takich, które Randall przywozi do domu. Angie była jedną z nich. Ren był przekonany, że skoro Randall cię tu przywiózł, jesteś taka sama jak tamte. - Skrzywiła się. - Mogłam mu powiedzieć, że to nieprawda, ale z nim nie porusza się takich tematów, jest za bardzo zamknięty w sobie. - Milczała przez chwilę. - Nie okazuje uczuć, ale nie jest bezduszny. To wrażliwy człowiek. - Gdy Merrie popijała herbatę bez słowa, gospoia dodała: - No, już dość powiedziałam. Pij, rozgrzej się. Na pewno nic więcej ci nie trzeba?

- Nie, tylko zmarzłam. Śpieszyłam się, wyszłam z domu bez szalika i rękawiczek, no i botki mi przemokły. Włożyłam te eleganckie. Nie pomyślałam, że tyle śniegu napadało. - Uniosła nogi w sportowych butach. - W tych daleko nie dojdę, ale przynajmniej są suche. - Potrząsnęła głową. - Myślałam, że łatwo dotrzeć stąd do drogi.

- Kiedy w Wyomingu zaczyna padać śnieg, nic nie jest łatwe - odparła Delsey. - Gdybyś mnie potrzebowała, zawołaj, dobrze, kochanie?

- Dobrze.

Ren siedział przy stole z kubkiem gorącej kawy, którą sam sobie zaparzył. Kiedy gospoia weszła do pokoju, podniósł wzrok.

- Zadzwoniła do swojej siostry - oznajmiła Delsey. - Szwagier po nią przyleci. Niedługo będzie na lotnisku. Odwiozę ją tam.

Ren czuł w środku chłód. Skupił się na kawie.

- Rozumiem.

- Ona nie jest taka, jak pan myśli - wypaliła Delsey. - Mówiła mi, że ojciec nie pozwalał jej umawiać się na randki i że nikt jej jeszcze nie całował. Ona nie jest jedną z kobiet Randalla.

Ren poblądł, słysząc te rewelacje. Jeśli taka jest prawda, to popełnił potworny błąd. Było jeszcze gorzej, niż myślał. Wypił kolejny łyk kawy.

- Wyślemy kogoś na lotnisko, żeby go tu przywiózł - rzekł szorstko. - Chcę z nim porozmawiać przed jej wyjazdem.

Na lotnisku na Paula czekał mężczyzna w furgonetce z logo Skyhorn z boku - skrzyżowane rogi byka na czerwonym polu.

- Jestem Tubbs - przedstawił się. - Operator lotniska twierdzi, że jest pan jedynym klientem, więc pan to pewnie Paul Fiore.

- Zgadza się. No dobrze, chodźmy.

Gdy dojechali na ranczo, Ren powitał Paula, który z miejsca oznajmił:

- Merrie chce wracać do domu, i dobrze się składa, bo została tu wysłędzona. Właśnie się o tym dowiedzieliśmy.

Ren zamarł na moment, a po chwili spytał nerwowo:

- Ten płatny morderca ją wysłędził? Jakim cudem?

- Na podstawie dowodu zapłaty. Użyła swojej karty kredytowej w jakimś eleganckim sklepie. Człowiek, który pomaga płatnemu zabójcy, próbując śledzić ruchy Merrie, musiał się dzięki temu zorientować, gdzie ona przebywa. Ten drań wykorzystuje rozmaite sposoby, żeby wytropić swój cel. Jest przebiegły i bardzo skuteczny.

- Użyła swojej karty kredytowej. - Ren poczuł się jak idiota. Nic dziwnego, że nie podziękowała mu za suknię i płaszcz, skoro sama za nie zapłaciła.

- Kupiła ostatnio drogie rzeczy - powiedział, marszcząc czoło.

- W tym suknię wieczorową, najdroższą, jaka była do nabycia, a to sklep dla zamożnych klientów.

- Nie opowiadała panu o sobie, prawda?

- Niewiele.

- Jej majątek wynosi dwieście milionów dolarów - oznajmił Paul, patrząc na zaszokowaną minę Rena. - Dostała je w spadku po matce, która złożyła pieniądze dla obu córek w szwajcarskim banku, żeby ich chciwy ojciec się do nich nie dorwał.

- Dwieście milionów. - Renowi nie mieściło się to w głowie. Więc Merrie była krezuską, choć trudno się było tego domyślić, bo nie zachowywała się jak krezuska.

- Hej, to tylko pieniądze - zażartował Paul. - Przepraszam, mógłbym prosić o kawę? Pracowałem do późna nad sprawą napadu rabunkowego w San Antonio i padam z nóg.

- Jasne. A co z pilotem? - spytał Ren.

- Ma termos z kawą i dobrą książkę. Nie przepada za ludźmi, ale to świetny pilot. - Paul usiadł. - Dzień dobry pani. - Uśmiechnął się szeroko, gdy zobaczył Delsey. - Jestem Paul Fiore.

- Miło pana poznać. - Pomyślała, że ten mężczyzna o gęstych, czarnych falujących włosach i ciemnobrązowych oczach jest bardzo przystojny.

- Mógłby mi pan opowiedzieć coś o Merrie? - poprosił Ren.

- Nie ma wiele do opowiadania. - Paul wzruszył ramionami. - Merrie i jej siostra miały ojca, który uwielbiał przemoc. Obie mają blizny na plecach. Ten psychol bił je pasem, często klamrą.

Ren głośno jęknął. Nic dziwnego, że Merrie wzdragała się przed tym, żeby dotykał jej pleców w tańcu. A także wcześniej, kiedy ją trzymał i wyczuł jakieś nierówności z pod jej swetrem.

- Darwin Grayling był nie tylko sadystą, miał więcej zaburzeń psychicznych. Na przykład wszystkie ręczniki w domu musiały być jednakowe i wisieć równo na wieszaku. Pewnego razu uderzył Merrie, bo odrobinę przesunęła dywanik łazienkowy. A kiedy chciała pójść na randkę, a miała już szesnaście lat, kazał skatować nieszczęsnego chłopaka i przepędzić z miasta. I jeszcze stłukł Merrie pasem za to, że pozwoliła temu chłopakowi zbliżyć się do niej.

- Mój Boże... - Ren westchnął. - Powiedzieć, że miała ciężkie życie, to nic nie powiedzieć.

- Żadnych chłopców, żadnych randek, żadnych imprez, tylko dom i telewizja. I oczywiście religia. Pozwalał, czy też nakazywał im chodzić do kościoła. Isabel zawsze powtarza, że wiara była ich jedynym ratunkiem po śmierci matki. Ojciec musiał wszystkimi rządzić i wszystko kontrolować, to była jego najpotężniejsza obsesja. Do tego był narkomanem, heroina uszkodziła mu mózg, aż w końcu go zabiła. Przez nałóg serce miał w ruinie i zmarł na zawał.

- Biedne dziewczyny.

- Nie da się zaprzeczyć... Trener koni starał się trzymać ich ojca z dala od stajni, bo kiedyś tak skatował konia, że trzeba go było uśpić. W tym roku nasza klacz Pride wygrała Preakness Stakes^[3] - dodał Paul z uśmiechem. - Mamy nadzieję, że w przyszłym roku zajdzie jeszcze dalej.

- Macie konie wyścigowe?

- Tak, mamy. Stajnie Graylingów są szeroko znane. Grayling prowadził różne interesy, a większość pieniędzy zarobił nielegalnie, jednak matka dobrze zabezpieczyła córki. Konie wyścigowe należały do niej. Wie pan, dziewczyny wcześniej nie miały nic ładnego ani modnego. Kupowały tanie i skromne ubrania. Przed naszym ślubem Isabel chodziła do pracy w kostiumie za trzydzieści dolarów. Ojciec nie chciał, żeby pracowały i jak inni młodzi ludzie zarabiałały na swoje wydatki, a przed śmiercią próbował zmusić Isabel do poślubienia księcia z Bliskiego Wschodu, któremu zamarzyła się piękna Amerykanka, natomiast Grayling miał nadzieję, że zięć opłaci mu adwokatów. Gdy Isabel odmówiła, rzucił się na nią w dzikiej furii, ale jej ochroniarze wyważyli drzwi do pokoju. Zmarł, zanim go stamtąd wyciągnęli. Isabel wciąż obwinia się o jego śmierć, chociaż to nie jej wina. Po prostu umarł na serce.

- Przykro mi - powiedział Ren wstrząśnięty tymi wszystkimi rewelacjami. Biedna Meredith, a on potraktował ją jak łatwą zdobycz... Zacisnął powieki przygnieciony falą bólu.

- Może pani poprosić Merrie, żeby zeszła na dół? - Paul zwrócił się do Delsey i spojrział na zegarek. - Za parę godzin muszę być w pracy. Nie lubię przeliczać na dolary zmarnowanego rządowego czasu - powiedział ze śmiechem.

- Pańska żona też pewnie ma miliony - rzekł Ren, kiedy Delsey ruszyła po schodach.

- Owszem. - Paul wzruszył ramionami. - Ja też. Kompletnie nieoczekiwany prezent od jej ojca - podał oficjalną wersję. Isabel uparła się, że podzieli się z nim swoim majątkiem, ale żeby Paul czuł się komfortowo, oznajmili wszystkim, że to jej ojciec zapisał Paulowi pieniądze w testamencie.

- Jednak wciąż pan pracuje.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Kocham moją pracę, tak samo jak Isabel swoją. Nie jesteśmy stworzeni do eleganckich przyjęć i udzielania się w miejscowym Country Clubie.

- Ja też nie - mruknął Ren. - Wolę towarzystwo zwierząt.

- Kocham konie - wyznał Paul. - Rzecz jasna nie jeździmy na naszych koniach wyścigowych, ale mamy też konie rasy quarter horse, które sprzedajemy jako reproduktory.

- Myślałem, że Merrie żyje bardzo skromnie. Nie zachowuje się jak zamożna kobieta.

- Tak samo jak Isabel, która nieraz powtarza, że odziedziczyła taki styl życia po matce, która nosiła się skromnie i pracowała w ogrodzie. - Zacisnął wargi. - Niewykluczone, że Grayling ją zabił. Isabel chce doprowadzić do ekshumacji i autopsji, bo za pierwszym razem wynik został sfałszowany. Śmierć ich matki oficjalnie uznano za nieszczęśliwy wypadek, tyle że ktoś dostał za to pieniądze.

- Hańba.

- Zgadza się. Ale wie pan, jeżeli zrobimy ekshumację, tylko przysporzy to Isabel i Merrie jeszcze więcej bólu. Owszem, dobrze jest poznać prawdę, ale z drugiej strony... Ujmę to tak: ojciec nie żyje, matka nie żyje, a życie toczy się dalej.

- A przynajmniej tak się zdaje...

Ren coś usłyszał i podniósł wzrok. To Merrie schodziła po schodach z torebką, saszetką na pasku i dużym szkicownikiem.

- Paul! - Położyła swoje rzeczy na kanapie i pobiegła go uściskać. - Dziękuję, że przyjechałeś.

- Nie ma sprawy, dzieciaku. - Poklepał ją po plecach. - Jeśli masz wszystko, musimy ruszać.

- Jestem gotowa.

- Odwiozę was na lotnisko - zaoferowała się Delsey, bo dostrzegła, jak bardzo zdenerwowany jest Ren, który zerkał na Merrie.

- Dziękuję - odparła Merrie i uściskała Delsey. - Dziękuję, że okazała mi pani tyle serca.

- Nie ma za co, kochanie. Będę za tobą tęsknić - łagodnie powiedziała gosposia.

Merrie położyła głowę na jej ramieniu.

- Ja też będę za panią tęsknić.
- Wracaj bezpiecznie do domu, kochanie. Uważaj na siebie.
- Na pewno. Pani też niech na siebie uważa.

Delsey tylko się uśmiechnęła.

Merrie odwróciła się do Rena z walącym sercem. Jej wzrok zatrzymał się na wysokości jego szyi. Nie była w stanie spojrzeć wyżej.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi tu pomieszkać - odezwała się uprzejmie. - Nie mogę zabrać ze sobą wszystkich płócien, ale jeśli będziesz tak miły i poprosisz któregoś ze swoich ludzi, żeby je spakował i wysłał, to przyślę naklejkę adresową. Mamy konto w FedEksie.

- Dobrze - odparł sztywno.

- Jestem gotowa - powiedziała Merrie do Paula.

Zatrzymali się przy drzwiach, czekając, aż Delsey włoży płaszcz. Ren wyglądał jak uosobienie smutku. W jego oczach odbijały się wszystkie gwałtowne emocje, które w nim tętniły.

- Nic o tobie nie wiedziałem, Meredith - powiedział cicho. - Przepraszam.

Przeprosiny były tym ostatnim, czego się od niego spodziewała. Zalała się rumieńcem.

- Dziękuję, Ren... - Spojrzała na niego po raz ostatni i wyszła na zewnątrz z Paulem i Delsey.

Ren przez kilka minut nie ruszył się z miejsca. W jednej chwili jego dom stracił wszystkie kolory i został pozbawiony życia. Zagościły w nim pustka, szarość i samotność.

Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, co tak naprawdę czuje do Meredith, lecz było już za późno, by naprawić szkody i zacząć od nowa. Merrie wyjeżdżała, unosząc ze sobą bolesne wspomnienia pełne wstydu i zażenowania.

Głośno jęknął, przypominając sobie, jak ją potraktował i co do niej mówił. Przez niego poczuła się pospolita i nic niewarta. A przecież myślał o niej inaczej. Zupełnie inaczej.

Poszedł do pracowni, gdzie Merrie zajmowała się sztuką, i otworzył drzwi. Wciąż tu był namalowany przez nią portret Rena i portret Hurricane'a. A także szkicownik z wizerunkiem Delsey. Poza tym Ren znalazł również szkice do portretu Tubb-

sa oraz drugiego z jego pracowników. Talent Merrie nie przedstawiał go zdumiewać.

Otoczony jej pracami, poczuł się jak w domu. Jego matka bardzo lubiła rysować. Owszem, była utalentowana i wrażliwa, ale nie dorównywała Meredith. Rysowała kwiaty. Same kwiaty, kwiaty w wazonach, na drzewach, w ogrodzie – zawsze kwiaty. Rysowała pięknie. Ren zacisnął zęby. Z powodu jej bolesnego komentarza odsunął matkę ze swojego życia. Komentarza, który sam sprowokował swoim cynizmem i wywyższaniem się. Zranił ją, a ona na to zareagowała. Choć to tak proste i oczywiste, ten incydent odmienił ich życie na całe lata. Ren nie potrafił wybaczać ludziom, ale matce powinien przebaczyć.

Wziął do ręki szkicownik Meredith i zaczął go przeglądać. Na ostatniej stronie ujrzał jej autoportret. Ledwie kilka kresek, a jednak ten szkic go poruszył. W tym rysunku była cała ona, cała prawda o Meredith. Jej bezbronność, współczucie, dobroć – wszystko to widział w jej dużych jasnych oczach.

- Bardzo cię przepraszam, kochanie – szepnął, dotykając kartki papieru, i niewiele myśląc, wyrwał ją ze szkicownika i zabrał do swojego pokoju.

W mieście znajdował się sklep z ramami. Stracił Meredith, być może na zawsze. Ale został mu rysunek, który będzie mu o niej przypominał.

Potem przypomniał sobie słowa Paula Fiorego. Prześladowca Meredith tu był, dostał się tu pomimo nowoczesnego sprzętu, kamer i alarmów, który Ren zainstalował na ranczo, nie szzczędząc grosza.

Przypomniał sobie kierowcę ciężarówki, który wydał mu się podejrzany. Pomyślał o Beaklym i jego sytuacji finansowej, i doznał nagłego olśnienia.

Sięgnął po komórkę i zadzwonił do J.C.

- Mm? – mruknął J.C., który najwyraźniej był już w łóżku.

- Za moment przyłożysz się do poduszki. Chcę, żebyś jutro z samego rana pojechał do Beakly'ego i spytał go, ile zapłacił mu kierowca ciężarówki za potwierdzenie, że coś mu dostarczał.

- Co?

- To tylko przeczucie. Może się mylę.
- Okej, jutro z samego rana.
- Dzięki, J.C., i przepraszam, że cię obudziłem.
- Nie ma sprawy. Miałem koszmarne sen.

Ren wyłączył telefon. Wiedział, że kiedy wstanie rano, Meredith nie usiądzie z nim do śniadania. Nie pojedzie z nim konno, żeby sprawdzić, czy z bydłem wszystko w porządku. Nie będzie siedziała przed telewizorem z robótką.

Zamknął oczy przytłoczony falą bólu. Ze wszystkich błędów, jakie popełnił w życiu, ten był z pewnością najgorszy. Gorszy nawet niż Angie i jej zdrady.

Przypomniawszy sobie, jak Meredith broniła go przed Angie na przyjęciu u Durwarda. Żałował, że nie może wyłączyć swoich myśli, jak zrobił to z telefonem, żeby móc zasnąć.

Zaczynało świtać, kiedy w końcu zmorzył go sen, ale już po dwóch godzinach wstał i z kowbojami wyruszył do pracy. Zmęczenie spowodowane niewyspaniem pomogło mu przynajmniej nie myśleć o Merrie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Merrie milczała niemal całą drogę do domu. Ponieważ Paul był bardzo zmęczony, namówiła go, by się zdrzemnął, dzięki czemu nie musiała odpowiadać na żadne pytania ani tłumaczyć, dlaczego zadzwoniła z prośbą, żeby ją zabrał do domu.

Choć co się odwlecze, to nie uciecze. Gdy tylko dotrą na miejsce, siostra weźmie ją w krzyżowy ogień pytań.

Płatny zabójca wpadł na jej ślad tylko dlatego, że zachowała się jak idiotka. Nie powinna korzystać ze swojej karty kredytowej. Przypomniała sobie dziwną minę Rena, kiedy wspomniała o nowej sukni i płaszczach, i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że sądził, iż to jego kartą zapłaciła za te kosztowne zakupy. Delsey pewnie mu nie powiedziała, że Merrie sama uregulowała rachunek. Oczywiście Ren nie znał jej sytuacji finansowej. Może gdyby tak było, inaczej by ją traktował.

Zaczerwieniła się na wspomnienie pożądania, jakie w nim budziła, i zmysłowej rozkoszy, jaką czerpał z tej bliskości. Był doświadczonym kochankiem, to się po prostu czuło. Zaśmiała się cicho. Pewnie spał z tyloma kobietami, że nawet nie pamiętał ich twarzy, więc miała szczęście.

Shczęście. No oczywiście. To właśnie tłumaczyło, czemu wciąż powstrzymywała łzy, kiedy wylądowali na lotnisku w Jacobsville. Otarła je, żeby Paul ich nie widział, i przywołała na twarz uśmiech.

Udało jej się robić dobrą minę do złej gry do chwili przyjazdu do domu. Sari czekała na nią z otwartymi ramionami. Wiedziała, że Merrie nie zdecydowała się na nagły powrót z powodu mordercy. Uciekła od mężczyzny, który stał się jej zbyt drogi.

Sari powiedziała, że Mandy jeszcze śpi.

- Będzie szczęśliwa, jak cię zobaczy. Bardzo się za tobą tęskniła. Wszyscy tęskniliśmy. Zwłaszcza ja.

- Dotąd prawie się nie rozstawaliśmy. - Merrie uściskała sio-

strę. – Sporo się tam dowiedziałam o życiu na ranchu, dobrze się bawiłam. Ale cieszę się, że jestem z powrotem w domu. – Łzy cisnęły jej się do oczu.

– Chodźmy na górę – powiedziała Sari. – Utulę cię do snu i poczytam na dobranoc – zażartowała.

– Dziękuję – odparła ze smutkiem Merrie. – Przyda mi się trochę czułej opieki.

– Idź spać, kochanie – powiedziała Sari do Paula z czułym uśmiechem. – Masz całe trzy godziny, zanim będziesz musiał wstać do pracy. Nie zmarnuj tej szansy.

– Jesteś aniołem. – Uśmiechnął się do żony.

– Dziękuję, że po mnie przyleciałeś, Paul – powiedziała raz jeszcze Merrie. – Wybacz, że zadzwoniłam tak późno.

– Nie ma sprawy, dzieciaku. Pracuję dla rządu, więc potrafię spać na stojąco, jeśli muszę – rzekł pół żartem, pół serio.

– On naprawdę to potrafi – zapewniła Sari, kiedy znalazły się w pokoju Merrie. – Sama widziałam.

– Jest taki dobry. Szczęściara z ciebie. – Opadła na łóżko i westchnęła. – Chciałabym mieć takie szczęście.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytała delikatnie Sari, przysiadając obok siostry.

– Ren myślał, że jestem kobietą Randalla, i potraktował mnie tak, jak potraktowałby jedną z nich – sztywno oznajmiła Merrie.

– Kiedy mu odmówiłam, myślał, że żartuję, że się z nim przekonarzam. Strasznie go to wkurzyło.

– Uff... Tego się właśnie obawiałam. – Sari przytuliła siostrę. – Powinnaś mu powiedzieć, jak zostałyśmy wychowane.

– Próbowałam, ale mi nie uwierzył. – Odsunęła się, wycierając oczy chusteczką. – On nie jest złym człowiekiem – dodała. – Jedna z kobiet Randalla mieszkała tam jakiś czas i tak go omotała, że się z nią zaręczył. Kiedy odkrył, że zależało jej tylko na jego pieniądzach, a nie na nim, zerwał zaręczyny. Wtedy ona zaczęła wypisywać o nim różne obraźliwe rzeczy w sieci, na przykład że jest kiepski w łóżku.

– To obrzydliwa zemsta porzuconej kobiety – stwierdziła Sari. – Prowadzimy sprawy osób, które myślały, że napastują innych w sieci anonimowo, dopiero w sądzie dowiedziały się, że było

inaczej, niż im się zdawało.

- Ludzie nie mają świadomości, że można wysledzić ich adres IP - dodała Merrie, po czym wzięła głęboki oddech. - Ren poprosił mnie, żebym poszła z nim na przyjęcie. Wiedział, że będzie tam jego była narzeczona. - Uśmiechnęła się smutno. - Powiedziałam jej, żeby zostawiła go w spokoju.

- Moja grzeczna siostrzyczka walczyła o mężczyznę - zażartowała Sari.

Merrie zaśmiała się cicho.

- Tak, chyba tak. Ren był pod wrażeniem. - Jej uśmiech zgasł. - Potem wróciliśmy do domu. - Wspomnienie wciąż bolało. Spuściła wzrok. - Myślałam, że nie jestem mu obojętna. Nie zdawałam sobie sprawy, że mężczyzna może tak traktować kobietę, nie czuć nic poza pożądaniem. - Podniosła wzrok. - Chyba jestem naprawdę głupia i naiwna.

- Pamiętam, co czułam do Paula - odparła Sari. - Wiesz, co wtedy przeżywałam. Uważał, że jestem za młoda, i nie traktował mnie poważnie. Poza tym dręczyła go przeszłość, o której nie miałam pojęcia. To była bardzo wyboista droga do ołtarza. - Uśmiechnęła się. - A spójrz na nas teraz.

- Tak, wiem, przeżyliście romans jak z bajki. - Skrzywiła się. - Mój bardziej przypomina horror.

- Może Ren z czasem się zmieni - powiedziała Sari.

- Nie liczyłabym na to. W każdym razie jeśli chodzi o stosunek do mnie.

- Dopiero się poznaliście. Idź spać, odpocznij. Jesteś w domu. Nikt cię tu nie skrzywdzi.

- Czy Avengersi wciąż tu są?

- Tak, są. - Sari uśmiechnęła się. - Kazaliśmy im zainstalować dodatkowy monitoring. Mamy też gościa.

- Gościa? Kogo?

Sari poklepała ją po ręce.

- Wszystko w swoim czasie. Wyśpij się, kochanie, porozmawiamy rano. Jutro mam wolne, bo pojutrze pracuję po godzinach, zamieniłam się z jednym z zastępców prokuratora, który prosił mnie o przysługę.

- Jesteś bardzo uprzejma.

- No coś ty - odparła Sari, przeciągając.
Merrie tylko się zaśmiała.

Spała niespokojnie. Śniło jej się, że leżała w ramionach Rena obezwładniona jego pocałunkami, a on ni stąd, ni zowąd odepchnął ją na bok.

Wstał i odszedł, nie oglądając się za siebie. Wołała za nim, lecz nie zareagował. Poderwała się na nogi i ruszyła biegiem. Miała na sobie długą, kosztowną delikatną suknię i buty na niebotycznie wysokich obcasach. Kiedy tak biegła, potknęła się o suknię i straciła równowagę. Zawołała do Rena, żeby ją ratował, ale on zniknął. Wpadła do jakiejś dziury i spadała, bezwładnie koziołkując...

Obudziła się raptownie z walącym sercem. To był tylko sen, choć wydawał się tak rzeczywisty, a już zwłaszcza to spadanie. Pomyślała o Renie, o tym, jak wyglądał, kiedy widziała go po raz ostatni, milczący i zamknięty w sobie. Domyślała się, że Paul wyjawiał mu okrutną prawdę na temat jej przeszłości. Wtedy dopiero Ren zrozumiał, jak bardzo się co do niej pomylił.

Niestety było już za późno, by to cokolwiek zmieniło. Złość Rena będzie bolała przez długi czas. Być może teraz, wiedząc, że jest niewinna i niedoświadczona, czuł wyrzuty sumienia, że próbował ją uwieść, co wcale jednak nie znaczy, że ją kocha. Pamiętała radość, jaką sprawiało jej towarzystwo Rena, jak przyjemnie było razem siedzieć wieczorami przed telewizorem. Przywykła do jego obecności. W ciągu jednego dnia jej życie uległo całkowitej zmianie. Wiedziała, że nigdy więcej już nie zobaczy Rena. Nic tak nie bolało, jak ta świadomość, nawet jego ostre słowa.

Zastanawiała się, czy Ren powie Randallowi, dlaczego wyjechała. Zapewne nie. Ren kochał brata i uważał ją za jego kobietę, więc pewnie się nie przyzna, że jej pragnął, mimo że jeśli chodzi o inne kobiety brata, nie krył się ze swoimi erotycznymi sukcesami.

Merrie zeszła na śniadanie w dżinsach i T-shircie, z włosami związanymi w koński ogon i bez makijażu. Nie przejmowała się, czy wygląda tak fatalnie, jak się czuje.

Kiedy dotarła do stołu, spojrzała zaskoczona. W pokoju zastała jakiegoś mężczyznę, lecz nie Paula ani żadnego z Avengersów.

Miał szerokie ramiona, duży nos, wysokie kości policzkowe i wyrzeźbione usta. Włosy miał kruczoczarne i falujące, oczy duże i ciemne. Był podobny do Paula, ale w przeciwieństwie do niego posiadał jakiś rys, który budził grozę. Potem Merrie sobie przypomniała. Malowała portret tego mężczyzny na podstawie zdjęcia, które otrzymała od Paula. Zamówił u niej portret kuzy-
na, żeby mu go podarować na urodziny.

- Kuzyn Mikey - wypaliła, a zaraz potem zaczerwieniła się zażenowana, gdy zmarszczył gęste brwi nad błyszczącymi ciemnymi oczami. - Przepraszam - dodała szybko i usiadła. - Malowałam pana...

- A, szwagierka. - Uśmiechnął się. - Tak, to prawie wierna podobizna. Ten nóż na stole obok mnie to był dotyk geniuszu - dodał, ściągając wargi.

- Przestań, ona już wygląda jak wóz strażacki, palancie - ofuknął go Paul, który właśnie do nich dołączył.

- Przepraszam. - Mikey się zaśmiał. - Nie mogłem się powstrzymać. - Uważnie przyjrzał się Merrie. - Wygląda pani inaczej, niż się spodziewałem, laleczko - dodał.

- A czego pan się spodziewał? - spytała zaciekawiona.

Mikey przyjął od Paula filiżankę kawy i nie dziękując mu, przeniósł znów wzrok na Merrie.

- Wróżki z kryształową kulą. Może w chustce na głowie. - Gdy Merrie uniosła brwi, dodał: - Jestem złym człowiekiem. - W tych słowach nie było ani żalu, ani pychy. - Na pani portrecie jestem taki, jaki jestem naprawdę. A nic pani o mnie nie wiedziała.

- Och. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Potrafię zajrzeć w głąb mojego modelu. Paul nie zdradził mi, kim pan jest ani czym pan się zajmuje, tylko dał mi zdjęcie i powiedział, że jest pan jego kuzynem. A potem spytał, czy mogłabym namalować pański portret, bo chciał go panu sprezentować. Od razu się zgodziłam.

- Cóż, jest nadzwyczajny - stwierdził Mikey. - Kazałem go

oprawić i wisi nad kominkiem w salonie. Nie przyjmuję wielu gości, ale kilka osób zwróciło na niego uwagę. – Zaśmiał się głośno.

– Co w tym zabawnego? – spytała Merrie.

– Szef dużego gangu, i to naprawdę dużego, który kontroluje połowę stanu na północy, pytał, jak panią znaleźć, bo chciał, żeby jego też pani namalowała.

– Hm... naprawdę? – Merrie szeroko otworzyła oczy. – Co pan mu odpowiedział?

– Że to prezent i nie mam pojęcia, kto jest jego autorem. – Spowaźniał, a jego oczy wydawały się o wiele starsze niż on sam. – Nie chciałaby pani zadawać się z takim gościem, zapewniam.

– Dziękuję, że mnie pan przed tym uchronił. – Doskonale wiedziała, co miał na myśli.

Mikey wlepił wzrok w swój talerz i skrzywił się.

– Nie chcę być niegrzeczny, ale co to jest, do diabła? – spytał, wskazując palcem.

– Grysik kukurydziany – odparła Mandy, wchodząc do pokoju z koszykiem bułeczek owiniętym kosztowną lnianą serwetką. – Merrie! – zawołała i przystanąła na dość długo, by ją uściskać. – Och, jak dobrze, że wróciłaś do domu – powiedziała, powściągnąjąc łzy radości.

– Też za tobą tęskniłam, Mandy – odparła Merrie z westchnieniem. Miło było znaleźć się znów w domu, gdzie była szczerze kochana.

– No, dość już tego – powiedziała Mandy. – Siadaj. Przyniosę domowe konfitury. Ten człowiek – wskazała na Mikeya – zrobi prawie wszystko za moje jagodowe konfitury.

– To prawda, prawie wszystko – przyznał Mikey z uśmiechem.

– Okej, niech mi pani coś powie o tym gryniku. – Wskazał znów na swój talerz. – Czy to jest gryk, który stosuje się do budowy dróg? – spytał, grzebiąc widelcem w jedzeniu, które budziło jego podejrzenia.

– Kaszę kukurydzianą otrzymuje się ze zmielonego ziarna kukurydzy – odparła Mandy z uśmiechem. – Chyba pan coś wie na temat mielenia, co, Mikey? – dodała kpiąco.

Mikey zmarszczył nos.

- Nigdy nie robiłem tego, o co mnie oskarżają - stwierdził nieco buńczucznie. - Żeby wciskać gościa do młyna kulowego? To prymitywne.

- Niech pan spróbuje kaszy - powiedziała Mandy. - Dałam do niej masła.

Mikey kręcił nosem z powątpiewaniem, ale w końcu włożył widelec z kaszą do ust, przeżuł i uniósł brwi.

- Hej, nie takie złe. Smakuje jak polenta.

- A nie mówiłam! - skwitowała rozbawiona Mandy.

- Grysik kukurydziany. Kowbojskie kapelusze. Konie i bydło. - Mikey przeniósł wzrok na Paula. - Co taki porządny chłopak z Jersey jak ty robi w takim miejscu?

Paul spojrzał na Sari z miłością w oczach.

- Spełnia amerykańskie marzenie.

Sari odpowiedziała mu uśmiechem.

Mikey potrząsnął głową, po czym stwierdził:

- No tak, wam się udało. Żadnego kasyna, żadnych barów, o których można pogadać. Człowiek nie uświadczy tu nawet przyzwoitego nocnego klubu. To koniec świata i tyle.

- Mamy motyle, świetliki, przejażdżki wozem konnym wypełnionym sianem i coroczne jarmarki - zaprotestowała Merrie. - To lepsze niż nocne kluby.

- Zaraz dostanę pokrzywki - oznajmił Mikey z groźną miną.

Merrie się uśmiechnęła.

W tym momencie drzwi od frontu otworzyły się i rozległ się stukot ciężkich butów.

- W końcu zainstalowaliśmy nowe kamery - oznajmił Barton, potężniejszy z dwu ochroniarzy. - Zaraz, zaraz, czy to kasza kukurydziana? Zrobiłaś ją specjalnie dla mnie, prawda, kochanie?

- Chwycił Mandy za rękę i pocałował ją w policzek.

Mandy zalała się rumieńcem.

- A właśnie że nie. Zrobiłam ją dla niej. - Wskazała na Merrie.

- Witamy w domu, panno Grayling. - Rogers, wyższy z ochroniarzy, przywitał ją uśmiechem.

- Dziękuję. Podobno miałam towarzystwo w Wyomingu - dodała. - Przyznaję, zachowałam się beznadziejnie głupio. Zapła-

ciłam w sklepie moją kartą kredytową.

- Nikt nie jest doskonały - zapewnił ją Barton, siadając do stołu ze swoim towarzyszem.

- Poza mną - wtrącił Mikey, popijając kawę. Zmierzył ochroniarzy wzrokiem, kiedy na niego spojrzeli.

- Absolutnie doskonały - rzekł Rogers.

- Ideał doskonałości - zawtórował mu Barton.

Merrie patrzyła na nich zdumiona.

- Położył ich na łopatki w niecałe trzydzieści sekund - poinformował ją Paul.

Merrie ściągnęła wargi i zdusiła śmiech.

- Operacja specjalna. Bliski Wschód - wyjaśnił Mikey z uśmiechem. - Byłem złym chłopcem.

- Nie wątpię, skoro pokonał pan ich obu - powiedziała Merrie.

Ochroniarze sprawiali wrażenie zawstydzonych, a przy tym oczarowanych.

Paul zaśmiał się.

- Wierz mi albo nie, ale służyli w tym samym oddziale. W Afganistanie, a potem w Iraku.

- Ciężkie czasy - podsumował Mikey.

- Stał trzeba hartować, prawda? - zauważył Paul.

- Chyba tak - zgodził się jego kuzyn.

- Jakie kamery zainstalowaliście? - spytał Paul Bartona.

- Nie mogę powiedzieć, to tajne. Przepraszam.

- Pracuję w FBI, na Boga! - zawołał Paul.

- Ale my jesteśmy ważniejsi - odparował Rogers.

Paul mierzył go wzrokiem.

- Nikt nie jest ważniejszy od FBI. Książkę moglibyśmy napisać o tym, co jest tajne.

- Tak? - wtrącił się Mikey. - To czemu nic nie wiecie o latającym spodku, który rozbił się w Roswell w Nowym Meksyku, i tych wszystkich urządzeniach, które w nim znaleziono? Założę się, że oni wiedzą - dodał, kiwając głową w stronę ochroniarzy.

- Ja nic nie wiem - odparł beztrąsko Barton.

- Ja wiem jeszcze mniej - zawtórował mu Rogers.

- Oni pewnie wiedzą nawet, gdzie są ciała - dogadał kuzyno-

wi Mikey.

Rogers i Barton wymienili rozbawione spojrzenia, ale milczeli.

- Widzisz? - podjął Mikey, wskazując na nich widelcem i patrząc na kuzyna. - A co ty wiesz? Potrafisz tylko wyśledzić bankowych rabusiów.

- Hej, ktoś musi też schwytać zwyczajnych przestępców - odparował Paul. - Dbamy o bezpieczeństwo twoich pieniędzy.

- Nie mam dość pieniędzy, żeby mnie było stać na przyzwoite buty - rzekł Mikey.

- Och, serce mi krwawi - zadrwił Paul. - Sprzedaj swojego mercedesa i kup sobie parę butów.

- Lubię mercedesy. - Mikey zadumał się na moment. - Ale mógłbym sprzedać rollsa. I tak nigdy nim nie jeżdżę, jest zbyt pretensjonalny.

- Zbyt pretensjonalny?! - zdumiał się Paul.

- No wiesz, gliny od razu cię zauważą - wyjaśnił Mikey. - Po prostu sam im się wystawisz.

- Jezu, to byłoby fatalnie w sytuacji, gdybyś akurat kogoś śledził, co? - zaśmiał się Paul.

- Przestań - zaoponował Mikey. - Nasza laleczka pomyśli, że jestem taki zły, jak ludzie gadają.

Merrie zaśmiała się na ten przytyk do „laleczki”, po czym patrząc na niego ciepło, stwierdziła:

- Nie. Jest pan tylko taki zły, jak się panu zdaje. - Przerwała na moment. - Nie jest pan zły, dopóki ludzie nie skrzywdzą kogoś, kto jest panu drogi.

Jego policzki lekko pociemniały.

- Bystra z pani dziewczyna - podsumował.

- Jak na laleczkę przystało - odparła z uśmiechem.

Też się uśmiechnął, również oczami.

Z twarzy Mikeya była w stanie wyczytać mnóstwo różnych rzeczy. Widziała na niej ból, przerażenie, miłość i śmierć. Nadzieję i cierpienie. Samotność.

- Namalowanie pańskiego olejnego portretu nie było wcale łatwe - wyjawiała.

- Teraz siedzi przed tobą żywy model - powiedział do niej

Paul.

- Przestań - rzucił Mikey. - Bo powiem im, co zrobiłeś babci, jak nikt nie patrzył.

- Miałem dziesięć lat!

- To nie zmniejsza twojej winy - odparował Mikey.

- Nie zrobiłem nic złego.

- Dostałeś niezłe lanie. - Mikey uśmiechnął się na to wspomnienie. - Biedny mały Paul.

- Bo na mnie nakablowałeś!

- Nigdy w życiu! - Mikey się zaśmiał. - Ja tylko wskazałem ciebie palcem, kiedy poderwałeś rękę do góry.

- Żadna różnica. Robiłem to tak, żeby nic nie widziała.

- Jak na ciebie wskazałem, przestałeś to robić - odparł Mikey.

- Niegrzeczni chłopcy - zbeształa ich Mandy.

Uśmiechnęli się do niej, tak do siebie podobni, że Merrie i Sari wymieniły rozbawione spojrzenia.

Kilka dni później Merrie wciąż rozmyślała o Renie i nadal niepokoiła się z powodu płatnego zabójcy. W ich domu pojawił się Cash Grier, który chciał porozmawiać z Mikeyem. Zamknęli się we dwóch w gabinecie. Nie zapowiadało to nic dobrego, ale po chwili z gabinetu dobiegł stłumiony śmiech. Później wyszło na jaw, że Cash służył w jednostce do zadań specjalnych niedaleko miejsca, gdzie stacjonował ze swoim oddziałem Mikey. Zebrało im się na wspomnienia, a sądząc po śmiechu, nie wszystkie były traumatyczne.

Potem Cash odjechał, Mikey też gdzieś się wybrał. Paul był jeszcze w pracy. Sari przyjechała do domu na lunch. Merrie krążyła z kąta w kąt pogrążona w myślach i głęboko nieszczęśliwa.

Ochroniarze patrolowali teren na zewnątrz, Mandy jak zwykle pichciła coś w kuchni, a Merrie wciąż rozmyślała i rozpałmiętywała. Sari, gdy ją ujrzała po wejściu do domu, mocno się zatroskała.

- Masz za dużo wolnego czasu - zauważyła. - Za dużo myślisz.

- Nic na to nie poradzę. - Merrie wzięła głęboki oddech i od-

garnęła do tyłu koński ogon. - Wygląda na to, że zakochałam się po uszy w pierwszym mężczyźnie, który zwrócił na mnie uwagę. Niezłe, co? Jestem idiotką.

- Nie wiedziałaś przecież, że on nic o tobie nie wie - pocieszyła ją Sari. - Randall powinien mu jasno wszystko wytłumaczyć.

- Randall jest kochany, ale lekkomyślny. Przedstawił mnie Renowi jako swoją przyjaciółkę. Obie wiemy, jak w dzisiejszych czasach nadużywa się tego słowa. Nigdy nie sądziłam... - Odchrząknęła. - Cóż, człowiek uczy się przez całe życie. Następnym razem nie będę tak łatwowierna.

- Moje biedactwo. - Sari ją uściskała. - Może pojedziesz do miasta i spotkasz się z Brandem Taylorem? Wspominałaś kiedyś, że chciałaś kupić jego galerię. To dobry moment, żeby go wysondować.

- Świetny pomysł! - ucieszyła się Merrie.

- Możesz wziąć ze sobą ochroniarzy.

- Och, na Boga, do Jacobsville? Nawet zawodowy morderca pomyślałby dwa razy, zanim spróbowałby mnie zastrzelić w samym środku miasta. Jeśli w ogóle tu jest. Opuściłam Wyoming w środku nocy, a on pewnie siedzi gdzieś w krzakach przed ranchem Rena i czeka, aż się pokażę w oknie. Paul przywiózł mnie tu prywatnym samolotem z naszym pilotem. Nawet jeśli morderca sprawdził loty komercyjne, i tak nic nie znajdzie, a na lotnisko w Catelov odwiozła nas Delsey. Nie zostawiliśmy żadnego śladu na papierze. A nawet cyfrowego śladu.

- Może masz rację. Ale tak czy inaczej, powinniśmy spytać ochroniarzy, co o tym sądzą - stwierdziła Sari.

- To miło, że się o mnie martwisz, ale naprawdę przesadzasz.

- Pocałowała ją w policzek. - Poproszę szofera, żeby podjechał limuzyną. Ma szyby kuloodporne. A ten nowy szofer to były gli-niarz, tak?

- Tak, ma referencje, sprawdziliśmy je. Jest bardzo sympatyczny.

- Nie znam go, zatrudniliście go, kiedy byłam w Wyomingu.

- Możesz mi wierzyć na słowo. Bardzo miły człowiek. Ma też pozwolenie na broń i nie rozstaje się z koltem 45.

- Jesteś pewna, że nie zamierza pójść w ślady Morrisa? - za-

stanowiła się Merrie, mówiąc o byłym szoferze, który siedział w więzieniu, czekając na sprawę, oskarżony o próbę morderstwa, ponieważ strzelił dwa razy do Sari. Był jednym z płatnych morderców zatrudnionych przez Timothy'ego Leedsa do zabicia sióstr Grayling w zemście na ich ojcu.

- Jestem pewna. Paul też go sprawdził. Ten szofer ma krewnych w Corpus Christi. Ręczę za niego, tak samo jak były szef tamtejszej policji, gdzie pracował. - Sari dodała z uśmiechem: - Nie wierzę. Stajesz się podejrzliwa. To dobrze.

- Cóż, masz rację. Po tym, co przeszliśmy ostatnio, wszyscy jesteśmy podenerwowani.

- Jakoś tak łagodniutko to określiłaś - podkpiwała siostra.

- Okej, niech ci będzie, ale wiedz, że znam coraz więcej użytecznych słów. - Ściągnęła wargi. - Jeden z kowbojów Rena uderzył się młotkiem w kciuk, dzięki czemu nauczyłam się pięciu bardzo barwnych określeń. - Skrzywiła się na wspomnienie Rena.

- Więc przynajmniej w jakiejś części pobyt na ranczu sprawił ci przyjemność.

- Dużo rzeczy mi się tam podobało. Na przykład ten biedny koń, Hurricane. Kowboj, który miał się nim opiekować, okazał się sadystą. Hurricane przeżył straszne katusze i nie chciał nikogo do siebie dopuścić, ale mnie pozwolił podejść. Zdjęłam mu nawet uzdę. Pozwolił, żebym mu obmyła rany. Ren był wściekły, bo zakazał mi się do niego zbliżać.

- Konie bywają bardzo niebezpieczne. Przecież wiesz.

- Wiem, ale Hurricane bardzo cierpiał i był śmiertelnie przerażony. Myślę, że wyczuł we mnie bratnią duszę. Namalowałam go. I... o rety. Wilk Willis!

- Co? Kim jest Willis?

- Brygadzystą Rena. Trzyma w domu oswojonego wilka, który stracił jedną łapę, bo wpadł w pułapkę na niedźwiedzie. Willis go uratował i oswoił. Jeździ z nim po szkołach i opowiada dzieciom o dzikiej przyrodzie. Obiecałam, że namaluję Snowpawa, tego wilka, ale mój szkicownik został na ranczu. Muszę wysłać tam pudła i naklejki adresowe. Delsey spakuje moje rzeczy i prześle je tutaj, jeśli ją poproszę.

- A Delsey to kto?

- Gospodyni Rena. Bardzo miła i ciepła osoba. Była dla mnie taka dobra. - Merrie umknęła wzrokiem. - Ren też był dobry do chwili...

- Kochanie, czas leczy rany, naprawdę. Posłuchaj, jest prawie listopad. Zanim się obejrzymy, będzie Święto Dziękczynienia. Musimy zamówić nowe ozdoby na choinkę.

- Ren nie pozwala wstawić drzewka do domu. Delsey ma tylko małą choinkę w swoim pokoju - mówiła dalej Merrie. - Kazał mi schować krzyżyk pod bluzkę, żeby nie było go widać.

- Czemu? - zdziwiła się Sari.

- Jego matka obchodzi Boże Narodzenie, a on studiował w jednym z tych liberalnych college'ów na Północy. Kiedy przyjechał do domu na święta, zaczął wydziwiać, że religia to tylko przesady, że tylko zacofani ludzie wierzą w siłę wyższą. Zranił uczucia matki. Potem ona powiedziała coś o ojcu Rena, a on przypadkiem to usłyszał. Opuścił jej dom i zamieszkał z ojcem na ranczu. Wyciągnął Skyhorn z bardzo trudnej sytuacji i stworzył prawdziwe imperium hodowlano-finansowe, ale od tamtej pory nie rozmawia z matką. Chowa urazę.

- To smutne. - Sari westchnęła. - Wciąż tęsknię za naszą mamą i żałuję, że już jej z nami nie ma. Była takim dobrym człowiekiem...

- Myślę, że matka Rena też jest dobra - stwierdziła Merrie. - Pozwolił mi malować w pokoju, który był jej pracownią. Powiedział, że bardzo lubiła malować kwiaty.

- Kobieta, która kocha kwiaty, nie może być zła - z uśmiechem skomentowała Sari.

- To samo pomyślałam. Mam nadzieję, że któregoś dnia Ren ustąpi i porozmawia z matką. Delsey wspomniała o badaniach, które przeszła, i martwi się o wynik biopsji. - Spojrzała na siostrę. - Czasami nam się zdaje, że mamy mnóstwo czasu, żeby się z kimś pogodzić, a tak naprawdę wcale go nie mamy.

- Znam wiele takich przypadków. Nie można wiecznie żywić do kogoś urazy. To smutne.

- No właśnie. A Ren jest taki samotny. Poza Delsey i Randallem właściwie nikogo nie ma. Jest... samowystarczalny. Żyje

sam, zamknięty w sobie. Nikogo zbyt blisko do siebie nie dopuszcza. Jeśli jakiś czas temu był jeszcze zdolny do miłości, Angie go tej zdolności pozbawiła.

- Któregoś dnia to może się jeszcze zmienić, kochanie.

- A może nie? Myślałam, że czeka nas razem słodka przyszłość, lecz oto znów jestem sama w domu. - Westchnęła. - Ale pewnie mogło być gorzej - dodała. - Wiesz, że poprosiłam Delsey, żeby mi zrobiła grysik kukurydziany, a ona spytała, co to takiego?

Sari zaśmiała się.

- Paul twierdzi, że na Północy nie jest taki popularny.

- Nie wyobrażam sobie, jak można nie jeść grysiku kukurydzianego! - skwitowała ze śmiechem Merrie. - To czysty barbarianizm!

- Nie ma takiego słowa.

- Jest, bo właśnie je wymyśliłam. To moje słowo - stwierdziła dumnie. - I nie próbuj go zawłaszczyć, bo oskarżę cię o plagiat.

- Jak sobie chcesz. Barbarianizm! - prychnęła Sari.

- Pojadę do miasta i podzielę się moim nowym słowem z Brandem Taylorem. Nie martw się, będę absolutnie bezpieczna.

- Dobrze, poddaję się. - Sari westchnęła. - Może masz rację.

- Ja zawsze mam rację - oznajmiła Merrie. - Jestem artystką. My, artyści, znamy się na rzeczy.

- Nie będę z tym dyskutować.

Szofer okazał się miły i uprzejmy. Sari zatrudniła go za radą Paula. Kiedy nie było w pobliżu ochroniarzy, zawsze był Jones, który teraz podrzucił Merrie do galerii Branda Taylora w Jacobsville i czekał na nią w samochodzie.

- Panna Grayling! - Taylor powitał ją z radością i uściśnął jej dłoń. - Miałem nadzieję, że któregoś dnia pani do mnie wpadnie. Rozumiem, że nadal jest pani zainteresowana galerią, a ja chcę już przejść na emeryturę i uciec stąd na wyspy Bahama.

- Wyspy Bahama? - zawołała ze śmiechem.

- Tak. Zamierzam zostać zawodowym plażowiczem i już nigdy tego nie mieć na sobie. - Wskazał swój elegancki garnitur.

- Jeśli pańska oferta jest na serio - odparła z uśmiechem - to

tak, chciałabym kupić pańską galerię.

- W takim razie czy możemy zacząć konkretne negocjacje?

Wychodząc z galerii, Merrie nie posiadała się z radości, bo dobiła targu z Taylorem. Oczywiście czekała ich jeszcze wycena zawartości magazynu, a dwóch agentów nieruchomości miało określić wartość rynkową lokalu, ale nie stanowiło to żadnego problemu, skoro Merrie i tak obiecała Taylorowi, że zapłaci wyższą cenę, żeby jego marzenia o plaży na pewno się urzeczywistniły. Taylor, co zrozumiałe, był zachwycony.

Wsiadła na tylne siedzenie limuzyny. W głowie jej się kręciło od marzeń i planów, których dotąd nie miała szansy zrealizować. Ojciec nigdy by jej nie pozwolił kupić galerii sztuki, tak samo jak nie pozwalał umawiać się na randki.

Cóż, galeria nie wypełni bolesnej pustki po Renie, ale przynajmniej będzie miała się czym zająć. W sumie czas leczy rany, a galeria pomoże w tej kuracji i może kiedyś w końcu zapomni, co czuła w silnych ramionach Rena, oszołomiona jego pocałunkiem. Pożądał jej z tak niewiarygodną siłą. Tyle że, jak sam powiedział, od dłuższego czasu nie miał kobiety. Jego apetyt seksualny był niezaspokojony, a zatem pożądanie nie dotyczyło jej osoby.

Zatopiona w myślach nie zdawała sobie sprawy, że Jones coś do niej mówił.

- Och, przepraszam. Rozmarzyłam się, myśląc o galerii. Co pan mówił, panie Jones?

- Pytałem, dokąd chce pani jechać - odparł uprzejmie.

- Do Barbara's Café. Kupię ciasto czekoladowe i zabiorę do domu na lunch.

- Niezły pomysł - ucieszył się Jones.

- Zdecydowanie.

Ren wysiadł z kabiny ogromnego kombajnu zbożowego, który zbierał wielkie bele siana i młócił je razem z dodatkami, po czym powstała w ten sposób karmę przez długą zakrzywioną rurę przesypywał do żłobów.

- Hej, szefie! - zawołał J.C.

Ren naciągnął niżej kapelusz i mocniej zawiązał szalik, dołączając do ochroniarza. Było zimniej niż dzień wcześniej, a śnieg nie przestawał padać.

- Co jest? - spytał.

- Byłem u Beakly'ego.

- I?

- Miał pan rację, szefie. Dostał dwa tysiące dolarów za to, że potwierdził opowiastkę tamtego kierowcy na temat dostawy.

Ren głośno westchnął, patrząc, jak na przenikliwym zimnie jego oddech zamienia się w chmurkę pary.

- Może to jednak dobrze, że Meredith pojechała do domu - powiedział jakby do siebie. Wciąż z bólem myślał o tym, co jej zrobił. Jeśli będzie myślał o tym zbyt często, straci rozum.

- Być może, szefie. Mam nadzieję, że dobrze jej tam pilnują. Płatni zabójcy są sprytni, podstępni i cierpliwi. Potrafią czekać, zwykle nie uderzają, dopóki człowiek ma się na baczności.

- A skąd ty o tym wiesz, Calhoun? - spytał Ren.

J.C. nie odpowiedział, patrzył tylko na szefa, a jego dziwne srebrne oczy były zimne jak otaczający ich śnieg.

- Na pewno ma dobrą ochronę - dodał Ren. - Jej szwagier jest agentem FBI, a rodzina jest bogata.

- To nie ma żadnego znaczenia - stwierdził J.C. - Ten człowiek to kameleon. Pojawił się z zaskoczenia, w przebraniu, które oszukało nas obu. Przyjechał na ranczo, był na naszym terenie i wyłączył dwie kamery. Tak, mamy to nagrane, bo zamontowaliśmy ukrytą kamerę, której nie zauważył. Pokazała go dokładnie, w zbliżeniu.

- Dobrze, przynajmniej tyle mamy. Wydrukuj to, a ja prześlę faksem do tego agenta FBI w San Antonio. Może im to pomoże, choć pewnie już dysponują dokładnym rysopisem tego zabójcy.

- Dobry pomysł - rzekł J.C. - Nigdy nie wiadomo, co się przyda do rozwiązania sprawy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Merrie oparła głowę o siedzenie, uśmiechając się pod nosem. Brand Taylor znał się na sztuce i miał opinię eksperta, który wyjątkowo trafnie wycenia dzieła sztuki. Przekazał też Merrie sporo praktycznej wiedzy związanej z malowaniem, gdy zjawiała się w jego sklepie po przybory plastyczne. Sprzedawał je w jednym z pomieszczeń galerii. Jacobsville jest tak małym miastem, że musiał rozszerzać ofertę, żeby wyjść na swoje.

Merrie miała nadzieję, że Taylor zgodzi się zostać w galerii wystarczająco długo, żeby nauczyła się zarządzać tym biznesem. Jeśli chodzi o sztukę, miała niezłą orientację, ale kierowanie firmą handlową zajmującą się sztuką to całkiem inna sprawa. Trzeba sporo wiedzieć na ten temat i zdobyć odpowiednie doświadczenie. Może powinna zapisać się na kursy biznesowe w tutejszym college'u, gdzie uczyła się na zajęcia plastyczne.

A jednak ten pomysł niezbyt do niej przemawiał. Nie interesowała się liczbami ani księgowością. To zamieniłoby tę ekscytującą pracę w coś niewiarygodnie nudnego i uciążliwego.

Po prostu powinna zatrudnić menedżera. Na tę myśl humor jej się poprawił. Sari sugerowała jej już usługi dyplomowanego księgowego i był to właściwy kierunek. Gdyby ktoś inny stale czuwał nad stroną biznesową, ona zajęłaby się tym, co lubi najbardziej. Kupowaniem i sprzedawaniem dzieł sztuki, a przede wszystkim własną pracą artystyczną.

Galeria nie zostawi jej wiele czasu na rozmyślanie o tej jednej sprawie, która wciąż nie dawała jej spokoju. O Renie. Życie bez niego straciło kolory. Myśl, że już nigdy go nie zobaczy, przynosiła ją o ból głowy. Kochała Rena i nadal niemal obsesyjnie wracała do ich bolesnego rozstania.

Zamknęła oczy i przywołała w pamięci namalowany przez siebie portret Rena, gdzie tak doskonale uchwyciła podobieństwo. Ren był zadziwiony i zachwycony tym, co wyczarowała na płó-

nie. Zastanawiała się, co zrobił z jej obrazem. Pewnie schował do szafy, żeby mu o niej nie przypominał. Zapewne próbuje zapomnieć, jak źle ją potraktował, nawet jeżeli zależało mu wyłącznie na seksie. W gruncie rzeczy był dobrym człowiekiem, skrywał tę dobroć pod zewnętrzną szorstkością.

Przejrzała go na wylot. Został tak boleśnie zraniony, że odsunął się od ludzi i świata, i spędzał życie, zajmując się zwierzętami. To zwierzęta obdarzył miłością, bo one człowieka nie skrzywdzą, on zaś miał się kim opiekować i kogo chronić.

Ziemię kochał tak samo jak swoje zwierzęta. Opowiadał Merrie o planach związanych z ulepszeniem pastwisk, o eksperymentach z lokalnymi odmianami traw i ochronie zasobów wodnych na swoim terenie. Był dobrym gospodarzem, wiele ich łączyło. Merrie też lubiła ogrodnictwo i zwierzęta. Gdyby Ren tak bardzo jej nie zranił, nadal przebywałyby w Wyomingu, poznając coraz lepiej i tamtą rzeczywistość, i ukochanego.

A jednak los zdecydował inaczej. Ren nie chciał, żeby ktoś z nim mieszkał ani żeby ktoś go kochał. Potrzebował tylko kobiety na jedną noc, kiedy domagało się tego jego ciało. Być może kochał Angie, która potraktowała go jak śmiecia, jednak z pewnością nie kochał jej.

Żałowała, że nie jest w stanie wymazać Rena z pamięci, bo dzięki temu jej życie stałoby się łatwiejsze. Trzeba na to czasu, powiedziała sobie. Nie może oczekiwać, że tak głęboka rana zagoi się w ciągu kilku dni. Musi przetrwać ten najgorszy ból, a później rozpocznie się proces leczenia.

Gdy limuzyna zwolniła, Merrie zerknęła przez przyciemnione szyby. Jones wjechał na parking w pobliżu skrzyżowania przy wyjeździe z Jacobsville. Znajdował się tam sklep z podstawowymi artykułami spożywczymi.

- Panie Jones, czemu się tu zatrzymujemy? - spytała.

- Muszę tylko sprawdzić opony, panno Grayling - odparł z uspokajającym uśmiechem widocznym w lusterku wstecznym.

- Chyba z jednej uchodzi powietrze. To zajmie tylko moment.

- W porządku - odparła, siadając znów wygodnie. Miała nadzieję, że Jones szybko się z tym upora. Była głodna i chciała jak najszybciej dotrzeć do kawiarni.

Nawet nie zauważyła, że Jones wcale nie pochylił się, żeby obejrzeć oponę. Rozmawiał przez komórkę, patrząc w stronę długiej prostej autostrady, która prowadziła do Victoria Road.

Potem ruszył przed siebie, oddalając się od limuzyny. Merrie siedziała z zamkniętymi oczami. Nic z tego nie widziała. Nie miała świadomości, co się dzieje, nawet kiedy poczuła uderzenie i rozprysła się szyba. Zdawało jej się, że okruchy szkła wirują wokół niej w zwolnionym tempie. Doznała gwałtownego wstrząsu. Zapomniała zapiąć pas bezpieczeństwa. Siła uderzenia rzuciła ją na przeciwległe drzwi. Ostatnie, co zobaczyła, to budząca grozę maskownica czegoś, co wyglądało na ogromną ciężarówkę. Potem straciła przytomność.

- Ależ ze mnie idiota! - oskarżał siebie Paul, kiedy krążyli z Sari w poczekalni przed oddziałem chirurgicznym szpitala w Jacobsville. - Jak mogłem popełnić tak potworny błąd. Potraktowałem opinię byłego szefa policji jak świętość. Dlaczego jego też nie sprawdziłem?!

- Nie mogłeś wiedzieć o jego powiązaniach z gangiem, Paul - odparła Sari, obejmując męża. Oczy miała czerwone od łez.

Merrie była w kiepskim stanie. Siła uderzenia była tak mocna, że uszkodziła jej płuca i żołądek. Właśnie trwała operacja płuc oraz usunięcia śledziony i wyrostka, które także zostały uszkodzone na skutek uderzenia. Merrie miała też mocno pobijane żebra. Doznała urazu biodra, a także wstrząśnienia mózgu. Jej życie zawisło na włosku, jednak dzięki Bogu żyła.

- Nie powinienem nikomu ufać. - Paul mocno przytulił Sari. - Tak mi przykro.

- Moja siostra wyzdrowieje. - Oddała mu uścisk. - Doktor Coltrain jest tu najlepszym chirurgiem.

- Wiem. Wiem, kochanie.

Znowu usiedli. Najgorsze było czekanie. Nie wiedzieli, co jeszcze znajdzie Coltrain podczas operacji. Niewiele mówił, ale już to zdradzało wiele tym, którzy dobrze go znali, a Sari świetnie go znała, bo od lat leczył ją i Merrie.

- Gdzie jest Mikey? - spytała Sari.

- Wrzeszczy na ludzi - odparł Paul. - Szuka pomocy u tych,

którzy są mu coś winni. Polubił naszą Merrie.

- On wcale nie jest takim złym człowiekiem.

- Jest złym człowiekiem - zaproponował cicho. - Ale czasami dobrze mieć złego człowieka po swojej stronie. Rozmawia z kumplem, który jest szefem gangu. Uważa, że jeśli grzecznie poprosi, mogą ustąpić.

- Mówiłeś, że dla płatnego mordercy dobre wykonanie zlecenia to sprawa honoru.

- To prawda, ale ten zabójca ma jakieś powiązania z Jersey - wyjawiał Paul. - Może chodzi o powiązania z tym ważnym szefem? Jeśli tak, to warto spróbować namówić tego szefa, żeby wywarł presję na naszym zabójcy i skłonił go do zrezygnowania z tego kontraktu.

- Więc jest nadzieja - powiedziała Sari, chwytając się ostatniej deski ratunku.

Ujął jej dłoń i uniósł do warg ze słowami:

- Zawsze jest nadzieja. - Gdy uśmiechnęła się do niego, odechnął głęboko i spytał: - Sądzisz, że powinniśmy zadzwonić do tego ranczera z Wyomingu? Był mocno poruszony, kiedy mu wyjawiałem prawdę o Merrie. Jestem przekonany, że coś do niej czuje.

- Jeśli będzie chciał dowiedzieć się, co u niej słychać, wystarczy, że sięgnie po telefon - odparła Sari, wciąż wściekła na Rena za to, jak postąpił z jej ukochaną siostrą.

- Cóż, pewnie masz rację.

Gdy Paul ruszał po kawę, zauważył, że Sari pociera oko. Dobrze wiedział, co to oznacza: zbliżającą się migrenę. Gdy dopadał ją stres, migrenowy ból głowy zdarzał jej się dość często. Mocna kawa powstrzyma go, ale tylko do czasu, kiedy poznają szczegóły na temat obrażeń Merrie.

Kiedy Paul się oddalił, Sari zauważyła wysokiego i dobrze zbudowanego mężczyznę w uniformie szefa policji, który kierował się w jej stronę. Uśmiechnęła się. Cash Grier był po czterdziestce, ale mógł śmiało uchodzić za trzydziestolatka. Wielu mężczyzn zazdrościło mu życia, jakie wiódł, a do tego był żonaty z najprawdziwszą gwiazdą filmową, z którą doczekał się córki i niedawno narodzonego synka.

- Co z nią? - spytał Cash, opadając na krzesło naprzeciw Sari.
- Jeszcze nie wiemy. Ma sporo urazów, straci śledzionę i wyrostek. - Potrząsnęła głową. - Szofer zniknął. Paul go sprawdził. Były szef policji okłamał Paula, kiedy o niego pytał.
- Tylko się nie obwiniajcie - powiedział Cash. - Każdy może kiedyś popełnić błąd. Wydaliśmy list gończy za waszym szoferem - dodał chłodno. - Dopadniemy drania.
- Zastawił na nią pułapkę, prawda? - spytała Sari, która wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło.
- Tak. Z informacji, jakie zebraliśmy od naocznych świadków, wynika, że zaparkował limuzynę w miejscu, gdzie łatwo ją było uderzyć w bok przez pędzący pojazd. Wysiadł, zadzwonił do kogoś i odszedł z tego miejsca, zanim nastąpiło uderzenie.
- Więc był jakiś drugi samochód...
- Dodge RAM z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego, oczywiście ukradziony. Kierowca wyskoczył w ostatniej chwili i ulotnił się.
- To też oczywiste.
- Przeszukujemy szpitale w okolicy, szukamy mężczyzny z licznymi stłuczeniami i być może złamaniami - ciągnął Cash. - Tak między nami, facet jest zbyt bystry, żeby dał się tak złapać.
- Tak właśnie nam mówiono.
- Coś mi się zdaje, że ten wasz gość wie coś na temat płatnego mordercy - dodał Cash. - Mogę wpaść i jeszcze raz z nim pogadać?
- Sari uśmiechnęła się siłą woli.
- Oczywiście. Możesz wpaść, kiedy tylko zechcesz.
- Dziękuję. Zaczekamy, aż będziecie mieć jakieś wieści. - Przekrzywił głowę. - Muszą przede wszystkim sprawdzić stłuczenia. Kiedy Tippy została pobita przez swojego ojczyma w Nowym Jorku, spędziła w szpitalu kilka dni. Miała obtłuczone płuca, ale dali jej antybiotyki i doszła do siebie. Merrie też z tego wyjdzie.
- Dzięki. - Sari skinęła głową.
- Chciałem tylko... momencik. - Jego telefon wibrował. Cash wstał, nacisnął przycisk i słuchał, a potem coś odpowiedział z ponurą miną. Schował z powrotem telefon. - Znaleźli ciało na

Victoria Road.

- Niech zgadnę. Czy to wysoki siwowłosy mężczyzna, który przedstawiał się jako Jones? - spytała.

- Dobra jesteś. - Cash uniósł brwi. - Myślałaś kiedyś o stanowisku zastępcy prokuratora okręgowego?

- Gdybym nie była tak zrozpaczona, nawet bym się roześmiała - powiedziała z lekkim uśmiechem. - Więc już go nie spytamy, kto go zatrudnił.

- Albo dokąd udał się jego szef - dodał Cash. - Cóż, może znajdziemy przy nim coś, co da nam jakąś wskazówkę.

- Jak zginął? - spytała.

- Od dwóch kul - odparł Cash. - Wygląda to na egzekucję. Pierwsza zasada skrytobójstwa: zabić skrytobójcę.

Sari skinęła głową, potem odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Boże, jak ten czas się wlecze.

- Kiedy stuknie ci tyle lat, ile ja mam teraz, nie będzie ci się już nigdzie śpieszyć - skwitował z błyskiem w oku.

Dołączył do nich Paul z dwoma kubkami kawy.

- Hej, szefie - przywitał się z Cashem. - Masz ochotę na kawę? Mogę ci przynieść.

- Jestem koneserem kawy - odparł ze śmiertelną powagą. - I powiem ci tyle: mamy tu przyzwoity, choć nieduży szpital, ale automat sprzedający powinien zostać aresztowany, skazany i przetopiony na surowiec wtórny za sprzedaż zabójczej trucizny podstępnie nazywanej kawą.

- Chciałbym zobaczyć, jak zakładasz mu kajdanki - z uśmiechem skwitował Paul.

- Choć prawdę mówiąc, ten automat to małe piwo w porównaniu z automatem z napojami w Palo Verde, o którym opowiadał mi Garon Grier.

- Tak? - Paul uniósł brwi.

- To wydarzyło się tuż przed ślubem Garona z Grace. Ten automat przynajmniej coś daje, jak się wrzuci kasę, a tamten połykał pieniądze i cześć, odprawiał cię z niczym. Więc został przypadkowo trafiony kijem bejsbolowym. Potem jeszcze kilka razy, też przypadkiem.

- Zawsze przypadkiem? - spytał rozbawiony Paul.

- Tak, zawsze, dlatego Garon nie znalazł winnego, ale założę się o wszystkie pieniądze, że w chwili przestępstwa tenże sprawca był w mundurze.

- Miałem kiedyś odkurzacz, któremu przydarzył się podobny wypadek.

- Ja też - odparł Cash z uśmiechem. - Jesteśmy pokrewnymi duszami.

- Ja swój odkurzacz zastrzeliłem.

- A ja rozwaliłem kopniakami - rzekł Cash.

- Poczulaś się lepiej, kochanie? - Paul zwrócił się do Sari, która trzymała kubek gorącej kawy przy skroni.

- Nie za bardzo - odparła smętnie. - I nie mam przy sobie tabletek na migrenę.

- Zadzwońię do Mandy, żeby je podesłała przez jednego z Avengersów. - Paul oddalił się na moment, żeby zadzwonić.

- Nigdy nie miałem migreny. - Cash spowaźniał. - Ale znam ludzi, którzy na to cierpią. Pech, pani prokurator.

- A ja cierpię od zawsze. Niestety coraz częściej i coraz gorzej, zwłaszcza kiedy jestem pod presją.

Wrócił Paul i powiedział:

- Mandy prześle tabletki przez Bartona.

- Dziękuję, kochanie. - Uścisnęła jego dłoń, którą położył na jej ramieniu.

- Wracam do roboty - oznajmił Cash. - Rozumie się samo przez się, że jeśli Tippy i ja moglibyśmy w czymś pomóc, możecie na nas liczyć, na przykład gdy trzeba będzie posiedzieć z Merrie, kiedy będzie dochodziła do zdrowia.

- Dziękuję - powiedziała Sari. - Z całego serca.

- Musimy sobie pomagać. - Wzruszył ramionami. - To jedna z tych fantastycznych stron życia w małym miasteczku. - Spojrzał na Paula. - Nie było cię tu, kiedy powiedziałem to twojej żonie. Znaleźliśmy Jonesa w rowie niedaleko granic miasta na Victoria Road.

- Nie żyje, tak?

- Tak, jest absolutnie martwy. Teraz sprawdzamy samochód i zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi. Jest wypożyczony. Morderca zostawił kwit w przegródce na rękawiczki. W tym fachu

to niespotykane niedbalstwo.

- Może nie był tym naszym płatnym mordercą?

- Chcesz powiedzieć, że był amatorem podwykonawcą, który dostał zlecenie od zawodowego mordercy? Hm, to byłoby coś nowego.

- Mnie to mówisz? Sam trochę powęszę - stwierdził Paul.

- On chciał powiedzieć, że spyta Mikeya - wyjaśniła Sari z lekkim uśmiechem.

- Mikey wie różne rzeczy.

- To prawda - przyznał Cash. - Ma powiązania i łąbski z niego facet.

- Cash wpadł do nas porozmawiać z kuzynem - wyjaśniła mężowi. - Okazało się, że odbywali służbę za granicą niedaleko siebie i mają wspólnych znajomych.

- Zgadza się. - Cash się zaśmiał. - Twój kuzyn ma ciekawe rzeczy do opowiedzenia - powiedział do Paula. - Zdziwiające, że mając taki życiorys, chciał rozmawiać z gliniarzem.

- To zabawne, ale on naprawdę lubi gliniarzy - odparł rozbowiony Paul. - W każdy piątek grywa w domu w pokera z detektywami z pobliskiego komisariatu.

- Też lubię grać w pokera - ożywił się Cash.

- Dam ci dobrą radę całkiem za darmo. Nigdy nie siadaj do gry z Mikeyem.

- Oszukuje?

- Nie musi. Ma zakaz wstępu do wszystkich cholernych kasyn w Vegas i kilku zagranicznych. I prawdą jest, że Marcus Carrea wita go w drzwiach, kiedy Mikey wchodzi do Bow Tie na Paradise Island na Bahamach.

Cash się zaśmiał.

- Szczęściarz z niego.

- Tak. Szkoda, że ma zakaz, ale kiedy go dostał, miał już rollsa. Za te pieniądze, które ulokował w szwajcarskich bankach, mógłby sobie kupić niewielkie państwo Trzeciego Świata.

Ich uwagę przyciągnął zbliżający się do nich mężczyzna. To był Barton, jeden z ochroniarzy.

- Mandy powiedziała, że pani tego pilnie potrzebuje. - Podał buteleczkę Sari.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem. - To jest prawdziwa misja ratunkowa - powiedziała do Casha.

- Tym razem uwierzę jej na słowo. - Cash spojrzał na Bartona, ściągając wargi. - Nie ufam ludziom, którzy jadają oczy owcy.

Barton syknął gniewnie, po czym odparł:

- Nauczyłem się je jeść, ponieważ było to jedyne cholerne żarcie, jakie mogłem dostać w wiosce, gdzie się ukrywałem.

- Przynajmniej nie wysadza ludzi w powietrze granatami. - Paul wsparł Bartona.

- Już tego nie robię - odezwał się ktoś niskim, rozbawionym głosem.

Wszyscy się odwrócili. Doktor Carson Farwalker stał tam w białym fartuchu ze stetoskopem na szyi i z podkładką do pisanania w ręce.

- Na szczęście w Teksasie nie mamy też krokodyli - zauważył Cash, nawiązując do incydentu w Ameryce Południowej, kiedy Farwalker i Stanton Rourke nakarmili krokodyla ciałem bezwzględnego mordercy.

Carson zaśmiał się.

- Na szczęście. Doktor Coltrain przysłał mnie, żebym wam przekazał, że Merrie ma się nieźle. - Jego uśmiech zgasł. - Zakłada ostatecznie szwy. Za jakieś dziesięć minut przewiozą ją do pokoju wybudzeń.

- Och, dzięki Bogu. - Gorące łzy radości spłynęły po policzkach Sari. - Dzięki Bogu.

- Świetne wieści - ucieszył się Paul. - Dzięki, Carson.

- Przewiozą tu waszego kierowcę - powiedział Carson. - Doktor Coltrain zajmie się autopsją, pewnie dzisiaj w późniejszych godzinach. Może to da wam jakieś odpowiedzi.

- Być może.

Carson skinął głową i odszedł. Cash wyszedł minutę później.

Paul wziął Sari w ramiona.

- Wszystko dobrze, kochanie - mówił łagodnie. - Wszystko będzie dobrze.

- Musimy złapać tego mordercę - powiedziała mu do ucha. - Musimy. Bo następnym razem...

- Tak. Bo następnym razem nie będziemy mieli tyle szczęścia. Nie martw się. Mnóstwo ludzi na niego poluje. Znajdziemy go, kochanie. Na pewno.

Jeszcze tego samego popołudnia Merrie otworzyła oczy i ujrzała przed sobą twarz siostry.

- Czuję się, jakbym spadła z klifu - powiedziała słabym głosem.

- Wyobrażam sobie. - Sari ścisnęła jej dłoń. - Wszystko będzie dobrze, kochanie. Doktor Coltrain cię operował, a teraz musisz już tylko dojść do siebie.

Merrie uśmiechnęła się siłą woli i powiedziała:

- Taka jestem śpiąca...

- No to śpij. Cały czas ktoś z nas będzie przy tobie czuwał. Cały czas, kochanie.

Merrie zamknęła oczy i odpłynęła w sen.

Kiedy Sari wyszła do poczekalni, zobaczyła, że Paul ma towarzysztwo. Siedział z nim wysoki przystojny blondyn i z ponurą miną popijał kawę.

- Witaj, Sari. - Randall wstał, żeby uścisnąć jej dłoń. - Jak ona się czuje?

- Jest słaba, ale dojdzie do siebie - odparła zmęczonym głosem. Usiadła po drugiej stronie Paula i przyjęła od niego kubek czarnej kawy. - To był koszmarne dzień.

- Paul wszystko mi opowiedział - rzekł Randall. - Czemu Merrie wyjechała ze Skyhorn?

- Zapłaciła za zakupy w Catelov swoją kartą kredytową - wyjaśnił Paul, pomijając prawdziwy powód, dla którego Merrie chciała wrócić do domu. - Dzięki temu płatny zabójca wyszedł ją na ranczu twojego brata.

- Chryste, tak mi przykro. Nadal uważam, że tam byłaby bezpieczniejsza. Ranczo jest na takim odludziu, że każdy najmniejszy ruch w okolicy łatwo zauważyć. Tyle że... - Przerwał na moment. - No cóż, Ren wciąż bije się w piersi z powodu kierowcy furgonetki, który o mały włos nie dostał się na jego teren. Zapłacił sąsiadowi Rena, żeby potwierdził jego wersję, że niby po-

mylił adres dostawy. Ren z kolei uważa, że szukał sposobu, żeby dostać się na ranczo, nie wzbudzając podejrzeń.

- Merrie jest już wśród swoich - oschłym tonem stwierdziła Sari. - Zaopiekujemy się nią.

- Może mi powiecie, o co tu naprawdę chodzi? - wypalił Randall. - Ren zaczął pić. Naprawdę się upija, a nigdy tak nie robił, nawet wtedy, kiedy odkrył zdradę Angie i zerwał zaręczyny.

- Pije? - spytał Paul.

- Chleje, jak mówi Willis - odparł Randall. - Dzwoniłem dziś do niego. Mój brat tak się nawalił, że cały dzień trzeźwiał w łóżku.

Paul domyślał się, skąd bierze się to zachowanie brata Randalla. Zerknął na Sari i zdał sobie sprawę, że myślała to samo.

- Powiedziałem Renowi, że Merrie jest moją dziewczyną - dodał Randall. - Jeśli zrobiłem coś nie tak, a on sobie coś ubzdurał, przez co obraził Merrie, to bardzo przepraszam. Moja cholerna wina.

- Merrie zapłaciła swoją kartą kredytową, to wszystko - powiedział Paul, łagodząc sytuację. - Musieliśmy ją sprowadzić do domu.

- Tak, ale to, co się dzisiaj stało, to nie był wypadek, prawda? - spytał zaafierowany Randall.

- Raczej nie - odparł Paul.

- Tak mi przykro. - Randall westchnął ciężko. - Mam poczucie, że to ja nawaliłem, że to moja wina.

- Życie toczy się dalej - sentencjonalnie podsumowała Sari.

- Ren prosił mnie, żebym tu zajrzał. Zresztą i tak jechałem do San Antonio porozmawiać z potencjalnym kupcem. Chciał, żebym zobaczył się z Merrie i przeprosił ją. Nie powiedział za co.

- Wygląda na to, że troszkę się z tym spóźnił - skwitowała z chłodną ironią Sari.

- On nie jest złym człowiekiem. - Czuło się, że naprawdę tak myśli, i dlatego próbuje bronić starszego brata. - Miał ciężkie życie, przez co zgorzkniał. Ale mój brat nie jest pijakiem. - Przerwał na moment, po czym dodał: - Pani siostra naprawdę jest dla niego ważna.

Sari odrobinę złagodniała.

- Przekażę jej, co pan powiedział, obiecuję.
- Okej, dzięki. - Randall napisał coś na kartce wyrwanej z notesu i podał ją Sari. - To numer mojej komórki. Nie ruszam się bez telefonu. Jeśli nie proszę o zbyt wiele...
- Dam panu znać, jak ona się czuje - odparła Sari. - I dziękuję, że się pan fatygował.
- Wolałbym się pojawić w innych okolicznościach - wyznał szczerze. - Merrie jest wyjątkowa. Przykro mi, że taka ze mnie łajza... Gdybym był inny, pewnie chciałbym spróbować z nią szczęścia. Kiedyś zostanie wspaniałą żoną jakiegoś odpowiedniego mężczyzny.
- Nie wydaje mi się, żeby moja siostra snuła tego typu plany. Obecnie finalizuje w Jacobsville zakup galerii sztuki i sklepu z przyborami plastycznymi.
- Tak, rozumiem.
- To przyjemne małe miasteczko, podobne do Catelov - wtrącił się Paul. - Proszę powiedzieć Renowi, że Merrie wyzdrowieje.
- Oczywiście przekażę mu. Będę o was myślał i pomodłę się za was. - Zauważył minę Sari i uśmiechnął się ze smutkiem. - Też chodziłem do college'u, ale nie byłem tak bardzo podatny na wpływy jak Ren. Zafascynował się profesorką, która uczyła fizyki i była wojującą ateistką. Nie wiem, czy zdawał sobie z tego sprawę, jednak najbardziej przemawiały do niego nie jej filozoficzno-naukowe argumenty, ale... No, podkochiwał się w niej.
- Merrie i mnie po śmierci mamy zostało niewiele poza religią - ze smutkiem wyznała Sari. - Kiedy pańskiego brata dotknie prawdziwa tragedia i strata, a nie kolka u ogiera czołowego czy padnięcie krowy - dodała z nie do końca uświadomianą złością - może odmienią mu się priorytety.
- Od lat mu to powtarzam. U naszej matki podejrzewają raka, być może czeka ją walka z tą chorobą, a Ren dawno temu zerwał z nią wszelkie kontakty... Choć wygląda na to, że powoli zaczyna mięknąć - powiedział Randall. - Mimo wszystko wciąż jest moim bratem i kocham go niezależnie od jego wad.
- Ja i Merrie bardzo chcieliśmy mieć brata - wyznała Sari.

- A ja chciałem mieć siostrę - odparł Randall. - Uważajcie na siebie. - Uścisnął dłoń Paula i zostawił ich samych.

- Powinnaś trochę odpuścić Renowi, kochanie - powiedział łagodnie Paul. - Mężczyźni nie są doskonali... No, ja jestem - poprawił się z błyskiem w oku. - Ale nie możesz oczekiwać od reszty facetów tak wysokich standardów, prawda?

Sari roześmiała się, a potem z westchnieniem przytuliła policzek do jego szerokiej piersi.

- Chyba nie. - Zadumała się na moment. - Jeżeli Ren szuka ukojenia w whisky, Merrie musi coś dla niego znaczyć. Chyba że zapija wyrzuty sumienia.

- Nigdy się nie upijam tylko z powodu wyrzutów sumienia. - Pocałował jej rude włosy. - Ale upijałem się, kiedy po raz pierwszy stąd wyjechałem po tym, jak paskudnie okłamałem twojego ojca. - Przytulił ją. - Cierpiałem. Wyobrażam sobie, że ten rancier z Wyomingu też cierpi. Jeśli walczył ze swoimi uczuciami i zakładał, że Merrie jest doświadczoną kobietą, pewnie nie może sobie wybaczyć tego, co jej zrobił.

- Gdyby nie wróciła do domu... - zaczęła Sari.

Paul położył palec na jej wargach i powiedział spokojnie:

- Isabel, gdyby twoja siostra nie wróciła do domu, morderca najpewniej by się wemknął na ranczo. Może znalazł drogę, o której Ren nie wiedział, albo miejsce, z którego można celować do okna Merrie bronią o dużym zasięgu. Ten idiota z pikapa spartaczył robotę. Owszem, wjechał autem w limuzynę, ale nie zabił Merrie. Jeśli to był ktoś inny, jeśli płatny morderca wciąż przebywa w Wyomingu i szykuje się do oddania celnego strzału, być może nawet nie ma pojęcia o tej próbie zabójstwa.

Sari szeroko otworzyła oczy.

- Sugerujesz, że może być dwóch morderców? - spytała zdumiona, a sama myśl o takiej możliwości zmroziła jej krew w żyłach.

- On obserwował oba miejsca. Mógł nie wiedzieć, że Merrie opuściła ranczo Skyhorn, ale głupio byłoby nie szukać jej także w Jacobsville i Comanche Wells.

- Jaki płatny morderca używa pikapa jako broni? - zauważyła.

- Najprawdopodobniej ktoś, kto nie bardzo wie, co do diabła

robi – skwitował Paul. – Mikey słyszał plotkę, że płatny morderca ma w Houston dalekiego krewnego, który jest na bakier z prawem. To nie tak daleko stąd.

– Czyli coraz lepiej. – Sari objęła się ramionami. – Myślisz, że jeden ochroniarz przy drzwiach wystarczy? – Była coraz bardziej spięta. – I musimy co najmniej dwa razy sprawdzić każdego, kto ma chronić Merrie.

– Jestem dwa kroki przed tobą – zapewnił ją Paul. – Myślę...

Urwał, widząc Mikeya, który szedł ku nim korytarzem. Był z gołą głową, jego gęste, czarne i falujące włosy lśniły niczym zroszone deszczem. Miał na sobie garnitur, który pewnie kosztował więcej niż limuzyny Graylingów, niebieski w prążki, oraz nieskazitelnie białą koszulę i kasztanowy wzorzysty krawat, który podkreślał oliwkową cerę.

Kiedy się do nich zbliżył, ujrzeli błysk rozbawienia w jego czarnych oczach, tak podobnych do oczu Paula.

– Czyżbyś dla odmiany przynosił jakieś dobre wieści? – spytał Paul, kiedy Mikey zatrzymał się przed nimi.

– Może – odparł. – Jak się ma nasza laleczka?

– Operacja się udała – powiedziała Sari – choć Merrie jeszcze długo będzie dochodzić do zdrowia.

Rysy Mikeya stwardniały.

– Sukinsyn, który to zrobił, daleko nie ucieknie – powiedział cicho, rozglądając się, by mieć pewność, że nikt go nie słyszy. – Poprosiłem o pomoc paru gości, którzy są mi winni przysługę.

– Hej, ale wiesz... – zaczął Paul.

– Stop! – Mikey uniósł rękę. – Nic nie wiecie, o niczym nie słyszeliście, koniec kropka.

– Mikey, przecież wiesz, że pracuję w FBI.

– Ta laleczka – Mikey wskazał głową w stronę pokoju wybuchów – jest jedna na milion. I nie pozwolę, by ktokolwiek, powtarzam, ktokolwiek skrzywdził ją bezkarnie.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała cicho Sari.

– Gdybym przed laty spotkał kogoś takiego jak ona, być może moje życie wyglądałoby inaczej – wyznał cicho jakby zawstydzony, a gdy Paul i Sari wymienili pytające spojrzenia, dodał: – Tak, wiem, lata temu ona nosiła pieluchę. Tak tylko mówię. Tak czy

owak, ten samochód z podrasowanym silnikiem, który ją uderzył, był już notowany w Houston za próbę morderstwa. Dwa lata temu stuknął jakiegoś gościa, wjechał w jego minivana na skrzyżowaniu.

- Jasny szlag - jęknął Paul.

- Kierowcy się upiekło, bo dwóch świadków nagle straciło pamięć i nie potrafili opisać, co widzieli - ciągnął Mikey. - Jeden z nich wkrótce potem zaczął jeździć mercedesem nówką.

- Więc kierowca przeżył - mruknął Paul.

- Ano przeżył.

- Chcę go dostać żywego - powiedział stanowczo Paul, znacząco patrząc na kuzyna. - Może wie, gdzie przebywa płatny morderca i co planuje.

- Nie liczyłbym na to. - Mikey opadł na krzesło obok Paula i pochylił się, opierając łokcie na kolanach. - Znam tego płatnego mordercę, Pauli - wyznał cicho. - Wiem, jak on działa, jak się przygotowuje. - Przerwał na moment. - Musicie wiedzieć, że dokładnie obejrzałem wasz dom, oczywiście w towarzystwie Bartona i Rogersa. Umieściliśmy pewne cwane urządzenia we wszystkich miejscach, gdzie ten skurwiel mógłby się znaleźć. Musiałby być duchem, żeby się tam dostać niezauważony.

- To w domu, Mikey - stwierdził ponuro Paul. - Ale Merrie spędzi tu co najmniej kilka dni, a my nie zamkniemy szpitala dla jednej pacjentki.

- Tak myślisz? - Mikey się uśmiechnął.

- Okej. Co zamierzasz? - spytał Paul, bo znał ten uśmiech.

- Och, mam paru ludzi, którzy przez jakiś czas będą tu pracować. Prawdę mówiąc - wskazał na mężczyznę z mopem i wiadrem - to jeden z nich.

Paul uniósł brwi na widok mężczyzny, który rozglądał się, jakby był poszukiwanym zbiegiem.

- Mikey, czy na stronach FBI są zdjęcia tych ludzi? - spytał.

- Nie w tym kraju, nie te służby - odparł rozbawiony. - Wyluzuj, nawet nie łamię prawa. To uczciwi obywatele. Administrator szpitala bardzo ich lubi.

- A czemu ich tak lubi? - trochę nerwowo dopytywał się Paul.

- Przypadkiem mu wspomniałem, że całym sercem wspieram

związki zawodowe, a rzuciło mi się w oczy, że w tym małym szpitalu chyba nie ma związku...

- Boże, Mikey! - zawołał Paul.

- Wszystko w dobrej sprawie, zapewniam. Żeby lalczka była bezpieczna. I wiesz co, Pauli? Więcej zyskasz bronią i uśmiechem niż samym uśmiechem. - Rzecz jasna okraślił to wyznaniem szerokim uśmiechem.

Sari, choć bardzo się starała, nie zdołała zachować powagi.

- Widzisz? - Paul wskazał na Mikeya. - Właśnie na takiego bym wyrósł, gdybym wybrał w życiu inną drogę.

- On nie jest taki zły. - Sari posłała Mikeyowi uśmiech. - Dziękuję za wszystko.

Puścił do niej oko.

Randall uznał, że nie może przez telefon powiedzieć Renowi o wypadku Merrie, dlatego jadąc do kolejnego klienta do Denver, nadłożył drogi i pojechał przez Catelov w stanie Wyoming.

Kiedy dotarł na miejsce, Ren właśnie jadł kolację. Podniósł wzrok znad purée ziemniaczanego, które Delsey nałożyła mu na talerz. Oboje patrzyli na Randalla pytająco.

- Miałeś być w Denver - zauważył Ren, ściągając brwi. - Coś się stało z twoją... z naszą matką?

- Nie, jeszcze nie otrzymała wyniku biopsji.

- No to siadaj. - Ren wyraźnie się uspokoił. - Delsey zrobiła purée i mięso duszone z warzywami.

- Moje ulubione. - Randall pocałował ją w policzek. - Jesteś kochana.

- Pochlebca. - Zaśmiała się, wracając do kuchni po kawę.

Randall wyciągnął krzesło i usiadł. Ren wyglądał kiepsko. Oczy miał przekrwione, a pod oczami fioletowe półksiężycy.

- Wyglądasz, jakbyś nie spał od wielu dni - zauważył Randall.

- Bo nie śpię. - Zerknął na brata z lekką irytacją. - Mogłeś mi powiedzieć, że ona nie jest jedną z twoich kochanek.

- Chciałem ją chronić - odparł z westchnieniem. - Nie znam bardziej niewinnej istoty i bałem się, że jak ci nie wmówię, że to moja dziewczyna, to wtedy ty... no wiesz. - Wzruszył ramiona-

mi. – Paul powiedział, że wróciła do Comanche Wells, bo użyła swojej karty kredytowej w Catelow i ten morderca ją namierzył.

Ren nerwowo przełknął kęs mięsa, po czym stwierdził:

– Owszem, Paul po nią przyleciał... A ty zataiłeś przede mną, że ona jest bogata. Myślałem, że ledwie wiąże koniec z końcem.

– Powinieneś zobaczyć dom Graylingów. Ich stajnie są znane w całym Teksasie. Hodują konie wyścigowe.

– Teraz już to wiem, ale od Paula, nie od ciebie. – Mógłbyś tak ciągnąć tę sprzeczkę w nieskończoność, by odwlec najważniejsze pytanie, ale wreszcie je zadał: – Widziałeś ją? Powiedziałeś jej to, o co cię prosiłem?

– Nie mogłem z nią porozmawiać. – Randall czuł się okropnie. Było o wiele trudniej, niż się spodziewał.

– Czemu?

Delsey wróciła z dzbankiem kawy, postawiła go na stole i spytała:

– Jak się ma nasza Merrie?

Randall odetchnął głęboko i zaczął:

– Jak tam dotarłem, właśnie ją wywieźli z sali operacyjnej... – Brat poderwał się z krzesła i chwycił go za ramiona, omal ich nie zmiażdżył w uścisku. – Ren! Wysłuchaj mnie...

– Sali operacyjnej?! – krzyknął rozdzierająco. – Co się stało? Czy ona z tego wyjdzie? Mów, do cholery!

– Mój Boże! – zawołała Delsey. – Nasza Merrie...

– Najwyraźniej było dwóch potencjalnych morderców. – Randall rozprostował się nieznacznie, kiedy Ren wreszcie poluzował uścisk. – Ten w Teksasie uderzył pikapem w limuzynę prowadzoną przez swojego współnika, który wioził Merrie. Paul sprawdzał szofera, którego zatrudnił, ale jego informator został przekupiony.

– Mordercy?! Chcą zamordować naszą Merrie? – Delsey usiadła, jakby nagle opuściły ją wszystkie siły. Dotąd nie знаła prawdy, która teraz spadła na nią jak miażdżący ciężar.

– O mój Boże – wyszeptał Ren. – Mój Boże.

– Kierowcę limuzyny znaleźli martwego w rowie zaraz po tym, jak zabrano Merrie do szpitala – podjął Ren. – Uważają, że został zabity przez zleceniodawcę jako niewygodny świadek. Jesz-

cze nie znaleźli kierowcy pikapa.

- Mój Boże. - Renowi zakręciło się w głowie. - Co ja zrobiłem?

Randall nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć bratu. Przeprosiny zdawały się bezcelowe.

Ren nagle wyprostował się, a jego spojrzenie zdradzało, że właśnie podjął decyzję.

- Randall, zostaniesz tu i wszystkim się zajmiesz - oznajmił. - Opuścimy sobie Denver.

- Dokąd pan się wybiera? - spytała Delsey.

- Do Teksasu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Doktor Coltrain przyszedł zbadać Merrie, która leżała na oddziale intensywnej terapii. Nie podobały mu się jej parametry życiowe. Ciśnienie spadało, pacjentka była pogrążona we śnie. Przekazano mu, że obudziła się jakiś czas temu, a nawet zamieniła kilka słów z siostrą, ale znów zasnęła. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje.

Bardzo się niepokoił. Wiedział, że podczas operacji zrobiono wszystko, co konieczne i zgodne z najnowszymi osiągnięciami medycyny, lecz niestety przy takich urazach nie dawało to gwarancji przeżycia. A on nie chciał stracić Merrie.

Sari była strzępkiem nerwów, kiedy Coltrain wyszedł z sali szpitalnej, żeby powiedzieć jej, co się dzieje.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił, choć wcale nie był o tym przekonany. - Kazałem ją przenieść na intensywną terapię. Zatrzymamy ją tam dzień czy dwa.

Sari spojrzała na niego błyszczącymi niebieskimi oczami, starała się skupić na jego twarzy. Migrena trochę odpuściła, za to rozboleł ją żołądek.

- Jedź do domu, kochanie - powiedział łagodnie Paul, przytulając ją mocno.

- Nie mogę - szlochała. - Wiesz, że nie mogę.

- Dam wam znać, jak tylko nastąpi jakaś zmiana - obiecał Coltrain.

- Dzięki - odparł Paul, a kiedy lekarz się oddalił, znów zwrócił się do żony: - Musisz wierzyć, że będzie dobrze, kochanie. Nie trać teraz wiary.

Sari wbiła paznokcie w jego plecy i wyszeptała bezradnie:

- Tak strasznie się boję.

- Wiem, kochanie. Ja też.

Gdy tak rozmawiali pogrążeni w smutku i niepokoju, wysoki

mężczyzna w kurtce z kożucha, drogich modnych džinsach, ręcznie wykończonych skórzanych kowbojskich butach i w stetsonie naciągniętym nisko na czoło podszedł do stanowiska pielęgniarek.

- Szukam Meredith Grayling - rzekł oficjalnym tonem. - Podobno jest waszą pacjentką.

Sari spojrzała na niego zbolalym wzrokiem i zanim Paul ją powstrzymał, zerwała się na nogi, szybkim krokiem podeszła do strojnego kowboja i wysyczała:

- Jeżeli nazywa się pan Ren Colter, to drzwi są tam. - Wskazała kierunek.

Ren przeniósł na nią wzrok, twarz miał ściągniętą i bladą.

- Pani jest jej siostrą, Sari Fiore, prawda? - spytał cicho.

Przygryzła wargę, a potem kiwnęła głową.

Paul dołączył do żony, otoczył ją ramieniem i wyciągnął rękę do Rena.

- Jest zdenerwowana - powiedział, ściskając jego dłoń. - Zabrali Merrie na intensywną terapię. Po operacji nie reagowała w taki sposób, jak oczekiwano.

Ren przymknął na moment oczy. Czuł się, jakby w środku umierał. Popułnił tyle przeklętych błędów. Wiedział, że jeśli straci Meredith, jego dalsze życie przestanie mieć jakikolwiek sens. Wiedział też, że on jedyny tu zawinił i wszystko zniszczył. Wystraszył ją, poniżył i obraził, i posłał prosto w sidła mordercy.

- Gdybym nie zachował się jak pieprzony dupek - wyrzucił z siebie - Meredith nic złego by się nie...

- Niech pan przestanie bić się w piersi - wpadł mu w słowo Paul. - To nic nie pomoże. Chodźmy, usiądźmy.

- Zwariuję, jak będę musiał tak siedzieć i czekać - odparł Ren.

Sari dostrzegła autentyczne cierpienie na jego twarzy i zaczęła traktować go nieco przychylniej.

- To Randall powiedział panu o Merrie, prawda? Dlatego pan tu jest.

- Tak. - Spojrzał na nią. - Nie jesteście bardzo do siebie podobne, ale zdradzają was oczy, z tym że jej są bardziej szare niż niebieskie. Szare jak mgła nad rzeką wczesnym rankiem... -

Znów przymknął na moment oczy i wcisnął ręce głęboko do kieszeni. – Znaleźli już tego bydlaka?

– Nadal szukają – odparł Paul. – Wszędzie mamy swoich ludzi, w tym człowieka, który zna płatnego mordercę. Ale naszym zdaniem to nie jego sprawka. Nie mógł wiedzieć, że Merrie wróciła do domu, bo leciała prywatnym samolotem. Sądzymy, że wciąż ma na celowniku pańskie ranczo, a tu wysłał krewnego, żeby obserwował, co się dzieje. Może kazał mu ją porwać, gdyby jednak tu się pojawiła i nadarzyła się sposobność.

– Ten krewny pożałuje, że się urodził. Obiecuję – wycedził Ren przez zęby.

– Nie pan pierwszy w kolejce – mruknęła Sari.

– No, no, daj już spokój – ostrzegł Paul. – Pracuję w FBI, a ty jesteś prokuratorem – powiedział do żony.

– Kupię ci zatyczki do uszu – odparowała kąśliwie.

W drzwiach pojawili się dwaj mężczyźni w ubraniach maskujących z bronią osobistą schowaną w kaburze. Ruszyli do Sari i Paula, ale na widok Rena zachowali się przedziwnie.

Sari nie posiadała się ze zdumienia, kiedy Rogers i Barton zaszalutowali ranczerowi z Wyomingu.

Ren zaśmiał się i też im zaszalutował.

– A co wy tu robicie, do diabła? – spytał, kiedy już uścisnęli sobie dłonie.

– Pracujemy dla nich – odparł Barton, wskazując na Sari i Paula. – Pilnujemy ich domu.

– Do głowy nam nie przyszło, że jakiś drań spróbuje staranować limuzynę pikapem – dodał z nutą wściekłości Rogers.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć – skwitował Paul. – Skąd się znacie?

– Był dowódcą naszej kompanii w Iraku – wyjaśnił Rogers.

– Najlepszy cholerny dowódca, jakiego mieliśmy – dodał Barton.

– Nieprawda, ale dzięki. – Ren spojrzał za nich. – A niech mnie... – Zaciśnął wargi. – Co to, zjazd weteranów?

Wszyscy odwrócili głowy i zobaczyli Mikeya, który na widok Rena zwolnił kroku. Wprawdzie nadrabiał miną, ale wydawał się speszony, gdy powiedział:

- Kapitanie, to było tylko trochę drewna i parę gwoździ...
- Zniknąłeś nagle z połową zapasów drewna, jakie trzymaliśmy w szopie, żeby zbudować kantynę w bazie - powiedział szorstko Ren. - I sprowadziłeś dwie kobiety, które zdecydowanie odbiegały od wzorca moralności.
- Były samotne - bronił się Mikey. - Właśnie zamknięto burdel, a im brakowało kasy na powrót do Hiszpanii.
- Co za stek bzdur - mruknął Ren.
- Mikey uśmiechnął się.
- Musi pan przyznać, sir, że morale wzrosło o osiemdziesiąt procent.
- Podobnie jak liczba chorych na syfilisa i inne francje - odparował Ren.
- Hej, w końcu lekarze są po to, żeby nas leczyć, nawet z francji, prawda? - skwitował Mikey z błyskiem w oku, po czym spojrział w zaczerwienione oczy Sari. - Co jest? Coś się stało naszej laleczce? - spytał z troską.
- Przewieźli ją na intensywną terapię - wyjaśnił Paul. - Lekarz niewiele mówił, poza tym, że Merrie nie reaguje tak, jak się spodziewał.
- Jasny szlag - mruknął Mikey.
- W San Antonio mają świetny szpital - zaczął Ren.
- W Comanche Wells mamy chirurga, który jest najlepszy w całym naszym stanie, nawet w sąsiednim lepszemu nie znajdziecie - odparła Sari. - Doktor Coltrain ją uratuje. Wiem, że ją uratuje.
- Okej. - Ren kiwnął głową. Jego twarz mogłaby być uznana za modelowe studium poczucia winy i zatroskania.
- Mikey zmarszczył czoło i spytał:
- Zna pan moją rodzinę?
- Znam Meredith - odparł Ren. - Mieszkała u mnie w Wyomingu.
- Aha, to pan jest tym ranczerem z Wyomingu. - Zamilkł na chwilę, po czym spytał: - Wie pan, kto obozuje na pańskiej ziemi w towarzystwie MSR-u?
- Co to jest MSR? - spytała Sari.
- Karabin snajperski remington - wyjaśnił Mikey. - Trafia pre-

czyjnie na odległość tysiąca metrów. Nasz chłoptaş go lubi, i to bardzo.

- Jak się dostał na pański teren? - spytała Sari, patrząc na Rena.

- Całkiem nieźle udał kierowcę samochodu dostawczego. Przekupił mojego sąsiada, żeby przysięgł, że miał dla niego przesyłkę. Udawał, że zablądził i trafił do mnie przez pomyłkę.

- Zaczął prowadzić wielkie ciężarówki z naczepą, ledwie skończył średnią szkołę - powiedział Mikey.

- Znasz go? - spytał Ren.

- Tak, graliśmy w tej samej drużynie. Ale to już przeszłość - dodał chłodno. - Nikt nie skrzywdzi laleczki, dopóki ja czuwam.

Ren wziął głęboki oddech i spytał:

- Kiedy się czegoś dowiemy?

- Kiedy się dowiemy - odparł w zadumie Paul. - Poszukiwania trwają, coś wreszcie wypłynie. Możemy usiąść i spokojnie poczekać.

- Ale nie my - oznajmił Barton. - Coś znaleźliśmy.

- Co? - spytały cztery głosy naraz.

- Cóż, nie tak wiele, ale wasz szef policji ma kwit na wypożyczonego pikapa. Jest zarejestrowany na gościa, który nazywa się Ronnie Bates. Mieszka w Houston.

- Skąd o tym wiecie? - Paul zmrużył oczy. - Grier nie dzieli się informacjami, kiedy pracuje nad jakąś sprawą.

- Jego sekretarka wkładała kwit do teczki - powiedział Barton. - Przypadkiem zajrzałem jej przez ramię.

- Co tam w ogóle robiliście? - Gdy Barton tylko odchrząknął, ponaglił go: - No już, słucham!

- Okej, przejechałem na czerwonym świetle. Podajcie mnie do sądu - mruknął. - Płaciłem mandat, kiedy zauważyłem ten kwit. W tej chwili w waszym komisariacie mógł się znaleźć tylko jeden kwit z wypożyczalni samochodów, i to na pikapa. To musi być ten gość.

- Nic dziwnego, że Eb Scott cię lubi - ze śmiechem podsumował Paul.

Mikey milczał, ograniczył się do słuchania, ale na jego wargach też zagościł uśmiech.

Paul spojrział na kuzyna i zażądał:

- Wyrzucić to z siebie.

- Co? - spytał niewinnie Mikey.

- Uśmiechasz się, a nigdy się nie uśmiechasz.

- Uśmiechał się podczas rozprawy dyscyplinarnej - wyjawiał

Ren. - Zanim wszedł trzygwiazdkowy generał i oświadczył, że to na jego rozkaz Mikey podkradł drewno przeznaczone na budowę kantyny, a potem spytał, za kogo my się, do diabła, uważamy. Mikey miał szczęście, puścili go tylko ze słowną naganą.

- Taa - westchnął Mikey z uśmiechem. - Generał zabierał mnie na pokera na tyły klubu oficerskiego. Cholernie lubił wygrywać.

Ren tylko pokręcił głową.

W drodze do Teksasu Ren miał mnóstwo czasu na dumanie o tym i owym. Przemyślał kawał swojego życia, a zwłaszcza to wszystko, co dotyczyło wiary i religii. Meredith była wierząca, stale nosiła krzyżyk. Randall także był wierzący. Jego matka... cóż, nigdy nie straciła wiary. Ren w college'u pogubił się. Brat przypomniał mu delikatnie, że radykalnie zmienił swe przekonania przede wszystkim z powodu zauroczenia profesorką fizyki. Kiedy Ren to przemyślał, zrozumiał, że brat ma rację.

Wiara, jak mówią, czyni cuda. Od lat nie był w kościele. Znalazł kaplicę w małym szpitalu i z wahaniem wszedł do środka. Usiadł na ławce z tyłu i w zamyśleniu patrzył na ołtarz. Niby nie ma w tym logiki, ale może istnieje jakaś wyższa siła, której człowiek nie jest obojętny i która wysłucha jego błagania. Wziął głęboki oddech i pochylił głowę.

Wracając z toalety, Sari przypadkiem zajrzała do kaplicy i zobaczyła wysokiego ranczera z Wyomingu, który siedział w ostatniej ławce. Poczowała, że jakiś bolesny węzeł gdzieś w niej w środku poluzował się. Jeżeli Meredith rozbudziła w tym człowieku tak potężne emocje i tak mocno wpłynęła na niego, to być może prawdę głosi wyświechtana sentencja, że miłość czyni cuda. Uśmiechnęła się leciutko i ruszyła dalej korytarzem.

Godzinę później doktor Coltrain pojawił się znów w poczekal-

ni.

- Nie mam żadnych nowych informacji - rzekł spokojnie. - Ale Merrie dzielnie walczy.

Sari spojrzała na niego, po czym powiedziała:

- Nadal się pan martwi. - Znała go na tyle długo, by nie zwiódła jej jego twarz pokerzysty.

- No cóż... - Lekarz nabrał głęboko powietrza. - Konsekwencje tępego urazu są trudne do przewidzenia, zwłaszcza jeśli chodzi o organy wewnętrzne. Myślę, że Merrie wyzdrowieje, ale nie mogę dać żadnej gwarancji.

- Wiem - odparła Sari.

- Jeśli chcecie ją przenieść do San Antonio albo zasięgnąć opinii innego lekarza, to nie mam nic przeciw.

- Nie, nie - zaproponowała Sari. - Przeniesienie Merrie byłoby błędem. Ona panu ufa, tak samo jak ja.

- Mogę ją zobaczyć? - spytał cicho Ren.

Coltrain uniósł brwi, ale Sari wiedziała, że Merrie coś czuje do wysokiego ranczera, nawet jeśli ją zranił. Widziała go w kaplicy z pochyloną głową, więc jej siostra nie była mu obojętna. Może kiedy Merrie poczuje jego obecność, nastąpi jakaś zmiana... zmiana na lepsze?

Stała obok Rena i zwróciła się do doktora Coltraina:

- Niech pan mu pozwoli, proszę.

Ren najpierw spojrzał na nią zdumiony, a potem powiedział schrypniętym głosem:

- Dziękuję.

Sari tylko skinęła głową.

Coltrain zaprowadził Rena do pokoju na oddziale intensywnej terapii.

- Pięć minut - powiedział cicho. - Nie więcej. - Potem wyszedł i zostawił ich samych.

Ren powoli podszedł do łóżka Merrie. Jej ręce leżały nieruchomo na kołdrze. Splótł palce z jej palcami. W pobliżu, ale poza zasięgiem jego głosu, kręciła się pielęgniarka.

Merrie była bardzo blada, a kiedy ujął jej dłoń, poczuł słabe nitkowate tętno. Gdy poczuł, jak zimna jest jej dłoń, przeszedł go dreszcz. Widział rannych w podobnym stanie podczas walk

za granicami kraju, mężczyzn, którzy mieli podobne objawy i nie przeżyli. Nic dziwnego, że doktor Coltrain się niepokoił.

- Jestem tu, Meredith - odezwał się, pochylając się do jej ucha. - Dasz radę, kochanie. Jesteś twarda. Obiecałem, że pokażę ci wiosną, jak się wypala piętno, pamiętasz? Musisz wyzdrowieć i być tam ze mną.

Nawet nie drgnęła, jednak po chwili ledwie widocznie zamru-gała.

Ren dotknął policzkiem jej zimnego policzka.

- Tak wiele muszę ci wynagrodzić, Meredith - szepnął. - Nawet nie wiem, od czego zacząć. Przepraszam za to, co zrobiłem, za to, co powiedziałem. Chciałbym, żebyś pozwoliła mi zastąpić złe wspomnienia dobrymi. Więc musisz żyć. Musisz, Meredith. - Ścisnął jej dłoń. - Pomogę ci w tej walce. Nie opuszczę cię. Nigdy więcej.

Jej oddech jakby się pogłębił. Ren musnął wargami jej wargi, czując, że wraca do nich życie. Poczł nową nadzieję.

- Będę czekał, aż się obudzisz. Będę z tobą, kochanie.

Znów zamru-gała... i nagle otworzyła oczy, bardzo powoli podnosząc powieki. Spojrzała na niego.

- Meredith... - Głos mu się załamał, a do oczu napłynęły łzy, kiedy jej piękne jasnoniebieskie oczy, które wydawały się niemal szare, spojrzały na niego. - Moja kochana - szepnął schryp-niętym głosem i znów dotknął wargami jej warg. - Wróc do mnie.

Zamru-gała. Była obolała, oddychanie sprawiało jej trudność.

- Ren? - powiedziała rwącym się głosem.

Uniósł głowę, ledwie widział Merrie przez mgłę łez.

- Tak, jestem tu.

- Nie... odchodź - wydusiła.

Zacisnął palce na jej palcach.

- Nigdy - odparł. - Już nigdy cię nie opuszczę.

Próbowała się uśmiechnąć, ale środek znieczulający wciąż działał.

- Okej - szepnęła i znów opuściła powieki.

Do pokoju wszedł doktor Coltrain.

- Otworzyła oczy - powiedział Ren do rudowłosego lekarza. -

Patrzyła na mnie i mówiła.

- Dzięki Bogu. - Coltrain głośno odetchnął.

Ren spojrział na pogrążoną we śnie ukochaną, a jego oczy pełne były pytań, które wciąż sobie zadawał.

- Od lat nie rozmawiałem z Bogiem - wyznał cicho. - Myślałem, że Bóg to mit, ale w ciągu minionej godziny modliłem się więcej niż przez całe moje cholerne życie.

Coltrain położył rękę na jego ramieniu.

- W okopach nie ma ateistów - powiedział. - Ani na chirurgii.

Ren uśmiechnął się siłą woli, po czym poprosił:

- Chcę z nią posiedzieć.

- Zostanie na intensywnej terapii co najmniej przez noc, ale jeśli jej się poprawi, przeniesiemy ją jutro do jednego z pokoi.

- Tak, rozumiem.

- Niech pan idzie i przekaże innym dobrą nowinę. Będą skakać i krzyzczeć z radości, ale proszę im przypomnieć, że to jest szpital. - Cicho się zaśmiał.

- Dziękuję, doktorze - powiedział Ren z wdzięcznością.

- Niech pan już stąd idzie. Jestem zajęty - popędził go z uśmiechem.

Rozpromieniony Ren puścił rękę Meredith, a kiedy Coltrain nachylił się nad nią ze stetoskopem, poszedł przekazać pozostałym pomysły wieści.

- Dziękuję - powiedziała Sari do Rena, kiedy już ich poinformował, co się wydarzyło. Badawczo patrzyła w jego czarne oczy. - I przepraszam, że potraktowałam pana jak intruza.

- Nie śmiałybym mieć o to pretensji - odparł szczerze. - Całą drogę z Wyomingu wypominałem sobie to wszystko, co jej zrobiłem.

- Gdyby tam została, mogłaby już nie żyć - stwierdziła Sari. - Mikey mówi, że zabójca najpewniej dokładnie rozejrzał się po okolicy i wybrał miejsca, skąd mógłby oddać snajperski strzał.

- Nie wątpię, ale jeśli to prawda, czeka go parę niespodzianek. Pamiętasz J.C. Calhouna? - spytał Ren Barton.

- Jak mógłbym nie pamiętać Calhouna? - Barton cicho gwizdął. - Pracuje dla pana?

- Tak, od sześciu lat. Mieliśmy kilka prób kradzieży byków, a informacje się rozchodzą. Calhoun przekazał w ręce szeryfa dwóch koniokradów i złodziei bydła, którzy zaczęli sypać, zanim zadano im pytanie - zakończył ze znaczącym uśmiechem.

- Taa, on potrafi tak podzielać na człowieka. - Barton z pewnością wiedział to i owo.

- Nie pamiętam Calhouna - wtrącił się Mikey. - Chyba pojawił się już po moim wyjeździe.

- Przyjechał, kiedy przenosili cię z Afganistanu do Iraku - powiedział Ren.

- Nie miałem ochoty na ten transfer, ale nawet mój generał nie zdołał pociągnąć za wystarczającą liczbę sznurków, żeby zatrzymać mnie w bazie. - Przerwał na moment. - Nienawidziłem Iraku. Mój oddział był odpowiedzialny za wożenie politycznych szych po mieście. Nie zginął żaden polityk, za to my straciliśmy dwóch naszych najlepszych żołnierzy na minie pułapce.

- Paskudny biznes - zgodził się Ren. - Ja odpowiadałem za oddział snajperów w Iraku.

- I tam się poznaliśmy - rzekł Barton.

- Dokoła rozlegały się strzały, a ja usiłowałem dowiedzieć się przez radio, kim jest ten sukinsyn, który omal nie odstrzelił mi głowy, kiedy szedłem do bazy. - Ren uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Okazało się, że ten sukinsyn - wskazał na Bartona - namierzał snajpera, którego nawet nie widziałem, a który celował mi w plecy. Gorąco go potem przeproszałem.

- Nieprawda - rzekł Barton.

- No, przecież przyznałem, że być może rzuciłem kilka słów za dużo - bronił się Ren.

- Takie słowa z jego ust to są najsolenniejsze przeprosiny - skwitował rozbawiony Mikey.

- Dobra, dobra, nie będę się kłócił - zakończył z uśmiechem Barton.

Ren zwrócił się znów do Sari:

- Zostanę z Merrie. Będę spał na stojąco przy ścianie, jeśli to konieczne, ale nie wyjdę ze szpitala.

- Nikt panu nie każe wychodzić. - Wzięła głęboki oddech. - Dziękuję, Ren. Dziękuję, że przejechał pan taki szmat drogi.

I za to, że przesłał pan Merrie impuls, żeby się obudziła.

- Mój Boże, tak wiele muszę jej wynagrodzić. Chcę tylko mieć dość czasu, żeby to zrobić.

- Ten lekarz jest całkiem niezłym fachurą - zauważył Mikey.

- Świetny fachowiec... i dobry człowiek. Bardzo nam pomógł nie tylko jako lekarz, kiedy tu przyjeżdżaliśmy po ratunek. - Sari uśmiechnęła się w zadumie. - Dużo czasu musiałyśmy spędzić z Merrie w jego gabinecie.

- Czemu? - zaciekał się Ren.

- Nasz ojciec bywał bardzo gwałtowny. Zdarzyło się kilka przykrych incydentów, kiedy jeszcze chodziłyśmy do szkoły - odparła z goryczą Sari.

Ren ściągnął brwi.

- Nie postępował, jak na prawdziwego ojca przystało, prawda?

- Cóż, muszę przyznać panu rację...

Ren stwierdził w duchu, że wielu rzeczy nie wie jeszcze o Meredith. Cieszył się, że dostał szansę, by zaczęli wszystko od nowa.

Kilka godzin później wciąż siedzieli w szpitalnej poczekalni. Doktor Coltrain był ostrożnym optymistą. Sari i Ren na zmianę zaglądali do Merrie podczas tych krótkich chwil, kiedy im na to pozwalano, gdy przebywała jeszcze na oddziale intensywnej terapii.

O północy Sari i Paul zaczęli nalegać, żeby Ren pojechał z nimi do domu.

- Nic jej nie będzie, a pan się wykończy bez choćby kilku godzin odpoczynku - powiedział stanowczo Paul. - Wrócimy z samego rana.

W końcu się poddał. Dalszy upór nie miał sensu, bo Ren nie spał od wielu dni.

- Zadzwoń, gdyby coś się stało? - Spojrzał w stronę pokoju pielęgniarek.

- Tak, zadzwonię - zapewniła go Sari. - Mają mój numer i numer Paula.

- Ale to nieważne - rzekł Paul z uśmiechem.

- Nieważne? - spytał Ren w osłupieniu.

Paul wskazał na drzwi poczekalni. Mikey właśnie wszedł do środka z Mandy, która posłała im uśmiech i usiadła z dużą torbą robótek.

- Zostanę tu na wypadek, gdyby czegoś potrzebowała - oznajmiła. - Jedźcie do domu i wyśpijcie się trochę. - Omiotła ich spojrzeniem. - Nic się nie stanie mojemu dziecku, dopóki ja tu jestem.

- I ja - dodał Mikey, siadając obok niej. - Muszę chronić gospozię, prawda? - powiedział, szczerząc zęby do Mandy. - Robi najlepszą pieczeń wołową, jaką w życiu jadłem.

- Och, panie Mikey - zaprotestowała zaczerwieniona.

- Najlepsza kucharka w Teksasie. - Paul pocałował ją w policzek. - Dzięki, kochanie.

- Wiedziałam, że nigdy byście stąd nie wyszli, gdyby nie został tu ktoś z rodziny - powiedziała Mandy. - Wyśpijcie się trochę. Zadzwoń, gdyby było coś nowego, ale zapewniam, że nic złego się nie wydarzy. Ona ma całkiem niezły powód, żeby żyć - dodała, zerkając ciepło na Rena.

- W porządku. - Sari uściskała Mandy. - Gdybyś czegoś potrzebowała...

- Gdyby czegoś potrzebowała, załatwię jej to. - Mikey się zaśmiał. - Jedźcie do domu.

Wyszli zatem, wciąż niespokojni, ale zbyt zmęczeni, żeby dłużej dyskutować.

Na widok posiadłości Graylingów Renowi odebrało dech.

- Merrie mówiła, że mieszka na małym ranczu - powiedział, podziwiając ogromną rezydencję rozświetloną przyjaźnie w ciemności za ogrodzeniem, wysokimi jadłoszynami i dębami.

- Jak na standardy Teksasu jest małe - odparła znużonym głosem Sari. - Ale mamy jedne z najśłynniejszych koni wyścigowych na świecie. I znakomitą ochronę, zatwierdzoną przez FBI. - Uśmiechnęła się do męża.

- Lepiej sobie radzę z ochroną niż z szoferami limuzyn - rzekł cierpko Paul.

- On dostał się tu psim śwędem - stwierdziła Sari. - Dzięki

szemranej protekcji. Nie mogłeś o tym wiedzieć.

- Święta racja - przyznał Barton, siadając obok Rena, twarzą do Paula i Sari. - Nikt by niczego na niego nie znalazł. Zakładam, że to płatny morderca załatwił mu dokumenty. Ten gość z Houston nie jest dość bystry. Jaki zamachowiec zostawia kwit z wypożyczalni samochodów w przegródce na rękawiczki, na Boga?

- Patałach - odparł Paul. - Zapłaci za to.

- Bardzo na to liczę - powiedziała Sari. - Kiedy go schwytamy, prokurator Kemp już go na pewno nie wypuści.

- Z całą pewnością - rzekł Paul.

Rogers zaparkował limuzynę przed frontowymi drzwiami. Wszyscy wysiedli, a kiedy Paul otworzył drzwi, oczom Rena pokazała się błyszcząca dębowa podłoga, perskie dywany i kryształowy żyrandol ręcznie robiony we Włoszech.

Cicho gwizdnął. Ranczo Skyhorn było urządzone wygodnie, ale nie tak elegancko i kosztownie jak ten dom. Zauważył dwa obrazy na ścianie, które wyglądały na oryginały, lecz wisiały dziwnie krzywo.

Sari zwróciła uwagę, że Ren na nie patrzy.

- Ja namalowałam ten. - Wskazała na pejzaż z wyścigami konnymi w tle. - A ten Meredith - powiedziała o portrecie golden retrievera.

- Maluje pani? - spytał Ren.

- Głównie poprawiam obrazy wiszące na ścianie, żeby nie wisiały prosto - odparła Sari, a jej twarz stężała. - To zemsta.

- Ich ojciec był perfekcjonistą - wyjaśnił Paul.

- Hm... Mam w gabinecie obraz, który od lat wisi krzywo, ale wyprostowanie go nie jest dla mnie priorytetem - stwierdził z uśmiechem.

- Chodźmy na górę, pożyczę panu piżamę - zaproponował Paul. - Domyślam się, że nie miał pan czasu się spakować.

- Niczego nie wziąłem. Jak tylko Randall powiedział, że Meredith jest w szpitalu, od razu pojechałem na lotnisko.

Wystarczyło im jedno spojrzenie na jego pełną napięcia twarz, żeby zrozumieć, co czuł. Wciąż miał w oczach ból.

- Chodźmy - powiedział Paul. - Rogers i Barton będą czuwać.
Ren ruszył za parą małżonków po długich kręconych schodach.

- To był pies Meredith, tak? - spytał. - Na tym obrazie na dole.

- Tak - przytaknęła Sari. Zatrzymała się i odwróciła. - Mówiła panu o tym?

- Tak, mówiła... W moim domu nikt nigdy nie skrzywdził żadnego zwierzęcia. Niedawno zatrudniliśmy kowboja, który skatował konia. Tak się z nim rozmówiłem, że ledwie doszedł do swojego samochodu. Kazałem go aresztować i oskarżyłem o okrucieństwo wobec zwierząt. - Pokręcił głową. - Nigdy nie zrozumiałem, jak ktoś może skrzywdzić bezradne zwierzę.

Sari tylko się uśmiechnęła. Najwyraźniej jej młodsza siostra dokonała dobrego wyboru... Chyba że to wyłącznie poczucie winy spowodowało Rena z Wyomingu w takim pośpiechu, że nawet nie spakował walizki. Ale ten jego pośpiech dowodził, że cokolwiek czuł do jej siostry, było to silne uczucie.

Ren nie spodziewał się, że zaśnie, a jednak zapadł w sen. Położyli go na ogromnym łóżku w sypialni dwa razy większej niż jego sypialnia w Skyhorn. Był tak wycieńczony, że pewnie nie miałby nic przeciw jednoosobowemu łóżku, z którego zwisałyby mu nogi. W Iraku często sypiał na ziemi, z kamieniem zamiast poduszki pod głową.

Obudził się o świcie. Na ranczu przywykł wstawać wcześniej. Po szybkim prysznicu zadzwonił do Willisa, żeby dowiedzieć się, co słychać w domu.

- Mieliliśmy tu małe zamieszanie - odparł brygadzysta dziwnym tonem.

- Jakie zamieszanie? - popędził go Ren.

- Snowpaw przegonił intruza.

Ren poczuł ucisk w sercu i spytał:

- Miał przy sobie snajperską broń?

- Do diabła! Skąd wiesz, szefie?

- Jestem jasnowidzem. Co się stało?

- Snowpaw gonił go, warcząc z obnażonymi zębami. Nawet

na trzech nogach był szybszy od intruza. Przewrócił go i trochę poturbował, zanim gość się uwolnił. Udało mu się po drodze podnieść broń. Skoczył na ogrodzenie, żeby uciec Snowpawowi. Ten bydlak celował do Snowpawa, kiedy do niego strzeliłem.

- Trafiłeś?

- Nie miałem szczęścia, szefie. Było ciemno, a ja rzadko używam strzelby. Ale myślę, że drasnąłem mu kurtkę. To wystarczyło, żeby wziął nogi za pas.

Ren był wściekły. Było dokładnie tak, jak sugerował Paul. Płatny morderca obserwował Skyhorn, myśląc, że Meredith wciąż tam przebywa. Najwyraźniej jego kuzyn z Teksasu, który najechał na limuzynę, jeszcze się z nim nie skontaktował. Pewnie wciąż się ukrywał, jeśli nie musiał szukać pomocy lekarskiej. Sądząc ze stanu, w jakim był jego samochód, wydawało się, że kierowca musiał odnieść jakieś obrażenia.

- Kiedy to się stało? - spytał Ren.

- Ostatniej nocy, koło dwunastej. Rano przeszukaliśmy teren i znaleźliśmy kilka miejsc, gdzie się zaczął. Niedaleko domu.

- Po tej stronie, gdzie była sypialnia Meredith - zgadł Ren.

- Chyba naprawdę jest pan jasnowidzem - zażartował Willis.

- Mało prawdopodobne. Weź J.C. i paru chłopaków i obserwujcie wszystkie miejsca, gdzie snajper mógł siedzieć i czekać na okazję. Wątpię, żeby wrócił, ale kto wie.

- Zrobi się. Jak się czuje panna Meredith?

- Niezbyt dobrze, ale przynajmniej żyje, a lekarze uważają, że wyzdrowieje.

- Jasna cholera, żeby skrzywdzić taką słodką małą kobietkę... Snowpaw ją pokochał, a on z zasady nienawidzi kobiet.

- Zauważyłem. Pilnuj tam porządku, jak mnie nie ma. Nie wiem, jak długo tu jeszcze posiedzę. Nie opuszczę Meredith, dopóki nie będzie absolutnie bezpieczna.

- Zrobi się, szefie. I uważaj na siebie.

- Ty też.

Ren zszedł na śniadanie. Czuł się głupio, że nie wziął żadnego ubrania na zmianę, dlatego postanowił, że w porze lunchu pójdzie na zakupy. Nie miał zamiaru szybko opuszczać Jacobsville.

Mandy wróciła już do domu. Na śniadanie przygotowała talerz jajek na bekonie oraz bułeczki i przyniosła do jadalni.

- Meredith ma się dobrze, Mikey został w szpitalu - powiedziała do Rena, kiedy do nich dołączył. - Niech pan siada i je, zanim pan tam pojedzie.

- Dziękuję - odparł z uśmiechem.

- Też ją kocham - podjęła Mandy rozbawiona rumieńcami, które zabarwiły jego policzki.

- Spał pan? - spytał Paul.

- Niewiele. Mam wam coś do przekazania - rzekł ponurym głosem. - Dzwoniłem do Willisa na moje ranczo. Wypłoszyli mężczyznę z karabinem, który zaczął się niedaleko okna pokoju Meredith.

- Czyli jeszcze nie wie - skomentował Paul.

- Na to wygląda. A przynajmniej wczoraj wieczorem jeszcze nie wiedział.

- Czy pańscy ludzie do niego strzelali? - spytała Sari.

- Kula drasnęła tylko jego kurtkę, ale Snowpaw trochę go potarosił.

- Snowpaw? - spytał Paul.

- Wilk mojego brygadzysty Willisa. - Ren uśmiechnął się smutno. - Kiedy Snowpaw po raz pierwszy zobaczył Meredith, podszedł do niej, położył łeb na jej kolanach i był wyraźnie zadowolony, gdy zaczęła go głaskać. - Potrząsnął głową. - Żadnej innej kobiecie nie pozwala zbliżyć się do siebie.

- Tak, siostra opowiadała mi o tym - powiedziała Sari. - Ale podobno Snowpaw ma tylko trzy nogi.

- Biedny zwierzak wpadł w pułapkę na niedźwiedzie i stracił jedną łapę. My nie zastawiamy żadnych wnyków, potrzasków i tak dalej, niestety nasz sąsiad uznał, że to dobry sposób na pozyskiwanie darmowego mięsiwa i futer. Jednak gdy Willis odbył z nim sąsiedzką pogawędkę na ten temat, radykalnie zmienił poglądy i już nie zastawia żadnych pułapek. - Uśmiechnął się. - Musicie wiedzieć, że Willis ma równie wybuchowy charakter co J.C. Calhoun.

- Ładne imię. Mówię o wilku^[4] - zauważyła Sari.

- Dostał imię po wilku z gry komputerowej World of Warcraft,

w którą gra Willis – wyjaśnił Ren. – Trzeba pomścić orkę, której rodzina została zabita przez potwory. Na koniec gry Snowpaw, wilk należący do orki, zamieszkuje w twoim domu. To dość smutna gra.

- A pan grywa? – spytał Paul.

- Nie mam na to czasu, podobnie jak na wiele innych rzeczy. Zarządzanie ranczem to praca niemal non stop, choć zatrudniam kompetentnych i lojalnych ludzi, na których zawsze mogę liczyć.

- Też bardzo sobie cenię właściwe relacje ze współpracownikami. Wczoraj wieczorem po powrocie do domu miałem sześć nieodebranych połączeń – z uśmiechem podsumował Paul. – Wszystkie od moich kolegów. Napisał do mnie nawet dowódca okręgowego biura FBI. Naprawdę świetni ludzie.

- Zgadza się – dodała Sari. – Rodzina jest dla nich ważna.

- Wszyscy mają dzieci, również dowódca. – Paul z miłością zerknął na Sari. – Zaczniemy starać się o dziecko, kiedy wszystko się tu uspokoi. Teraz skupiamy się na naszych karierach. Sari jest świetnym prokuratorem.

Ren rozejrzał się, patrząc na kosztowne urządzenie domu, po czym spytał:

- Niczego wam nie brak, a jednak oboje pracujecie?

- Pan też nie przymiera głodem – zauważył Paul, który oczywiście sprawdził Rena – i również pan pracuje. I to ciężiej niż my.

- Pewnie tak... Kiedy zacząłem odbudowywać ranczo, praca stała się dla mnie wszystkim. Zwolniłem dopiero wtedy, kiedy się zaręczyłem, jakieś pół roku temu. – Jego rysy stwardniały. – Myślałem, że ta kobieta mnie kocha. Okazało się, że kochała tylko moje pieniądze. Kiedy to odkryłem, ona zaczęła się na mnie mścić, wypisując różne rzeczy w mediach społecznościowych.

Uśmiechnął się ze smutkiem. Czuło się, że najważniejsze dopiero opowie. I tak też się stało:

- Tamtego wieczoru, kiedy pan przyleciał po Meredith, zabrałem ją na przyjęcie. – Oczy Rena były pełne żalu. – Utała nosa mojej byłej, i to w bardzo elegancki sposób, a przy tym tak sku-

tecznie, że ta moja była błyskawicznie ulotniła się z przyjęcia. – Zacisnął zęby, przypominając sobie, co się później wydarzyło. – Po przykrym doświadczeniu bałem się znów zaangażować – wyznał cicho. – Przekonałem sam siebie, że Meredith jest taka sama jak Angie, ponieważ wziąłem ją za jedną z kochanek Randalla. – Potrząsnął głową. – I to był największy błąd w moim życiu.

– Wszyscy popełniamy błędy – powiedział Paul, mając w pamięci swoją wyboistą drogę do ołtarza i spoglądając na Sari pełnym miłości wzrokiem. – Czasami los nam sprzyja i mamy dość czasu, żeby je naprawić.

– Na to właśnie liczę. Na drugą szansę.

– Ona będzie... – Sari urwała, ponieważ zadzwonił jej telefon. Odebrała i rzuciła nerwowo – Halo? – Po chwili jej oczy pojaśniały. – Dziękuję, Mikey. Dziękuję! Tak, powiem Paulowi. – Rozłączyła się. – Merrie nadal ma się dobrze. I złapali go!

– Kogo złapali? – spytał Paul.

– Kierowcę pikapa.

– Gdzie go dopadli? Chciałbym z nim zamienić słowo.

– A ja kilka – złowieszczym tonem zawtórował mu Ren.

– Nie napalajcie się na prywatną zemstę – oznajmiła pani prokurator Fiore, choć jako Sari, siostra Merrie, z radością wydrapałaby bydlakowi oczy. – Złapała go policja z Houston, stało się to dziś rano. Zadzwonił do niego kontakt Mikeya, i to był najważniejszy trop, a facet musiał poczuć się na tyle bezpiecznie, że wrócił do domu. Paul – wskazała na męża – polecił wydać nakaz aresztowania, więc policjanci z Houston podjechali pod wskazany adres i zatrzymali naszego niedoszłego zabójcę.

– No i świetnie. – Paul westchnął. – Zaraz zacznie się ta cała kołomyja, w czyjej jurysdykcji jest sprawa, ale nim spór rozgorzeje na dobre, zjawi się jeden z jego kumpli i wpłaci kaucję.

– A jeśli on jeszcze przed aresztowaniem zadzwonił do zabójcy z Wyomingu i powiedział mu, co się stało? – spytała Sari. – Co wtedy?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Zatrudniamy najlepszych ochroniarzy w Teksasie - przypomniał żonie Paul. - Poza tym mamy Avengersów. - Gdy Ren roześmiał się, dodał trochę zmieszany: - Po prostu tak ich nazywamy, to znaczy Bartona i Rogersa. Barton to w naszym realu odpowiednik komiksowego i filmowego Hawkeye'a, zaś Rogers to Kapitan Ameryka.

- Są dobrzy - zgodził się Ren. - A kim jest Eb Scott, który ich wypożyczył? Meredith mi o nim wspominała.

- Eb prowadzi w Jacobsville szkołę dla antyterrorystów, która jest znana i ceniona w kręgach związanych z bezpieczeństwem - odparła Sari. - Szkoli różnych ludzi, krążą pogłoski, że także ludzi pracujących dla naszego rządu, a także prominentne postaci zajmujące się bezpieczeństwem narodowym. Eb dysponuje najnowocześniejszym sprzętem i olbrzymią wiedzą oraz doświadczeniem. Jest emerytowanym najemnikiem, jak większość tych, którzy uczą w jego szkole.

- Nie słyszałem o niej, choć z drugiej strony trzymam się na uboczu. Ranczo jest położone na odludziu, z dala od świata. Dla rozrywki oglądamy filmy na DVD albo wypożyczane z sieci. - Ren zawahał się, uśmiechnął, patrzył gdzieś w dal nieobecny wzrokiem. - Mam wideo z nagraniem znakowania moich zwierząt. Meredith je oglądała, robiąc na drutach. Zaskoczyła mnie, bo nie wygląda na kobietę, która łatwo by zniosła taki widok. Wydaje się krucha i delikatna, ale jest też twarda i silna.

- Jest twarda - potwierdziła Sari. - Ojciec nie pozwalał nam zbliżać się do naszych rasowych koni, więc jeździłyśmy po ranczu na koniach na biegunach. - Zaśmiała się, widząc minę Rena. - Na starych koniach, a nie tych rasowych. Ojciec trzymał kilka koni odmiany quarter horse na sprzedaż, ale dość krótko. Wyrzucił z pracy jedyne go pracownika, który miał pojęcie, jak o nie dbać. Potem hodował tylko konie czystej krwi. Ale

my z Paulem wróciliśmy do hodowli quarter horse.

- U nas jest dużo koni pod siodło - powiedział Ren. - To wielkie ranczo, więc zatrudniłam wielu kowbojów, a każdy potrzebuje wierzchowca.

- Hoduje pan bydło rasy angus, tak? - spytała Sari.

- Czystej rasy black angus. Samce rozplodowe, krowy i jałówki. Ale bydła mięsnego nie hodujemy, chociaż uwielbiam wołowinę. Jednak jakoś nie wyobrażam sobie, żebym mógł hodować bydło na mięso. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Hodować byczka od cielaczka, a potem go zjeść?

Sari uśmiechnęła się, patrząc na niego z sympatią, a on odpowiedział jej uśmiechem.

Paul spojrział na zegarek i powiedział do żony:

- Muszę wpaść do San Antonio i zerknąć na dwa projekty. Dasz sobie radę?

- Zaopiekuję się nią - obiecał Ren.

- Okej. - Paul trochę się uspokoił.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go Sari. - Podczas przerwy na lunch wpadnę do biura i zamelduję się Kempowi. - Mówiła o prokuratorze okręgowym.

- A ja posiedzę z Meredith - powiedział Ren.

- W takim razie ja idę do łóżka - stwierdziła Mandy zmęczonym głosem. - Spać mi się chce.

- Dziękuję, że z nią zostałam, kochanie - powiedział Paul. - Jesteś niezastąpiona.

Mandy uśmiechnęła się do wszystkich przy stole.

- Nie bójcie się - odparła, patrząc na nich z uśmiechem - trochę się prześpię i wstanę o odpowiedniej porze, by naszykować kolację.

Gdy Ren, Paul i Sari zbliżali się do szpitala, Mikey czekał na nich przy wejściu.

- Co słychać? - spytał Paul.

- Nie za dobrze. - Widząc przerażoną minę Paula, Mikey wyjaśnił: - Spokojnie, nie chodzi o laleczkę, tylko o tego gościa od pikapa, co go przymknęli w Houston.

- Mikey... - zaczął ze złością Paul.

- Do diabła, nikt ode mnie tego nie zrobił! - wpadł mu w słowo. - Ktoś wykończył drania w jego celi na komisariacie w Houston.

- Jakim cudem? - spytał Paul.

- Wciąż się nad tym głowię. Gość chorował na astmę, i to poważnie. Wypił coś, gliniarze myśleli, że lekarz mu to przepisał, a tam był jakiś składnik, na który był uczulony, i dostał ostrego ataku. Kiedy wezwali lekarza, stwierdził objawy astmy i dał mu zastrzyk z epinefryny.

- Mojemu kumplowi astmatykowi zawsze to podają - powiedział Paul.

- Taa, ale ten gość miał arytmie, więc po epinefrynie nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Nie zdołali go uratować.

- Mieliśmy podobną historię - przypomniał sobie Paul. - Sekretarka Casha Giera chorowała na astmę. Dostała ataku w jego gabinecie, a Carson Farwalker, były najemnik, a także lekarz wojskowy, zanim podał jej epinefrynę, sprawdził, czy nie ma problemów z sercem, by nie popełnić błędu, o którym mówiłeś.

- Bystry facet - zauważył Ren.

- Bardzo. Miał licencję lekarza, ale przed ślubem z Carlie nikomu o tym nie wspomniał. - Paul się uśmiechnął. - Wcześniej był niezłym draniem.

- Pauli, powinieneś opowiedzieć kapitanowi tę historię z krokodylem - zasugerował Mikey, wskazując palcem Rena.

- Jaką historię z krokodylem? - spytał Ren.

- Dwóch gości, Rourke i Carson, rzucili krokodylowi na pożarcie człowieka, który torturował młodą kobietę w Barrera w Ameryce Południowej. Później Rourke poślubił tę kobietę i zamieszkali tutaj.

Kiedy Paul i Mikey dokończyli opowieść, Sari wstała, by zajrzeć do pielęgniarek po najnowsze informacje.

- Jestem Sari Fiore, Meredith Grayling to moja siostra - przedstawiła się dyżurnej pielęgniarence. - Chciałabym wiedzieć, jak ona się czuje.

- Jest znaczna poprawa, można powiedzieć, że czuje się dobrze - odparła pielęgniarka z uśmiechem. - Przenieśliśmy ją na

oddział. Jest w pokoju numer dwieście trzydzieści. Może pani do niej pójść.

- Dziękuję. - Sari odetchnęła z wielką ulgą. - To była długa noc...

- Wyobrażam sobie. - Pielęgniarka znów się uśmiechnęła.

Sari wróciła do Mikeya, Rena i Paula i powiadomiła ich:

- Już ją zabrali z intensywnej terapii, jest w pokoju na oddziale.

- W którym pokoju? - spytał natychmiast Ren.

- Dwieście trzydzieści. Niech pan do niej idzie. Naprawdę. Ja tu poczekam i zajrzę do niej później.

- Dziękuję - niemal wyszeptał i ruszył na oddział.

Kiedy stanął w drzwiach jej pokoju, właśnie skończyli ją myć, a Merrie siedziała na łóżku zasłonięta z przodu ręcznikiem, odwrócona nagimi plecami do drzwi. Ren zawahał się.

- Przepraszam - powiedział. - Przyjdę później.

Słyszając jego głos i kroki, Merrie poczuła łzy pod powiekami. A więc zobaczył jej blizny... i już nie wróci. Była o tym przekonana.

- Proszę, kochanie - powiedziała serdecznie pielęgniarka. - Pomogę pani włożyć koszulę. Jest ładna i czysta.

Merrie pozwoliła się ubrać w szpitalną koszulę, a potem położyła się do łóżka. W środku czuła się martwa. Nie chciała, żeby Ren widział jej okaleczenia.

Zaraz po wyjściu pielęgniarki w drzwiach znów pojawił się Ren, a Merrie spojrzała na niego z ogromnym smutkiem.

- Co się stało? - spytał, stając obok jej łóżka.

- Ty... widziałeś moje plecy... prawda? - spytała, a jej policzki poczerwieniały.

- Meredith, też mam blizny na plecach i nogach od miny pułapki w Iraku. Blizny nie mają znaczenia, liczy się tylko to, że żyjemy.

- Ach tak... - powiedziała słabym głosem, wciąż patrząc na niego.

Pochylił się i musnął ustami jej miękkie wargi.

- Głuptasie - szepnął z uśmiechem.

Pełna nadziei patrzyła na niego jak urzeczona błyszczącymi jasnoniebieskimi oczami, gdy odszepnęła:

- Wróciłeś.

- Oczywiście, że wróciłem. - Opadł na krzesło. - Znaleźli kierowcę pikapa, który na ciebie najechał.

- Pożyczysz mi kij bejsbolowy? Chciałabym pogadać z tym facetem - rzekła chłodno.

- Za późno, leży w kostnicy w Houston.

- W kostnicy?

- Wygląda na to, że ponieważ spartaczył robotę, zajął się nim ten ktoś, kto go wynajął. I odbyło się to w celi naszego kierowcy.

- A co z płatnym mordercą? Wiedzą już coś o nim? - spytała z niepokojem.

- Wczoraj wieczorem dostał się na ranczo, bo najpewniej nie miał kontaktu z człowiekiem, którego wynajął do zadania w Jacobsville. Snowpaw go dopadł, ale gość uciekł.

- Snowpaw? - Wstrzymała oddech. - Nic mu nie jest? Nie skrzywdził go?

- Nie, Snowpaw ma się dobrze - zapewnił, poruszony jej troską o zwierzę.

- Snowpaw jest taki piękny i taki słodki - powiedziała rozczulona. - Mam nadzieję, że odgryzł co nieco temu draniowi - mruknęła pod nosem. - On już nie wróci na ranczo, prawda?

- Nigdy więcej. Wzmocniliśmy ochronę i nie dopuścimy nikogo, kto mógłby cię skrzywdzić.

Jego słowa wpadły jednym uchem i wyleciały drugim. Merrie wciąż była pod wpływem środków znieczulających i nie myślała całkiem jasno.

Przyjrzała się ściągniętej twarzy Rena i skomentowała:

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Powinnaś zobaczyć innych. Mandy niedawno położyła się spać. Siedzieli tu z Mikeyem całą noc, kiedy my spaliśmy. Zasnąłem jak dziecko. - Ujął jej dłoń i uniósł do warg. - Nie chciałem cię zostawić, ale ledwie trzymałem się na nogach.

Merrie intensywnie wpatrywała się w niego i nagle coś sobie przypomniała:

- Byłeś na intensywnej terapii. Mówiłeś do mnie.
 - Tak, byłem. - Spoważniał. - Przeraziłaś mnie, kochanie. Zaczzerwieniała się, ale z radości. Jej jasne oczy rozbłysły. Ren uśmiechnął się. Lubił przyprawiać ją o rumieńce.
 - Zabiorę cię do domu, do Wyomingu, jak tylko cię stąd wypuszczą, nawet jeśli będę musiał walczyć z całą twoją rodziną.
 - Zabierzesz mnie... do domu? - wyjąkała. Pocałował jej delikatną dłoń.
 - Nie dokończyliśmy czegoś - rzekł niskim i miękkim jak aksamit głosem.
 - Ren, ja nie... to znaczy nie mogę... ja... - Zaciśnęła zęby.
 - Wiem wszystko, Meredith. Nie śpiesz się. Wszystko będzie dobrze.
 - Naprawdę tak myślisz? - spytała z niedowierzaniem.
 - Twój szwagier jest diabelnie dobrym stróżem prawa, masz nawet mafię po swojej stronie. - Uśmiechnął się leciutko. - Lubię Mikeya, bardzo się o ciebie troszczy. Cytuję: Nikt nie skrzywdzi laleczki, dopóki ja czuwam.
 - Laleczki?
 - Tak cię nazywa, naprawdę - wyjął z błyskiem w oku.
 - No, no. Nie byłam pewna, czy mnie w ogóle lubi.
 - Lubi cię. - Przerwał na moment. - Ale tylko lubi, bo inaczej musiałbym pogadać z nim bez świadków.
- Merrie wpatrywała się w czarne oczy Rena, aż radosne napięcie osiągnęło taki poziom, że musiała przenieść wzrok na jego szeroką klatkę piersiową.
- Hej. - Ren ścisnął jej palce, a gdy znów podniosła wzrok, oznajmił stanowczo: - Nie zostawię cię. Nigdy cię nie zostawię, Meredith.
- Poczuła, że ma gułę w gardle. To, co mówiły oczy Rena, było niemal zbyt piękne, by mogła w to uwierzyć.
- Tak mi przykro, kochanie - powiedział schrypniętym głosem. - Tak bardzo cię przepraszam... za wszystko.
 - Byłeś zgorzkniały po tym, jak potraktowała cię Angie. Zraniła cię. Rozumiem to.
 - Ale to, że ja ciebie zraniłem, w niczym mi nie pomogło. Przeciwnie, wszystko pogorszyło. Kiedy dowiedziałem się od

Randalla, że jesteś w szpitalu, tak jak stałem, bez żadnego bagażu, ruszyłem na lotnisko. Nie wziąłem ze sobą niczego prócz tego, co mam na sobie. – Uśmiechnął się lekko. – Więc powinienem wybrać się na zakupy, jak będziesz jadła lunch.

Uśmiechnęła się. Spodobało się jej, że Ren wszystko rzucił, żeby ją zobaczyć. Ufała mu, wiedziała, że niczego nie udaje i naprawdę coś do niej czuje.

– Nocowałeś u nas? – spytała.

– Tak. Niezła chata. Skyhorn wygląda przy tym jak zwykła wiejska buda.

– Bardzo mi się podoba twój dom – zaproponowała. – Wewnątrz jest piękny, ciepły i wygodny, meble idealnie do niego pasują. Nie ma sensu porównywać tych dwu domów. Nasz jest taki, jaki zostawił ojciec – dodała chłodno. – Chcemy z Sari wprowadzić jakieś zmiany, gdy tylko ten zabójca zniknie z naszego życia. Mam nadzieję, że szybko się tak stanie.

– Też mam taką nadzieję, kochanie. A jak na razie masz doskonałą ochronę.

– Mówisz o naszych ochroniarzach.

– Tak, o nich też. Ale zdaje się, że Mikey umieścił tu kilka raczej nietypowych osób do pomocy.

– Więc o to chodzi – mruknęła pod nosem.

– To znaczy?

– Pielęgniarki powiedziały, że po szpitalu krążą dziwni faceci ze szczotkami, mopami albo z wózkami. Nie wiedzą, kto ich zatrudnił, bo tak naprawdę ci ludzie nic nie robią.

– Och, robią. Na rozkaz Mikeya pilnują ciebie.

– Mikey to rozbójnik – skwitowała z uśmiechem.

– Ale sympatyczny rozbójnik. Dobrze mieć kogoś takiego po swojej stronie.

– Tak, to prawda. – Odetchnęła głęboko. – Nadal dają mi środki przeciwbólowe, przez co wciąż jestem senna.

– To może trochę się prześpij, a ja pójde sprawdzic, w co ktoś taki jak ja może się ubrać w Jacobsville.

– Wysokie buty, dzinsy i sztruksowe koszule, głównie taka jest u nas oferta – powiedziała sennie.

– Może uda mi się znaleźć coś bardziej oryginalnego.

- Byle nie za bardzo, bo ktoś mógłby cię wziąć za płatnego mordercę.

- Jestem za wysoki - zażartował. - A wiadomo, że płatni mordercy są niscy i łysi.

- Naprawdę? - Udało jej się jeszcze uśmiechnąć, po czym odpłynęła w sen.

Ren wstał, delikatnie pocałował ją w czoło i wyszedł z pokoju. Tuż za drzwiami jeden mężczyzna stał wsparty na mopie, a drugi na szczotce. Obaj skinęli mu nieznacznie.

Odpowiedział im uśmiechem i ruszył dalej przed siebie.

Ku swemu zaskoczeniu na głównej ulicy miasteczka natrafił na sklep z ekskluzywną odzieżą męską. Obkupił się w ubrania, nabył też nowego stetsona, pierwszego stylowego stetsona, jakiego kupił od lat. Zapakował to wszystko do luksusowego auta wypożyczonego w Jacobsville - powtórnie poczuł się zaskoczony, gdy w tak małym mieście znalazł wypożyczalnię samochodów - i udał się do pobliskiej kawiarni na lunch.

Ze zdziwieniem stwierdził, że wszyscy goście gapią się na niego. Poczuł się nieswojo. Podszedł do lady i zamówił burgera oraz frytki.

- Pan nietutejszy, prawda? - z przyjaznym uśmiechem spytała wysoka blondynka w średnim wieku.

- Nie, jestem z Wyomingu.

- Pan Ren Colter, prawda?

- Cóż... tak - odparł jeszcze bardziej zdumiony.

- Jak się miewa Merrie? - spytał jakiś gość zza jego pleców. - Wyzdrowieje?

- Tak. Już nie leży na intensywnej terapii, czuje się o wiele lepiej - odparł Ren.

Wysoki mężczyzna w garniturze i stetsonie pewnie tak drogim jak kapelusz Rena zatrzymał się obok niego w drodze do wyjścia.

- Proszę jej powiedzieć, że Ballengerowie pytają o nią i przesyłają pozdrowienia, dobrze? - poprosił. - Jestem Justin. Mamy z bratem pastwiska, prowadzimy hodowlę bydła i produkujemy pasze.

- Korzystałem z waszych usług dwa lata temu. - Ren z uśmiechem uściskał mu dłoń. - Świetna robota.

- Dzięki. Teraz głównie ja zajmuję się tym biznesem, bo brat wygrał wybory i przeniósł się do Waszyngtonu, gdzie reprezentuje Teksas w senacie.

- Jeśli znajdzie sposób na to, żeby rząd trzymał się z daleka od naszych rancz - półkpiąco stwierdził Ren - to co roku dostanie ode mnie kartkę na Boże Narodzenie.

- To samo mu powiedziałem - zgodził się rozbawiony Justin.

- A ty co się tak obijasz? - spytał go Cash Grier z teatralnie groźną miną. - Przy autostradzie tuż za miastem są twoje dwa byczki roczniaki. Hayes Carson zamierza cię pozwać za wypasanie bydła na ziemi należącej do hrabstwa.

Justin zaśmiał się i wymieniając uścisk dłoni z Cashem, powiedział:

- Czasy są ciężkie, a pastwisko jesienią nierówno zarośnięte, stąd to zamieszanie. A ty wpadnij do nas na kolację z Tippy i dziećmiakami.

- Rzadko wychodzimy wieczorami. Siedzimy i usypiamy najmłodsze.

- Wiem, znam to. Choć wszyscy moi synowie są już w college'u. - Pokręcił głową. - Czas ucieka.

- To prawda. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia. - Cash spojrzał na Rena. - Już pan zamówił?

- Tak.

- Barbaro, znajdziesz miskę chilli i czarną kawę dla przepracowanego i niedofinansowanego gliniarza? - zawołał.

- Momencik, szefie.

Cash położył banknot pięciodolarowy na blacie i zaprowadził Rena do stolika przy oknie.

- To gliniarz. Schowajcie broń automatyczną - odezwał się jeden z kowbojów.

- Nie masz żadnej automatycznej broni, Fowler - odparował Cash.

- Skąd wiesz? - zażartował Harley Fowler. - Może mam rewolwer w bucie.

- Żaden szanujący się rewolwer nie wcisnąłby tam swojej lufy

- skwitował pogardliwie Cash.

- Kim jest ten wysoki gość? - spytał Harley. - Kochaś panny Merrie?

Ren wybuchnął śmiechem, a rozbawiony Cash odparł:

- Tak, to on.

- Jak będzie pan potrzebował kogoś do pomocy, żeby załatwić tego drania, który ją prześladowa, niech pan da nam znać - powiedział Harley. - Zbierzemy grupę ludzi i wybierzemy się na polowanie.

- Nie w moim mieście - twardo odparł Cash.

- Pewnie, że nie w twoim mieście, szefie - zgodził się Harley - Na głuchej prowincji.

Cash machnął na niego ręką.

- Zjedz swoją kanapkę i wracaj do roboty, bo zadzwonię do Cyrusa Parksa i powiem mu, że zbierasz bandę zabijaków, żeby dokonać linczu.

- A gdzie tam, piję tylko kawę i jem kanapkę z boczkiem, sałatą i pomidorem - odparł Harley z uśmiechem. - Więc panna Merrie ma się dobrze?

- Dzięki, ma się coraz lepiej - odparł Ren.

- Słodka i utalentowana z niej dziewczyna. Zrobiła portret mojej żony. Wyszła jak żywa, myślałem, że to zdjęcie.

- To prawda, ma rzadko spotykany talent - zgodził się Ren.

- Niech pan jej powie, że wszyscy się o nią martwimy - dodał Harley.

- Jasne - obiecał Ren.

Cash uśmiechnął się, kiedy Barbara przyniosła mu chilli, a dla Rena burgera i frytki, i dwie kawy.

- Dzięki - rzekł Cash.

- Trzeba dbać o policjantów, żeby dobrze się odżywiali i byli szczęśliwi - powiedziała Barbara - bo inaczej przestępczość odbije się na moich zyskach.

- Jeśli chcesz mnie uszczęśliwić, wygłoś za mnie mowę w Klubie Rotariańskim w czwartek - ponuro skwitował Cash.

- Dasz sobie radę.

- Nie znoszę przemawiać publicznie. Życie było prostsze dziesięć lat temu.

- Kiedy czołgałeś się w dżungli w kamuflażu snajpera? Daj spokój. - Przewróciła oczami. - Jak będziesz jeszcze czegoś potrzebował, zawołaj.

- Dzięki.

Ren spojrzał na Casha znad burgera i spytał:

- W kamuflażu snajpera?

- Tak.

- Barton był snajperem w moim oddziale w Iraku, nosił kamuflaż snajperski.

- Długo z tego żyłem - wyjawiał Cash - podobnie jak paru innych miejscowych, w tym jeden z naszych lekarzy, Carson Farwalker.

- Poznałem go w szpitalu.

- To dobry człowiek - powiedział Cash.

- Miałem w oddziale jeszcze dwu ludzi z tej okolicy, Caga Harta i Blake'a Kempa.

- Cag prowadzi biuro nieruchomości Hart Ranch Properties z siedzibą w Jacobsville - poinformował Cash. - Blake Kemp jest naszym prokuratorem okręgowym.

- Słyszałem, jak siostra Meredith wspominała o Kempie. Pracuje dla niego, prawda?

- Tak. Dopiero zaczęła, ale jest dobra.

- Kocha siostrę.

- Taa... - Twarz Casha stężała. - One dwie przeciw ojcu. Cholernie zły człowiek. Niestety gdy one były dziećmi, ja jeszcze nie byłem szefem policji, bo inaczej drań zgniłby w więzieniu, a ja miałbym gdzieś cały jego majątek.

- Meredith wyznała, że miała ciężkie życie - powiedział cicho Ren.

- Obie tak miały, ale jak stary łajdak umarł, wreszcie zaświeciło dla nich trochę słońca. Zwłaszcza dla Sari. - Uśmiechnął się. - Chociaż zanim w końcu wyszła za Paula, nie mieli łatwo. W ogóle nie chciała z nim gadać, kiedy tu wrócił, więc złapał ją, wrzucił do samochodu i tam się z nią rozmówił.

- Uparty gość - skomentował rozbawiony Ren.

- Jeden z najlepszych ludzi po naszej stronie barykady, choć cała jego rodzina to gangsterzy i mafiosi, którzy prawo mają za

nic.

- Mikey - mruknął Ren, a gdy Cash uniósł brwi, dodał, wzruszając ramionami: - Był moim podwładnym w Iraku, tak jak Barton i Rogers.

- Świat jest mały.

- Bardzo. - Ren wypił łyk kawy.

- Słyszał pan, że złapali tego kierowcę pikapa w Houston dziś rano i że już nie żyje?

- Taa... Mikey nam powiedział.

- Ktoś wykończył go w jego celi - mówił dalej Cash. - Sądzą, że dostał coś, co spowodowało atak astmy. Lekarz dał mu zastrzyk epinefryny w serce.

- Miał arytmie.

- Tak - przytaknął Cash. - Moja sekretarka, żona Carsona Farwalkera, choruje na astmę. Na szczęście nie ma arytmii serca, ale wiem, jak nie wolno pomagać astmatykowi, który ją ma.

- Więc kierowca nie żyje. Nie sądzę, żeby wiedział cokolwiek, co by pomogło schwytać prawdziwego mordercę - kontynuował Ren. - Ale wiemy, kogo ten zabójca szuka. I że niedługo się tu pojawi.

- Sari i Merrie pilnują najlepsi ochroniarze, są bezpieczne w Jacobs...

- Podobnie jak prezydent Kennedy w Dallas - wpadł mu w słowo Ren.

- Cóż, jeśli ktoś gotów jest zginąć, by zginął ktoś jeszcze, to nic go nie powstrzyma.

- Miejmy nadzieję, że nie planuje samobójczej misji, byle tylko dopaść Meredith - odparł Ren. - Gdyby miał takie skłonności, już dawno by nie żył.

- Słuszna uwaga.

Ren, który skończył już lunch, powiedział:

- Skoro mam już łachy na zmianę, to wracam do szpitala. Nawet się nie spakowałem, tylko popędziłem na lotnisko, kiedy się dowiedziałem, że Meredith jest ciężko ranna.

- Zyska pan punkty u jej bliskich - z uśmiechem skwitował Cash.

- To prawda. Miło było porozmawiać.

- Wpadnę później spytać, jak ona się czuje.
- Powiem im.

Ren wrócił z zakupami do domu Graylingów i przebrał się, po czym pojechał znów do miasta zobaczyć się z Meredith.

Kiedy wszedł do jej szpitalnego pokoju, zauważyła z uśmiechem:

- Wyglądasz inaczej.
- Nigdy mnie nie widziałaś w normalnym ubraniu - odparł, wskazując na świetnie uszyte czarne materiałowe spodnie i czarny sweter, który miał pod marynarką. W ręce trzymał nowego kremowego stetsona.

- Bardzo ci w tym ładnie - dodała.

Uśmiechnął się, po czym musnął jej miękkie wargi czułym pocałunkiem.

- Zjadłem burgera i frytki, a także odbyłem dłuższą pogawędkę z tutejszym szefem policji i kilkoma nieznanymi.

- Tak?

Rzucił kapelusz na krzesło, usiadł na drugim, stojącym bliżej łóżka, i wziął Merrie za rękę.

- Mnóstwo osób życzy ci powrotu do zdrowia. Musisz spytać Grier, kto to był, bo ja straciłem rachubę.

- Znam tu wszystkich - powiedziała z uśmiechem. - Ojciec nie udzielał się towarzysko, ale po jego śmierci spędziłam mnóstwo czasu w kawiarni.

- Właścicielka jest bardzo miła. Przesyła ci pozdrowienia.

- Kochana Barbara. Jej syn jest porucznikiem policji w San Antonio. - Spoważniała. - Czy szeryf Grier powiedział ci o kierowcy pikapa?

- A ty skąd o tym wiesz? - Ren uniósł brwi.

- Mikey wpadł do mnie, zanim poszedł na lunch. Uważa, że ma pomysł, jak powstrzymać zabójcę.

- Ma pomysł? - spytał Ren. - Jaki?

- Nie chce powiedzieć. Mówi, że porozmawiamy o tym, jak wrócę do domu. A to potrwa, bo raczej nie wyjdę wcześniej niż za kilka dni. - Poruszyła się niespokojnie. - Strasznie jestem obolała.

- Trzeba czasu, żeby wszystko się wygoiło - próbował ją pocieszyć - ale nawet się nie obejrzysz, jak wyzdrowiejesz. A my będziemy cię tu chronić. Policja sprawdza wszystkich obcych, którzy pojawiają się w szpitalu.

- A w domu? - spytała zatroskana.

- Mikey pokazał Rogersowi i Bartonowi, gdzie jego zdaniem snajper mógłby się przycziąć. Cały dom jest zabezpieczony, nikt się tam nie prześlizgnie.

Merrie odetchnęła głęboko, krzywiąc się przy tym.

- Wciąż mnie boli przy oddychaniu - wyznała.

- Tak już jest ze stłuczeniami, a ty porządnie oberwałaś, uderzenie było bardzo gwałtowne.

- Może wiesz, jak to dokładnie wyglądało? Jeszcze nie rozmawiałam o tym z lekarzem.

- Gdy doszło do kolizji, zostałam z ogromnym impetem rzucona na drzwi po drugiej stronie tylnego siedzenia, przez co masz obtłuczone organy wewnętrzne. Obawiają się zapalenia płuc, dlatego dają ci antybiotyki. - Przerwał na moment, po czym dodał z uśmiechem: - Wyjdiesz z tego. Najgorsze masz już za sobą, teraz będzie tylko lepiej.

- Mam nadzieję. - Zawahała się. - Ren, miałeś jakieś wieści o swojej mamie?

- Nie. - Milczał przez chwilę. - Randall powiedział, że jeszcze nie dostali wyniku biopsji.

- Kiedy go dostaną, pojedziesz do niej, jeśli cię o to poprosi?

Wyglądał na zakłopotanego. Przez jakiś czas wpatrywał się w jej drobną dłoń spoczywającą na jego dłoni, zanim znów się odezwał:

- Podjąłem w życiu kilka złych decyzji. Ta dotycząca ciebie była najgorsza. - Patrzył badawczo w jej szaroniebieskie oczy. - Ale ta dotycząca mojej matki też była fatalna. Jej słowa mnie zabolowały, i to bardzo, ale powinienem zostać i porozmawiać z nią o tym. Niestety duma wypchnęła mnie za drzwi.

- Nikt nie jest doskonały.

- A ja najmniej, kochanie... - Uśmiechnął się do niej, widząc w jej oczach, że to czułe słowo sprawia jej przyjemność. - Jednak patrząc na to z drugiej strony, to mogę powiedzieć, że na-

pędzany goryczą i złością zbudowałem prawdziwe imperium. Chciałem, żeby ojciec odniósł sukces, chciałem pokazać matce, że zostawiając go, popełniła wielki błąd. I cóż, jestem bogaty. Tyle że pieniądze to nie wszystko.

- Zgadzam się, Ren. Dobrze jest je mieć, lecz szczęście nie od nich zależy.

- Dowiedziałem się tego w bolesny sposób. - Pochylił się ku niej. - Najgorsze było to, że zostawiłem brata. Kocham Randalla od dnia, kiedy się urodził. Wszystko bym dla niego zrobił.

- On tak samo mówi o tobie. - Badawczo patrzyła mu w oczy. - Chciał mnie chronić, gdy ci powiedział, że jestem jego... - Zaczzerwieniła się. - Ale nie taka jest prawda. Zawsze był dla mnie tylko przyjacielem i nie mógłby być nikim więcej.

- Powinienem się tego domyślić, skoro wszystko na to wskazywało. - Uniósł jej dłoń do warg. - A jednak okazałem się ślepcem.

- Czułeś się zraniony i uznałeś, że jestem taka sama jak ona.

- Tak, i zapłaciłem za to. - Musnął ustami jej palce. - W niczym jej nie przypominasz. Angie jest jak sztuczna błyskotka, a ty jesteś czystym złotem.

- Dziękuję. - Znów zalała się rumieńcem.

- Lubię twoją siostrę - wyznał z uśmiechem. - Gdy tylko pojawiłem się w Jacobsville, wypowiedziała mi wojnę, by chronić cię przed takim łotrem jak ja, ale gdy zrozumiała, ile dla mnie znaczysz, zawiesiła strzelbę na kołku.

- Ile... dla ciebie znaczę? - powtórzyła.

- Posłuchaj... Muszę ci powiedzieć...

Chłoneła każde jego słowo, gdy nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła niczego nieświadoma Sari.

- Cześć. - Uśmiechnęła się do Rena i podeszła do łóżka, żeby pocałować siostrę w czoło. - Jak się czujesz?

Merrie próbowała się uspokoić. Kochała siostrę, ale była zła, że zjawiała się tak bardzo nie w porę. Mimo to odparła z uśmiechem:

- Czuję się lepiej, tylko wciąż jestem obolała.

- Czyli boli, ale idzie ku dobremu, tak? - Gdy Merrie potaknęła, Sari mówiła dalej: - Rozmawiałam z Paulem. Agenci z jego

biura wysłedzili płatnego zabójcę w San Antonio.

- O Boże! - Serce Merrie zamarło.

- Nie martw się - zdecydowanym głosem oznajmiła Sari, uważając, że Ren też pobladł. - Obserwują go. No i Mikey bardzo aktywnie się włączył.

- Co on zamierza? - spytała Merrie.

- Dowiesz się, jak wrócimy do domu. Zadbaj o to, żebyś miała zapas farb, pędzli i tak dalej. Brand Taylor przesyła ci pozdrowienia i ma nadzieję, że szybko staniesz na nogi.

- Kupiłam jego galerię - powiedziała Merrie do Rena, ale na widok jego ponurej miny poczuła wyrzuty sumienia, dodała więc szybko: - Zatrudnię kierownika - na co Ren trochę się wy-pogodził. Ona zaś, przypomniawszy sobie słowa siostry, spytała: - Czemu potrzebuję dużo farb i pędzli?

- Mikey już tu idzie. On ci powie.

Ren spojrział zaciekawiony na Sari, która sprawiała wrażenie, że coś ukrywa i jest zakłopotana z tego powodu. Zerknął więc na Merrie, ale zrobiła minę pod tytułem: „Naprawdę nie wiem, co jest grane”.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ren właśnie zamierzał się odezwać, kiedy do pokoju wkroczył Mikey. Objął wszystkich spojrzeniem i szeroko się uśmiechnął.

Merrie patrzyła na niego z niepewnym uśmiechem.

- Witaj, kuzynie.

- Cześć, laleczko. Lepiej się czujesz?

- Dużo lepiej, dziękuję. I dziękuję, że towarzyszyłeś Mandy w poczekalni, kiedy leżałam na intensywnej terapii. Dzięki temu nie była sama, a pozostali mogli trochę się przespać.

- Nie ma za co.

- Gdybym mogła ci się jakoś odwdzińczyć... - zaczęła.

Mikey odchrząknął, wchodząc jej w słowo:

- No, prawdę mówiąc, to...

- Co? - ponagliła go.

Podszedł bliżej łóżka, zerkając ostrożnie na Rena.

- Ktoś ci na pewno powiedział, że ten czyszciciel, ten płatny morderca cieszy się sławą, bo nigdy nie partaczy roboty, tak?

- Tak - potaknęła z obrzydzeniem.

- Bo wiesz, on jak już weźmie kasę, to nigdy nie odpuszcza i robi wszystko, by wykonać zlecenie.

- Tak, wiem.

- No więc zaprosiłem do mojego domu pewnych ludzi, których nieźle znam, i pogadałem z nimi. - Przerwał na moment. - Prawdę mówiąc, rozmawiałem z samym szefem.

Merrie szeroko otworzyła oczy. Tak jak i Ren, patrzyła na Mikeya z oczekiwaniem.

- No więc ten szef widział mój portret, który namalowałam. Pamiętasz, mówiłem ci, że był pod wrażeniem?

- Tak, pamiętam.

- Więc chodzi o to, że on bardzo by chciał, żebyś namalowała jego portret. Mówi, że jak się zgodzisz, zajmie się tym naszym zabójcą.

- Odwoła zlecenie? - spytała podekscytowana, a jej twarz pojaśniała

- No, coś w tym rodzaju...

- W takim razie chętnie namaluję jego portret.

Ren podszedł do tego pomysłu z mniejszym entuzjazmem.

- Meredith... - próbował ją ostrzec.

Jednak przerwała mu:

- Nie możemy pilnować wszystkich drzwi, wszystkich okien, wszystkich ulic. Ren, skoro on dostał się na twoje ranczo, a wiem, jakie masz zabezpieczenia, znaczy to tyle, że może dostać się wszędzie.

- Wiem. - Westchnął ciężko.

- To tylko obraz. - Merrie podniosła wzrok na Mikeya. - Ten szef nie jest poszukiwany w Teksasie?

- Nie, akurat w Teksasie nie.

- Paul dostanie zawału, jak się dowie - stwierdził Ren.

- Nie dostanie, jeśli dzięki temu uratujemy ci życie, laleczko - skwitował Mikey. - To poważny klient, który chce mieć swój portret. Widział twoje prace w galerii i uważa, że jesteś niesamowita. Chce, żebyś go namalowała, a on powiesi swój portret nad kominkiem. Czy to coś złego?

- Jak mówi pan o tym w ten sposób, to nie - odparł Ren.

- Widzisz? No i pięknie. Paul nie będzie miał nic przeciw.

- Doktor Coltrain mówi, że wyjdę do domu w piątek - podjęła Merrie.

- Powiem twojemu klientowi - rzekł Mikey. - Do piątku poczujesz się dużo lepiej. Będiesz mogła malować, prawda?

Zaśmiała się. Pewnie będzie malowała ze zdjęcia, jak w przypadku portretu Mikeya, który kiedyś zamówił u niej Paul.

- Tak, oczywiście.

- Przekażę mu.

- Czy on może zabrać stąd tego zabójcę, zanim zacznę malować? - chciała wiedzieć Merrie.

- Jeszcze dziś się tego dowiemy. Na razie. - Mikey oddalił się z tajemniczym uśmiechem.

Sari udała się do swojego biura, zostawiając siostrę i Rena sa-

mych.

- Jak Paul się dowie - zaczął Ren - wszyscy będziemy mieć przechlapane.

- Jeżeli tego człowieka nie poszukują w Teksasie, to nie jest to problem Paula - zauważyła Merrie. - Z drugiej strony chodzi o moje życie, więc o czym my mówimy? Na Boga, mam tylko namalować obraz.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, kochanie. - Ścisnął jej dłoń.
- Pragnę tylko jednego: żebyś żyła.

Patrząc mu w oczy, poczuła, że serce zabiło jej mocniej. Wybiegła myślą w przyszłość nie tylko do obrazu, który może uratować jej życie, ale także do nowego początku z jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek pragnęła.

- Podoba mi się w Jacobsville. - Uniósł jej dłoń do warg i pocałował. - Przypomina mi Catelow. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

- To prawda. - Dotyk jego warg przyśpieszył jej puls.

- Masz tu wielu przyjaciół. - Szczypnął zębami skórę na jej kciuku.

- Mieszkam tu... całe życie - powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

Przesunął wargi na jej nadgarstek.

- A ja przez większą część życia mieszkam w Catelow. - Smak jej skóry przyśpieszył bicie jego serca. Nie przypominał sobie, by dotyk innej kobiety sprawiał mu tyle przyjemności.

Ona zaś miała coraz większy problem z oddychaniem. Spojrzała Renowi w oczy i odniosła wrażenie, że patrzy na nią jak wygłodniałe dzikie zwierzę. Tyle że jakoś się tej bestii nie wystraszyła...

- Tęskniłem za tobą - szepnął. - Kiedy opuściłaś Skyhorn, zdawało mi się, że już na zawsze zapadła ciemność.

- Też za tobą tęskniłam - przyznała drżącym głosem.

Pochylił się nad nią, patrząc jej prosto w oczy.

- Więcej mnie nie zostawisz... - Pieścił jej wargi swoimi wargami, muskając je delikatnym pocałunkiem w ciszy tak pełnej napięcia, że Merrie bała się, że wybuchnie. - Nigdy więcej nie dam ci powodu do ucieczki, Meredith. Nigdy więcej.

Odebrało jej głos. Wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Rena, zafascynowana wyrazem jego twarzy.

- Słowa nie są w stanie wyrazić tego, co czuję. - Znow pochylił się do jej warg.

Ten pocałunek w niczym nie przypominał dotychczasowych pocałunków Rena. Był czuły, nieśpieszny, pełen szacunku, troski i zadziwienia. Merrie zamknęła oczy, jej dłoń przesunęła się na tył jego głowy, a on nie przestawał jej całować.

Cichutko pojękiwała, a jego wargi żądały coraz więcej... aż drzwi pokoju otworzyły się raptownie, a oni błyskawicznie odsunęli się od siebie.

- Pora na lekarstwa - oznajmiła pielęgniarka. - Przepraszam - dodała, kiedy zauważyła ich rozpalone twarze i zmieszane spojrzenia.

Ren wyprostował się, powtarzając w myśli tabliczkę mnożenia, ponieważ trudno było ukryć, co czuł w tym momencie.

- Pójdę po kawę i zaraz wrócę - powiedział, ruszając do drzwi.

Merrie drżącą ręką odebrała kubeczek z pigułkami.

- Przystojniak - powiedziała pielęgniarka. - Długo go pani zna?

- Całe życie. No, niezupełnie, ale tak mi się zdaje - poprawiła się Merrie z nieśmiałym uśmiechem.

- Tak samo było ze mną i z moim mężem - wyznała pielęgniarka. - Ledwie go pierwszy raz zobaczyłam, a już czułam, jakbym znała go od zawsze. Nigdy tego nie zrozumiałam, ale tak było. - Uśmiechnęła się. - Mamy trzech synów. Nie myślałam, że człowiek może być tak szczęśliwy.

- Mam nadzieję, że też się o tym przekonam. - Merrie cicho się zaśmiała.

Ren wrócił kilka minut później z kubkiem czarnej kawy i opadł na krzesło. Merrie wciąż była cudownie onieśmielona i potargana.

- Przyłapali nas - powiedział roześmiany. - Cały szpital będzie o nas plotkował. Pewnie niedługo przyślą przyzwoitkę.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła z uśmiechem.

- Okej. - Też się roześmiał. - Ale nie posuwajmy się za daleko, dopóki nie wyzdrowiejesz. - Przesunął wzrokiem po jej ciele ukrytym pod kołdrą. - To byłoby dla ciebie zbyt wyczerpujące, no, w takim stanie.

- Zbyt wyczerpujące? - spytała.

- Przekonasz się - odparł z uśmiechem.

W piątek zawieźli Merrie do domu. Wciąż niepewnie trzymała się na nogach i nadal była obolała, mimo to czuła się jak nowo narodzona.

Kiedy limuzyna zajechała przed drzwi frontowe Graylingów, Ren wysiadł pierwszy, ostrożnie wziął Merrie na rękę i wniósł ją do środka.

- Ren, jestem za ciężka. Tam są schody...

- Kochanie - rzucił rozbawiony - codziennie dźwigam ciężary, które ważą dwa razy tyle co ty. - Patrzył jej w twarz, wchodząc po schodach. - Ważysz tyle co nic. Musisz więcej jeść.

- Od lat jej to powtarzam, panie Ren! - zawołała Mandy, która stała w progu kuchni. - Witamy w domu, panno Merrie.

- Dziękuję, Mandy. Cieszę się, że znów jestem u siebie.

- Jak się położysz, przyniosę lunch. Zrobiłam potrawkę z ostryg.

- Moją ulubioną!

- Wiem - odparła z uśmiechem i wróciła do pracy.

- Ona mnie rozpieszcza - skwitowała Merrie, patrząc na Rena rozkochanym wzrokiem.

- Nie patrz tak na mnie, bo znajdziesz się w kłopotach - mruknął pod nosem.

- Naprawdę? - Musnęła ustami jego policzek, nos, a potem brodę. Dotykanie i całowanie Rena sprawiało jej wyjątkową radość. Wtuliła policzek w zagłębienie jego szyi. - Dużych kłopotach?

- Będę musiał zamknąć te drzwi na klucz i nie wyjdziemy stąd przez tydzień - odpowiedział, kiedy dotarli do wskazanych przez nią drzwi, za którymi znajdował się jej pokój.

Ren wszedł do środka i zaniósł Merrie do łóżka, gdzie ostrożnie ją położył.

- Nareszcie w domu - stwierdził schrypniętym głosem.

- Tak. - Wciąż trzymała go za szyję, a jemu jakoś to nie przeszkadzało.

Położył się obok niej i pochylił głowę, żeby ją pocałować. Robił to bez pośpiechu, za to ze znajomością rzeczy. Był czuły i spragniony jej ust. Merrie cicho wzdychała i przyciągała do siebie jego głowę.

- Czy tego chcesz? - spytał cicho, kładąc się znów obok niej, i położył dłoń na jej klatce piersiowej.

- Och... tak - wydusiła, a jej słowa zabrzmiały jak jęk rozkoszy. Uniosła plecy, pragnąc czegoś innego, czegoś więcej.

Ren zauważył preżące się pod jej bluzką piersi i uśmiechając się pod nosem, zabrał się do guzików.

Merrie tego pragnęła, a jednak wyglądała na zaniepokojoną.

- Mandy zaraz przyjdzie z lunchem - szepnęła, gdy rozpiął wszystkie guziki i wsunął ręce pod bluzkę i obsyty falbanką miękki biustonosz.

Dotknął jej bardzo delikatnie. Wygięła plecy, szukając wzrokiem jego oczu.

- Nie bawię się tobą - powiedział. - To nie jest żadna gra. - Gdy znów zadrżała, dodał: - Należysz do mnie. - Opadł wargami na jej wargi i wyszeptał: - Jesteś moja, Meredith. Tylko moja...

Trzymała się, jak mogła, kiedy zabrał ją do krainy rozkoszy, o jakiej nigdy nie śniła, dzięki środkom przeciwbólowym nieświadoma bólu i swoich urazów. Uwielbiała jego wygłodzone wargi na swoich wargach, ale te nagle znalazły się pod jej bluzką, pod stanikiem, który rozpiął, nie przerywając jej całować. Przycisnął wargi do jej nagiej piersi i wziął do ust sutek.

Krzyknęła. Rozkosz była tak obezwładniająca, że Merrie cała się trzęsała, a Ren nie wypuszczał z ust twardego wyprężonego sutka. Przycisnął biodra do jej bioder, z trudem panując nad pożądaniem, i nawet w tym momencie uważał, by nie przygnieść jej swoim ciężarem.

Jego erekcja wzbudziła w niej zachwyt i odrobinę lęku. Zdało się, że do pewnego stopnia stracił nad sobą kontrolę, a ona wiedziała, że już go nie powstrzyma. Nie chciała tego zro-

bić. Kochała Rena.

Lecz on nagle odsunął się od niej, zawieszając wzrok na jędrnych drobnych piersiach z wilgotnymi twardymi sutkami i czerwonymi śladami, które zostawiły jego wargi.

- O Boże - szepnął.

Usiadł i zadrżał, bo musiał nad sobą zapanować. Jego ciało się temu sprzeciwiało. Udało mu się wstać i podejść do okna, skąd wyjrzał na ogrodzone pastwisko za domem. Trząśnięcie się całe z niezaspokojonego pożądania.

- Przepraszam - powiedziała Merrie zdenerwowana jego reakcją. Włożyła stanik i poprawiła bluzkę. Ren wyglądał na zdruzgotanego. - Bardzo przepraszam...

- Nic mi nie będzie - odparł uspokajającym głosem. - To moja wina, pośpieszyłem się, chciałem zbyt wiele. Dopiero wyszłaś ze szpitala. - Skrzywił się. - Nie sprawiłem ci bólu?

- Och nie - zapewniła, a nawet zdołała się uśmiechnąć. - Biorę środki przeciwbólowe... - Wciąż czuła jego smak na wargach. Całując go, czuła się jak w niebie.

- To tyle jeśli chodzi o zamartwianie się, że nigdy mi nie wybaczysz. - Uśmiechnął się.

Nie rozumiała, co miał na myśli.

- Tworzymy namiętą parę. - Intensywnie patrzył jej w oczy. - Bardzo mi się to podoba.

- Mnie też. - Była już spokojniejsza, nawet się zaśmiała.

- Gdy już staniesz na nogi - kontynuował - będziemy musieli podjąć pewne decyzje.

- Ren... - Przygryzła dolną wargę. - Jestem dość staroświecka...

- To nie problem, kochanie.

- Ale...

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Mandy, niosąc tacę, a na niej gulasz z ostryg i cappuccino.

- Zrobiłam ci też twoją ulubioną kawę - powiedziała. - A dla pana i Avengersów mam smaczne steki i sałatkę na dole.

- Dziękuję, Mandy. - Uśmiechnął się.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę, kochanie. - Postawiła tacę z nóżkami na łóżku Merrie, zauważając przy tym

jej nabrzmiałe wargi i zaczerwienione policzki, ale powstrzymała się od komentarza. – Jedz, póki gorące.

– Dziękuję.

– Jesteś moim maleństwem – rzekła łagodnie Mandy. – Muszę się tobą opiekować.

– Zejdę na dół i zjem coś, a zaraz potem wrócę. – Ren posłał Merrie uśmiech.

– Okej – odparła, a ze szczęścia brakowało jej tchu.

Wychodząc z pokoju, Ren roześmiał się radośnie.

Po jakimś czasie wrócił do sypialni Merrie, ale zanim zdołał jej powiedzieć to, co zamierzał, ich uwagę zwrócił jakiś hałas na dole.

Ren otworzył drzwi i zaczął nasłuchiwać.

– ...mówiłem, że nie można działać w ten sposób – gniewnie mówił Barton. – Mamy już ochronę.

– No to teraz macie więcej ochrony – rozległ się niski, zgrzytliwy głos. – Gdzie jest ta mała? Chcę zobaczyć więcej prac. Całkiem z niej niezła portrecistka.

– Jest na górze – z głośnym westchnieniem odparł Barton.

– Ona to namalowała? Hm, dobre.

Było oczywiste, że oglądają dwa obrazy, które Meredith i Sari powiesiły krzywo na ścianie w holu.

Potem dobiegł ich głośny tupot, a po chwili do pokoju wszedł Mikey, a za nim wkroczył mężczyzna z widocznymi bliznami. Od razu kojarzył się z lwem. Był władczy, twarz miał szeroką, wargi jakby wyrzeźbione, w falujących ciemnobrązowych włosach prześwitywały srebrne nitki. Wyglądał jak zapaśnik, był potężny i budził grozę niczym despotyczny władca. Miał czarne oczy, jak Ren.

– Ty jesteś ta mała? – Spoglądając na Merrie, uśmiechnął się, a jego groźna i pokryta bliznami twarz wyglądała trochę przyjaźniej.

– Jestem Meredith Grayling.

– Tony, Tony Garza. A jego chyba znasz. – Wskazał kciukiem Mikeya.

– To kuzyn Mikey – odparła z uśmiechem.

- Twój kuzyn? - Garza uniósł ciemne brwi.
- Tak naprawdę to kuzyn Paula, ale należy do rodziny - odparła, a Mikey uśmiechnął się z zakłopotaniem.
- Powiedział, że namalujesz mój portret - stwierdził Garza.
- Więc to był szef gangu...
- Myślałam... bo kiedy malowałam jego portret - wskazała Mikeya - Paul przysłał mi zdjęcie...
- Nie ma to jak żywy model, kiedy chcesz namalować portret.
- Garza spoważniał. - Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało. Już nikt nigdy cię nie skrzywdzi. Więcej o tym nie myśl, dobrze?
- Merrie zaczerwieniła się, a potem powiedziała z uśmiechem:
- Dziękuję, panie Garza.
- Wystarczy Tony. Wprowadzam się tu na parę dni. Mikey powiedział, że nie ma sprawy. Zgadza się?
- Oczywiście. - Znow się roześmiała. - Mamy mnóstwo miejsca.
- Oni mogą spać byle gdzie. - Wskazał dwóch krzepkich mężczyzn, którzy towarzyszyli mu jak cień.
- Na dole jest pusta sypialnia z podwójnym łóżkiem - powiedziała Merrie. - Nasi ochroniarze śpią w sąsiednim pokoju.
- Słyszałem, że są całkiem niezli.
- To prawda.
- Moi też są dobrzy. To Beppo, a ten drugi to Big Ben.
- Ochroniarze z kamiennymi twarzami skinęli głowami. Pod ich marynarkami widać było broń.
- Nie będziemy zawadzać - dodał Tony. - W mieście jest dobra restauracja...
- Chętnie ugotuję coś dla nowych gości, skoro są tutaj po to, żeby ratować moją dziecinę - odezwała się Mandy, stając w drzwiach. - Tak czy owak, zawsze dużo gotuję. Mogę zrobić domową lazanię.
- Kochana! - zawołał z entuzjazmem Tony Garza i ucałował ją w policzek.
- Panie Tony! - Mandy zaczerwieniła się jak młoda dziewczyna, a gdy Garza znow uniósł brwi, dodała: - Jestem z Georgii, a tam zwracamy się do ludzi po imieniu.

- Nawet mi się to podoba - skwitował Tony.
- Okej. - Uśmiechnęła się.
- No to cóż, rozgościmy się z chłopakami. A jeśli chodzi o portret, to nie ma pośpiechu. No, może trochę. Podobno roi się tu od agentów FBI, a tutejszy prokurator ma nas na oku, nie wspominając o szeryfie.
- Z FBI jest mój szwagier. Mieszka tutaj - wyjaśniła Merrie.
- Och, to pewnie przyprowadzi kolegów z pracy. - Tony westchnął.
- Nie będą przeszkadzać. Już ja tego dopilnuję - zapewniła Merrie.
- Okej, dzieciaku. - Roześmiał się. - Jesteś w porządku. - Dał znak swoim ludziom i wszyscy trzej wyszli z pokoju.
- Mandy ruszyła za nimi, nie kryjąc rozbawienia.
- Wygląda na to - powiedziała Merrie do Rena - że jestem już bezpieczna.
- To się nazywa pomoc w dokonaniu przestępstwa - mruknął oschle. - Jak pójdziesz do więzienia, to tak narozrabiam, że mnie też wsadzą za kratki.
- Nieźle, kowboju - mruknęła z wesołym błyskiem w oku. Pocałował ją delikatnie i wyszeptał:
- Dobrana z nas para. Nic i nikt nas nie rozłączy.
- Merrie promieniała.

Tej nocy niepokoiła się, że jest w pokoju sama. Sari proponowała, że z nią zostanie, ale zapewniła siostrę, że nic jej nie będzie.

Sari i Paul położyli się spać, a Merrie leżała i nie mogła zasnąć, bo wciąż myślała o płaćnym mordercy. Tony powiedział, że jest już bezpieczna, ale czy to prawda?

Ren otworzył drzwi do jej sypialni i nie zamknął ich, gdy wszedł do środka. Miał na sobie bordowe jedwabne spodnie od piżamy i luźny czerwony szlafrok. Położył się obok niej na łóżku i przyciągnął do siebie.

- Spij już - powiedział cicho, całując ją w czoło. - Oboje wiemy, że nie zaśniesz, jak będziesz sama.

Wstrzymała oddech, poruszona jego troską i zrozumieniem.

- Skąd wiesz? - spytała.
- Może jestem jasnowidzem?
- Moja rodzina...
- Drzwi są otwarte. - Zaśmiał się cicho. - I tak zostaną.
- Och, no to okej.

Przysunął się do niej. Ledwie widziała jego twarz w stłumionym blasku świateł alarmowych, który sączył się zza okna.

- Przecież się mnie nie boisz, prawda? - spytał półszepem.
- Och nie - szepnęła. - Ani trochę.

Uśmiechnął się i z wielką czułością opadł wargami na jej wargi. Potem wsunął rękę pod kołdrę, a potem pod delikatną jedwabną koszulę nocną, i położył ją na ciepłej piersi.

Merrie wsunęła palce w gęsty zarost na klatce piersiowej Rena, znajdując w tym niewypowiedzianą przyjemność, a gdy wstrzymał oddech, spytała:

- Podoba ci się?
- Tak. - Otarł policzek o jej policzek, a potem przeniósł wargi na jej szyję, dekolt, obojczyk, na jedwabistą skórę piersi. Rozchylił wargi, wziął do ust jej sutek i ssał wygłodniały.

Merrie uniosła się, a oddychała tak szybko, jakby biegła.

- O Boże - wyszeptał, po czym odsunął kołdrę i zdjął jej koszulę, która opadła na podłogę. - Meredith.

Całował ją całą, a ona wiała się w pościeli, dziękując Bogu, że wciąż jest na lekach przeciwbólowych, bo inaczej umarłaby z bólu. Kochała tę jego niecierpliwość, to oczywiste pożądanie, kiedy w gorączce przenosił wargi z jednej piersi na drugą. Potem zsunął je na miękki brzuch i na nim wyciskał pocałunki. Bardzo szybko przestał się kontrolować. A ona była tak samo wygłodniała. I niesamowicie na niego reagowała. Nie była w stanie go powstrzymać, a Ren nie wiedział, czy sam zdołałby się do tego zmusić.

To niedobrze. Przecież ona jeszcze nie wyzdrowiała. Dopiero co wyszła ze szpitala. Poza tym nigdy by tego nie wymazała z pamięci, obwiniłaby go. Miałyby sobie za złe...

Odsunął się od niej, drżąc z niespełnienia.

- Nie, kochanie - szepnął. - Pomóż mi.
- Co? - wyjąkała.

Przytulił ją mocno, starając się ignorować dotyk jej nagich piersi, trzymał ją przy sobie i kołysał.

- Nie ruszaj się, aż to minie - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Nie, kochanie, nie ruszaj się... nie rób mi tego. To boli, naprawdę boli... rozumiesz?

- Nie bardzo - szepnęła, ale i tak znieruchomiła, a on tylko trzymał ją w objęciach.

W końcu Ren nad sobą zapanował.

Po jakimś czasie pomógł jej włożyć koszulę nocną i przykrył ją kołdrą, narzucił na siebie szlafrok i znów wziął ją w ramiona.

Merrie odetchnęła głęboko. Wciąż czuła się obolała, choć już nie tak bardzo jak wcześniej.

- Skąd wiedziałeś... co zrobić?

- Dawno temu, kiedy byłem nastolatkiem, nauczyłem się gasić ten ogień. - Zaśmiał się. - Nigdy nie lubiłem dziewczyn, które oddawały się każdemu chłopakowi, który o to poprosił. Te, z którymi się umawiałem w tamtych czasach, były do ciebie podobne.

Nie miała ochoty wyobrazić sobie Rena z innymi kobietami, a już zwłaszcza teraz, kiedy przekonała się, jakim jest doświadczonym kochankiem, i poznała jego umiejętności. Tego, co z nią robił, nie nauczył się z książek. Była zazdrosna.

Musnął wargami jej ucho.

- Od miesiący z nikim nie byłem. I nigdy już nie będzie żadnej innej kobiety prócz ciebie. Do końca mojego życia - powiedział jej do ucha.

Wstrzymała oddech. To była poważna deklaracja.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Pogłaskała jego czarne włosy.

- Ale przestałeś...

Musnął wargami jej policzek i szyję.

- Z tobą odkrywam ten świat na nowo. Poza tym wciąż dochodzisz do siebie po zamachu na twoje życie, a ja nie mam nic, żeby się zabezpieczyć. A nie chcę, żebyś wspominała nasz pierwszy raz z żalem. Dziecko powinniśmy spłodzić po ślubie. Nie sądzisz?

- Po ślubie?

Uniósł głowę i spojrzał na Merrie.

- Jesteś dziewczcą, a tu wszędzie jest twoja rodzina. Wyobrazasz sobie, co zrobiłaby twoja siostra, gdybym cię uwiódł?

Na zewnątrz rozległy się kroki, do których dołączył rozbawiony głos Sari:

- Powaliłaby ciebie na glebę, związała jak baleron, wrzuciła do łajby, wywiozła na pełne morze, do nóg przywiązała ciężarki i cisnęła przez burtę rekinom na śniadanie.

- Cholera - mruknął Ren. - Przyłapani na gorącym uczynku.

Sari weszła do pokoju w szlafroku i koszuli nocnej, zapaliła lampkę nocną i stwierdziła z uśmiechem:

- Nie muszę pytać, czy zamierzałeś zachować się honorowo. Oboje jesteście ubrani, a drzwi są szeroko otwarte, czyli w sumie o co miałabym się czepiać, prawda? Rozumiem, że Merrie nie mogła spać?

- Tak, nie mogłam. - Cicho się zaśmiała.

- Właśnie opowiadałem jej bajkę na dobranoc - dodał Ren.

- Tak, jasne - skwitowała Sari. - Mogłabym uwierzyć, gdybyście tak nie wyglądali.

- A ty mogłabyś tak się nie wymądrzać? - wesoło odparowała Merrie. - Jeśli już zapomniałaś, to ci przypomnę, co zrobiłaś Paulowi na wyspach Bahama tamtej nocy, kiedy zostałaś uratowana. I to przy zamkniętych drzwiach.

- Och, Mandy za dużo gada - prychnęła Sari.

- Czyli co, przyganiał kocioł garnkowi? - prowokowała Merrie.

- Trudno zaprzeczyć... - Sari zachichotała. - Cóż, skoro nic ci nie jest, to wracam do łóżka - dodała z błyskiem w oczach.

- Czuję się bardzo dobrze - zapewniła ją Merrie i spojrzała na Rena z miłością. - Pewien kowboj z Wyomingu chce się ze mną ożenić.

- Naprawdę? - zdziwiła się Sari.

- Tak - odparł Ren, patrząc na Merrie. - To dla mnie ważniejsze niż oddychanie.

- No, no! - zawołała Sari. - Czyli pewnie zamieszkacie w Wyomingu.

- Jest Skype - odparła rozpromieniona Merrie. - I będziemy was odwiedzać. A wy możecie przyjechać do nas.

- Owszem, jest Skype. I szczerze pragnę, żebyś była szczęśliwa, kochanie - odparła ciepło Sari. - Nawet w Wyomingu.

- Dzięki, siostrzyczko.

- Wracam do łóżka. - I dodała z westchnieniem: - A ty jutro zabierasz się do pracy.

- Na to wygląda. - Merrie uniosła brwi. - Czy to nie ekscytujące? W naszym domu jest sam ojciec chrzestny.

- A ja ci dobrze radzę, postaraj się, żeby to był najlepszy portret, jaki namalowałaś w swoim życiu - zażartowała Sari.

- Jasne... - Zadumała się na moment. - Wiesz, jaka to ulga? Boże, błogosław Mikeya, że wpadł na ten pomysł.

- Zgadzam się z tobą. Dobranoc. - Wyszła, nie zamykając za sobą drzwi.

Ren przyciągnął do siebie Merrie.

- Śpij - powiedział. - Jak skończysz portret, wybierzemy datę ślubu, miejsce, obrączki i w ogóle wszystko, co konieczne.

- Okej. - Wtuliła się w niego. - Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa.

- Ja też, kochanie - szepnął. - Ja też.

Nazajutrz rano Merrie zasiadła do pracy w swojej pracowni. Tony Garza był fascynującym modelem. Wyglądał jak rzeźba, która mogłaby wyjść spod dłuta Michała Anioła.

Kiedy mu o tym wspomniała, był wyraźnie rozbawiony.

- Co w tym śmiesznego? - spytała, robiąc szkic do portretu.

- Michał Anioł to jeden z moich przodków, tak przynajmniej niektórzy mówią - odparł.

- No, no. - Zaśmiała się. - Jestem pod wrażeniem.

Zerknął na nią, nie poruszając głową.

- A co do tego portretu Mikeya. Czy szwagier poinformował cię, jak Mikey zarabia na życie?

- Nie, dał mi tylko jego zdjęcia i poprosił, żebym namalowała portret. Sama dodałam detale.

- Jak na to wpadłaś? No wiesz, ten nóż na stole, czerwona zasłona, ciemność za jego plecami... naprawdę genialne.

- Trudno to wyjaśnić. - Uśmiechnęła się zakłopotana. - Po prostu... widzę ludzi takimi, jakimi są naprawdę. Portret Mikeya sprawiał mi kłopot, bo zwykle nie maluję ze zdjęć.

- A mnie jak namalujesz? - spytał Tony, przekrzywiając głowę.
- Na jakim tle?

- Jeszcze nie wiem. Zaczynam malować i jakoś tak się dzieje, że samo wychodzi na płótnie.

- Cóż - skomentował z lekkim uśmiechem - pewnie oboje czegoś się dowiemy, jak nadejdzie właściwa pora.

- To prawda. - Sama była ciekawa rezultatu swojej pracy.

Podczas kolacji było dość hałaśliwie. Do stołu zasiedli Avengersi, Paul, Mikey, Tony Garza, jego dwóch ochroniarzy i wysoki przystojny mężczyzna, który przyszedł do domu z Paulem, ale nie został przedstawiony. Mandy śmiała się pod nosem, zapełniając stół pysznościami. Gwiazdą wieczoru była oczywiście lazania.

- Taka, jaką robiła moja matka! - zawołał Tony, kiedy wziął do ust pierwszy kęs. - Kobieto, powinnaś otworzyć restaurację.

- Nie mogę. - Mandy westchnęła dramatycznie. - Dziewczeta by się zagłodziły. Poza tym Barbara, właścicielka Barbara's Café, robi to jeszcze lepiej.

- Pychota, Mandy - powiedziała Merrie.

Wszyscy pozostali zgodzili się z nią i Tonym.

Paul rozejrzał się po obecnych przy stole i pokręcił głową.

- Dobry Boże, tworzymy dość zwariowaną grupę, czyż nie? To mi przypomina odcinek *Prawa i porządku* - zauważył.

- Mój kuzyn grał w jednym z odcinków tego serialu - oznajmił Tony. - Grał glinę. - Znacząco spojrział na Paula. - Wyparliśmy się go.

- Wiem, jak to jest - mruknął rozbawiony Paul.

- Taa, ty zdrajco - podkpiwał Tony.

- Nie jestem taki zły - bronił się Paul. - Przyciągam piękne kobiety. - Pocałował żonę.

- Nie, kochanie - zaoponowała Sari. - To ja przyciągam atrakcyjnych mężczyzn. Tylko się rozejrzyj...

Panowie zaśmiali się, nawet tajemniczy gość, który przyszedł

z Paulem.

- Czy wolno spytać, po której pan jest stronie? - zwróciła się Merrie do nieznanego.

Wszystkie oczy skierowały się na niego, a Tony Garza oznajmił z nieprzeniknioną miną:

- On nie jest z FBI. Tyle mogę powiedzieć. - Znow skupił się na lazaniu.

- Skąd pan wie? - spytał zdumiony Paul.

Na co Tony odparł z uśmiechem:

- Bo w ciągu minionych dwudziestu lat prawie wszyscy agenci FBI przesłuchiwali moją skromną osobę, a ja mam pamięć do twarzy.

- Czy on ma rację? - spytała Merrie, patrząc na nieznanego.

Wysoki mężczyzna o gęstych czarnych włosach i ciemnych oczach stwierdził rozbawiony:

- To prawda, nie jestem z FBI. - Głos miał niemal tak samo niski jak Tony. - Ale jestem pozytywnym bohaterem.

Ren roześmiał się, po czym oznajmił:

- Mógłbym wam powiedzieć, kim on jest, ale nie powiem.

- A skąd pan to wie? - zdziwił się nieznanomy.

- Przyjaźnię się z pana kuzynem, szeryfem w Catelow. Nazywa się Banks, a jego kuzyn w San Antonio ma na imię Colter.

- Brawo! - Banks zaniósł się głośnym śmiechem.

- Taa, on jest z formacji nieprzystosowanych społecznie dziwaków - dodał Ren, lecz nie zabrzmiało to złośliwie, bo zostało wypowiedziane z dużą dozą sympatii.

- A dokładniej to jestem strażnikiem Teksasu - odparł z uśmiechem Banks. - Ale już poza służbą. Przyjechałem tu, bo chciałem poznać waszego gościa.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Chciał pan mnie poznać? - spytał zaintrygowany Tony. - Czemu?

- Kilka lat temu uratował pan życie mojemu przyjacielowi. Brał udział w nalocie policyjnym w Jersey na zorganizowaną grupę przestępczą. Jeden z przestępców trzymał go na podłodze i wciskał czterdziestkępiątkę między oczy. Pan go powstrzymał.

Tony zmarszczył czoło.

- Tak, pamiętam - odparł po chwili. - Ten z czterdziestkąpiątką to był jeden z moich ludzi. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Wiem, co to znaczy, kiedy wpakujesz kulkę federalsovi. Kłopoty dla biznesu.

- Niezależnie od pańskiego motywu, mój przyjaciel jest wdzięczny. Chciałem tylko panu to przekazać. On nie może tego zrobić, bo wciąż jest tajnym agentem. Ale już nie w Jersey - dodał cierpko.

- Cóż, dziękuję. - Tony roześmiał się. - Nie kierowały mną żadne szlachetne motywy, tylko czysta kalkulacja.

- Liczy się efekt - mruknął Banks, po czym spojrzał na Merrie i zmieniając temat, zagadnął: - Słyszałem, że pani maluje.

- To tylko hobby - odparła z uśmiechem. - Ale bardzo to lubię.

- Chętnie zobaczyłbym pani prace.

- A my z przyjemnością je panu pokazemy - wtrącił się Ren, kładąc rękę na jej dłoni i oznajmiając w ten sposób gościowi, że Merrie należy do niego.

Banks pojął aluzję i odpowiedział przyjaźnie:

- Świetnie, bardzo się cieszę.

Zatem wszyscy troje wybrali się do pracowni Merrie. Ren bacznie ją obserwował, bo wciąż była osłabiona. Jej płótna wisiały na ścianach.

Na ich widok Banks gwizdnął.

- To nie jest hobby! - zawołał z niekłamany podziwem. - Pani jest artystką, profesjonalistką. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Dziękuję - odparła skromnie Merrie.

- Widzi pani człowieka na wylot, prawda? - spytał w zamyśleniu Banks, stojąc przed dawno namalowanym portretem Mandy.

- To jednocześnie błogosławieństwo i przekleństwo - powiedziała w zadumie.

- Bardziej błogosławieństwo. - Przeniósł wzrok na Rena. - Te najlepsze zawsze są już zajęte - skwitował żartobliwie.

Merrie się zaczerwieniła, a Ren przyciągnął ją bliżej i pocałował w czubek głowy.

- Tak - odparł ciepło. - Zawsze.

Merrie pracowała nad portretem Tony'ego przez kilka następnych dni. Praca szła powoli, ponieważ musiała często robić przerwy, ale i tak była zadowolona. Musiała jeszcze dodać ostatnie szczegóły, które podpowiadała jej wyobraźnia czy też niepojęta dla innych pozarozumowa intuicja. Dopiero wtedy pozwoli Tony'emu obejrzeć swoje dzieło.

Nocami dzieliła łóżko z Renem, nadal przy otwartych drzwiach sypialni, co wywoływało uśmieшки u pozostałych domowników.

Pewnego wieczoru Ren recytował jej wiersz, a jego niski głos brzmiał urzekająco w zapadającej ciemności rozświetlonej tylko nocną lampką.

- I mrok od twego łóżka odstępkuje, gdy śpisz tak cicha, obca i łaskawa. Na ziemię spływa radość święta, toń morską w świętości skąpana - dokończył Ren.

- Och, jakie to piękne - powiedziała Sari, stając w drzwiach.

- To Rupert Brooke - odparł Ren, po czym spojrzął na Merrie: - Pamiętasz, jak na ranczu recytowałeś mi jego wiersz? W college'u Brooke był jednym z moich ulubionych poetów, i nadal jest. Zginął podczas pierwszej wojny światowej. Ten fragment pochodzi z wiersza *The Charm*.

- Żałuję, że mój mąż nie usypia mnie poezją. Problem w tym, że pewnie nie zna choćby jednego wiersza na pamięć - zażartowała Sari.

- A właśnie że znam - zaprotestował Paul, dołączając do niej. Oboje byli w piżamach. Paul uśmiechnął się do żony. - Gotowa? Proszę bardzo: Był kiedyś facet z Nantucket...

- Ty wieśniaku! - Sari nie pozwoliła mu świntuszyć, za to pacnęła go w łepetynę, on zaczął uciekać, a ona ze śmiechem pognęła za nim.

Merrie wtuliła się w Rena.

- Są tacy szczęśliwi - powiedziała sennie. - Miło na nich patrzeć. A jeszcze kilka lat temu nie było im łatwo.

Ren przyciągnął ją delikatnie i szepnął:

- Nam też się powiedzie. Dzięki tobie mój świat nabrał wszystkich barw tęczy, Meredith, a ja wszystko dla ciebie zrobię.

- Wszystko?

- Dosłownie wszystko.

- W takim razie powiedz mi kolejny wiersz.

Zaśmiał się, potem czule ją pocałował i zaczął recytować kolejny wiersz.

Z początku Tony Garza tylko stał przed swoim portretem i patrzył. Schował ręce do kieszeni, przekrzywił głowę, zmrużył ciemne oczy.

Merrie doskonale uchwyciła podobieństwo. Tło olejnego portretu zaskakiwało. Za Tonym znajdowało się okno, przez które widać było ogród, którego część zajmowały pnącza oplatające smukłe tyczki. Na jednej z nich widniały dojrzałe czerwone pomidory, przedstawione tak realistycznie, że niemal czuło się ich smak. Tony siedział przycupnięty na skraju biurka. Duże dłonie opierał na dębowym blacie. Paznokcie miał nienaganne. Na małym palcu nosił pierścień z rubinem. Na grzbiecie jednej z dłoni można było dojrzeć bliznę, symbol, którego Merrie nie rozumiała, ale i tak namalowała. W pasie widniał łańcuszek, taki od kieszonkowego zegarka. Złoty łańcuszek, na którego końcu wisiał celtycki krzyżyk - coś, czego Merrie także nie rozumiała, gdyż

nie wyobrażała sobie, żeby Tony był człowiekiem religijnym. Na ścianie za głową Tony'ego wisiał oprawiony w ramki obraz przedstawiający zarys kobiecej głowy. Tło całego portretu było w głębokim odcieniu bordo, a z obu stron niczym klamry zamykały go aksamitne zasłony.

Tony głęboko westchnął.

Merrie tylko mu się przypatrywała. Wiedziała, że obraz mu się spodobał.

Odwrócił się i spojrzał na nią ciemnymi i pełnymi wzruszenia oczami.

- Naprawdę potrafisz zajrzeć człowiekowi w głąb duszy, kochanie - stwierdził.

- Może mi pan powiedzieć, co znaczą te rzeczy? - spytała. - Jeśli nie proszę o zbyt wiele, oczywiście.

- Hm... - Tony uniósł gęste brwi. - Namalowałaś, a nie wiesz, co to znaczy?

- Maluję, co mi przychodzi do głowy - odparła z niewinnym uśmiechem.

- Ot tak, samo przychodzi do głowy... - mruknął z podziwem.

- Prawdziwy dar. - Stał plecami do obrazu. - Uwielbiam gotować. Potrafię zrobić lazanie, chociaż moja nie jest tak dobra jak Mandy. Hoduję pomidory i zioła. Lubię swój ogród. - Zawahał się. - Blizna na dłoni to pamiątka po członku konkurencyjnego gangu. Zrobił mi to, jak miałem jakieś czternaście lat. Chciał mnie zabić, ale mój przyjaciel zdołał go powstrzymać. Ten znak to symbol wrogiego mi gangu.

- Ale nie pozbył się go pan - zauważyła.

- Przypomina mi, że niezależnie od tego, jak bardzo jesteśmy pewni siebie, życie ma dla nas pełno niespodzianek. Przypomina mi też, żebym nie przeceniał swoich umiejętności. - Wcisnął rękę głębiej do kieszeni, zacisnął je w pięści. - Krzyżyk na łańcuszku należał do mojej matki. Była katoliczką, głęboko religijną. Rzadko noszę ten zegarek. Tylko na specjalne okazje. Ale zostawiłem krzyżyk z szacunku dla matki. Modliła się za mnie każdego dnia swojego życia. Zawsze miała nadzieję, że stanę się... lepszy, niż byłem. - Wzruszył ramionami. - Ludzie są tacy, jacy są. Można się zmienić na zewnątrz, ale w środku nie za

bardzo. – Spojrzał na nią. – To arcydzieło. Chcę ci zapłacić.

– Nigdy nie biorę pieniędzy za moje prace – oznajmiła z uśmiechem.

– Wiem, że mieszkasz w ładnym domu, ale twój ojciec stracił wszystko przez federalistów, a właściwie przez to, co zrobił.

– Mama miała pieniądze. Zostawiła mnie i siostrze miliony dolarów, więc naprawdę nie potrzebuję pieniędzy. Ale może zamiast zapłacić mi za portret, przekazałby pan tę kwotę Kościołowi swojej mamy?

– Naprawdę cię lubię – oświadczył wzruszony. – Gdybym miał córkę, chciałbym, żeby była do ciebie podobna.

– To najmiłsza rzecz, jaką słyszałam od bardzo dawna...

Tony tylko się uśmiechnął.

– Jest pan pewny, że płatny morderca nie pojawi się tu po pana wyjeździe i nie zastrzeli jej, kiedy nikt już nie będzie się tego spodziewał? – z niepokojem spytał Paul.

– Nie ma takiej szansy – odparł Tony. – Wszystko zostało już załatwione. Widział pan mój portret, który namalowała? – zmienił temat.

– Tak, widziałem. To jak dotąd jej najlepszy obraz, a to wiele mówi.

Tony spojrział na niego i spytał:

– Nie będzie pan miał kłopotów przez to, że pozwolił mi się pan zatrzymać w waszym domu?

– Nie – odparł przeciągle Paul. – Powiedziałem ludziom, że krąży pan po mieście, prosząc o datki, a Merrie pozwoliła panu tu zostać, dopóki nie znajdzie panu odpowiedniego domu.

Tony wielką pięścią uderzył go w ramię, mówiąc przy tym:

– Uważaj na siebie, chłopie.

– Okej. – Paul zaśmiał się. – Zostanie pan na ślub? Za trzy dni Merrie wyjdzie za Rena. Dziś rano pojechali załatwić zezwolenie na zawarcie małżeństwa i kupić obrączki.

– Trzy dni? Czemu nie? – powiedział Tony. – Na razie nie muszę się nigdzie śpieszyć.

– W takim razie niech pan się czuje zaproszony. A Merrie chce pana o coś prosić.

- Tak? Co takiego?
- Powie panu dziś wieczorem.

Kiedy Merrie wyjawiała swoją prośbę, Tony musiał odwrócić wzrok, żeby nikt nie zauważył, że jego oczy nagle zwilgotniały. Merrie poprosiła go, żeby poprowadził ją do ołtarza.

- W porządku, jeśli nie ma pan ochoty... - zaczęła, obawiała się, że go uraziła.

- Będę zaszczycony - wydusił schrypniętym głosem. Otarł oczy grzbietem dłoni i spojrzał na nią. - Naprawdę.

- To świetnie! - Rozpromieniła się. - Dziękuję.

Tony wziął głęboki oddech.

- Nie ma za co. Tylko nie mam odpowiedniego stroju... Hej, Big Ben! - zawołał do jednego ze swoich ludzi.

- Tak, szefie?

- Skocz no do San Antonio i znajdź dla mnie smoking ze wszystkimi dodatkami. Nie zapomnij o spinkach do mankietów.

- Tak jest, szefie.

- Znasz rozmiar. - Tony wyjął złotą kartę kredytową i rzucił ją Big Benowi. - Zadzwoń, gdybyś miał jakiś problem.

- Jasna sprawa, szefie.

- Smoking? - spytał Barton, który wszedł pod koniec rozmowy. - Żeni się pan, panie Garza?

- Nie, ale będę ojcem panny młodej - odparł Tony z błyskiem w oku.

- Naprawdę?

- Naprawdę - potwierdziła Merrie. - Nieważne, że ja jestem blondynką, a on nie - dodała z uśmiechem, a gdy Tony roześmiał się na całe gardło, spytała: - O co chodzi?

- Mój Boże. - Nie mógł powstrzymać śmiechu. - Bo kiedy będziecie mieć dzieci, to wiecie, kim ja zostanę? - Odczekał chwilę. - Ojcem chrzestnym!

- Za nic w świecie nie zadawałbym się z taką rodziną - ironicznie skwitował Barton i poszedł dalej.

Idealną suknię ślubną Merrie znalazła w butikiu Marcelli w mieście. Nieskończone metry białej koronki na białej satyno-

wej podszewce. Do sukni z długim trenem, długimi rękawami i okrągłym dekoltem Merrie dobrała welon z tiarą. Kiedy Sari pomogła jej ją włożyć, powiedziała, że ukochana siostrzyczka wygląda jak księżniczka z bajki.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - powiedziała Merrie. - Uciekłam z Wyomingu, bo myślałam, że on mnie nienawidzi.

- Cóż, pomyliłaś się. A on nie tylko się z tobą żeni, ale jeszcze zgodził się na ślub kościelny.

- To największa niespodzianka.

- Nie dziwiłabyś się, gdybyś go zobaczyła, gdy siedział w kaplicy szpitalnej - odparła z powagą Sari. - Od razu byś wiedziała, jak bardzo mu na tobie zależy.

- Zmienił się, i to na lepsze - stwierdziła Merrie. - Ale jeszcze mi nie powiedział, co tak naprawdę do mnie czuje.

- Paul też unika takich słów, ale ja to wiem. Widziałam to w jego oczach, kiedy na mnie patrzył. Tak samo Ren patrzy na ciebie, kochanie. Jesteś dla niego całym światem.

- On dla mnie też.

- To miło z twojej strony, że poprosiłaś Tony'ego Garzę, żeby cię poprowadził do ołtarza. On nie jest taki, jak się zdaje, prawda?

- Ani trochę. Miałam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe - odparła Merrie. - Bardzo bym nie chciała, żeby nasz ojciec prowadził mnie do ołtarza, ale nie mogłam poprosić nikogo z miejscowych, bo jeden byłby usatysfakcjonowany, a reszta obrażona, dlatego Tony Garza wydał mi się idealnym wyborem. Wciąż się dziwię, że tak go to poruszyło.

- Mikey twierdzi, że Garza ożenił się lata temu, ale jego żona zmarła młodo. Bardzo chciał mieć dzieci, ale się nie doczekał.

- Więc to dlatego...

- Pewnie tak, kochanie. - Sari uśmiechnęła się. - A teraz musimy poszukać jakichś ciuchów na co dzień.

- Tylko nic zbyt śmiałego - zastrzegła Merrie. - W podróż poślubną wybieramy się do Tangu, a tam są zupełnie inne zwyczaje. Nie chcę, żeby ludzie czuli się przeze mnie skrepowani czy zgorszeni.

- Mówisz, jakbyś choć raz w życiu włożyła coś zbyt śmiałego -

podkpiwała Sari. – Doskonale się odnajdziesz w Maroku.

– To takie egzotyczne miejsce na podróż poślubną. – Merrie westchnęła. – Strasznie się denerwuję... – Po czym dodała z pół smutnym i pół wesołym uśmiechem: – A jeszcze dwa miesiące temu byłam taka nieszczęśliwa... I jeszcze nigdy nie byłam na randce.

– Ależ wszystko się zmienia, prawda?

– Myślisz, że dobrze robimy, jadąc tak daleko? – z lękiem spytała Merrie. – Tony mówi, że jestem bezpieczna, a ja wciąż się boję.

– Jeśli Tony twierdzi, że jesteś bezpieczna, to znaczy, że jesteś bezpieczna – odparła Sari. – Wierz mi, skoro sam Tony Garza odwołał zlecenie, to znaczy, że zlecenia już nie ma. Nikt o zdrowych zmysłach by mu się nie przeciwstawił.

– W takim razie w porządku. – Merrie odetchnęła z niewysłowioną ulgą. – Jestem taka szczęśliwa!

– A ja cieszę się twoim szczęściem. – Sari ją uściskała, po czym spytała z wahaniem: – Do Rena dzwonił dziś Randall, prawda?

– Tak. Wynik biopsji ich matki nie jest niestety dobry. Dopilnuję, żebyśmy ją odwiedzili przed wyjazdem do Maroka. Skoro lećmy własnym learjetem, a hotel mamy już zarezerwowany, nie musimy się martwić o miejsca w jakimś zatłoczonym samolocie.

– Czy Ren chce zobaczyć się z matką? – spytała Sari.

– Wydaje się, że tak. Randall powiedział, że już od jakiegoś czasu do tego dojrzywał. – Uśmiechnęła się do Sari. – Rodzina powinna trzymać się razem, kiedy to tylko możliwe.

– To prawda. – Sari odpowiedziała jej uśmiechem.

Ślub był wielkim wydarzeniem. Mały kościół metodystów w Jacobsville, gdzie Sari i Merrie uczęszczały przez lata, był wypełniony po brzegi. Pastor Jake Blair z uśmiechem patrzył na dość niezwykłych gości zajmujących ławki należące do rodziny i bliskich panny młodej. Ze strony pana młodego też pojawili się nietypowi weselnicy. Niektórzy mieli na sobie mundury polowe, gdyż będąc wciąż w służbie czynnej, zdołali wpaść tylko na moment.

Merrie była tak bardzo szczęśliwa, że niemal skakała z radości, kiedy Sari wpięła ostatnie szpilki w jej jasne długie włosy.

- Gotowe - oznajmiła Sari. - Wyglądasz doskonale.

Merrie wstała.

- Strasznie się boję - wypaliła, a zaraz potem się zaczerwieniła, bo przecież ze wszystkiego na świecie najbardziej chciała poślubić Rena.

- Nic się nie martw, kochanie - zapewniła ją siostra. - Wszyscy się boją, nie ma od tego wyjątków, bo to poważny krok. Ale pragniesz go zrobić, prawda? Więc odetchnij głęboko... i do przodu!

Merrie wzięła głęboki oddech. Niestety nic jej to nie pomogło.

Wychodząc z pokoju, niemal wpadła na Tony'ego Garzę, który prezentował się nadzwyczaj przystojnie w specjalnie zakupionym na ślub stroju i już na nią czekał. Z uśmiechem wzięła go pod rękę.

Tony pokręcił głową.

- Jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką widziałem, oprócz mojej zmarłej żony. Wyglądasz olśniewająco.

- Dziękuję - odparła z nieśmiałym uśmiechem.

- A teraz trzymaj mnie mocno, żebym nie upadł, bo naprawdę się denerwuję - szepnęła jej do ucha.

Merrie zaśmiała się nerwowo. Rozległy się dźwięki marsza weselnego i wszystkie oczy zwróciły się w stronę wejścia do kościoła. Tony poprowadził Merrie do ołtarza, gdzie czekał na nią elegancko ubrany Ren.

Zdawało się, że ceremonia ślubna zakończyła się błyskawicznie. Kiedy państwo młodzi złożyli małżeńską przysięgę, Ren pocałował Merrie z czułością, która odebrała jej dech. Podniosła na niego wzrok, jej oczy były przepełnione miłością. Ren otarł jej łzy wzruszenia i znów ją pocałował. Potem niemal pobiegł do wyjścia, a towarzyszyły im radosne okrzyki.

Sala weselna była niemal tak pełna jak kościół. Kateringiem zajęła się Barbara z Barbara's Café. Ren karmił Merrie tortem, a zatrudniony przez nich fotograf robił niepozowane zdjęcia do ślubnego albumu.

- Niezła frekwencja - zauważył Cash Grier z uśmiechem, a jego piękna rudowłosa żona Tippy trzymała go pod rękę. - Zdaje mi się, że widzę kilka znajomych twarzy z listy najbardziej poszukiwanych przez FBI - dodał cicho.

- Zabraniam tak mówić o moim przybranym ojcu! - z wesołym błyskiem w oczach zgromiła go Merrie.

- Każdy dźwiga swój krzyż. - Cash westchnął. - Widzisz tego wysokiego dystyngowanego dżentelmena stojącego z Hayesem Carsonem i jego żoną Minette?

Merrie i Ren zerknęli w stronę szeryfa i jego żony.

- Jest znany jako El Jefe - szepnęła Cash. - Kieruje największym kartelem narkotykowym na północnej półkuli.

- Co takiego? - zawołał Ren ze śmiechem. - I nie aresztowaliście go?

- Nie złamał prawa w hrabstwie Jacobs - zapewnił go Cash. - Właśnie urodziła mu się wnuczka, więc nie będzie ryzykował... W każdym razie nie po tej stronie granicy - dodał z przymrużeniem oka.

- Z ludźmi nigdy nie wiadomo - skomentowała Tippy. - Pięknie wyglądasz, Merrie - dodała. - Moje gratulacje. Mam nadzieję, że będziecie tak szczęśliwi jak my.

- Dziękuję - odparła Merrie.

- A ja mam nadzieję, że spędzimy razem pół wieku. - Ren uściśnął jej dłoń. - A nawet więcej, jeśli szczęście nam dopisze.

Merrie popatrzyła na niego z czystym uwielbieniem, i w tym właśnie momencie fotograf zrobił im zdjęcie. To będzie ulubione zdjęcie Merrie w albumie ślubnym.

Ren i Merrie po przylocie learjetem do Nowego Jorku, gdzie zamierzali wsiąść na pokład samolotu lecącego do Belgii, odwiedzili matkę Rena. Z Belgii trasa wiodła do Casablanki, a stamtąd do Tangeru. Zapowiadała się długa podróż, ale pragnęli spędzić miesiąc miodowy w egzotycznym miejscu, które na zawsze zostanie w ich pamięci. Oboje uznali, że takim miejscem będzie Afryka Północna.

Matka Rena, Retha, drobna i delikatna kobieta, miała jasne włosy i brązowe oczy. Była tak głęboko poruszona, gdy ujrzała

Rena w swoim saloniku, że omal nie zemdląła. Kiedy do niego podchodziła, łzy napływały jej do oczu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Ren, ujmując jej chłodne dłonie. - Trochę poczytałem na ten temat. Jeśli... to lokalizuje się tylko w jednym miejscu, to mamy niemal sto procent szansy, że wyzdrowiejesz.

- Och, mam taką nadzieję - odparła chropawym głosem, przyglądając się synowi, jego kościstej, szczupłej twarzy. - Wyglądasz... inaczej, Ren. Minęło tyle czasu.

- Zbyt wiele - odparł cicho. - Powinienem tu zostać w tamto Boże Narodzenie. Źle postąpiłem, wyjeżdżając bez słowa.

- Czasami Bóg nas testuje. - Retha uśmiechnęła się siłą woli. - Nic nie dzieje się bez powodu. Jestem bardzo szczęśliwa, że przyjechałeś mnie odwiedzić.

Ren odetchnął głęboko i wyznał:

- Ja też... mam.

Wzruszona Retha na moment przymrużyła oczy, po czym spojrzała na ładną jasnowłosą kobietę, która siedziała na sofie.

- Kogo ze sobą przyprowadziłeś? - spytała.

- Przedstawiam ci Meredith Grayling Colter, moją żonę - powiedział ciepło. - Pobraliśmy się dziś rano w Jacobsville w Teksasie. Meredith stamtąd pochodzi i jest malarką.

- Tak jak ja. - Rozpromieniona Retha podeszła do Meredith i uściskała ją. - Życzę ci mnóstwo radości i szczęścia z moim synem.

- Dziękuję - odparła Merrie wzruszona. - Będę o niego dbała.

Oczy Rethy pojaśniały trochę zbyt mocno. Znowu zmusiła się do uśmiechu i dodała:

- Trzymam cię za słowo.

Merrie przytuliła ją, a Retha się rozplakała.

- No już - powiedziała łagodnie Merrie. - Wszystko będzie dobrze. Tak się cieszę, że mam drugą mamę. Swoją straciłam w dzieciństwie. Poza tym pani też maluje. Na ranczu Rena korzystałam z pani pracowni.

Retha uwolniła się z jej objęć i ocierając łzy, zaśmiała się.

- Randall powiedział mi, że genialnie posługujesz się pędzlem. Stwierdził, że potrafisz wnikać w głąb duszy i pokazujesz

ludzi takimi, jacy są naprawdę.

- Tak mi się zdaje, choć sama nie wiem do końca, jak to się dzieje - odparła w zadumie. - W każdym razie kocham utrwalać na płótnie to, co dostrzegam w człowieku.

Retha dotknęła jej miękkich jasnych włosów.

- Mam nadzieję, że będziemy miały wiele okazji, by porozmawiać o sztuce. - Uśmiechnęła się ciepło. - Wychowałam dwóch chłopców, a teraz Bóg mi zsyła córkę. To dla mnie wielkie szczęście.

Merrie odpowiedziała jej uśmiechem, a Ren spytał:

- Kiedy będziesz operowana?

- Za dwa tygodnie. - Retha wzdrygnęła się. - A już jestem wrakiem człowieka. Strasznie się denerwuję. Od razu zrobią mi też operację plastyczną. Rekonwalescencja potrwa dość długo.

- Przyjedziemy tu, jak będziesz operowana - obiecał Ren, zerkając na Merrie, która skinęła głową. - Jeśli chcesz, możesz potem zamieszkać z nami w Skyhorn - dodał trochę sztywno. - Z opiekiujemy się tobą.

- Ty... pozwoliłbyś mi tam przyjechać? - spytała mocno zaskoczona.

- Jesteś moją matką. Oczywiście, że możesz przyjechać. To także twój dom.

- Kiedyś nim był - wyznała cicho. - Ale spałam swoje życie. Źle postąpiłam, synu. Jeśli możesz mi wybaczyć, że cię skrzywdziłam...

- To ja powinienem prosić cię o przebaczenie - gwałtownie wpadł jej w słowo. - Bardziej cię zraniłem.

- W takim razie, synu, chyba nadeszła pora, żebyśmy zostawili za sobą przeszłość. - Popatrzyła mu w oczy. - I z niecierpliwością oczekiwali szczęśliwej przyszłości.

- Zgadza się. - Przytulił ją do siebie, a ona cichutko popłakiwała.

Podróż do Tangeru była długa i męcząca. Dotarli na miejsce przed świtem, a kontrola paszportowa i odprawa zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Szczęśliwie Merrie miała paszport. Otrzymała go jeszcze przed śmiercią ojca, który kazał jej zała-

twić formalności, bo zamierzał wysłać ją na Bliski Wschód, by została żoną kuzyna księcia, którego wybrał na męża dla Sari.

- Stąd będziemy musieli iść do Tangeru na piechotę - powiedziała Merrie znużonym głosem. - O tej porze nie znajdziemy taksówki.

- Przeciwnie, na pewno znajdziemy - uspokoił ją Ren. - Nie martw się.

I rzeczywiście, gdy tylko opuścili halę przylotów, przed wejściem czekała na nich taksówka. Kierowca schował bagaże, a potem zaprosił ich do samochodu i pędem ruszył w stronę miasta.

Merrie, która do tej pory nie wyjeżdżała za granicę, ekscytowała się dosłownie wszystkim. Była co prawda trochę osłabiona trudami podróży, ale siedziała wyprostowana i obserwowała światła, które ciągnęły się wzdłuż autostrady przez całą drogę do miasta. Na ulicach nie brakowało ludzi, niektórzy mieli na sobie długie tuniki, inni byli ubrani po europejsku, a wszyscy poruszali się leniwie i przystawali, by zamienić słówko ze znajomymi.

Taksówka zajechała przed hotel, który nie był oznakowany jako pięciogwiazdkowy, a przecież Ren zapewniał Merrie, że właśnie w takim hotelu się zatrzymają.

Jednak gdy tylko weszli do środka, ujrzeni luksusowe wnętrze. Merrie była tak zafascynowana, że ledwie zwróciła uwagę, kiedy Ren ich zameldował. Zaraz potem pojawił się boj hotelowy, który zaprowadził ich do pokoju.

Okiennice otwierały się na wewnętrzny dziedziniec, gdzie w blasku świateł alarmowych dojrzeli rzeźby ogrodowe i basen. Powietrze pachniało nieznanymi przyprawami i morzem. Meredith głęboko odetchnęła i potem zamknęła okno.

- Jak tu pięknie - powiedziała sennie do Rena. - Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy zwiedzać.

- Ja też, ale wolę poczekać, aż się obudzisz, zwłaszcza na to zwiedzanie, które mam na myśli... Ledwie trzymasz się na nogach, kochanie.

- Cóż, nie mogę zaprzeczyć. Przepraszam. - Westchnęła, opierając się o niego. - Wczoraj niewiele spałam, denerwowałam się

ślubem. Bałam się, że się poślizgnę, zaczepię butem o brzeg sukni i upadnę na środku kościoła.

- Ale tego nie zrobiłaś - skwitował rozbawiony.

Merrie ziewnęła.

- Przepraszam - jęknęła. - Chciałam być przytomna...

Przytulił ją mocno i delikatnie pocałował.

- Mamy przed sobą całe życie. Dzisiaj odpocznij. Okej?

- Okej, Ren. - Przytuliła policzek do jego piersi.

Obudziła ją woń świeżej gorącej kawy. Z zamkniętymi oczami ruszyła za kuszącym zapachem i usłyszała zdławiony śmiech.

- Jest dobra - oznajmił Ren, podał jej filiżankę i dopilnował, żeby utrzymała ją w ręce. - Właśnie wypilem swoją. Jak się ubierzesz, zejdziemy na śniadanie. Rozumiem, że jest tu specjalny bufet dla gości.

- Świetnie, bo umieram z głodu.

- Ja też. Pośpiesz się. Zaczekam na ciebie na zewnątrz.

Odprowadzała go zatroskanym wzrokiem. Wyszedł ubrany w spodnie i zielony sweter, nie oglądając się na nią. Pragnęła go, choć gdzieś w tyle głowy wciąż tlił się niewielki lęk.

Ren od miesiący nie miał kobiety, a bardzo pragnął Merrie. Czy to znaczy, że może całkiem stracić nad sobą kontrolę i zrobić jej krzywdę? Słyszała od koleżanek w liceum koszarne opowieści o tym, jak w łóżku z nieliczącym się z partnerką ko-chankiem marzenia o miłości obracały się w proch.

Ren na pewno nie zachowa się tak egoistycznie. Zaczzerwieniła się, przypominając sobie ich pierwszy intymny kontakt tamtego wieczoru, kiedy byli na przyjęciu. Starła się nie pamiętać, jak to się zakończyło. Ren był wściekły.

Ale ten sam Ren przyjechał do niej do szpitala, siedział przy łóżku, dodawał otuchy, nie opuścił jej ani na moment, nawet gdy już wróciła do domu. Był z nią każdej nocy, żeby czuła się bezpieczna.

Czy mógł ją poślubić wyłącznie z powodu wyrzutów sumienia, bo źle ją potraktował? Nie przypuszczała, by mogła to być prawda. Niewykluczone, że czuł się winny, przeprosił ją przecież, może nawet dlatego pojawił się w szpitalu.

Ale zatwardziały ateista nie udał się jedynie z poczucia winy do szpitalnej kaplicy, kiedy Merrie była w stanie krytycznym. To była chwila wielkiej zmiany w jego życiu. To go odmieniło.

Ona także zmieniła się, gdy zrozumiała, że Ren jest z nią naprawdę szczęśliwy. I bardzo nie lubił, kiedy obok niej znajdowali się inni mężczyźni, bo był zazdrosny.

Uśmiechnęła się pod nosem. Rzecz jasna nikomu nie przyzna się do tego, ale bardzo jej się podobało, że jest zazdrosny. Ona też była o niego zazdrosna.

Wstała i włożyła żółtą wzorzystą sukienkę. Opadała jej do kostek miękkimi fałdami, stanik trzymał się na cieniutkich ramiączkach. Z tyłu sięgał wysoko, zakrywając blizny, ślady brutalności ojca.

Zaskoczyło ją, że Ren nie przejął się jej bliznami, ale też bardzo się z tego powodu ucieszyła. To był kolejny dowód na to, że traktuje ją poważnie.

Sięgnęła po małą torebkę i wyszła za Renem z pokoju.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Szwedzki stół oferował chyba wszystko, co ludzie jadają na śniadanie, w tym kilka rodzajów świeżego pieczywa, owoce, a także szynkę i bekon. Tanger zamieszkują głównie muzułmanie, więc takie wędliny na półmisku mogły zdziwić. Jednak kelner w czerwonym fezie wyjaśnił przyjaźnie, że robią wyjątek dla obcokrajowców, którym religia nie zabrania jeść wieprzowiny.

Zjedli na hotelowym patio, uroczym miejscu, gdzie stały delikatne rzeźbione krzesła i okrągłe stoliki przykryte lnianymi obrusami z piękną porcelaną, eleganckimi sztućcami i kwiatami. Na podłodze niedaleko ich stolika znajdowała się fontanna przypominająca amerykańską wanienkę dla ptaków. Merrie, dopiero początkująca turystka, patrzyła na to wszystko zafascynowana.

Zasypywała pytaniami kelnera, który opowiedział im o pobliskich atrakcjach turystycznych.

- Mamy tu mercedesa z szoferem, będzie do państwa dyspozycji podczas waszego pobytu - zakończył z uśmiechem. - Proszę mu tylko powiedzieć, dokąd chcą państwo jechać. Koniecznie zobaczcie suk w starej części miasta. Jest unikalny. Można tam spróbować miętowej herbaty i kupić ręcznie tkane dywany i chodniki.

- Już się nie mogę doczekać - zawołała Merrie z entuzjazmem.

Kiedy słuchali kelnera, z głośników rozległo się wezwanie do modlitwy. Odbijało się echem w całym mieście niczym urzekająca melodia.

- Jakie to piękne - powiedziała Merrie do kelnera.

Uśmiechnął się.

- Choć wyznajemy różne religie, jednak w pewien sposób jesteśmy podobni do siebie. - Spojrzał na krzyżyk na szyi Merrie.
- Pielęgnowujemy naszą wiarę w świecie, który chce sobie radzić

bez religii.

- Ja swojej nie porzucę - zdecydowanym tonem oznajmiła Merrie.

- Ani ja swojej - odparł kelner. - Czyli coś nas łączy, prawda?
- Znów się uśmiechnął.

- Ludzie mówią tu tyloma językami - zauważyła Merrie, kiedy zwiedzali jaskinie, gdzie przed wiekami piraci z Maghrebu przechowywali łupy. Byli Berberami, jak większość populacji Tangeru. - Czuję się jak kompletna ignorantka. Zauważyłeś, że nasz szofer mówi biegle po francusku, hiszpańsku, a nawet po japońsku? Nie wspominając o jego płynnej angielszczyźnie.

- Europę i Afrykę zamieszkuje więcej narodowości niż Amerykę. W Europie graniczy ze sobą mnóstwo państw, a wielu Europejczyków tutaj odpoczywa. Ludzie, którzy pracują w przemyśle turystycznym, muszą mówić kilkoma językami.

- Muszę nauczyć się przynajmniej hiszpańskiego - przyrzekła sobie.

- Przyda ci się. - Spojrzał na nią. - Będiesz usatysfakcjonowana życiem w Wyomingu?

Podniosła na niego rozkochany wzrok i odparła:

- Mogę mieszkać wszędzie, byle z tobą.

Ren przysunął się do niej, natomiast Merrie spontanicznie rozchyliła wargi. Spojrzał na stanik jej sukienki i zobaczył dwa sterczące punkty. Poczul znajome pulsowanie.

A ona nagle poczuła, że góra sukienki ją dusi, materiał drażni skórę. Chciała poczuć na sobie łagodną bryzę, chciała być naga. Chciała leżeć w ramionach Rena w świetle dnia i poznać go jak najdokładniej w każdy możliwy sposób.

Ren powiedział szoferowi, że są umówieni i muszą wracać do hotelu. Oczywiście wrócą tu innego dnia i dokończą zwiedzanie.

Szofer odpowiedział uśmiechem i zawrócił do hotelu.

Ren milczał. Gardło miał ściśnięte. Trzymał Merrie za rękę, splatając palce z jej palcami. Oddychał nierówno, kiedy mercedes pokonywał kolejne kilometry. Czuł się, jakby płonął. Nigdy niczego tak nie pragnął, jak w tej właśnie chwili pragnął swojej żony. Aż do bólu.

Wyczuła jego napięcie. Była tak samo podniecona i z równą niecierpliwością czekała na to, co się wydarzy. Czas, jaki zajęła droga z miasta do hotelu, pokonanie holu i dojście do pokoju było pełnym udręki oczekiwaniem.

Ren zamknął drzwi. Twarz miał kamienną.

Merrie lubiła, kiedy tak na nią patrzył. Rozwiązała ramiączka sukienki i pozwoliła jej opaść na podłogę, tonąc w szeroko otwartych i pełnych nabożnego zdumienia oczach Rena.

- Meredith... - Podeszedł do niej i uniósł ją. Dotknął wargami twardego sutka, drażnił go językiem, a w końcu wziął go do ust i zaczął ssać.

- Och, Ren... - Przywarła do niego.

Odsunął narzutę i położył żonę na środku łóżka, a zaraz potem znalazł się obok niej.

Uniosła plecy, ulegając jego natarczywym wargom, które pieściły ją w ciszy wibrującej napięciem. Czuła jego wargi na płaskim brzuchu, na udach, na długich nogach. Potem wędrował nimi po wewnętrznej części ud, z satysfakcją widząc, jak Merrie wygina się i pręży, z radością słuchając płynących z jej ust dźwięków, które brzmiały jak najpiękniejsza muzyka dla jego uszu.

Rozbierał ją, nie przerywając czułych pocałunków, podniecił ją tak, że zapomniała o lęku. Pragnęła go tak bardzo, że nie mogła się już denerwować. Dojmujące pragnienie ją samą zaskoczyło. Nie zdawała sobie sprawy, że po prostu może tak się dziać, i że ona może być właśnie taka w ramionach ukochanego.

Nagle poczuła wargi Rena w miejscu, gdzie jeszcze żaden mężczyzna jej nie dotykał. Głośno wciągnęła powietrze.

- Wiem - szepnął. - Wstydzisz się. Niepotrzebnie. Będzie cudowniej, niż mogłabyś sobie wyobrazić. To dużo wspanialsze niż inne słodkości, kochanie. - Zaczął ją tak pieścić, że aż krzyknęła zaskoczona niespodziewaną rozkoszą.

- Mój... Boże - wydusiła.

- To dopiero początek - szepnął i dalej czynił cuda z jej niedoświadczonym ciałem.

Wciąż na nią patrzył. Nie mógł się doczekać, kiedy ją osią-

dzie, ale chciał mieć pewność, że będzie na niego gotowa. Le-
ciutko ugryzł jej wargę i przyśpieszył, a potem patrzył, jak
krzyknęła, przeżywając swój pierwszy orgazm.

- Ren - zaszlochała.

- Nie przestanę - szepnął. - Jeszcze chwileczkę.

Przyglądała mu się, kiedy zrzucił ubranie, tak zafascynowa-
na, że nie widziała w tym nic szokującego. Pragnęła go. A gdy
do niej wrócił, mimowolnie zakołysała biodrami.

Ren położył się obok niej. Jego wargi odnalazły jej wargi,
a jego palce objęły w posiadanie delikatne aksamitne miejsce.
Merrie zadrżała, lecz rozsunęła nogi.

Palce Rena sprawiły, że rozkosz powróciła. Ale tym razem to
było za mało. Merrie uniosła biodra, jej przebudzone ciało do-
magało się więcej, a półprzymknięte oczy mówiły mu, jak bar-
dzo go pragnie.

- Tak - powiedział półszepem. Całował ją i pieścił. Tym ra-
zem miał łatwy dostęp. Powoli wsunął język do ust Merrie, cał-
jąc ją w najbardziej intymny sposób. A kiedy jego język igrał
z jej językiem, umościł się między jej nogami, aż poczuła go jak
nigdy dotąd.

- Nie śpiesz się - szepnął, gdy zaczął ją zdobywać. - Rozluźnij
się, kochanie - mówił schrypniętym głosem. - Spróbuj się roz-
luźnić.

- Ja... próbuję - odparła niepewnie. Patrzyła mu prosto
w oczy, kiedy w nią wchodził. - Och Ren, to jest tak...

- Intymne - dokończył za nią. - Tak, to jest intymne... - Mu-
siał zwolnić. To był jej pierwszy raz. Nie miał odwagi się śpie-
szyć, choć z trudem nad sobą panował. Czuł, że jej ciało go za-
akceptowało, poczuł jej ciepło, kiedy wchodził głębiej i głębiej...

- Ren! - Merrie wystrzeliła w górę biodrami, a jego szybki
rytm wywołał w niej napięcie, które na moment ją wystraszyło.
Jednak przywarła do niego i błagała, by nie przestawał, błagała,
by skończył, dokończył... A potem znów wygięła się i błagała,
żeby nie kończył tego nigdy.

Ren wbił się w nią, nie panował już nad sobą. Tak bezradny
jak ona uniosł się i znów się w nią zapadł, wyczekując finału na-
pięcia, które łamało jego ciało na pół. Już prawie dotarł na

szczyt, prawie, prawie. Uderzył biodrami o jej biodra, wygiął plecy i krzyknął, kiedy coś w nim wybuchło, a zaraz potem w niej, i drżał na całym ciele w rozkoszy, jakiej dotąd nigdy nie zaznał.

Merrie czuła go w chwili, gdy dotarł na szczyt, i niemal w tym samym momencie też osiągnęła spełnienie. Krzyknęła zaszokowana. Nie знаła słów, którymi mogłaby opisać to pulsowanie, niemal bolesną rozkosz, która wstrząsała nią całą. Zdawało jej się, że umiera w ogniu rozkoszy. Drżała bez końca, jakby echem odbijała się w niej rozkosz, którą mu dała. Bała się, że to będzie bolało, ale nie czuła bólu. Rozkosz była tak wielka, tak pełna, że przez kilka nieskończonych sekund Merrie żyła jedynie jako cząstka Rena. Potem, tak szybko, za szybko, rozkosz odeszła. Merrie znów zadrzała, poruszyła się gwałtownie, próbowała ją odzyskać.

- Cii - szepnął Ren, delikatnie ocierając się biodrami o jej biodra. Ten drobny ruch na nowo podniecił Merrie. Ren ją obserwował, uśmiechając się z zadowoleniem, kiedy jej twarz wykrzywił grymas, gdy znów zaszlochała, gdy się ku niemu uniosła, drżąc za każdym razem, kiedy orgazm powracał.

Wkrótce jednak Ren znieruchomiał i zmusił ją do bezruchu.

- Będzie cię bolało - szepnął czule. Muskał wargami jej twarz, spijając łzy, uspokajał ją, wsuwając ręce pod jej plecy, kładąc je na jej bliznach, które wcale mu nie przeszkadzały.

- Nigdy nie myślałam... Nie marzyłam... - Zadrzała. - Myślałam, że umieram, to było tak silne.

- Tak. - Ucałował jej powieki.

Otworzyła oczy i patrzyła na jego szczupłą twarz.

- Bałam się... ale tylko z początku.

- Ja też, kochanie.

- Ty też? Naprawdę?

- Byłaś dziewczicą, kochanie. Bałem się, że sprawię ci ból. Tak długo nie byłem z kobietą, bałem się, że stracę kontrolę i że cię przestraszę.

Uniosła dłoń i musnęła palcami jego twarz.

- Nie myślałam, że to będzie takie... - Uśmiechnęła się. - Nie znajduję słów.

- A wież, że poeci szukają ich od wieków? I nikt nie potrafi tego nazwać. - Musnął wargami jej wargi. - Leż, nie ruszaj się. Jeśli przesadziliśmy, to może cię zabołec. - Gdy zaczął się z niej wycofywać, skrzywiła się. Ren też się skrzywił, jednak przewrócił się na plecy. - Przepraszam, kochanie.

- A za co? - Uśmiechnęła się. - Też nie mogłam przestać.

Odwrócił głowę i patrzył na nią, a ona mu się przyglądała.

- Czy ja cię szokuję? - spytał wreszcie.

- Hm... No tak. Trochę. Uczyliśmy się anatomii, żeby malować realistyczne portrety, więc wiem, gdzie to wszystko jest, na przykład mięśnie i... inne rzeczy. - Spojrzała mu w oczy i westchnęła. - Ale ty nie wyglądasz jak ludzie na tych rysunkach - dodała zawstydzona. - Wyglądasz jak greckie posągi, które stoją w muzeach. Tylko jeszcze lepiej.

Zaśmiał się.

- Nie rób tego! - poprosił ze śmiechem. - Woda sodowa uderzy mi do głowy.

- Nie szkodzi. - Przysunęła się do niego, ciesząc się ciepłem jego ciała. - Znow chce mi się spać.

- Mnie też. Trochę się prześpimy, a potem jeszcze trochę pozwiedzamy.

- Chcę cię lepiej poznać - odparła cicho. - Ale jestem...

- Obolała. - Znow się zaśmiał. - Nie szkodzi. To mi wystarczy na długo.

- Mnie też. - Zawahała się. - Ren? Ciebie też boli?

- No... trochę. - Spojrzał na nią. - Lubię się tak kochać, Meredith - powiedział, kiedy wyglądała, jakby czuła się winna. - Poza tym mamy całe życie, żeby nadrobić stracony czas.

- Całe życie? Brzmi nieźle. - Uśmiechnęła się czule.

Przyciągnął ją bliżej, a ona położyła głowę na jego ramieniu.

- Zapomniałem cię spytać, czy chciałaś, żebym czegoś użył.

- Użył czegoś?

- Zabezpieczył się - wyjaśnił sennie. - Żebyś nie zaszła w ciążę.

- Mój Boże... - westchnęła zachwycona.

Ren spojrział jej w oczy. Merrie promieniała. Zaśmiał się cicho.

- Okej. Chyba jesteś wystarczająco dorosła - mruknął.

- Zdecydowanie jestem baaardzo dorosła! - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Poza tym jak będziemy mieć dużo dzieci, rodzinne ranczo po naszej śmierci nie dostanie się w obce ręce.

Ren wybuchnął śmiechem.

- Tak, to bardzo istotny argument za ekspansywną polityką rozrodczą rodziny Colterów.

- Lepiej bym tego nie ujęła.

- Tak naprawdę nie znasz życia, kochanie - rzekł po chwili. - Byłaś więźniem w rodzinnym domu. Nie chciałabyś zobaczyć trochę świata, zanim dzieci cię ograniczą?

- Poznaję świat - odparła. - Jesteśmy za oceanem, a w drodze do domu zobaczymy jeszcze kilka innych krajów. - Usiadła dumna w swojej nagości, uszczęśliwiona pieczętą jego dłoni. - Jestem domatorką. Nie pociągają mnie podróże, budowanie imperium biznesowego ani nawet sława artystki. Chcę mieszkać z tobą na ranczu i stworzyć ci dom. Prawdziwy dom - dodała cicho.

Ren zacisnął zęby, próbując nie pokazać jej, co czuje. Przez większą część życia był outsiderem. Kochał Randalla, ale tak naprawdę nigdy nie byli rodziną, ponieważ on sam przez tak długie lata ignorował matkę. Meredith to wszystko zmieniła, rozjaśniła ciemne obszary jego życia, dała mu szczęście. Nie pamiętał, by w przeszłości kiedykolwiek był naprawdę szczęśliwy, nawet wówczas, gdy mu się wydawało, że kocha Angie.

- Wybacz, chyba jestem arogancka... - Zamilkła, a nie doczekawszy się odpowiedzi, straciła pewność siebie.

Wziął ją w ramiona, odwrócił i popatrzył na nią z góry.

- Nigdy nie miałem prawdziwego domu - wyznał schrypniętym głosem. - Delsey próbowała stworzyć mi dom w Skyhorn, ale była to mocno rozchwiana konstrukcja. - Odsunął do tyłu jej jasne splątane włosy. - Bardzo lubię, kiedy tak wyglądasz - szepnął. - Rozczochrana i poruszona. A to moje dzieło.

Przesuwając palcem po jego wysuniętej brodzie, powiedziała:

- Tak, twoje. Ty mnie rozczochrałeś.

- Zgadza się. - Poglaskał jej nabrzmiące piersi, zatrzymując palce na niewielkich fioletoworóżowych szczytach. - Jesteś naj-

piękniejszą kobietą, jaką znam. Wewnątrz i na zewnątrz.

- To miłe pochlebstwo - zażartowała.

- To nie jest pochlebstwo. - Pochylił głowę, żeby pocałować jej piersi. - Chcę stworzyć z tobą dom. Chcę mieć z tobą dzieci. Chcę tylko być pewny, że nie będziesz żałowała straconej wolności.

- Wolność to tylko słowo. - Westchnęła. - Więc poszukajmy jego treści. Ludzie, którzy są naprawdę wolni, nie chcą zapuszczać korzeni ani mieć zobowiązań. Czyli taka wolność to samotność. - Uśmiechnęła się. - Ja chcę innej wolności, czyli prawdziwego życia, z korzeniami, stabilnością i dziećmi. Dla mnie to jest wolność.

- Mogę być trudnym partnerem. - Wplótł palce w jej długie włosy.

- Ja też - odparła, obejmując go za szyję, i spoważniała. - Jesteśmy indywidualistami, ty jesteś wodzem biznesu i miłośnikiem poezji, a ja mam swoją sztukę, więc nie zawsze musi być łatwo. Ale moją największą siłą jest to, że tak bardzo cię kocham, Ren - szepnęła zdumiona emocjami, które widziała w jego oczach. - Najbardziej na świecie.

Na jego wysokich kościach policzkowych pojawiły się rumieńce. Zacisnął zęby i patrzył na nią, obejmował ją wzrokiem, podziwiał jej urodę, czerpał radość z mądrości i czułości, którą emanowała. Dotknął czołem jej czoła.

- Wydaje mi się, że nigdy nikomu nie mówiłem tych słów - szepnął znów przejęty. - Ale... czuję to, kiedy na ciebie patrzę, kiedy cię tak trzymam. - Przyciągnął ją do siebie tak mocno, że niemal wchłaniała każdy centymetr jego ciała. - Czy to ci wystarczy?

Merrie tryskała radością. Zaśmiała się cicho i wtuliła się w niego mocniej, a łzy spływały jej po policzkach.

- Och, Ren, tak, wystarczy. To więcej niż... och, więcej niż wszystko!

Ren poczuł wilgoć jej łez i uniósł głowę.

- Czemu płaczesz?

- Bałam się, że chcesz tylko ze mną sypiać - wypaliła.

- Ejże, kwiatuszku... - Spojrzał na nią z czułą ironią. - Żaden

normalny facet nie jest aż tak szalony, żeby zenić się z kobietą tylko dlatego, że spędził z nią jedną noc – skwitował. – Zwłaszcza z dziewicą.

Merrie wlepiła w niego wzrok.

- Och.

- Nie masz zielonego pojęcia o mężczyznach. Bardzo mi się to podoba. – Pocałował ją namiętnie. – Jak myślisz, czemu tak się zachowałem tamtego wieczoru, kiedy byliśmy na przyjęciu? Wiedziałem, że umarłbym dla ciebie. Walczyłem z moimi uczuciami, bo najzwyczajniej się bałem po tej sprawie z Angie. Wydawało mi się, że jesteś zbyt dobra i zbyt cudowna, żeby być prawdziwa.

- Naprawdę? – spytała bez tchu.

- No i Randall wciąż mi powtarzał, że jesteś jego kobietą. – Skrzywił się. – Myślałem, że mówił poważnie w każdym sensie tego słowa. Byłem wściekły jak diabli. Czułem się jak w pułapce. Nigdy nie chciałem cię zranić – dodał z żalem. – Miałem chęć walnąć głową o ścianę, kiedy mi powiedzieli, że próbowałeś w śniegu dojść na piechotę do głównej bramy, żeby ode mnie uciec. Wtedy dopiero zrozumiałem, co naprawdę czuję. Ale było już za późno.

- Myślałam, że mnie nienawidzisz – wyznała.

- To siebie nienawidziłem. Przecież już i tak byłaś w niebezpieczeństwie, a ja dopuściłem do tego, że jeszcze bardziej się narażałaś. Płatny morderca dostał się na mój teren, a ja nic o tym nie wiedziałem. Mógł cię zastrzelić – dodał zdenerwowany. – Myślałem o tym po twoim wyjeździe. – Zamknął oczy. – Umarłbym z tobą, Meredith, bo życie już nie miałoby dla mnie sensu.

- Och, Ren. – Mocno objęła go za szyję. – Czuję to samo, naprawdę...

Przytulił ją z całej siły.

- Kiedy Paul po ciebie przyleciał, opowiedział mi, co przeżyłaś w swoim domu, a gdy wyjechałaś, strasznie się upiłem... Nie pamiętam, żebym kiedyś tak się nienawidził.

- Też próbowałam cię znienawidzić, ale mi się nie udało. Pojechałam do domu zrozpaczona.

- Nie masz pojęcia, co czułem, kiedy Randall przyjechał na ranczo i dowiedziałem się, że jesteś w szpitalu. Po prostu straciłem rozum. Natychmiast poleciałem do Jacobsville. - Uśmiechnął się lekko. - Bałem się, że Sari skoczy na mnie z pazurami, tak bardzo była wściekła. Ale kiedy zobaczyła, jaki jestem podłamany, trochę odpuściła. Ona cię bardzo kocha.

- Jesteśmy siostrami, Ren. W tamtym okropnym życiu miałyśmy tylko siebie nawzajem. Też bardzo ją Kocham.

- Cóż, mieliśmy trudny początek, Kochanie, ale teraz będzie już tylko lepiej. Nam obojgu.

Była tak szczęśliwa, że mogłaby umrzeć ze szczęścia.

- Liczę tylko, że Tony Garza miał rację co do tego płatnego mordercy - powiedziała trochę już sennie. - Nie chcę zginąć i zostawić cię samego, kiedy wreszcie się odnaleźliśmy.

- Dał słowo. Nie znam go, ale Mikey dobrze go zna. Mówił, że Tony ma więcej władzy, niż możemy sobie wyobrazić, i że jeśli coś obiecuje, to bezwarunkowo dotrzymuje słowa.

- Och, co za ulga, Ren. Bo świadomość, że ktoś chce cię zabić, jest przerażająca. Podobno ten Leeds, który wynajął mordercę, ma ciężko w więzieniu. Trochę mu się w głowie pomieszało. Tak bardzo kochał matkę, a nasz ojciec ją zabił... Boże, jakie to straszne.

- Wszystko potoczy się tak, jak ma się potoczyć, niezależnie od nas - z zadumą okraszona uśmiechem stwierdził Ren. - A teraz najważniejsze jest to, że już nie muszę się dniami i nocami zamartwiać, że mogę cię stracić.

- Ja też... I wiesz co? Tej nie do stracenia spać się chce.

- Okej, to się zdrzemnijmy. Wygodnie ci?

- Bardzo... - Powierciła się trochę i zastygła w bezruchu.

Zaśmiał się i całował jej miękkie włosy.

Czuli się jak nowo narodzeni, rozpaleni miłością do życia i do siebie nawzajem. Ren zaprowadził Merrie pod prysznic i umył ją, a potem nakłonił, by się odwzajemniła. Schodząc na dół, trzymali się za ręce. Stale trzymali się za ręce, w samochodzie i podczas zwiedzania najbardziej ekscytującego miasta Afryki.

Merrie każdego dnia coraz bardziej kochała męża, a Ren

w końcu pozbył się tej swojej zatroskanej miny, co było wyraźną oznaką zmiany stanu ducha na zdecydowanie pogodniejszy i skłonny do optymizmu.

Robili zakupy, spacerowali, jeździli na wielbłądach, aż wreszcie wybrali się na bazar i przez resztę dnia oglądali drogie dywany. Ren dbał o to, by Merrie często odpoczywała. Wybrali dywany, które podobały się im obojgu, i polecili przesłać je do Wyomingu. Merrie znalazła też piękne haftowane kaftany dla siebie, Sari, Delsey i Mandy, a nawet dla drobnej matki Rena, i je także kazała przesłać do domu.

- To była najbardziej fascynująca, najwspanialsza podróż - powiedziała do Rena, kiedy jechali na lotnisko.

- Dla mnie też, kochanie. - Ścisnął jej dłoń. - Wrócimy tu jeszcze.

- Bardzo bym chciała, Ren.

Najpierw polecili do Teksasu przekonać się, co słychać w domu Graylingów.

W jadalni siedzieli Mikey, Paul, Sari i Mandy.

- Jak to, nie ma Avengersów? - spytała Merrie, ściskając siostrę i szwagra.

- Nie są już potrzebni, laleczko - odparł Mikey. - Jesteś bezpieczna. Tony zadzwonił z Jersey, sprawa została ostatecznie załatwiona.

- Tak się cieszę. - Merrie westchnęła. - To miło, że płatny morderca zgodził się zrezygnować z kontraktu.

Mikey mimowiednie umknął wzrokiem, gdy potwierdził:

- No tak, jasne... - po czym zerknął na zegarek i oznajmił: - Spóźnię się na samolot.

- Możesz polecieć do domu naszym samolotem - zaoferował Paul. - W końcu jesteśmy rodziną.

- No tak, w końcu - odparł Mikey ze śmiechem i spojrzał na nowożeńców. - Nie muszę pytać, czy dobrze się bawiliście.

- Maroko jest fantastyczne! - zawołała Merrie. - Na pewno utrwale swoje wspomnienia na płótnie.

Ren przyciągnął ją bliżej i zapewnił:

- W takim razie zamówimy więcej farb i płócien.

- Nie zapominaj o nas - powiedział Paul do kuzyna.
- Jasne. - Mikey wzruszył ramionami. - Będę tu wpadać co jakiś czas. - Z uśmiechem spojrzał na Merrie i dodał: - Podobno Tony rozpowiada, że ma adoptowaną córkę, która maluje tak jak jeden z jego sławnych przodków.
- Jakie to miłe - ucieszyła się.
- Mikey postukał palcem w czubek jej nosa i oznajmił z powagą:
 - Dzieciaku, tylko pamiętaj, że ludzie są tacy, jacy są. Nie oczekuj, że Tony zacznie śpiewać w kościelnym chórze i przeprowadzać staruszki przez ulicę.
 - Hej, nie jestem aż tak naiwna! Owszem, można go nazwać złym człowiekiem, ale w każdym jest cząstka dobra.
 - W niektórych większa niż w innych - dodał Mikey, patrząc szelmowsko na Paula, który odwzajemnił spojrzenie.
 - No to opowiadajcie o waszej wyprawie - powiedziała Sari.
 - Pożegnaj się na razie. - Mikey ucałował policzki Merrie i Sari, a panom uściśnął dłonie. - Jadę na lotnisko.
 - Limuzyna cię zawiezie - zaproponował Paul.
 - Okej, dzięki.
 - Och, to ja panu dziękuję. Kolejny raz wielkie dzięki! - powiedziała Merrie.
 - Miły z ciebie dzieciak - odparł Mikey z uśmiechem. - Nie pozwól, żeby życie za bardzo cię rozczarowało.
 - Postaram się... A pan niech spróbuje być trochę mniej posępnym, dobrze?
 - Hm... - Wzruszył ramionami. - Natura ciągnie wilka do lasu. Do zobaczenia.

- Co on miał na myśli, gdy mówił o wilku i lesie? - spytała Merrie, kiedy usiedli przy kawie i piaskowej babce Mandy.
- Wydarzyło się coś nowego - niechętnie wyznał Paul.
- Tak? - Merrie popatrzyła na niego pytająco, było to bardzo intensywne spojrzenie.
- No dobra, powinnaś to wiedzieć. Znaleźli płatnego mordercę.
- Naprawdę? - zawołała. - Czeka go proces? Będę musiała ze-

znawać? Skażą go?

- Nawet go nie aresztują. Bo widzisz, owszem, znaleźli go, ale w beczce po oleju w rzece w Jersey. - Gdy Merrie otworzyła usta, a Ren się wzdrygnął, Paul dodał: - Nikt nie wie, kto to zrobił. Możemy spekulować, ale jak znam życie, nigdy się tego nie dowiemy.

- Tony? - spytała cicho Merrie.

- Naprawdę nie mamy żadnych pewnych informacji, to jedna wielka niewiadoma i można spekulować w dowolne strony. Natomiast ja uznałbym za najbardziej prawdopodobne, że płatny morderca doszedł do wniosku, że jego reputacja jest ważniejsza niż rozkazy Tony'ego. A Tony'emu się nie odmawia.

- Mój Boże... Chcesz powiedzieć, że zabójca mimo wszystko postanowił wywiązać się z kontraktu, żeby nie narażać swojej reputacji?

- Tak sądzi Mikey - odparł Paul. - Ale to tylko hipoteza - dodał szybko.

- Nie wiedziałam... - Dotknęła szyi. - I czułam się taka bezpieczna.

- Zawsze byłaś bezpieczna. - Paul spojrział na zegarek. - Co mi przypomina, że skoro wysłałem Mikeya limuzyną, to sam muszę pojechać na lotnisko w San Antonio. Samolot niedługo ląduje.

- Samolot? Jaki samolot? - spytała Merrie.

- Avengersi wracają z Maroka. - Uśmiechnął się na widok min Merrie i Rena. - To chyba oczywiste, że nie mogliśmy ryzykować, gdy nie mieliśmy pewności, gdzie podziewa się płatny morderca, dlatego Rogers i Barton pojechali z wami w podróż poślubną. Byli bardzo dyskretni, zapewniam. Zatrzymali się w tym samym hotelu, ale nosili się jak miejscowi i mieli sztuczne brody. A ponieważ obaj mówią po berberyjsku, dobrze się tam wpasowali.

- A niech to! - Merrie wybuchnęła śmiechem.

- Rany, wciąż krążyli wokół nas, a my ich nie zauważyliśmy - z podziwem dodał Ren. - Specjaliści pierwsza klasa.

- Trzymali się na uboczu, ale gdyby ktokolwiek zaczął wam zagrażać, szybko by go wytropili i dopadli, nawet w Maroku.

Merrie oparła się o ramię Rena i powiedziała:

- Avengersi i mój przybrany ojciec dobrze się mną opiekowali.
- Była im wdzięczna, choć tak po ludzku czuła swoisty żal, że człowiek, który był płatnym mordercą, nie żyje. Wiedziała jednak, że gdyby żył, otrzymałby kolejne zlecenia i znów posłałby kogoś do grobu. Człowieka dręczą takie dylematy, pomyślała, i tylko Bóg je rozumie. A wszystko dzieje się zgodnie z wolą bożą...

- Od tej pory to ja będę cię chronił - oznajmił Ren.

- Całkiem mi się to podoba. - Merrie rozpogodziła się.

Matka Rena była już po operacji. Chirurg powiedział Renowi i Randallowi, że wyciął całego guza i po raku nie zostało ani śladu. Czekają ją jeszcze parę tygodni radioterapii i chemii, po których miała być jak nowa.

Ren i Merrie zostali z nią w Chicago, zaś Randall w tym czasie zajmował się ranczem i wpadał do nich z wizytą, kiedy tylko mógł.

- Wyrastasz na dobrego ranczera - powiedział Ren, ściskając brata, kiedy czekali, aż matka pojawi się w poczekalni po swoich ostatnich zabiegach. - Jestem z ciebie dumny.

- Takie słowa od ciebie wiele dla mnie znaczą - odparł szczerze przejęty Randall. - Dzięki.

- To także twoje ranczo - dodał Ren z uśmiechem.

- Cóż, powiedzmy, że jestem młodszym partnerem. Ale jak sądzę, całkiem nieźle radzę sobie z marketingiem.

- Akurat na tym polu jesteś najlepszy.

- Za trzy miesiące będziemy sprzedawać bydło - przypomniał Randall. - Musimy przygotować dobrą wyzerkę dla wygłodniałych ranczerów, których będziemy przekonywać do kupna naszego bydła.

- Damy radę. Na razie nie mogę się doczekać świąt - oznajmił Ren, wprawiając wszystkich w osłupienie. - Ubierzemy choinkę, przygotujemy indyka i dressing. Wszystko, co trzeba.

- Dobrze się czujesz, Ren? - spytał brat.

- Nigdy nie czułem się lepiej. - Ren spojrzał na Merrie z miłością. - To będzie nasze najpiękniejsze Boże Narodzenie. Mama

też z nami zostanie.

- Tyle zmian w tak krótkim czasie - podsumował Randall. - Aż mi się w głowie kręci.

- Mnie też - zaśmiał się Ren, zerkając na żonę. - Ale nie od zmian.

Merrie wtuliła się w niego.

- To naprawdę będą najpiękniejsze święta - powiedziała cicho. - A ja już dostałam piękny duży prezent. - Podniosła wzrok na męża, jej oczy błyszczały.

Kiedy Randall zaprowadził matkę do samochodu, Ren zwrócił się do żony:

- Możesz go rozpakować, kiedy chcesz - szepnął.

- Och! - mruknęła. - Uwielbiam go odpakowywać.

- On też to lubi - szepnął. - I on też kupił ci już prezent.

- Naprawdę? Co takiego?

- Radio. Głośne radio.

- Co? - Zmarszczyła czoło.

Spojrzał na nią łobuzersko i oznajmił:

- Delsey domaga się, żebym porozmawiał z Willisem, bo jego wilk za głośno jęczy. - Gdy jej policzki gwałtownie zalały się czerwienią, dodał: - Twój mąż bardzo lubi te dźwięki. Więc kupił ci radio, które je zagłuszy. Nikt prócz mnie nie będzie ich słyszał - szepnął schrypniętym głosem. - Dzisiaj wieczorem rozpakujemy nasze prezenty i zobaczymy, jak nas to rozgrzeje.

- Hm... raczej rozpali.

- Do czerwoności, maleńka, do czerwoności...

Kilka godzin później matka Rena rozgościła się w swoim pokoju. Zaopiekowała się nią Delsey, a Randall doglądał bydła. Ren pociągnął Merrie do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz.

- Święty Mikołaj nie będzie miał nam za złe, gdy wcześniej otworzymy prezenty? - spytała Merrie zadyszana, kiedy Ren rzucił ją na łóżko i całował, starając się jednocześnie pozbawić ich warstw ubrań.

- Ani trochę. Zaufaj mi. To mój stary kumpel. Już go o to pyta-

łem. Cieszysz się?

- Lepiej włącz radio - mruknęła, wyginając plecy.

Ren nastawił stację nadającą muzykę country.

- Dość głośno? - spytał, opadając wargami na jej nagie ciało.

- Może być... Zrób to jeszcze raz.

- Tak?

- Zdecydowanie... tak!

Ich ubrania leżały rozrzucone bezładnie na podłodze. Ren położył się na Merrie wygłodniały jak za pierwszym razem, w Maroku. Rozbudził ją szybko i niecierpliwie, a potem w nią wszedł tak mocno, że aż krzyknęła, ale z rozkoszy, bo to był słodki ból.

- Jest coraz... lepiej - wycedził przez zęby, spragniony jej ciałą.

- I... lepiej - zdołała powiedzieć.

Doprowadził ją na wyżyny, jakich wcześniej nie osiągnęli, a Merrie żarliwie i z niewysłowionym wdziękiem odpowiadała na jego pożądanie. Kiedy nadeszła kulminacja, omal nie straciła przytomności, było to tak dogłębne i przemożne. Ren dyktował rytm, a choć był gwałtowny, Merrie odpowiadała z równą desperacją, znajdując rozkosz w ogniu, który rozpalili. Momentami ogarniało ją takie napięcie, że bała się, iż rozpadnie się na tysiąc kawałków. Za to satysfakcja, jaką na koniec osiągnęli, przewyższała wszystko, co dotąd przeżyli razem. Merrie szlochała wstrząśnięta, błagając Rena, by nie przestawał, gdy przeżywała swój pierwszy wielokrotny orgazm.

W końcu napięcie opadło, a oni leżeli, całując się delikatnie i pieszcząc nawzajem. Byli wykończeni, lecz szczęśliwi.

- Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem - szepnął Ren łamiącym się głosem. - W całym moim życiu.

- Ja z całą pewnością nigdy - szepnęła w odpowiedzi.

Wziął uspokajający oddech i przewrócił się na bok, ciągnąc ją za sobą. Z radia wciąż płynęła muzyka, o której całkiem zapomnieli. Ren ściszył kolejną piosenkę country.

- Lubię radio - stwierdziła Merrie. - Powinniśmy go częściej słuchać.

- Owszem, powinniśmy - poparł ją ze śmiechem.

- Kocham cię. - Pogłaskała palcami jego wargi.

- Ja też cię kocham.

Nabrała głęboko powietrza, po czym stwierdziła:

- Bardzo się cieszę, że twoja mama jest z nami.

- Ja też. Jutro ubierzemy choinkę.

- A masz dekoracje?

- Jasne. Lasso, ostrogi, uzdę i...

Uderzyła go żartobliwie.

- Potrzebne nam prawdziwe dekoracje.

- Pozwolę Willisowi się wykazać. Pojedzie do miasta i kupi wszystko, co trzeba, w tym i choinkę, skoro już wybierze się na zakupy.

- Nie.

- Nie?

- Wybieranie choinki to największa frajda. Sami to zrobimy.

- My? - Uśmiechnął się. - Okej. Ale będziesz mi coś winna.

- Mm - westchnęła. - Co takiego?

- Przynajmniej jedną bardzo głośną piosenkę z radia.

- A nawet dwie. - Parsknęła śmiechem.

Ren przytulił ją i zgasił światło. Merrie wciąż się uśmiechała, leżąc w ciemności obok ukochanego mężczyzny.

[1] *Blask zachodnich gwiazd*. Powieść niepublikowana w języku polskim.

[2] United States Fish and Wildlife Service (Agencja Połowy i Dzikiej Przyrody Stanów Zjednoczonych) – federalna agencja zajmująca się ochroną fauny i flory oraz zarządzaniem nimi.

[3] Preakness Stakes – coroczna derbowa gonitwa konna rozgrywana od 1873 roku na torze Pimlico Race Course w Baltimore, stan Maryland.

[4] Snowpaw (ang.) – Śnieżna Łapa.

Tytuł oryginału: *Wyoming Brave*

Pierwsze wydanie: Harlequin Books, 2016

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Joanna Kubicka

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2016 by Diana Palmer

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2019

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: iStock. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327641014

Konwersja do formatu MOBI:

Legimi S.A.

Spis treści

Strona tytułowa
Wstęp
Epitafium
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Przypisy
Strona redakcyjna